

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/243 - 2/244

1968



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

- P. GUZY : **KARTKI Z NOTATNIKA**
Cz. MIŁOSZ : **ZAPISANE WCZESNYM RANKIEM**
J. GRZĘDZIŃSKI : **KONSTYTUCJA I SEJM**
H. WRÓŃSKI : **50-LECIE SOWIECKIEJ EKONOMII**
B. MIEDZIŃSKI : **PIŁSUDSKI I SOSNKOWSKI**
«KULTURA» W UNIWERSYTECIE ALBANY

SPIS RZECZY

Piotr Guzy:	<i>Kartki z notatnika</i>	3
Witold Gombrowicz:	<i>Fragment dziennika</i>	15
Czesław Miłosz:	<i>Zapisańe wczesnym rankiem</i>	25
Tymon Terlecki:	<i>Dziennik z Ghany — 1966 (dok.)</i> ..	29
Henryk Schoenfeld:	<i>Kogo nazywamy człowiekiem prawdziwie kulturalnym?</i>	55
Jadwiga Maurer:	<i>Antyojezyzna</i>	66
Adam Czerniawski:	<i>Rozproszony</i>	86
WIERSZE		
Kazimierz Wierzyński:	<i>O wulkanach</i>	91
" "	<i>Pogrzeb</i>	92
" "	<i>Szczekają psy</i>	93
" "	<i>Schodzenie w dół</i>	93
" "	<i>Aleja w głębi czasu</i>	94
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Rok 2.000</i>	96
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	105
K R A J		
January Grzędziński:	<i>Konstytucja i Sejm</i>	112
Antoni Zambrowski:	<i>Oświadczenie dla Woj. Komisji Kontroli Partyjnej</i>	122
Jan Krok-Paszkowski:	<i>Podatek od mięsa</i>	127
Bogdan Adamski:	<i>Z pamiętnika architekta powiatowego</i> ..	129
Redakcja:	<i>Z ostatniej chwili</i>	135
SĄSIEDZI		
Henryk Wroński:	<i>50-ciolecie sowieckiej ekonomii</i>	136
E. Żagiell:	<i>Sąsiedzi Litwini</i>	147
S. W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	154
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI		
Bogusław Miedziński:	<i>Piłsudski i Sosnkowski</i>	158
SPRAWY I TROSKI		
Edward Puacz:	<i>Wywiad z Prezesem ZNP A. Mazewskim</i>	185
KRONIKA KULTURALNA		
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Człokopis czyli sukinsynologia</i>	190
Andrzej Nakov:	<i>Obrazy Witolda</i>	195
Wacław Iwaniuk:	<i>Dyskusja o „Kulturze”</i>	198
—	<i>Komunikaty</i>	202
KSIĄŻKI		
Wit Tarnawski:	<i>Uwagi o nowych conradianach</i>	204
Maria Danilewiczowa:	<i>Małość w wielkości</i>	211
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	224
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	226
◆		
J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	228
◆		
J. Darowski, W. Jędrzejewicz, ks. H. Kwiatkowski, W. Pęczynska, ks. A. Słomka, St. Zochowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	236

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty - Janvier-Février 1968

INSTYTUT



LITERACKI

REDAKCJA « KULTURY » DZIĘKUJE PRZYJACIOŁOM I CZYTELNIKOM ZA NADEŚLANE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

Redakcja „Kultury” ponownie zwraca się do Czytelników z prośbą o zasilenie naszej stałej rubryki „Wydarzenia miesiąca”. Oprócz odnotowywania najważniejszych wydarzeń światowych w dziedzinach polityki i kultury zależy nam na dokładnej kronice wydarzeń krajowych oraz poszczególnych ośrodków emigracyjnych. Prasa krajowa niewygodne dla reżymu wiadomości przemilcza, prasa emigracyjna — specjalnie zamorska — dociera do nas z dużym opóźnieniem. Tylko współpraca Czytelników umożliwi nam postawienie tego działu na odpowiednim poziomie.

Redakcja „Kultury” poszukuje:

- 1) Zeszytów „Kultury” Nry 2/3, 4 i 5 z r. 1948; Nry 20 i 25 z r. 1949; Nru 40/41 z r. 1951 i Nru 51 z r. 1952;
- 2) Kompletów lub poszczególnych nrów pism polskich, wychodzących w Paryżu w latach 1939-1940;
- 3) Roczników lub poszczególnych nrów pism polskich ukazujących się w czasie wojny na Węgrzech, w Rumunii i w ZSSR;
- 4) Roczników „Gazety Polskiej” w Jerozolimie;
- 5) Roczników pism polskich, ukazujących się w Londynie w latach 1940-1945.

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Bezimiennie (Kanada)	F. 90,00
Ilse Maybach, Heilbronn (Niemcy), po raz czwarty	F. 68,00
Prof. Władysław J. Stankiewicz, Vancouver, B.C. (Kanada), po raz drugi	F. 100,00
Danuta Mostwin, Tenafly, N.J. (USA) — zamiast życzeń Świątecznych i Noworocznych dla przyjaciół i znajomych	F. 49,00
Marc Hurvic, Paryż, po raz trzeci	F. 28,50
Dr G. Zawuski, Saarbrücken (Niemcy)	F. 5,00
B. A. Wądołkowski, Lyndhurst, N.J. (USA), po raz ósmy	F. 24,50
Z. J. Żukotyński, Phoenix, Arizona (USA)	F. 5,00
L. Demby, Nomansland, Salisbury, Wilts. (W. Br.), po raz ósmy	F. 13,00
Z. Gabryszewski, Chicago, Ill. (USA), po raz czwarty	F. 5,00
Zygmunt Sowa, Detroit, Mich. (USA), po raz trzeci	F. 49,00
Janusz Laskowski, Paryż, po raz jedenasty	F. 35,00

DZIĘKUJEMY!

Bieżący zeszyt „Kultury” jest jak zwykle podwójny (styczeń-luty 1968). Zeszyt następny ukaze się 1 marca rb.

Imprimé en France

1968 N 995

BIBLIOTEKA

P. 9786-Chi. Arch.

Kartki z notatnika

15. IV. 63. Przestroga i zalecenia: „Nie osiągnął i nie osiągnie niczego, ponieważ próbuje za wiele rzeczy na raz, ponieważ nie potrafi dokonać wyboru spomiędzy różnych obowiązków, ponieważ dzieło sztuki można stworzyć jedynie pod warunkiem, że... Czystość umysłowa: nie dopuścić, aby zamierzenia po drodze się gubiły i rozłaziły... Do rozmyślenia brać tylko jedną rzecz: nie zmieniać jej! Odrzucić wszystko inne!... Pracować ciągle, o określonym czasie, nie zaniedbywać pracy etc., etc. (to odnosi się również do treningu moralnego i ascetyzmu)... Jedna chwila słabości, a wszystko się zawali, zarówno praktyka, jak i teoria” (wg. Camusa).

Nauczyć się tego na pamięć, przepowiedzieć sobie kilka razy codziennie rano, potem spędzić pół godziny zastanawiając się nad każdym zdaniem, wreszcie wypracować sobie praktyczne sposoby wprowadzania tych zaleceń w życie.

(bez daty) Sharko w szpitalu, zdaje się, na żółtaczkę. Ma około 60 lat, łysy. Wszystkie pielęgniarki go tu już znają, polubiły go. Mówi o nich: „moje Lolity”. Siedzi na łóżku niczym monarcha otoczony ludem, który przyszedł mu złożyć hołd. Twarz jak maska z filmu Picassa: cała poznaczona czerwonymi śladami kobiecych warg. Opowiada o swoim życiu rzekomego rewolucjonisty. Na stoliku postawił sobie pocztówkę z widokiem Puerta del Sol w Madrycie. Tu też — pokazuje na więzienie — siedziałem. Z zachwytem patrzy na swoją przeszłość heroiczną. Jak długo tam siedział? Osiem godzin.

28. V. 63. Nic i nikt mi nie pomoże, tylko sam sobie mogę

pomóc, ale nie wiem, jak. Czytanie, rozmyślanie, to wszystko tylko wybiegi. Nawet te notatki, które od pewnego czasu zacząłem tu pisać, to też jeszcze jeden unik. Wyrwać się z tej inercji, z tej niemocy! Ale jak? Nie mam żadnej wiary w siebie. Ula mi życzy kosmicznych sukcesów w mojej pracy twórczej. W jakiej pracy? Tworzę wokół siebie jakąś kosmiczną fikcję, może umyślnie, aby tyle jej się nagromadziło, że jedynym uwolnieniem się od wstydu byłoby wreszcie zacząć pisać. Dzisiaj nie ruszę się od biurka, niech mi się poci głowa, może coś z tego wyniknie, niechby jedno, pierwsze zdanie, coś drobnego, mikroskopijnego, byle zrobić pierwszy krok. To moje poczucie winy rosnące z dnia na dzień, wstręt do siebie: czy aby nie zaczynam się w tym lubować?

18. VI. 63. Jestem szmata. Nie rozumiem, jak to jest możliwe, że są jeszcze ludzie, którzy okazują mi życzliwość, żywią do mnie szacunek. Gdyby potrafili zajrzeć mi pod maskę!

Człowiek dochodzi w pewnym okresie do miejsca, kiedy zaczyna już tylko grać rolę w scenariuszu, jaki mu napisała jego przeszłość, niczego już nie można zmienić, trzeba rolę odegrać do końca. Może w tym leży nadzieja odnowy? Dosięgnąć dna? Życie to jest akumulacja złych wspomnień.

— Chcesz, żebym odeszła? No powiedz, chcesz, żebym odeszła? Pójdę, bo mnie tylko o ciebie chodzi, żebyś miał wreszcie spokój, żebyś się już tak nie męczył... Bo ty nie chcesz przyjąć niczyjej pomocy, nie możesz znieść myśli, że ktoś mógłby bezinteresownie coś dla ciebie zrobić. To taka diabelska pycha z twojej strony, gorzej, w tym jest pogarda dla ludzi.

— A może to dlatego, że ja właśnie sobą najbardziej z wszystkich pogardzam? Nie chcę, żeby ktokolwiek się dla mnie poświęcał.

— A kto ty jesteś? Bóg? żeby się obejść bez litości?

Nie ma w życiu nic, co by było absolutnie czyste, albo absolutnie zbrukane. Największą cnotą jest umieć przebaczać. Nawet sobie. Może: zwłaszcza sobie.

(bez daty) — Nieszczęścia rzadko przychodzą do nas z zewnątrz, przeważnie sami dajemy im początek. Tkwią w nas przez długie lata bez naszego ich odczuwania, wzbierają powoli jak nabrzmiewający wrzód, wreszcie coś w nas pęka i patrzymy na siebie nie rozumiejąc, jak to się stało, że nosiliśmy to w sobie tyle lat, że każdy krok, każdy nasz czyn zbliżał nas do katastrofy. Ale wtedy już niczego nie można odwołać. Trzeba brnąć dalej. Życie zaczyna się tylko raz. To nieprawda, że zawsze można roz-

począć jeszcze raz. Pan się śmieje? Widzę ten uśmieszek na pana wargach. Może istotnie to nie zbyt głęboka filozofia, ale jedyna na jaką mnie stać, jakoś przecież trzeba to sobie wytłumaczyć, jakoś znaleźć usprawiedliwienie... — Słuchałem go byle jako. Nie interesowały mnie jego wynurzenia. Wiedziałem jak to będzie wyglądało: będzie się babrał w swoich bebechach, wyciągał je na wierzch, pokazywał mi, płakał nad nimi. Nie interesowało mnie to. Małoż to razy sam uprawiałem ten haniebny proceder?

17. VIII. 63. Rzecz dzieje się w Polsce. X, były partyzant, pracuje w jakimś biurze, taki normalny żywot normalnego zjadacza chleba, pewnego dnia rzuca biuro, nie będzie pracować, kierownik oburzony, należą mu się trzy miesiące wypowiedzenia, X macha ręką, co to go obchodzi? matka: oszalałeś? z czego będziesz żył? mam trochę zaoszczędzonych pieniędzy, jak się skończą, zobaczymy, najemę się za tragarza, narzeczona z nim zrywa, robi się z niego clochard, wdaje się w jakąś awanturę, bije po mordzie milicjanta, dostaje rok obozu pracy, ląduje gdzieś potem na Mazurach, w szałasie, taki współczesny Robinson Crusoe, ale tak byle komu bez pozwolenia w lesie też nie wolno mieszkać, znowu milicja, więzienie za wstręt do pracy, hm, nie wiem, tyłu już o tym pisało...

20. VIII. 63. Wstyd, wstyd, że się żyje... widzę siebie chodzącego po domu ze sznurem w rękę, rozglądającego się, gdzie by się powiesić, idąc ulicą, cały czas gadam do siebie, kłócę się z sobą, z wszystkimi, pomstuję na niebo, na ludzi, niekiedy muszę się powstrzymywać, żeby się nie rzucić na przejeżdżające samochody, żeby nie trzaskać mijających mnie ludzi po pysku, widzę siebie w myślach, jak niczym jakiś apokaliptyczny szaleniec przewracam domy, latarnie, niszczę wszystko, prawdziwy koniec świata, mnie też, żeby to się już wszystko wreszcie raz skończyło, ta moja furia wewnętrzna, ta żółć, która mnie bez przewy zjada, ta moja nienawiść do wszystkich, do wszystkiego, do siebie najbardziej, czasami płacę...

5. IX. 63. Analizować swoje przeżycia, uczucia, brać je do ręki, z jednej ręki do drugiej przekładać, oglądać je, patrzeć jak wyglądają tak, jak inaczej, pod światło, żeby je światło prześwieciło, żeby się stały przejrzyste, tym samym łatwiejsze do zanalizowania, przecież to nie wszystko jedno jak się patrzy, za każdym razem to inaczej wygląda, tyle tu czynników warunkujących, z teraźniejszości — co robię, co, kto, jest ze mną, co

we mnie tkwi teraz, w tej chwili, dokładnie, co do sekundy, z przeszłości — więc wspomnienia, dawne nadzieje, zawiedzione, tych najwięcej, kiedyś gorzkie, o których się myślało, że się ich nie przeżyje, i przez długi czas rzeczywiście było tak, jakby miały zostać z nami na zawsze, może i zostały, skąd inaczej pamięć o nich, ból serca, chłód na sercu, milczenie tam, gdzie trzeba krzyknąć?, inne z innej maści, drobne, krótkie, choć dotkliwe, tak jak u dzieci, co to w jednej chwili płaczą, w następnej się śmieją, wszystko idzie w niepamięć... To największe kłamstwo, nic nigdy nie idzie w niepamięć.

6. IX. 63. A więc już wtedy wiedział, wtedy, kiedy jej oczy były wlepione w niego z tą jakąś zimną nieruchawością, kiedy siedział tu na skraju łóżka, niewygodnie, bo oprzeć się gdzie plecami nie było, o jakąś poduszkę, ścianę, a przez zaciągnięte na drzwiach do ogrodu kotary przenikało bladawe światło, a on patrzył na nią w milczeniu, potem coś bąknął, jakieś nieważne słowo, bo mu się zdawało, że już dłużej tego milczenia, tego jej wzroku, nie zniesie, że coś się stanie, jakaś straszna rzecz, która go zbulwersuje, na zawsze odmieni jego życie, a więc już wtedy wiedział, że to co się stało poprzedniego dnia, ten żart, ten śmiech, który mu towarzyszył, który potem długo dźwięczał mu w uszach, już wtedy wiedział, że ta jakaś niewidzialna nitka, która ich dawniej łączyła, pękła, że stało się coś nieodwracalnego, coś czego od dawna się bał, przeczuwał... Anno! Wargi mu się ułożyły w to słowo, jej imię, ale go nie wypowiedział, coś go powstrzymywało, jakaś drętwa, myśl, że przestał mieć prawo do tego imienia, jakaś inna obecność wkradła się między nimi, stała teraz między nimi sztywno, twardo, niewzruszenie, jak zapora jakaś, mur, że już siebie przez ten mur nie dostrzegali, że ich przegrodził na zawsze może, w każdym razie na długo i trzeba będzie wysiłku — kulił się w sobie, gdy uświadomił sobie ciężar tego wysiłku — żeby jakoś ich ręce znowu się spotkały, a tamto, ta inna obecność, ten cień, żeby to odeszło, żeby ślad się zatarł, żeby wszystko wróciło do tego samego stanu, co przedtem, bo wierzył, chciał wierzyć, kiedy jego wargi układały się w jej imię, że przy jej i jego dobrej woli, znowu się odnajdą, więc spróbował jeszcze raz i wyszeptał to słowo: — Anno!

Nie zareagowała. Słyszała swoje imię, nie pamiętała, że jeszcze kilkanaście godzin temu ten dźwięk spływający z jego ust przyprawiał ją o radosne drżenie, szybsze taktę serca, słyszała je, ale to było teraz jakby obce imię, nie do niej się odnoszące i jedyne co pomyślała, to: nie jesteś ten sam, jesteś inny, nie

chcę cię takiego, i uciekła od niego wzrokiem, w siebie się wpatrzyła i tam szukała go takiego, jakim był, jakim chciała, żeby znowu był...

11. II. 64. Wczoraj skończyłem drugą redakcję „Spowiedzi spod szubienicy”. Miałem pewne obawy pisząc pierwszą wersję, czy miejscami nie przehisteryzowane. Chyba nie, w każdym razie wytrzebiłem histerię, trochę zostało, ale tylko tyle, ile usprawiedliwia stan psychiczny bohatera. Tego nigdy nie wydrukuję. To tylko terapia. Ale co za cud, co za cud! Zacząłem rzecz i skończyłem!

Czuję ogromną ulgę. Wydostałem się z przepaści rozpacz i niewiary, w której tkwiłem od tylu lat. Główna w tym zasługa Ishbel, że nie straciła wiary we mnie, że kiedy tego potrzebowałem, wyciągnęła do mnie rękę. Ona mnie uratowała.

Obława: bezsens zabijania, ślepe posłuszeństwo dla rozkazu, komendant obławy młody, nawet wojny nie pamięta, nie wie co tamten, ten uciekający, zrobił, tylko, że ma go złapać, technika obławy go interesuje, coś zupełnie mechanicznego, a wszystko na tle lasów, jezior, samotne leśniczówki, dukty, wreszcie go łapią, tego uciekającego, zabijają, można wysłać meldunek, zadanie wykonane, przerażający bezsens tego wszystkiego.

4. V. 65. Wczoraj cały dzień w Londynie. Chciałem oddać książki w bibliotece, zajechaliśmy taksówką, zamknięta, no tak, 3 maja, zapomniałem. Załatwiłem sobie dokument podróży w Home Office. Durna urzędniczka, pyta: po co pan wracał do Polski? Jak na takie pytanie odpowiedzieć? Jakże ma prawo zadawać mi takie pytanie? Ale nalegałem, powiedziałem, że nie po to uciekłem z Polski, żeby teraz jeździć za granicę na reżymowym paszporcie, zresztą i tak przedawniony. Kazała przyjść później. Wróciliśmy po obiedzie, sprawę przejął inny urzędnik, wyrozumiały, załatwił jak trzeba. Ale mnie to wkurzyło: po co pan wracał do Polski?

Po południu na filmie „Czerwona pustynia” z Moniką Vitti. Zachwycająca kobieta. Wieczorem poszliśmy do teatru na sztukę Alberta Albee’ego „Kto się boi Wirginii Wolf?”. Piękło, wszyscy skaczą sobie do gardła, nawet gorsze niż Sartre’a „Przy drzwiach zamkniętych”, taka szczerłość w małżeństwie, tak żyć dzień po dniu?

20. V. 65. Czasami wydaje mi się, że za późno w życiu zabrałem się do porządnej roboty. Leżą przede mną olbrzymie pusty-

nie niewiedzy, które trzeba zagospodarować. Czy człowiek tylko z wiekiem uczy się wartości rzetelnej pracy? Ale to nic, mam tylko 43 lata.

27. V. 65. Pisarz w swoim dziele zawsze rysuje swój własny portret, bo czyż to, do czego jesteśmy zdolni, nie jest składową częścią nas samych? Przeraża mnie portret, jaki sobie namalowałem w „Krótkim żywocie”.

29. V. 65. Jakaż piękna jest postać Camusa. Znalazł sens w bezsensie. I świat, ten absurdalny świat, zemścił się niejako za to, że pojął jego sekret, że odkrył jedyne uzasadnienie dla życia, i zniszczył go w tak przypadkowy, absurdalny sposób: w głupim wypadku samochodowym. Często zaglądam do jego „Kajetów”.

1. VI. 65. W Paryżu. Mieszkamy w Hôtel de la Paix na Wyspie Św. Ludwika. Statek w kierunku do Francji był przepełniony Włochami i Hiszpanami, dużo starych ludzi, zwłaszcza kobiet o zmęczonym, jakby zrezygnowanym wyglądzie, siedziały na drewnianych ławkach, każda przycupnięta nad swoją walizką, skrzynką, jakimiś tobołkami, w zewnętrznych przejściach na środkowym pokładzie, jakby uważały, że salon, bar, restauracja, to nie dla nich, za wysokie progi. Kiedy statek odbijał od Folkstone, wszyscy posiadacze aparatów fotograficznych wyszli na rufę, jedni fotografowali oddalający się brzeg, inni fotografowali fotografujących. Dzień był pochmurny. Najzabawniejsi Anglicy, po pół godziny każdemu wystawały z kieszeni kartony z papierosami, butelki whisky, odgryzali się za całą tę ponurą egzystencję u siebie w kraju. Chmara dziewcząt, wszystkie w jednakowych sukienkach i blezerach. Kiedy statek zaczął się zbliżać do Boulogne, wyszedłem na dziób, po prawej długie puste plaże, domki plażowe, bardzo kolorowe, kosze, potem brzeg podnosi się gwałtownie i na górze widać rozrzucone długim paciorkiem małe wille, jeszcze wyżej i dalej jakiś samotny château. Byłem wzruszony. Po 18 latach wracałem do Francji.

4. VI. 65. Noc, szliśmy z Julkiem z Wielkich Bulwarów na przełaj w stronę Wyspy Św. Ludwika, w bramie leżał kot z roztrzaskaną głową w kałuży krwi, nie wiem dlaczego, ale odniosłem wrażenie, że to ktoś złapał go w porywie furii za nogi i z rozmachem rąbnął o mur, może po prostu samochód kota przejechał, ktoś podniósł, odłożył na bok.

12. VI. 65. Ionesco: *La cantatrice chauve* i *La leçon*. Grają to już od przeszło dziesięciu lat. Na sali przeważnie młodzież. Teatr nie większy niż moje dwa pokoje na dole połączone razem. Wieczorem przed katedrą Notre Dame oglądaliśmy średniowieczny moralitet *Le vrais mystère de la passion*.

Lamartine: „*Il faut laisser quelque chose à la Providence*”.

Być Bogiem, co za szczęście: móc żyć bez miłości! Nie chciałbym być Bogiem, gdyż nie umiałbym żyć bez miłości. — Bóg, nie mogąc nas uczynić równymi sobie, dał nam możliwość dawania i odbierania miłości; kto na tej transakcji przegrał? człowiek? ejże! — Dlaczego myśleć o Bogu? starajmy się najpierw, żebyśmy się stali prawdziwymi ludźmi. — Być niewinnym? jak śmiesz mówić o niewinności w takim świecie? — Postulują prymat człowieka, a bez Boga nie potrafią sobie dać rady, Bogiem uczynili historię i na jej ołtarzu, jak dawniej barbarzyńskie religie, składają ofiary z życia i krwi całych pokoleń.

13. VI. 65. Powrót do Reading. Ten okropny Reading, dwie ulice na krzyż, nuda, towarzystwo od świętej boleści, znowu do pracy, aby był ten kawałek chleba, lepiej nie myśleć.

28. VIII. 65. Skończyłem „Krótki żywot”. Teraz do nowej rzeczy. Wiem co to ma być, trzeba przez tydzień przeżuwać, potem zasiąść do kartki papieru i naszkicować pierwszy zarys.

4. IX. 65. „Niobe”, plan powieści: 1) lament Niobe, 2) bal u ambasadora, 3) ucieczka. Ramy konstrukcyjne, czym je wypełnię? Jeszcze nie jestem pewien. Przeczuję pewne rzeczy. Wiem co tam powinno być. Ale to zbyt ogólne, trzeba to przetłumaczyć na konkretne losy ludzkie. Najważniejsze, że w głowie słyszę tonację tej powieści. Żeby tylko nie zwlekać zbyt długo z rozpoczęciem pisania, zwlekając można przegapić moment właściwy, największego nasilenia kreatywnej emocji, gdy to się zgubi, to już koniec, tego się już nie da pochwycić na nowo, a to co się złapie, to już nie to samo.

7. X. 65. Pierwsza część — monolog wewnętrzny matki w dniu Wszystkich Świętych — na cmentarzu — jest z nią córka, one dwie tylko się uratowały z masakry, jaką Gestapo urządziło w ich domu — o najstarszym synu brak wiadomości, poszedł na wojnę w 39, nie wrócił, nie chce wracać z Anglii (?) — co z jego żoną, którą Niemcy zabrali w łapance ulicznej i wywieźli do obozu koncentracyjnego (na roboty?), o której wiadomo, że żyje, ale

która też nie chce wracać — jedenaście grobów, tyłu ich wówczas zginęło — coś takiego, ale ciągle mi tu czegoś brak.

2. I. 66. Sylwestra u Sary — chyba gdzieś do czwartej nad ranem, dużo jedzenia, dużo picia — najprzyjemniej nad samym ranem, pozostało nas niewielu — muzyka, tańczyłem z Ishbel — Trenton opowiadał wspaniałe kawały, zarykiwaliśmy się ze śmiechu.

10. I. 66. Niepokój o mój „Krótki żywot”, powinien się ukazać pod koniec miesiąca albo na początku lutego — jak zostanie przyjęty? — w Polsce mnie odsądzą od czci i wiary, ale to mniejsza, a tu, na emigracji? — tak bardzo potrzebuję potwierdzenia tego, co nieśmiało i niepewnie o sobie myślę: że mam cholerny talent, że mam dużo do powiedzenia — w Polsce ostatnie dwa lata nabrałem do siebie takiego obrzydzenia, że się kurwię, że jestem miernotą, beztalenciem, że nigdy nic dobrego nie napiszę, ech, lepiej nie wspominać, po co znowu się nadziewać goryczą — tak bardzo mi potrzeba sukcesu, to dla mnie naprawdę kwestia życia i śmierci — żebym znowu mógł sobie spojrzeć w oczy i nie musiał się wstydzić — ale nawet jeśli „Krótki żywot” nie będzie sukcesem, na wszystko trzeba być przygotowanym, będzie kawałem solidnej skończonej roboty, to już jest coś, przynajmniej dla mnie — następna moja książka, „Niobe” — oko wszystkim zbieje — jeśli ją skończę, na razie idzie niemrawo.

18. I. 66. „Według mnie, literatura niepoważna usiłuje rozwiązać problemy egzystencji. Literatura poważna je stawia. Problemów egzystencji nie załatwi jeden człowiek — one rozwiązują się, jeśli się rozwiązują, w ludzkości. Literatura poważna nie jest po to, żeby ułatwiać życie, tylko żeby je utrudniać” (Gombrowicz, *Dzienniki*).

Pierwszym obowiązkiem pisarza jest wzbudzać w ludziach nieczyste sumienie.

24. I. 66. G. maluje mi pokój na dole, wysoki, chudy, strasznie zniszczony życiem, patrzeć na niego nie mogę bez tego, żebym się w jakiś sposób nie czuł winny jego żalosnej kondycji, przychodzi, powiada, ale nie powinien był przyjść, przecież mu za to płacę, z tego żyje, ale on to inaczej pojmuję, nie powinien był przyjść, bo ma mało czasu, w domu powinien był siedzieć, żona chora, nie od dziś, w ogóle choruje, chodzić właściwie nie może,

on musi gotować, prac, wszystko, dziecko powinno iść do przedszkola, ale nie może, bo też tam coś, i tak gada, gada, a ja z trudem tylko tłumię zniecierpliwienie, to jego wieczne zrządzenie już mi bokiem wyłazi, człowiek nie łatwo znosi cudze nieszczęście, a przecież jego nieszczęścia są prawdziwe, serce powinno mi się krajać kiedy słucham o nich, oprócz tego dziecka, co powinno iść do przedszkola, a nie idzie, bo coś tam, jest jeszcze dwoje innych dzieci, jedno jest debilem w jakimś specjalnym zakładzie, drugie jest *spastic*, tyle nieszczęść na jednego człowieka, a mnie tylko krew zalewa, że mnie tym nudzi, Kochaj bliźniego swego jak siebie samego, tak, ale abstrakcyjnie, bo zetknąć się z cudzym nieszczęściem oko w oko, to zaraz budzi się we mnie egoistyczna bestia, podłość.

Simone Weil. Problem dobra i zła. Dobro jest szczęściem, ale nie należy do niego dążyć — to byłoby egoizmem — bo chodzi nam o dobro bezinteresowne, dążenie do dobra jest samo w sobie cnotą, uszlachetnia, tego trzeba chcieć świadomie, uszlachetniania siebie. To zakłada zupełnie inny sposób życia, inną hierarchię wartości, poddanie się rygorom idącym z nakazu rozbudzonego sumienia. Jak to w sobie wzbudzić? Jak ten ciężar podjąć? Zło ma w sobie tyle powabów, główną zaś jego zaletą jest, że nie wymaga wysiłku, wystarczy się poddać, fala sama poniesie. Zło jest właściwą kondycją ludzką, życie powinno polegać na nieustannej walce z tą przyrodzoną kondycją, ani chwili odpoczynku, nie wolno na moment spuszczać z oka celu — tylko tak człowiek tworzy samego siebie — wiem jakim jestem, wiem do czego jestem zdolny, do jakiego zła, teraz trzeba się wziąć do pracy nad sobą, zobaczymy, co z siebie potrafię zrobić. Niektórzy ludzie to mają w sobie od urodzenia, ich życie jest nieprzerwanym wspinaniem się ku szczytom szlachetności, zwłaszcza ludzie związani z naturą, może dlatego że natura jest w swojej istocie dobra, zwierzęta nie znają pojęcia zła. Skąd bierze się zło? Prymitywny człowiek, tam gdzie nie było jeszcze podziału pracy, nie znał ucisku, bo nie znał dążenia do władzy, zło zaś bierze się z chęci dominowania nad drugimi. Czy zatem zło jest ceną jaką płacimy za postęp cywilizacyjny?

30. I. 66. Czy mnie jako człowieka piszącego martwi utrata ojczyzny? Jako człowieka piszącego, tylko z tego punktu widzenia, bo jako człowieka, Polaka, oczywiście. Trzeba być z sobą absolutnie szczerzy. Gdybym był został w Polsce, do dziś pisałbym jakieś kryminalno-sensacyjne bzdury, wzbierałby we mnie coraz większy niesmak do siebie. Czy mógłbym pisać co innego? Powieści psychologiczne, obyczajowe? Raczej należy w to wątpić,

bo jak mi się wydaje, mój talent leży gdzieś na pograniczu dwóch dziedzin: życia prywatnego i tej sfery, która ociera się o życie publiczne, inaczej mówiąc, co mnie najbardziej interesuje, to los człowieka gwałconego przez historię. Ale to nie jest temat, który można podejmować w Polsce. Tam nigdy bym nie był napisał mojego „Krótkiego żywota”, pierwsza uczciwa książka, jaką w życiu napisałem. Po co mi więc ojczyzna? Ja właśnie na obczyźnie czuję się wolny: żadnych tabu, mogę obrażać kogo mi się żywnie podoba, nie muszę zabiegać o niczyje względy. Płacę, bo za wszystko trzeba płacić, moją własną odpowiedzialnością. Jaki pisarz w Polsce może o czymś podobnym marzyć?

2. II. 66. Ponad dwa miesiące temu pisałem do P. Do dziś żadnej odpowiedzi. Wątpię, czy się w ogóle odezwie. Przestraszył się moją propozycją, że prześlę mu pieniądze przez PKO, żeby mi przysłał książki. Świadczy o atmosferze strachu, jaka tam nadal panuje. Nic się pod tym względem nie zmieniło od mojego wyjazdu w 1957. Potworny system, gdzie zwykłe międzyludzkie stosunki muszą ulec zawieszeniu, bo wszechobecna władza mogłaby im przypisać niewłaściwą interpretację. A co dopiero będzie, gdy ukaże się moja książka! Już nikt do mnie stamtąd nie odważy się napisać, moje nazwisko stanie się trefne. Szkoda. Nareszcie, myślałem, będę mógł uzupełnić sobie bibliotekę. A zaś W. wcale się nie odezwał od czasu, kiedy opuściłem Polskę, przecież chyba ma mój adres. Dlaczego tak bardzo boleśnie odczuwam jego milczenie? Ja wiem dlaczego, ale niechętnie się do tego nawet w myślach przyznaję.

4. II. 66. Jestem niepoważnym człowiekiem? Owszem, zgadzam się. Ale moją pracę biorę bardzo poważnie.

9 II. 66. Wczoraj w południe telefon, Marek dzwoni z Londynu. Pojechałem. Piliśmy do trzeciej rano. Przy okazji byłem pierwszy raz w Ognisku Polskim. Niewiele z tego pamiętam, bo już byłem mocno pijany. W każdym razie żadnych generałów nie widziałem. Ktoś powiedział, wskazując na starszego pana siedzącego samotnie przy stoliku: to pan Wacław Grubiński. Przyśiadłem się do niego. Gadałem o sobie, nie wiem co, zdaje się, że dużo o mojej książce, a w ogóle raczej płaczkliwie, od pewnego czasu, zauważyłem, gdy jestem pijany, mam skłonność do takiego wstrętnego płakania, cholera wie co ze mną jest, obawiam się, że nie sprawiłem na nim dobrego wrażenia. Ale pan Grubiński był bardzo miły, ujął mnie swoim spokojem, zrównoważeniem, w ogóle facet w dechę. Obiecałem mu, że prześlę mu egzemplarz

— jak wyjdzie — mojej książki. Jednocześnie napiszę list i przepraszę go za moje zachowanie. Nie chciałbym, żeby o mnie myślano, że natrętny pijus.

13. II. 66. To samo bombardowanie sił kosmicznych, zachwyty nad każdym zjawiskiem przyrody, wodą, słońcem, dobrym jedzeniem, lenistwo jakieś boskie, które przestaje być lenistwem, nawet, tak jak i u Camusa, jakiś gatunek duchowej nagości — to wszystko jest w „Szkicach piórkem” Bobkowskiego, zwłaszcza w tej części, w której notatki dotyczą jego włości na rowerze po południowej Francji latem 1941. Piszę w pewnym miejscu: „Od pierwszego dnia tutaj poczułem najdokładniej, że los pozwolił mi wyciągnąć jakąś olbrzymią wygraną i że trzeba ocenić każdą minutę. Magazynuję je. Pełne, okrągłe, pachnące minuty i godziny”. Jakby wiedział, że to mu musi już starczyć na resztę niedługiego życia. Umarł, o ile mi wiadomo, na raka po wojnie w Guatemali. Ciągle do tej książki wracam. Będę wracał. To jakiś specjalny dar, żeby życie odczuwać tak intensywnie, jak to Bobkowski potrafił. Co za ironia, że właśnie taki człowiek musiał tak młodo umrzeć, gdy tymczasem tyłu drani włóczy się po świecie i zatruwa atmosferę do późnej starości.

Jak mało niektórym ludziom potrzeba, żeby z nich wylazła świnia. Taki XYZ. Od kiedy go przeszerogowano o pół stopnia wyżej w hierarchii służbowej, co w wojsku byłoby odpowiednikiem promocji z szeregowca na starszego strzelca, zmienił się nie do poznania, podejść do niego nie można, aż dziw, że zgadza się na to, żeby oddychać tym samym powietrzem co inni, używać tego samego ustępu. Cóż to musiał być za pies w wojsku! Chciałbym kiedyś napisać o nim jakieś opowiadanie, jak mu musi być z sobą źle na świecie, to straszne paraliżujące uczucie własnej bezwartościowości, to rozpaczliwe szukanie podpórek — jakżeż to wszystko jest mi znane — ta żółć, złość, każdy człowiek jest mi wrogiem, bo nie chce uznać we mnie tego, co stanowi o mojej, mnie tylko wiadomej, wielkości. Typowa mentalność sfrustrowanego urzędnika magistrackiego.

18. II. 66. Dzisiaj przyszyły egzemplarze autorskie mojego „Krótkiego żywota”. Postawiłem jeden na półce nad kominkiem, usiadłem na przeciwko i śmiałem się idiotycznie jak dziecko na widok zbliżającego się ku jego ustom lizaka. Więc jednak dopiąłem swego. Oto dlaczego uciekłem z Polski. Książką tą postawiłem pierwszy krok na drodze, która mnie zaprowadzi — gdzie? Na szczyty, na samą myśl o których dostaję zawrotu głowy.

28. II. 66. List od Jeleńskiego z Paryża. „Przeczytałem (książkę) z wielkim zainteresowaniem — wydaje mi się, że to jedna z najlepszych pozycji literackich wydanych na emigracji”. Pyta, czy przypadkiem się nie znamy, moje nazwisko wydaje mu się dziwnie znajome. Sam nie byłem pewny, czy się znamy, jego nazwisko, od kiedy je zacząłem spotykać w prasie, również wydało mi się znajome. Teraz już wiem: byliśmy razem w pelotce w St. Nazaire a potem kilka miesięcy razem w Dundee. Dzisiaj będę pił zdrowie Jeleńskiego.

18. III. 66. Z Neapolu pisze mi Herling-Grudziński: „Jest to jedna z najwybitniejszych książek polskich, jakie ukazały się ostatnio i w kraju i na emigracji. Witam w Panu nowego pisarza o wielkim talencie”. Czy życie nie jest piękne? Czy nie ma na świecie pięknych i dobrych ludzi? Ostatnie dwa tygodnie były dla mnie okresem ogromnej euforii, nawet upiłem się kilka razy i następnego dnia nie czułem wyrzutów sumienia. Dzisiaj będę pił zdrowie Herlinga-Grudzińskiego. Czym pić? Wódką? Czy on lubi wódkę?

12. IV. 66. Czasami z samego rana, niejako równocześnie z przebudzeniem się, tak jakby to była sprawa, której początek tkwi jeszcze we śnie, zjawia się przecucie czegoś straszego, coś potwornego stanie się dzisiaj, jakaś katastrofa, klęska, nieszczęście jakieś ogromne mnie spotka, czyha to na mnie z godziny na godzinę, ciągle trwam w trwożnym oczekiwaniu: co? kiedy? Dziś właśnie tak było, jeszcze jest, do szpiku kości przejmuję mnie strach, z każdego przedmiotu na którym spocznie mój wzrok, z każdej sekundy, która przeze mnie przepływa, wyziera ku mnie totalne zagrożenie, i nie wiem jak sobie z tym poradzić, nic nie pomogą przekonywania siebie, że to nic, to nie pierwszy raz, to nie ma najmniejszego sensu, ja wiem, ja wiem, ale wywolić się z tego nie umiem, jest już czwarta po południu, na razie nic się nie stało, jeszcze żyję, na pewno żyję, przecież oddycham, ale do pierwszej w nocy, kiedy wrócę z pracy, jeszcze kawał czasu, boję się, pocę się...

Piotr GUZY

Fragment z dziennika

6. XII. 67

Henryk, Henryk, Henryk i Rosa, Rosa, Rosa i Henryk, Henryk. Henryk!

Jaki tam Henryk, mówię, jaki Henryk, powtarzam!

Raczej Fernando, z Pedrem w sobie zaczajonym!

Władysław? Z którego Dionisio wyziera?

Nieślubny! Więc może nawet nieochrzczony... A jeśli powie „nie mam metryki...”?...

Gąszcz jadowicie wieloimienny wokół, za oknami, na stokach, gdy tak siedzę w okrągłościach nieślubnych mego gabinetu!

ROZMOWY Z DOMINIEM DE ROUX

Sam zupełnie, pozbawiony wszelkiego zaplecza i w dodatku wewnętrznie rozdarty, nie wiedziałem co robić. Co robić? Jednego byłem pewny: że tylko bardzo ostre, radykalne, cięcie da sobie rady z tym węzłem gordyjskim; ta myśl o jakiejś krańcowej bezwzględności, która mi jest sądzona, błąkała się niejasno we mnie, od dzieciństwa prawie. I nawet łączyła się ona z pewnym optymizmem, przynajmniej w tym co się tyczy literatury: gdyż ja — i tego byłem pewny — choć tak niewypierzony, miałem jednak prawo do głosu, jak wszystko co jest faktem, co istnieje. Miałem, uważa pan, to co mają wszyscy i co się nazywa wymową faktu.

Co robić?

Naprzód, powiedziałem sobie, trzeba uznać ten stan faktyczny, przyznać się do rzeczywistości, ujawnić ją.

Jeśli jako człowiek, jako Polak i jako artysta, byłem skazany na niedoskonałość, na nic nie zda się nadrabiać miną i udawać przed sobą i światem, że wszystko w największym porządku. Przeciwnie, było sprawą uczciwości, godności, rozumu, a przede wszystkim sprawą żywotności, zerwać raz na zawsze z mistyfikacją.

Zacznijmy od Polski. Trzeba było zerwać z Polską i przeciwstawić się Polsce. Dla Polaków Polska, jak dla Francuzów Francja, jest skarbem godnym najwyższego poświęcenia. Otóż było rzeczą absolutnie nieodzowną stwierdzić, że Polska, twór pośredni między Wschodem a Zachodem, wydana wskutek swoich warunków geograficznych i historycznego rozwoju niedoskonałości i podrzędności, musi być przezwyciężona, albowiem nie jest w stanie zapewnić Polakom jakiegokolwiek pełnej wartości. Nie jest słuszne by Polak poświęcał swój osobisty rozwój, swoje człowieczeństwo, na rzecz Polski. Polak urobiony przez Polskę, przez swoje środowisko, przez swoją tradycję, z konieczności musiał być gorszym człowiekiem od ludzi Zachodu. Można od biedy zrozumieć, że Francuz uwielbia Francję, Anglik Anglię, gdyż one im dostarczają wielu cennych przewag. Ale być człowiekiem więcej znaczy, niż być Francuzem, a też Europa więcej znaczy, niż Anglia, czy Francja. Więc dla ludzi, umieszczonych w krajach gorszych, słabszych, jak Polska, Argentyna, Bułgaria, przykutych uczuciowo do nich, im poddanych, przez nie urabianych, było sprawą naprawę życia i śmierci oderwać się, uzyskać dystans... Nie, tu nie wystarczą jakieś „konstruktywne” krytyki wad i usterek własnego narodu, robione w duchu patriotycznym ku udoskonaleniu narodu. Taka krytyka też jest uwarunkowana narodem. Zerwać! Dystans! Pisarz, artysta, czy w ogóle ktoś komu zależy na rozwoju duchowym, musi poczuć się człowiekiem, mieszkającym w Polsce, w Argentynie, musi uznać Polskę, Argentyne, jako przeszkodę, jako coś wrogiego. To tylko może zapewnić pełnię swobody. Ludźmi naprawdę swobodnymi duchowo, naprawę, jeśli idzie o Europę, europejskimi, staną się ci, dla których ojczyzna będzie przeszkodą raczej, niż atutem do wykorzystania.

Referuję panu moje ówczesne poglądy, które, później, uległy pewnemu uzupełnieniu.

Więc ja chciałem być, Dominiku, jak owi młodzieńcy, co pojawiają się na stacjach miast prowincjonalnych z tobołkiem, gotowi do drogi, i na widok nadchodzącego pociągu mówią: tak, muszę się oderwać od miasta rodzinnego, to dla mnie za ciasne, zegnaj, miasto, powrócę może do ciebie, ale tylko, gdy szeroki świat urodzi mnie po raz drugi.

— Nie chcę od tej chwili być Polakiem; Będę zupełnie sam!
— Sam? Ależ samotność wyda cię na pastwę własnym twoim prywatnym nędzom!

— W takim razie daj mi nóż! Muszę dokonać cięcia bardziej radykalnego! Muszę odciąć się od siebie samego!

Nietzsche, przypuszczam, tymi mniej więcej słowami określiłby mój dylemat. Przystąpiłem do operacji. Nożem odrzynającym była następująca myśl: uznaj, pojmij, nie jesteś sobą, nigdy nie jest się sobą, nigdy, z nikim, w żadnej sytuacji; być człowiekiem to znaczy być sztucznym.

Proste? Dostyc. Trudność jedyna, że nie wystarczało uznać, pojąć, trzeba było przeżyć i wżyć się.

Historia przyszła mi z pomocą. W owym przedwojennym czasie coś dziwnego poczęło wyrabiać się z ludźmi. Wojnę można ująć jako konflikt form. Widziałem niedowierzając temu, co widzę, jak sposobiąca się do wojny Europa — zwłaszcza środkowa i wschodnia — wchodziła w okres demonicznej mobilizacji formalnej. Hitlerowcy, komuniści, fabrykowali sobie groźne, fanatyczne, oblicze, fabrykacja wiar, entuzjasmów, ideałów, dorównywała fabrykacji armat i bomb. Ślepe posłuszeństwo i ślepa wiara stały się obowiązujące nie tylko w koszarach. Wprowadzano się sztucznie w stany sztuczne, i wszystko — a przede wszystkim sama rzeczywistość — miało być poświęcone dla uzyskania siły. Co to? Jaskrawe głupoty, cyniczne fałszy, nieprzytomne przeinaczanie najoczywistszej oczywistości, atmosfera złego snu... Okropność tej potworności. Te lata przedwojnia może bardziej haniebne były od samej wojny.

Duszac się w owym natężeniu Formy, zrozpaczony, rzuciłem się z całych sił ku nowemu odczuwaniu człowieka, to jedno pozwalało zachować trochę nadziei. Gdzie się znajdowałem? Znajdowałem się wraz z ludzkością w najciemniejszej nocy. Stary Bóg umierał. Kanony, prawa, obyczaje, które stanowiły dorobek ludzkości, znalazły się w próżni, pozbawione autorytetu. Człowiek pozbawiony Boga, wyzwolony, wolny i dowolny, poczynął sam siebie stwarzać poprzez innych ludzi... Forma, to ona wciąż, i nie co innego, była u sedna samego tych konwulsji. Człowieka nowoczesnego charakteryzował nowy stosunek do formy, o ileż łatwiej on ją sobie stwarzał i był przez nią stwarzany!

Wyobraźnia ukazywała mi ludzi przyszłości, którzy świadomie będą się między sobą kształtować: ktoś nieśmiały tak wybierze i ustali swoje związki z otaczającymi go osobami, iż stanie się zgoła bezczelny. A rozpustnik, umiejętnie manewrując sobą i innymi, wyprodukuje sporą dozę ascezy.

Skogarzyłem ową ogólnoludzką panoramę z moim osobistym doświadczeniem i dostąpiłem pewnego uspokojenia: to nie ja tylko byłem kameleonem, a wszyscy. To była nowa kondycja ludzka, którą na gwałt trzeba było sobie uświadomić.

Odtąd stałem się „poetą formy”.

Odciąłem się od siebie samego.

Rzeczywistość odkryłem w nierzeczywistości, na jaką skazany jest człowiek.

A *Ferdydurke* stała się (zamiast mnie tylko służyć) groteskowym poematem o mękach człowieczych — słowa Schulza — na prokrustowym łożu formy.

Ba! Symplifikuj!

Chociażby dlatego, że przedstawiam ów proces myślowy jak coś określonego i poprzedzającego napisanie *Ferdydurke*. Ale artysta właściwie nie myśli, jeśli przez myślenie rozumiemy elaborację łańcucha pojęć. Myśl rodzi mu się w zetknięciu z materią, którą kształtuje, jako coś pomocniczego, jako wymóg tej właśnie kształtowanej materii, wymóg rodzącego się kształtu: idzie o to by dzieło się udało, zdolne było do życia, nie zaś o prawdę. Moje „myśli” formowały się razem z utworem, w upornym, codziennym wżeraniu się w jego świat, który powoli mi się odkrył.

Czy nie dlatego jednak „myśl” artysty, choć nieraz kulawa w porównaniu z myślą myśliciela, bywa traktowana poważnie? Jego myśl nie jest suchą dedukcją w abstrakcji, powstaje w akcie dążenia do życia, do stworzenia czegoś, co by było żywotne... i rzeczywiste... jest tedy bardziej osadzona w życiu.

Zacytuję kilka zdań z rozdziału *Ferdydurke*, będącego rodzajem komentarza do akcji powieściowej.

Odwrot. Przeczywam (ale nie wiem, czy już mogą to wyznać me wargi), że wkrótce nastąpi czas Generalnego odwrotu. Zrozumiem syn ziemi, że nie wyraża się w zgodzie ze swoją najgłębszą istotą, lecz tylko i zawsze w formie sztucznej i boleśnie z zewnątrz narzuconej, bądź przez ludzi, bądź też przez okoliczności. Poczniemy przeto lękać się tej formy swojej i wstydzić się jej, jak dotąd czciliśmy ją i nią się pyszniliśmy. Wkrótce poczniemy obawiać się naszych osób i osobowości, stanie się nam jasne bowiem, że one bynajmniej nie są w pełni nasze. I zamiast ryczeć „Ja w to wierzę — ja to czuję — ja taki jestem — ja tego bronię” — powiemy z pokorą „Mnie się w to wierzy — mnie się to czuje — mnie się to powiedziało, uczyniło, pomyślało”. Wieszczy zdrzży

przed swym śpiewem. Wódz zdrzży przed swym rozkazem. Kapłan złęknie się ołtarza, a matka wpajać będzie w syna nie tylko zasady, lecz także zdolność umykania się im, iżby go nie przydużyły.

I jeszcze.

Wielkie odkrycia są nieodzowne — potężne ciosy, wymierzone miękką ludzką dłonią w pancerz stalowy Formy — chytryść niestychana i wielka uczciwość myśli, i niezmierne zaostrenie inteligencji — iżby człowiek umknął swej sztywności i zdołał pogodzić w sobie formę i bezformie, prawo i anarchię, dojrzałość i niedojrzałość wieczystą i świętą.

I jeszcze.

Starajcie się przewyciężyć formę, wyzwolić się z formy.

Podróż do Rzymu. — Gdy *Ferdydurke* ukazała się pod koniec roku 1937, jak ja poczułem się wobec ludzi? Pytanie na miejscu w tych osobistych zwierzeniach. Bez kwestii, poczułem się o wiele lepiej, ta książka ustawiała mnie jakoś wobec życia.

Poczułem się lepiej, ale bodaj nigdy nie czułem się gorzej. Załamany, smutny, wyczerpany, spędziłem parę miesięcy w Tatrach, potem wyjechałem do Rzymu. Urodzenie książki nigdy nie jest przyjemne, ale ten poród ze wszystkich moich był najgorszy. A też najwzkiejszy strach mnie dopadał, gdyż *Ferdydurke* była nielada prowokacją (o czym zapomniałem podczas pisania) i prasa nacjonalistyczna atakowała mnie brutalnie, jako koruptora, co łatwo mogło się skończyć pobiciem przez faszystowskie bandy. Ja już w szkole wycierpiałem się niemało wskutek tego, iż będąc płochliwy byłem także nieznośnie prowokujący.

Bez żartów. Trudne i ciężkie momenty owego „no i co z tego? Nic, nic, nic” które nawiedzało mnie zresztą po każdej książce; ale nigdy z taką siłą. Jednakże podczas pobytu w Rzymie, gdzie żadnego literata włoskiego nie poznałem, z nikim się nie zadawałem bliżej, a tylko chodziłem sobie po ulicach do muzeów, ani kościołów, nie zaglądając, zdarzyło mi się coś charakterystycznego, co świadczyło, że *Ferdydurke* mimo wszystko swoje robi. Zdarzenie to tak mniej więcej wyglądało.

Na placu przed kościołem św. Piotra spotykam malarza, z tych co to jadą do Rzymu na studia, Polaka z Litwy. Malarz zapytał „zwidził pan już kościół?”. Odpowiedziałem „nie, kościoły w środku wszystkie są takie same”.

— Tak panu się zdaje?

Był ironiczny. Wiedziałem dlaczego. Dla artysty, czy literata, z rejonów Formy Zdegradowanej, z pogranicza europejskiego,

wyjazd do Paryża, Rzymu, Londynu, staje się niemałym problemem osobistym. Jak się zachować? Jakim być? Spokojne poszanowanie i dyskrecja? Chłodna grzeczność? Podziw? Pokora? Jawne kpiny półbarbarzyńcy? Poufałość? Cynizm? Sztuczna „naturalność”? Wszystkie te taktyki mają jedną wadę, są wyrazem gryzącego kompleksu niższości. I, niestety, kompleks jest nie do uleczenia, po prostu dlatego, że nie jest kompleksem, a tylko rzeczywistością... rzeczywistością, mianowicie, ubogich krewnych.

Ktoś naiwny mógłby powiedzieć, że wystarczy zapomnieć o sobie i oddać się całkowicie kontemplacji dzieł sztuki. Mrzonki. O sobie nie można zapomnieć.

Wiedziałem, jak mam rozumieć jego ironiczne „tak panu się zdaje?”. To miało znaczyć „acha, wybrałeś nonszalancję i lekceważenie”.

Odpowiedziałem iż, rzeczywiście, tak mi się zdaje, i że w dodatku nie chce mi się zdejmować w kościele kapelusza.

— To może w kapeluszu niech pan wejdzie do bazyliki? Na co odpowiedziałem „niezła myśl, wejdę w kapeluszu”.

Dalszy ciąg dialogu jest nieważny. Natomiast ważne, bardzo ważne było, że ja mówiąc to nie poczułem się głupio! Ten frazes, który dla niego musiał być zgrywą, pozą, kurczowym usiłowaniem „trzymania fasonu”, zabrzmiał mym uszom naturalnie, szczerze i swobodnie... i mówiąc to poczułem się Europejczykiem, najswobodniejszym, jaki kiedykolwiek przechadzał się przed dostojną świątynią. Poczułem się u siebie w domu! Dlaczego? Dzięki *Ferdydurce* miałem zapewnioną rolę w Europie. Jaką? Jasne. Ja to miałem powiedzieć bazylice, madonnom i rzymskiemu forum, freskom i bibliotekom: jesteście strojem człowieka, niczym więcej. Po *Ferdydurce*, widzi pan, miałem naprawdę prawo wejść w kapeluszu do kościoła i nie byłoby to głupstwem, ale aktem świadomym, nie mającym nic wspólnego z komunizmem, ani z hitleryzmem, ani z jakimkolwiek dadaizmem, czy surrealizmem; miałem po temu własną rację. I odtąd już przez całe życie, w ciągu dwudziestu trzech lat pampy argentyńskiej, czy gdziekolwiek indziej, nie opuszczała mnie pewność, że jestem Europejczykiem i może bardziej Europejczykiem, niż Europejczycy rzymscy i paryscy. Kołatało się we mnie przeświadczenie, że rewidzja formy europejskiej może być przedsięwzięta tylko z pozycji pozaeuropejskich, stamtąd gdzie ona staje się luźniejsza i mniej doskonała. Sekretne pewność, że niedoskonałość jest wyższa (gdyż bardziej twórcza) od doskonałości, była jedną z zasadniczych intuicji *Ferdydurke*.

Jakaż swoboda zatem! I co za satysfakcja być „na ty” z madonnami, podchodzić bez uszanowania do arcydzieł, cały Rzym mieć u stóp, jak coś w majestacie swoim za ciasnego! A wszyst-

kie rozbieżne tendencje mej duszy, zwłaszcza moje ciągoty do „niższości” i moja szlachecko-prowincjonalna nieufność wobec sztuki i moje tajemne spoufalenie z bezformiem, popierały tę moją zdobyczą herezję. Później, gdy *Ferdydurke* została przetłumaczona na obce języki, przekonałem się, jak bardzo jej swoisty brak poszanowania był drażniący dla pewnych kulturalnych Niemców, lub pogłębionych Francuzów, tudzież innych przedstawicieli zachodniej dojrzałości. Niejeden krzyżąc „idiotyzm!” wrzucał książkę do kosza. Ta lektura może stać się zupełnie niestrawna dla ludzi, którzy pewną wagę przywiązują do siebie i swoich przemyśleń i swego stanu posiadania, dla „wierzącego” malarza, „wierzącego” naukowca, czy „wierzącego” ideologa. Zachodni czytelnicy *Ferdydurke* dzielą się na: a) lekkomyślnych, co bez troski nią się bawią, b) poważnych, c) poważnych-obrażonych.

Wracałem z Rzymu do Warszawy via Wenecja, Wiedeń. Gdybym pisał powieść, zamiast wspomnienia moje opowiadać, tak przedstawiłbym mój powrót: jadę, tryumfujący, by powiedzieć Polakom, słuchajcie, zwycięstwo, zwyciężyłem Rzym i Europę! I każdy z was robi to samo gdy, przeczytawszy *Ferdydurke*, rozluźni sobie nieco polskość!

Ale bum! W Wiedniu wjeżdża mój pociąg w tłumy, manifestacje z pochodniami... Hitler wkracza! *Anschluss!* W Warszawie podniecenie, tłumy, gorączka, zawziętość, pogotowie wojenne... znów więc Polak musiał w sobie się zamknąć, jak w fortecy, w siebie uwierzyć i siebie pokochać! I ze wszystkich krajów dochodziła przerażona furia zagrożonych narodów. Mobilizacja! Czymże było moje rzymskie, tryumfalne, rozluźnienie wobec tego nowego, potwornego, zeszytnienia? I czy nie byłem jednak w sprzeczności z moim czasem?

Zrozumiałem w każdym razie: *Ferdydurke* skazana była na klęskę i ja wraz z nią.

Dopiero w dziesięć lat potem, po klęsce powszechnej, na gruzach i zgliszczach Formy rozwalonej, ja i *Ferdydurke* zaczęliśmy dawać słabe oznaki życia.



Odczyt Brunona. — Zanim może rozgadałem się na temat Wschód-Zachód, Polak-Europa. To dlatego, Dominiku, że nasz dialog przeznaczony jest dla czytelnika zachodniego. I zapewne, mocą tego samego mechanizmu, czytelnik zachodni najwięcej uwagi poświęci memu „kompleksowi niższości” wobec Zachodu. Ależ nie! Nie ułatwiajcie sobie zadania, panowie! Powtarzam: nie o kompleksy tu idzie, a o coś ważniejszego, o istotną niższość i istotną wyższość.

Pora nadmienić, że to wyładowanie, jakim dla mnie była *Ferdydurke*, nie ograniczyło się do tych jedynie spraw. Inne tam treści się kotłowały, trudniejsze, i bardziej poufne.

Jakoś w tym czasie mniej więcej, gdy ja w kapeluszu miałem wchodzić do Bazyliki, mój znakomity przyjaciel, Bruno Schulz (niedosć znany we Francji) przybywał ze Wschodniej Galicji do Warszawy, by w Związku Literatów wygłosić odczyt o *Ferdydurce*. Odczyt, który wywołał protesty obecnych na sali koryfeuszów Polskiej Literatury Dojrzałej, co wskazywało iż mój pamflet zdolny był wywołać burzę co najmniej w szklance wody. W tym swoim odczycie dał Bruno jedną z najgłębszych analiz *Ferdydurke*, co tym bardziej jest godne podkreślenia, iż działo się w dawnych, przedpotopowych, czasach.

Bruno mówił, między innymi, o „strefie subkultury” w mojej powieści, o jej „garniturze form drugorzędnych”.

Cóżby to znaczyło? Mowa o tym, że w *Ferdydurce* jawi się pewien świat niższy, wstydlivy, z trudnością dający się wyznaczyć i sformułować, nie będący wszakże światem instynktu i podświadomości w sensie freudowskim, a powstały wskutek następującego procesu: my w naszych stosunkach z ludźmi pragniemy być jak najbardziej kulturalni, wyżsi i dojrzałi, używamy przeto języka dojrzałego i mówimy, na przykład, Piękno, Dobro, Prawda. Ale w naszej rzeczywistości poufnej, prywatnej, czujemy się niedostatecznością, niedojrzałością, więc te dumne ideały ulegają w nas degrengoladzie i tworzymy sobie prywatną mitologię, która będzie zasadniczo też kulturą, ale kulturą lichszą, gorszą, wprowadzoną na poziom tej naszej niedostateczności. Świat ten — mówił Bruno — jest stworzony z odpadków naszego oficjalnego bankietu; jakbyśmy jednocześnie byli przy stole i pod stołem.

Na przykład: ideał piękności kobiecej w *Ferdydurce*, jej Wenus, to „nowoczesna pensjonarka” fascynująca łydkami, a znów innym bogiem tej podrzędnej mitologii staje się „parobek”, z którym Miętus pragnie się „bra...tać” (nie „bratać się”, a „bra...tać się”, to o wiele gorzej). W *Ferdydurce* pełno takich niedojrzałych ideałów, mitów gorszego gatunku, takiej piękności drugiej klasy, uroków tandetnych, wątpliwych czarów...

Schulz kładł nacisk na to, że ten świat nie rodzi się tylko wskutek wyzwolenia instynktu, ale — przede wszystkim — wskutek degradacji formy. Na zewnątrz chcemy być jak najbardziej kulturalni... ale wskutek tego na wewnątrz jesteśmy poniżej naszej kultury... i ściągamy ją w dół, na nasz poziom...

„Nie ma tak odpadkowych, przewycięzonych, ideologii” — w tym odczycie powiedział — „tak tandetnych i śmietnikowych form, które by tu jeszcze zawsze nie miały kursu i nie cieszyły

się debitem. Tu okazuje się w całej lichocie struktura mitologii, przemoc ukryta w formach składni językowej, gwałt i rozbój frazesu, potęga symetrii i analogii”.

I zauważył.

„Gombrowicz doszedł do tego nie na gładkiej i bezpiecznej drodze spekulacji beznamietnego poznania, a od strony patologii, patologii własnej”.

Trafne.

Potem mieliśmy bardzo zasadniczą rozmowę, w której robił mi gorzkie wyrzuty, że nie jestem osobiście na wysokości tego, co piszę. Siedziałem na krześle, coś tam z głupia frant przebąkując, a w duchu przyznawałem mu rację. Nie byłem na wysokości. Ja, specjalista od niższości, byłem też poniżej własnego utworu, ja, osoba prywatna, jakiś tam Gombrowicz wiejsko-miejski... Czemuż nie mogłem celebrować zwycięstwa? Wszak ta przeklęta moja „patologia” została ze mnie wyrzucona i była zawarta w książce, była już tylko tematem moim, nie mną. Ciesz się więc, autorze! Tym razem dotarłeś do głębokich swoich wstydu i wyrzuciłeś je z siebie. I oto, zamienione w „strefę subkultury”, śmietnisko twoje staje się twoją dumą. Ciesz się, odkrywco subkulturalnej strefy!

Ba!

Siedziałem na krześle. Mucha. Jest, wie pan, wielka jakaś niesprawiedliwość w pracy artystycznej. Człowiek pisze w strachu, że dzieło spartaczone wstyd mu przyniesie, i ma rację, bo klęska dzieła jest ciężką osobistą hańbą; ale, gdy dzieło się mniej więcej uda, nie ma się z tego żadnej osobistej korzyści i nawet, zaryzykowałbym to twierdzenie, żadnej osobistej satysfakcji. Utwór, który się udał, ma własne życie, istnieje gdzieś na osobności i już nie wiele może się przydać życiu autora.

Mucha. Pomiędzy mną, a *Ferdydurce*, działo się akurat to samo, co na tyłu jej stronach przytrafiło się mym bohaterom. Zamieniony w kulturę utwór bujał na wysokościach, a ja pozostałem w dole i może wolałem to, może to było mi bliższe, może lepiej się czułem na moim podwórku. Mucha. I co? I może (jak już zapisałem kiedyś w moim dzienniku) może moja niedojrzałość, moja młodość, były mi cenniejsze?

12. XII. 67

Rosa, Rosa, Rosa i Henryk, Henryk, Henryk i Rosa, Rosa Rosa!

Z murzyńskiej pomroki tropikalnie hotelowej (dziura) wysnuwa się nieślubność. Mgły. Mgły budzą się, czołgają, podłażą,

co znaczy:

Oby Dzieciątko Jezus
zamknęło ci usta
i otwarło umysł.

Dalej, w Cody's Bookshop, minawszy kwietne stragany i
hippies siedzących w kucki na chodniku,

Przerzucając reprodukcje rysunków Breughla i Rembrandta
dotknąłem książeczki z nazwiskiem Ben Shahn

(Ten znany malarz z którym spotykałem się kiedyś często,
urodzony 1898, in Kovno, Russia).

Więc otworzyłem książeczkę, która składa się z wypisanych
dużymi literami zdań o malarstwie wziętych od aleksandryjskiego
Greka imieniem Maximus z Tyru.

Tak potężna była moja radość chwalczy widzialnych rzeczy,
że przepisuję i ja co powiedział ten Grek z drugiego wieku A.D.:

Bóg sam
ojciec
i uczyniciel
wszystkiego co jest,
starszy
niż słońce
albo niebo,
większy niż
czas
i wieczność,
niż cały potok
bytu,
nie do nazwania jest
przez prawodawcę,
nie do wymówienia
przez żaden głos,
nie do ujrzenia
przez żadne oko.
Lecz my,

niezdolni będąc
pojąć
jego istoty,
używamy pomocy
dźwięków
i imion
i obrazów,
kutego złota
i kości słoniowej
i srebra,
roślin
i rzek,
górkich
szczytów i
strumieni,
tęskniąc do
wiedzy o nim,
i w naszej
słabości
nazywając wszystko
co jest
piękne
na tym świecie
według jego
natury —
tak właśnie jak się przydarza
ziemskim kochankom.
Dla nich
najpiękniejszym widokiem
będą same
rysy twarzy
ukochanego,
ale ucieszy ich też
pamiątka,
widok liry,
małej włóczni,
krzesła być może,
albo bieźni,
czegokolwiek
na świecie
co przypomina im
o ukochanym.
Po cóż bym miał
dalej badać
i sądy wygłaszać

o wizerunkach?
 Niech ludzie wiedzą
 co jest boskie,
 uczynicie tak
 aby wiedzieli:
 to wszystko.
 Jeżeli Boga
 przywoździ na myśl
 Grekowi sztuka Fidiasza,
 Egipcjaninowi
 cześć oddawana
 zwierzętom,
 innemu człowiekowi
 rzeka,
 jeszcze innemu
 ogień,
 nie gniewa mnie
 ich niezgoda;
 byle by wiedzieli,
 byle by kochali
 byle by pamiętali.

Ktoś zastanawiać się będzie czy to wiersz czy proza i w jakiej intencji Miłosz przypadkowe podaje do druku.

Ja jednak wołałbym wreszcie być poza wierszem i prozą, poza intencją i uzasadnieniem.

Czesław MIŁOSZ

Dziennik z Ghany — 1966 (dok.)

Wtorek

Kongres od trzech dni pływa po przepaścistych fluktach drugiego tematu: *Migration of Folk Melodies and Dances*. Jak w literaturze jest to jeden z najbardziej urzekających, ale i najtrudniejszych problemów.

Wzbudza we mnie podziw organizacja całego zbiegowiska. Nie ma zaaferowania, nerwowej bieganiny. Wszystko jest na miejscu i na czas. Inicjator i główny organizator konferencji, profesor Nketia, dyrektor Instytutu Studiów Afrykańskich w tu-tejszym uniwersytecie, etnograf, etnomuzykolog, poeta i kompozytor, znany nam z dawnych spotkań od Belgii przez Kanadę do Izraela, jest prawie niewidzialny. Zjawia się rzadko, uśmiechnięty pogodnie jakby był gościem, nie gospodarzem.

Czuję w sobie odprężenie, ucieszenie, zwolnienie z napięcia. Jest to skutek atmosfery. Jest to też chyba wpływ stosunku tutejszych ludzi do życia. Ich kraj przechodzi gwałtowną przemianę, jest uwikłany w tysiące zagadnień, zderza się w nim nowość z dawnością, reliktom kolonializmu przeciwstawia się namiętna egzaltacja własnej odrębności, lecz wszystko zdaje się nie sięgać nerwów, zdaje się nie zakłócać jakiegś przedustawnej, organicznej afirmacji świata.

Po obiedzie wyprawa do Larteh. Jest to miasteczko ciągle związane z uprawą roli, a poza tym sławne i wpływowo *fetish-town*. (Po powrocie znalazłem poświęconą mu monografię: David Brokensha *Social Change at Larteh, Ghana*. Oxford 1966).

Autobusy kierują się na wschód, pną się stromo w górę, na wyżynny występ panujący nad Accrą. Za chwilę widać ją w dole rozłożoną szeroko — białe rozsypisko na zielonym obrusie. Na jednym przydrożnym stoku twarzą do doliny i oceanu stoi Pasuena Lodge, jeden z wielu monarszych pałaców Nkrumy.

Wszystko wokół zmienia się jak za dotknięciem różdżki. Jest tu inna roślinność, nawet inny klimat. Bure obłoki, które w dole chodzą po niebie, tu strzepią się na koronach drzew rosących gęsto i wysoko. Pachnie skondensowaną wilgocią.

Rzeczywiście, gdy królewską aleją palmową, nawą z najsmuklejszych kolumn gotyckich wjeżdżamy do ogrodu botanicznego w Aburi, bez żadnego uprzedzenia otwierają się słuzy niebieskie; nie krople, nie strużki, strugi, strumienie lecz zwarta masa wody leci prostopadle na ziemię i dudni o dach autobusu jak wodospad. Patrzymy na to widowisko, na egzotyczny ogród jakby nas w szklanej skrzyni opuszczono na dno akwarium.

Nie ma mowy o zwiedzaniu. Po kilkuminutowym postoju zwracamy i jedziemy w deszczu przez kraj nagle opustoszały. Gliniane domy przycupnęły, zamknęły się w sobie, odgrodziły zapartymi drzwiami i okiennicami. Nikogo nie widać. Czasem przemknie pod okapem postać bez twarzy.

Mijamy wsi o nazwach brzmiących po egipsku: Obosomase, Marpeh, Okotoki, Mamfe. Wreszcie jedna mniej hieratyczna, rodem jakby z gwary dziecięcej: Tutu. Ulewa ustaje równie nagle, jak się zaczęła. I wraz z tym pełne słońce. Gliniasta ziemia dymi. Targi i przyzby znowu pełne ludzi. Po środku drogi zajadłe bodą się czarne kozłeta. Z jakiejś szkoły wysypują się dziewczynki, wszystkie w jednakich, niebieskich mundurkach, i biegną z krzykiem w stronę naszych autobusów.

Jesteśmy u celu. Wsiadamy na placyku, na którym stoi tablica z napisem: GHANA PSYCHIC AND TRADITIONAL HEALING CENTRE. Kilkanaście kroków w dół po kamienistej drodze i otwiera się inny plac, najwidoczniej bardziej centralny. Z niego prowadzi wejście na niewielki, bielony podwórzec. Nie ma w nim niczego prócz dwu ław kamiennych przypartych do murów. Na ścianie wprost wejścia prymitywna płaskorzeźba także zaciągnięta wapnem. Wyobraża niekowitzy stolec (symbol władzy), pod nim dwa lwy zwrócone paszczami do siebie i dwa miecze wyrastające sztorcem z ich grzbietów (symbol siły i sprawiedliwości?). W głębi jest przeziór. Wychodzi na dróżkę wąziutką i kamienistą jak koryto górskiego potoku. Obrzeżają ją z dwu stron domy. Stoją między nimi kobiety karmiące dzieci, flańtają się luzem puszczane kozy. Z lewej strony pierwszego podwórca jest wejście na inny, mocno zacieniony, prawie mroczny.

Odbywa się tam w tej chwili jakaś narada czy rozprawa. Nasi przewodnicy przez sporą chwilę przygotowują na naszą inwazję. Potem powtarza się ceremonia z Atwii. Idziemy gęsiego i ściskamy kolejno zwiędłe, choropawe, chłodne ręce kilkunastu pomarszczonych staruchów i z mumifikowanych babek, siedzących nisko pod murem, na stołkach czy ławach lub przykucniętych na

ziemi. Po środku głębnej ściany jest obszerna, jeszcze ciemniejsza nisza: tu wśród najważniejszych starców siedzi pochyło starzec w białej todze i patrzy na nas uważnymi, rentgenicznymi oczami. Ten nagromadzony potencjał starości, mrok, milczenie towarzyszące rytuałowi przenika mnie dreszczem.

Dreszcz mija w wąskim przejściu, gdy Mr. Atta Annan Mensah — młody, dorodny, inteligentny Murzyn, służący nam tutaj za przewodnika — przez pół serio, jak mi się zdaje, nie pozwala nam zajrzeć do kamiennej komórki. Jest to sanktuarium bogini Akonedi, do którego nie wolno wchodzić nikomu poza jej kapłanką. Skosem oka widzę tylko stojące na podłodze gliniane naczynie, nakryte taką samą pokrywą.

Za tym zakamarkiem otwiera się nieregularne, gospodarskie, dosyć dalekie od schludności podwórze. Pod niskim, blaszanym, zżartym rdzą, groźnym dla oczu daszkiem stoi koza na krótkim powrozie przytroczonym do ziemi żelaznym krążkiem. Obok niej drzemie kozłatko. Po nierównych flizach snują się kociaki i miarowo spacerują kury. W jednym kącie stoją gliniane stągwie na wodę oblane po wierchu cementem. W dużym żelaznym cebrzyku moczą się jakieś bulwy. Pod wyższym okapem dwie Murzynki piorą bieliznę i znajdują się wejścia do jakichś dalszych pomieszczeń. To tutaj, na tym podwórku przyjmie nas Nana Okomfohene czyli naczelna kapłanka i przedstawi nam swoje akolitki.

Tymczasem spod daszka koziej stajenki zaczyna mówić dobrą angielszczyzną młody inteligent. Jest to lekarz, doktor medycyny, wykształcony w Anglii, który pełni rolę urzędowego obserwatora i zapewne kontrolera. Stwierdza, że rząd nie chce tłumić siłą tego co się tutaj dzieje. (Nb. partię Nkrumy i jego samego wiązały ścisłe stosunki z sanktuarium w Larteh). Zresztą to co się dzieje, ma pewne znaczenie społeczne. Kapłanka bywa ostatnią instancją działającą skutecznie tam, gdzie zawodzi policja, sąd i opinia: doprowadza do tego, że złodziej dobrowolnie przyznaje się do popełnionego przestępstwa, że aspołeczny osobnika zwala z nóg niewytłumaczalna niemoc. Udaje się jej także wyleczyć pacjenta, któremu nie zdołali pomóc lekarze, którego szpitale odpisały na straty. Wiele z tego da się wyjaśnić działaniem hipnotycznym, sugestią zbiorową, tradycyjną wiedzą medyczną lub po prostu sprawnym, inteligentnym wywiadem. Ale pozostaje duży margines, wobec którego współczesna, zracjonalizowana nauka jest bezradna. Stwierdza jego istnienie, lecz nie potrafi go rozświetlić.

Usadzamy się jak się da wzdłuż werandy z praczkami, wokół cebrzyka i stągwi z wodą. Pod jedną ścianą już usiedli bębniarze. Kręcą się wśród nich adeptki wiedzy tajemnej. Noszą spódnice do kolan i przepaski na piersiach. Trzy z nich mają włosy skudłacz-

ne, posklejane w strąki, na barkach, na szyi i na nogach krechy namalowane białą farbą — jest to oznaka terminatorstwa czarowniczego czy zabieg, znak magiczny wydzielający spośród zwykłych śmiertelników. Czwarta, najurodziwsza, podobno już wyzwolona lub bliska wyzwolin nosi włosy krótko przycięte i nie ma białego tatuażu.

Na koniec zjawia się główna wiedźma, podaje nam wszystkim dłoń do uścisku. Potem otoczona swiłą swoich staruch zasiada obok orkiestry i niedaleko ode mnie, oczywiście na sakralnym stołku i opiera nogi na podścielonej skórce. Jest to młoda kobieta ze srebrnymi kolcami w uszach, z naturalną stożkową fryzurą, obficie okutana we wzorzysty perkal. W jej harmonijnej głowie uderzają odetę władczą wzdardą usta i przede wszystkim oczy — ostre, zimne, przebiegłe, powiedziałbym szczerane, jeśli wolno tak powiedzieć o czyichś oczach. Nie można mieć wątpliwości, że jest to ktoś obdarzony wielką inteligencją, ktoś posiadający wielką wiedzę o życiu, ktoś ani dobry, ani czuły, lecz mądry.

Podchutliwie, podszczuwająco zaczynają warczeć bębny i zaczyna się z pozoru beładna ceremonia. Wśród hałasu grzmiącego w ścieśnionej przestrzeni, ruchu i tupotu nóg snuje się szary kotek, jak zjawisko z innej substancji i innego wymiaru. Błyska mi w głowie sentymentalna i już zupełnie infantylna myśl, że to jest „dusza” mego kota, do którego byłem bardzo przywiązany; nazywał się jak kanarek Salusi Brynickiej w „Wiernej rzece” — Pupinetti.

Jedna z uczennic żąda mąki kredowej i bieli nią twarz, szyję i barki, bo tak „duchy kazały”. Na twarzy tej czwartej maluje się wewnętrzne poruszenie, zjawia się bolesny grymas. Zaczyna się miotać. Zrywa z siebie paciorki i przepaskę okrywającą piersi — są to dwa obwisłe worki, płaskie, razowe podpłomyki, wzbudzające uczucie smutku i odrazy. Ale oto już stare cioty okrywają ją na nowo, mocno zawściągają węzeł na ramieniu. Jeszcze ta ubielona wydaje się na krawędzi oczekiwanego transu, lecz powtarza się z nią ten sam zabieg, jak się zdaje, dyktowany głównie względami na białą pruderię.

To skrępowanie, może nasz zachodni sceptycyzm, może idąca od nas fala obcości przemieszanej z obrzydzeniem — wszystko to razem sprawiło, że bogini nie zstąpiła na żadną z wyznawczyń, że nie byliśmy świadkami opętania; składa się na nie zapewne nie tylko predyspozycja medium, ale i wola, pragnienie tych, którzy go oczekują. Tańczyły wszystkie po kolei, zachęcając się i podniecając okrzykami, raz i drugi wkroczyła w krąg kapłanka, osłaniana przez swoje starki od złych duchów podniesieniem rąk, zjawiał się też samiec tej czarowniczej szkoły, jedyny mężczyzna

— jak nas objaśniono — popadający w trans i bez większej fadygi poskakał w wełnianym burnusie, lecz oczekiwany *moment suprême* nie nastąpił. (Towarzyszka Życia i Podróży twierdzi, że wszystko było *a calculated risk* czy *a directed experiment*: pokazało tyle, ile mogły znieść bez szwanku nasze nerwy, a w szczególności nerwy leciwych dam, starych panien, sklerotycznych belfrów).

Jeszcze przed tymi próbami wyjaśnienia całej przygody mam dość czasu, żeby się przypatrzeć czterem adeptkom. Są to wszystko kobiety w naszej, europejskiej, konwencji młode, w balzakowskim lub nawet przedbalzakowskim wieku. Odchowwały one już po kilkoro dzieci, na ich karmienie i dźwiganie w przepaskach związanych pod obojczykami zużyły swoje piersi. Teraz, za ciężkie pieniądze płacone najwyższej kapłance, gotują się do kariery znachorek i szamanek: *akomfo* — kapłanek bóstwa podlegających opętaniu i *asofo* — kapłanek rozpoznających choroby, przepisujących leczenie, pełniących funkcje sakralne. Ta wyzwolona i ta ubielona mąką wydają się najbardziej „medialne”. Trzecia, chyba najstarsza, z wytrzeszczonymi oczyma i rzadko rozstawionymi zębami ma wygląd kretynki. Po skończonym seansie ona jedna spośród towarzyszek obchodzi gości i zbiera do podółka spódnicy monety, zwierzęco skomląc i skrzeczając, napierając się jak psiak, potwierdzając nieartykułowanymi okrzykami co większe datki. Potem tarza się z uszczęśliwienia u nóg mistrzyni i znowu te straszliwe bukłaki wyschniętych piersi wymykają się spod przepaski i klaszczą o kamienie. Najmniej zwraca uwagę czwarta. W pewnej chwili pochwytiłem na jej ustach cień uśmiechu powątpiewania czy obojętności. Jeśli mnie intuicja nie zwodzi, nie można jej wiele rokować jako kapłance.

Na placu przed sanktuarium przyjmuje nas tłum tańczący z naszej okazji czy bez okazji. Dopiero w tej chwili dostrzegam, że naprzeciwko stoi niedokończony kościółek z gotowych bloków cementowych, nagi, siermiężnie szary i bardzo smutny. Zdaje mi się, że ksiądz z Nigerii w białej, płóciennej sutannie smuci się tym co oglądaliśmy razem (bo chyba był w środku?) i niewinną bachanalią na spadzistym rynczku.

Choć nie było to przeżycie ze wszystkim przyjemne, myślę z szacunkiem o naszych gospodarzach, że nie wahali się nam pokazać i tego aspektu, którego nie może uchwycić nawet wścibski turysta, że się go nie wstydzili, nie wstydzili się dystansu, jaki dzieli uniwersytet w Legon, port w Temie i zaporę na Volcie od sanktuarium w Larteh, na pewno nie jedyne w tym kraju.

Przed spłynięciem w dolinę Accry jeszcze raz zajeżdżamy do ogrodu botanicznego w Aburi. Wśród jego drzew, krzewów i

kwiatów wisi ciężka, dotykalna wilgoć. Na wierzchołkach strzępią się sine obłoki i opadają w luki jak zmoczone łachy. Trzeba dać za wygraną i wracać w dół. Moja ostatnia szansa podciągnęła się w botanice tropików przepadła.

Wieczorami, gdy idziemy na pokazy filmowe i demonstracje nagrań, kamienne stopnie na najwyższym podwórku Commonwealth Hall są przewidująco oświetlone elektrycznymi lampkami wbudowanymi w balustrady. Na podłużnych matowych szybkach siedzą od wewnątrz, raczej wiszą w pionowych, ekwilibrystycznych pozycjach małe jaszczurki. Można myśleć, że jest to jawański teatr cieni.

Sroda

Deszcz w nocy — rano zadeszczony.

Dziś formalnie kończy się konferencja, choć jeszcze nie kończy się nasz pobyt w Ghanie. Myślę z niejaką czułością o tutejszych ludziach. Są niezmiernie gościnni, serdeczni bez wymuszenia, dobroduszni. Mają w sobie jakąś naturalną godność. U inteligentów wchodzi w to jeszcze poczucie uświadomionej odrębności i wartości. Na dzień jest może podświadoma satysfakcja, że *pinko-greys* a także *yellow-greys* (bo jest wśród nas pięcioro Japończyków, tworzących prawie nieprzenikalne getto) przyjechali tu nie jako „panowie”, lecz jako goście, nie jako kolonizatorzy, lecz jako ludzie zainteresowani właśnie tą odrębnością. W składzie chemicznym aury, która nas otacza, jest również duma z własnego państwa i jego osiągnięć w ciągu niepełnych dziesięciu lat istnienia.

Sprawdzam tę całą alchemię na własny sposób. Chodząc po *campusie* pozdrawiam skinieniem głowy każdą napotkaną osobę, nawet jeśli ona tego nie robi. Rozumuję w ten sposób: jestem ich gościem; nie chciałbym, żeby myśleli, że zaszczytam ich z wysockości, na której znaczny procent „pinkogrejów” umieszcza siebie w swoim własnym wyobrażeniu; *campus* uniwersytecki jest wspólnotą ludzi oddających się pomnażaniu i przekazywaniu wiedzy. Wynik tego prywatnego eksperymentu jest zawsze ten sam. Każda twarz, młoda i stara, nawet najszczelniej zamknięta, na moje wyzwanie otwiera się na oścież i rozświetla serdecznością.

Po południu znowu przypieka słońce. Przyjeżdża po nas Mr. Bell. Jedziemy wprzód obejrzeć zaprojektowane przez niego Ghana Dramatic Studio na przedpolu Accry, w dzielnicy urzę-

dów i ambasad, naprzeciwko najszykowniejszego (i najbardziej kosztownego) hotelu „Ambassador”.

Jest to ośmioboczny budynek bez dachu, stojący wśród drzew ale łatwo dostępny. Zaleca się prostotą i elastycznością. Można go urządzić jako *theatre-in-the-round*, w którym aktorzy grają po środku, a widzowie siedzą dokoła. Można w nim ustawić scenę-platformę, głęboko wysuniętą w widownię podobną do teatru w Chichester. Można na koniec we wgłębieniu po przeciwnej stronie od głównego wejścia zbudować tradycyjną, europejską scenę pudełkową. Wielobok ma dużo wejść bocznych urozmaicających styki ścian, dających się wykorzystać teatralnie zwłaszcza w dwóch pierwszych kombinacjach. Z jednej, umownie „tylnej” strony zgrabnie doczepiono, nie naruszając jego geometrycznej regularności, obszerne garderoby, malarnię, pomieszczenia administracyjne i to co się po angielsku nazywa *a green-room* — pokój aktorów. W obecnej chwili całe studio znajduje się pod opieką uniwersytetu ghanajskiego i służy mu za warsztat teatralny. Pojutrze rozpoczyna się seria przedstawień przygotowanych przez adeptów sztuki aktorskiej. Może uda nam się coś z tego zobaczyć.

„Will-Bell”, jak go w Akrze popularnie nazywają, wiezie nas do Domu Kultury na jeszcze nieotwartą wystawę prac szkoły artystycznej w Kumasi, dokąd jutro mamy jechać. Wymyślne, zachwycające polewy, które radbym pokazać Adamowi Kossowskiemu, tradycyjne, lokalne formy interpretowane nowocześnie, piękne zupełnie swoistą urodą — najwyższy poziom dorównujący ceramice skandynawskiej. Nie można tego powiedzieć o malarstwie. Zmysłowe akty okrągłokoślawych Ghanajek nie dźwięczą kolorem, są zbyt realistycznie dosłowne, kaligraficzne, martwo akademickie, wczorajszo europejskie. Może to się tłumaczy brakiem tradycji malarskiej przy istnieniu wielkiej tradycji rzeźbiarskiej i ceramicznej. Zabrałbym stąd co drugi czerep, nie wziąłbym ani jednego malowidła.

Następny postój w cieniu drzew przy długim, zbiorowym straganie. Przeważa fabryczna tandeta: *souvenirs* — masowo wytwarzane śmiecie naszej epoki. Ale na ziemi stoi trochę starych rzeźb, masek, plecionek, naczyń, instrumentów. Podnoszę figurę z pocernionego drzewa i zaraz stawiam z powrotem, bo cena jest odstrasząca. — *You must bargain and be very hard* — mówi nasz przewodnik, już prawie adoptowany Ghanajczyk.

Ryzykuję jeszcze raz. Rzeźba, po którą sięgam na ślepo, jest mała, nie wiele więcej niż pół łokcia wysokości, zupełnie prymitywna, z miękkiego drzewa piórkowej lekkości (a więc niezbyt cenna), pęknięta z jednego boku, odrapaną na kantach z czarnej, domorosłej patyny, lecz pełna urzekającej wymowy. Jest to postać kobieca o spłaszczonej w podłuż głowie, w jakimś grzebieniastym

przystroju, który z tyłu opada na szyję, z boków na oba barki i zachodzi prostokątnym wisiosem na czoło. Siedzi na okrągłym stołku o tylko dwu nogach, bo dwie inne, przednie, nogi są — jej własne, grube i ciężkie jak stęporę. Opiera na nich dłońmi nieproporcjonalnie długie ręce. Stożkowate piersi sterczą w przód, jedna wyżej, druga niżej, wyzywając prawo ciężenia w podobny sposób jak bombiaste piersi bogiń hinduskich. Brzuch jest lekko wzdęty jak od głębokiego wdechu. Ale najbardziej tajemnicze są potrójne nacięcia powtarzające się czterokrotnie: po obu stronach wypuczonych warg, na wierzchu obu stożków, wokół pępka od góry, z dołu, z boków i na obu pośladkach. Są to chyba znaki magiczne; ich uparta powtarzalność i rozmieszczenie zdają się wskazywać, że chodzi tu o symbolikę płodności.

Pytam: ile? Dwanaście *cédis*, czyli około trzynastu dolarów. Chcę zaofiarować cztery, lecz ofuknięty przez Towarzystkę bez przekonania i bez nadziei mówię: pięć. Czaruje mnie ten drobiazg, ale właściwie nie chcę go kupić, zresztą czas nagli i kompani się niecierpliwią. Targ przeciąga się dłuższą chwilę przy moim biernym oporze: — *Five, this is my last word*. Sprzedawca widząc, że zaparłem się w miejscu, z rezygnacją, w końcu dosyć skwapliwą, wkłada mi figurkę do ręki. Wydaje mi się, że nie ja czarna damę, lecz że to czarna-dama-nie-z-sonetów, o której nic nie wiem, której rodowodu nigdy nie wytropię, mnie sobie wybrała.

Jedziemy do domu Willa, do jeszcze jednej Accry, do całkiem nowej dzielnicy rezydencjalnej, dzielnicy rodzinnych domów z ogrodami. Nasz Amfitrion opowiada, że gdy kilka lat temu kupił tu spory kawał ziemi i zaczął budować dom własnego pomysłu, wokół rozciągała się zupełna pustka.

Są to ściśle mówiąc dwa osobno stojące pawilony: jeden służy za pracownię fotograficzną, bogato wyposażoną we wszystkie nowoczesne urządzenia, aparaty do powiększeń, aparaty projekcyjne, drugi jest apartamentem mieszkalnym. Oba są pełne fantazji i wymyślności: pokoje otwierają się w nich na przestrzał, werandy z rozmaitych stron wychodzą naprzeciw każdej porze dnia i każdej pogodzie, pergole biegną w różne strony. Wszędzie prześliczne drewno i naturalnie kolorowe kamienie. Główna brama jest kryta kopulastą strzechą. W kącie przedniego dziedzińczyka stoi fantazyjna budowla, na którą wchodzi się zewnętrznymi schodami: coś między amboną, *rostrum* i estradą dla orkiestry. Są ludzie, którzy grają ze słuchu — pierwszy raz spotykam człowieka, który buduje: z czego? Chyba z wrodzonej wyobraźni przestrzennej.

Wokół roztacza się duży ogród założony ze smakiem i starannie utrzymany. Wreszcie widzę na własne oczy drzewo tykwowe, z którego zwisają owoce wielkości dyni. Nazywają się po

angielsku *calabash*, po francusku *calabasse*, po hiszpańsku *calabazza*. Ich zawartości nie je ani człowiek, ani żadne zwierzę, lecz ich łupina, lekka jak aluminium, po wyschnięciu gładka jakby ją zaciągnięto politurą, jest wielorako użyteczna. Flaszkowate kalebasy czy kalebasje podwiesza się pod klawiszami ksylofonów, robi się z nich miski, talerze, kubki, czerpaki, łyżki i właśnie owe „tykwy”, znane ze starych sztychów (kto dziś używa tego słowa?). I jeszcze drzewo kapokowe, wytwarzające miękkie, odporne na wilgoć włókno, drzewo chlebowe z liśćmi malowanymi zielenią Veronesa, trochę przypominające figę, winorośl owocująca tu dwa razy do roku, kakaowiec z owocami rosnącymi jakby wprost z pnia (Will potwierdza, że Ghana dostarcza ponad połowę światowej produkcji purpurowych nasionek, z których robi się czekoladę; pod koniec swojej kariery Nkrumah tak rozdał ich hodowlę, że niesprzedany nadmiar trzeba było zatopić w morzu). Ale moje serce, ściślej, prozaiczniej mówiąc, moje powonienie zawojowało drzewko cynamonowe. Ma ciemno i wiecznie zielone listki, które pachną zielnie i narkotycznie; ich woń ma się tak do zapachu kory cynamonowej jak woń róży do zapachu wody różanej. Wącham zachłannie zerwaną blaszkę póki nie rozsypie się w twarde kruszyny.

Na przedniej werandzie długo oglądaliśmy fotografie Bella. Ofotografował całą Ghanę, świetnie czuje urodę tutejszych kobiet i urok dzieci. Wydał kilka książek-albumów. Z powiązania rozrzuconych szczegółów domyślam się, że trzymają go tutaj więzy uczuciowe, lecz o tym nie sposób mówić w czasie pierwszej wizyty. Pierwszej — i według rachub ludzkich — także ostatniej. Powinnaby w niej obowiązywać jakaś inna konwencja.

Już zapowiada się zmierzch, gdy wprost stąd jedziemy na przyjęcie pożegnalne. Odbywa się w *vice-chancellor's lodge*, w domu zbudowanym na samym szczycie wzgórza Legon, po lewej stronie ostatniego, najwyższego patio z asymetrycznie umieszczoną wieżą. Tłum ludzi roi się w ogrodzie przy reflektorach zawieszonych wśród drzew; w ciemniejszym tle buczą bębny grupy nigeryjskiej.

Przychodzę tu z moim kupionym na targu idolem pod pachą. Odbywa się zbiorowa ekspertyza pod przewodnictwem głowy uniwersytetu. Orzeczenie brzmi: rzeźba jest niewątpliwie autentyczna; pochodzi nie z Ghany, lecz prawdopodobnie z pobliskiego Dahomeju. To ostatnie niezbyt mnie martwi.

Rozmawiamy dłuższą chwilę z wicekanclerzem. Pochodzi z regionu Akwapim, do którego należy Larteh (*Oh yes, that is where you were yesterday*). Studiował filologię klasyczną w Oxfordzie. Był niedawno w Stanach w poszukiwaniu socjologa dla swego Uniwersytetu (ma specjalistów-współrodaków, ale

chciałby też kogoś z amerykańskim urobieniem i doświadczeniem naukowym). Mówi świetną angielszczyzną, ma światowe maniery, młodzieńczy wdzięk, otwartą głowę.

W godzinę później siedzę naprzeciwko niego na uroczystej kolacji w wielkiej mense Commonwealth Hall. Gdy na niego patrzę, gdy słucham jego przemówienia mieszającego uprzejmość z poczuciem dumy, pełnego finezji, powagi i humoru, w tyle głowy zapalają mi się z natrętnym uporem jak neony na ciemnym niebie dwie nazwy: Larteh-Akwapim, Larteh-Akwapim. W huśtawce kontrastów, zestawienie tych dwu spotkań, konfrontacja tych dwu światów, tworzy kontrast najbardziej uderzający ze wszystkich.

Czwartek

Wczesnie rano wyjazd do Kumasi, stolicy Ashanti — centralnego regionu Ghany. Wprzód wspinamy się na znane wzniesienie ponad Accrą i jedziemy tą samą drogą, którą jechaliśmy do Larteh, lecz zostawiamy je z boku. Nasz szlak prowadzi w głąb łądu, prosto na północ.

Chaty klecone innym sposobem niż na dole: mokrą gliną oblepia się rusztowanie, kratę z żerdzi. Jest to budownictwo liche i nietrwałe, bo raz po raz widać ścianę pochyloną w bok, obnażoną do drewnianego kośćca. Do krycia dachów prawie wyłącznie służy pofalowana blacha, plamista, zliszajona rdzą — jeden z najbardziej natrętnych i najbrzydszych akcentów krajobrazu. Aport i zapewne przez długi czas, może do dziś, import europejski.

W większych skupiskach, w miasteczkach zdarzają się stare, piękne, piętrowe domy dwudzielne: białe bielone na parterze z piętrem wystającym ponad ulicę i obitym szerniałymi deskami, tu i ówdzie z resztką wymyślniejszej obróbki, rzeźb i ornamentów. Jest oczywiście i cement, czasem nagi, czasem zaciągnięty różowym kolorem. Wczesnie uderza mnie w jakichś odrzwiach para kolumnienek z jońskimi, ślimakowatymi głowicami. Wygląda jak odosobniony i nawet trochę zabawny anachronizm. Ale raz dostrzeżony podbiega pod oczy przez dziesiątki kilometrów aż w głąb *bushu*. Przypuszczam, że jakiś „pomysłowy” przedsiębiorca sprowadził matrycę i zabękarcił pejzaż tym jednym motywem. Gdzieś miga w oczach, jak w przyśnieniu, czarna syrena, syrena-Murzynka, wymalowana na ścianie jako emblemat kawiarni. Myślę: jaką drogę przebyła z wyobraźni starożytnych Greków do ghanajskiej miejscowości imieniem Unso? Wszędzie, także w niewielkich osadach, szyldy BARCLAYS BANK — czuję prawie

dziecinną satysfakcję, że to „mój” bank. Obok tych szyldów wywieszki: X.Y. — NATIVE DOCTOR albo jeszcze bardziej egzotyczne: FURNITURE AND COFFIN. Owszem, trumna też mebel. Jak łóżko.

Pierwszy przystanek Korofidua. Dość przyzwoity motel ma swój własny miniaturowy ogród zoologiczny. Pawian siedzi z rozkraczonymi nogami i wystawioną na pokaz meskością — samotny i smutny jak szatan Vigelanda. Małpki delikatnie wyjmują czarnymi łapkami cukier z ręki. *Porcupine* — jeżozwierz, jezatka — z białą czarnymi igłami nie raczy uchylić grubych powiek i w żaden sposób nie daje się wyruszyć z leniwej drzemki. Antylopa miota się po klatce jak oszalałe wahadło. Jej małe ma pyszczek otarty do krwi o drucianą siatkę i wydaje się także rozdzierająco nieszczęśliwe.

Wielki okrągłak kryty strzechą, otwarty ze wszystkich stron — bar do serwowania palmowego wina. Pijemy zamiast niego rzadką, rudą kawę, dość krzepiącą w upale.

Za motelem jedna wieś po drugiej. W każdej targ — tutejsi ludzie wyraźnie lubią handlować. Tuż przy drodze stoisko z koszykami o dziwnych kształtach. Dziko rosnące *plantains*, jedno z podstawowych dań kuchni ghanajskiej. Nasz szofer (nazywa się biblijnie Kleofas), drągal z wichrowatymi zębami, z dziecinną i zarazem chytrą twarzą ze smakiem rozwodzi się nad zastosowaniem tego owocu: pokrojony w paski i usmażony na tłuszczu nazywa się *kelewele*, ubity na miazgę — *fufu*. Same nazwy napędzają ślinę do ust. Prześliczna dolina: plantacja palm kokosowych. Raz po raz szyldy oznaczające miejsca skupu kakao (hodują je indywidualnie farmerzy na plantacjach wydzieranych puszczy, lecz jego sprzedaż jest scentralizowana w państwowym Ghana Cocoa Marketing Board). Na pastwiskach białe krowy z garbami na karku. — *Fulani zebu cows* — mówi Kleofas. Może być.

Mijamy ciężarówki-autobusy wypchane ludźmi i tobołami. Zapamiętuję jeszcze kilka napisów: „Great Jesus”, „Time is money”, „Sow to reap Charity”, „Lucky baby”, „Good friend”, „If I had known”, „Sudan” — można by tak nieskończenie. Na drodze spory ruch pieszy. Skrajami w tę i tamtą stronę idą wyciągniętym, kołyszącym się krokiem objuczone kobiety: dźwigają na plecach dzieci, na głowie wielkie kiści, całe konary bananów lub, częściej, *plantains* (poznać je po tym, że są to banany-olbrzymy, intensywnie zielone i nie żółknące), nastożony wzgórek bulw *yamu*, nawet pień z wbity u góry siekierą. Tutaj wszystko nosi się na ciemieniu — nawet pustą butelkę, nawet kałamarnicę w drodze powrotnej ze szkoły. Nie widziałem żadnego zwierzęcia pociągowego. Zastępuje je kobieta. Jedyna nadzieja, że z czasem kobietę złuże samochód.

Więcej nagości niż w pasie przyoceanicznym. Dzieci z olbrzymimi pępkami wielkości śliwki lub pięści. Gdzieś w grupie półnagich wyrostków młoda dziewczyna błyska torsem zupełnie porażającej piękności.

Naraz droga zaczyna się kołysać jak huśtawka, jak morska fala, z góry w dół, z dołu w górę i znowu i znowu. Widać jedziemy wpoprzek wyżyny utworzonej z pasm równoległych. Na prosto wyciągniętą drogę z obu stron nastaje albo odchyła się od niej w głąb zepchnięty karczującą ręką człowieka wysoko-pienny las z gęstym, zdaje się nieprzenikalnym poszyciem. *Bush*. Korony drzew zaczynają się pod niebem na wysokości drzewiastego, krzewiastego drobnoustroju. Tu i ówdzie tkwią w przestrzeni dramatyczne, ekspresjonistyczne kikuty: konwulsyjnie wykrzywione ręce, krzyże z rozchwianymi ramionami, zastygłe okrzyki zgrozy i męki. Jeden i drugi kawałek drogi pozbawiony asfaltowej powierzchni: wzbija się z niego cynobrowy kurz i osiada wysoko na drzewach. Gdzieś z prawej strony wpoprzek drogi wyskakuje pasmo skalne zupełnie pasiaste od obnażonych pionowo warstwic.

W ciągłym kołysaniu przecinamy pojedynczy tor kolejowy łączący Accrę z Kumasi i niepozorną teraz rzeczkę o hieratycznym imieniu: Pra. Jest to granica kraju Ashanti. Znajdujemy się w *hard core* Ghany, dotknęliśmy jej krzyża pacierzowego. Wybrzeże przez wieki bez sprzeciwu przyjmowało kupców, zdobywców, kolonizatorów, przyginało się pod najazdami. Ten wyżynny grzebień odgradzony zaporą puszczy, trudno dostępny z południa i z północy trwał w dumnej niezależności. Pod koniec XVII wieku szczepy zamieszkujące jego obszar związały się w jednolite państwo z dwudzielną, świecką i sakralną, władzą. Jego zwartość była tak wielka, że Anglicy po z górą stu latach dominacji, wprzód handlowej, później politycznej, po długich, kosztownych walkach dopiero w 1901 r. zdołali zhołdować Ashanti, włączyć w obręb kolonii Imperium Brytyjskiego, noszącej nazwę Gold Coast i posunąć się poza tę przegrodę gór, wegetacji podzwrotnikowej i oryginalnej kultury dalej na północ aż do granic dzisiejszej Ghany.

Kraj Ashanti wniósł do niej dojrzałość polityczną, świadomość państwową, rozwijaną w ciągu kilku stuleci. Wydaje mi się, że jest to tajemnica tego tworu przeciw sztucznego: szczęśliwa równowaga między wybrzeżem i śródlądem, między elastycznością, rzutkością kraju Akan w dole i bitnością, twardością kraju Ashanti na górze. Nie dostrzegłem i nie wyczułem w Ghanie napięć separatystycznych, rywalizacji szczepowych, które są tragedią Nigerii i wielu innych nowopowstałych państw czarnej Afryki.

Drugi postój w Nkawkaw. Wygląda to deprymująco w piśmie,

lecz brzmi dosyć prosto: N-koko z wydatnym, prawie podniesionym do godności samogłoski, tylnojęzycznym „n” (tym samym, które występuje w nazwiskach: Nkrumah i Nketia). Zajeżdżamy do dość brudnawego hotelu ze ścianami pomalowanymi w rozmaite krzykliwe kolory. Popijamy ostatnią porcję sandwichów „Quinine-tonic” (może dopełni on dawki chininy, którą wszyscy łykamy co rana w strachu przed malarią).

Za Nkawkaw nisko nawisłe chmury, ale jest to tylko przelotna groźba. Wreszcie po wielogodzinnej huśtawce, bliżej zmierzchu niż południa dobijamy do Kumasi, ściśle na jego przedpole. Jest to druga, prawie równorzędna stolica Ghany. Uświadamiam to sobie, gdy wjeżdżamy w obręb zagrodzonego szlabanem, zbrojnie strzeżonego *campusu*. Jak się zdaje, stanowi on już wyłącznie dzieło Ghanajczyków, zamierzone na wielką skalę. Druga szkoła wyższa nosi nazwę University of Science and Technology, do niedawna nazywała się Kwame Nkrumah's University of Science and Technology. Zajmuje olbrzymi teren jednym bokiem bezpośrednio graniczący z pierwotną puszcza. Wypełniają go wielopiętrowe bloki w bardzo amerykańskim stylu, tylko jakby gorzej wykończone i gorzej utrzymane. Ale jest ich sporo, drugie tyle w budowie. Wśród zieleni odcinają się rzeźby — znak, że obok przyszłych technologów, których potrzebuje szybko uprzemysławiająca się Ghana, kształcą się tu również artyści. Ich prace wydają mi się pomiotem Henry Moore'a, należą do rzeźby „przezroczystej”, operującej nie tylko formą zwartą, ale i perforacją, prześwitami. Akt kobiecy stojący wśród drzew prześwieca na wskroś dużym, soczewkowatym otworem w międzykroczu.

Zajeżdżamy do *dormitorium*, w którym może wyłgł się ten pomysł plastyczny, w istocie swojej chłopiący. Jest to wielki czworobok zbudowany wokół zachwycającego dziedzińca pełnego drzew, kwiatów, sadzawek z fontannami. W kącie przy wejściu duży, głębszy basen pełen ruchliwych i żarłocznych rybek amarantowego i łososiowego koloru. Niektóre z nich mają baniaste obrzęki, podobno z tego powodu, że bieżąca woda zbyt szybko się nagrzewa. Wnętrza pokoiów są zaciągnięte nalotem wakacyjnego kurzu, nie ma dość przecieradeł, brakuje ręczników, pary małżeńskie są skazane na separację w pojedynczych celach, lecz po pewnym czasie wszystko się układa. Rozdzieleni łączą się w obszernych, choć także przybrudzonych apartamentach i jakoś znajduje się reszta. Z okna naszego pokoju widać *bush* jakby tylko na chwilę zatrzymany w marszu zwartą, wysoko wspiętą kolumną.

Mamy do rozporządzenia pusty wieczór, ciepły i dzwoniący zmieszany głosami, lecz nasi przewodnicy wahają się czy nas zawieść do odległego o kilka mil Kumasi. W jego królewskiej

dzielnicy panuje żałobne podniecenie: umarła córka naczelnika czy ktoś inny z rodziny panującej czy sam sędziwy król Ashanti, *Asantahene* lub *Kumasibene* (nie można tego ściśle ustalić na tę niewielką odległość). W końcu wyruszamy do jakiejś innej części rozległego miasta. Po drodze wszystko pogrążone w puszystej ciemności poprzecinanej smugami światła. Ludzie roją się na frontach domów.

Podjeżdżamy do głównej poczty. Część towarzyszy utyka w pustawym dancingu spod znaku *highlife*, to znaczy muzyki rozrywkowej, tanecznej, wywodzącej się z zachodniej *band music*. Inna zapada w rozłożystej kawiarni bez wybitniejszego charakteru poza tym, że zdobi ją bardzo ekshibicjonistyczny akt kobiecy rzeźbiony niezbyt natchnioną ręką.

Chodzimy trochę po nocnym mieście. W jakimś kącie rozłożyli się uliczni żywiciela. Młody Murzyn obraca nad ogniem z drzewnych węgli *kebab*, skwierczące kawałki mięsa poprzekładane jarzynami. Jakiś inny smaży *kelewele*. W oszklonej skrzynce piętrzą się w słupkach świeżo zarumienione racuchy. Z imbryków kurzy się zachęcająco aromatyczny wywar.

Wzdłuż jednej ulicy ciągną się stragany, właściwie odrutowane klatki na niskich stołach zamykające cały dobytek. Obok śpią na ziemi ich właściciele. Inni ciągle jeszcze są gotowi do handlowania, a tymczasem przy karbidowych czy acetylenowych lampach dziergają coś na okrągłych krosienkach. Noc jest tylko na pół uśpiona: jak w puszczy czuwa, żywi się, śpi czujnie, na jedno oko.

W *campusie* także noc niespokojna: naładowana erotyzmem, pełna szupotania po korytarzach, sekretnych szmerów za ścianami. W pewnej chwili rozdziera ją krzyk nagi, synkopowany, natężający się, narastający stopniami do niemożliwego napięcia. Brzmi to jak wołanie o ratunek samicy spadającej w przepaść zgrozy, jak obwieszczanie się światu samicy wzbijającej się w niebo rozkoszy. Urywa się nagle po środku najwyższego spazmu.

Piątek

Rano dyskusja dotycząca *die kleine Nachtmusik*. Przedstawicielki płci zainteresowanej skłaniają się do przypuszczenia, że to głos ludzki i kobiecy. Tubylcy nie podtrzymują tych złudzeń, twierdzą, że to głos zwierzęcia lecz nie mogą sobie przypomnieć jego nazwy ani uzgodnić między sobą czy to jest ptak czy czworonóg, atakujący drapieżnik czy ofiara tak desperacko żegnająca się ze światem, czy broniąca prawa do życia.

Po śniadaniu objeżdżamy *campus*. Wydaje się jeszcze rozleglejszy niż wczoraj. Postoje przy niektórych pawilonach (w jednym z nich mieści się laboratorium badające zioła przepisywane przez herbarystów, *native doctors*), przy inspektach i polach doświadczalnych wydziału agronomii, przechadzka wokół olbrzymiego, na wskroś nowoczesnego i wzorowo czystego basenu, dłuższe odwiedziny w księgarni uniwersyteckiej.

Pytam kogoś ilu studentów liczy uniwersytet w Kumasi. Mniej więcej tyle samo, co uniwersytet w Legon — trzy tysiące. Dwa razy po trzy tysiące rocznie to nie jest mało, jeśli do tego dodać studentów, kształcących się za granicą i w trzecim uniwersytecie krajowym, zdaje się pomniejszym. W niedługim czasie, za kilka czy kilkanaście lat, Ghana będzie miała znaczącą liczbę własnej inteligencji zawodowej, zdolnej do kierowania jej całym życiem.

W pełnym słońcu jedziemy do miasta. Zaraz przy wyjeździe z *campusu* jest „24th February Road” — ulica uwieczniająca (na jak długo?) rewolucję, która obaliła samodziarżawie Nkrumy. Na przedpolu Kumasi rozciąga się rojowisko murowanych i cementowych domów. Centrum jest rozmieszczone teatralnie na dwu planach: na wysokim, poziomo wyrównanym wzniesieniu i na ciągnącej się u jego stóp, także prawie równej płaszczyźnie. W najwyższym punkcie stoi katedra rzymsko-katolicka, oczywiście gotycyzująca i wieżasta — wygląda z daleka jak dziecinny model, niezdarne wyklejony z brązowego kartonu. Opodal znajduje się niewielki co mniejszy kościół metodystów, kryty falistą blachą i pomalowany na czerwono. W bliskim sąsiedztwie ramię władzy świeckiej: komenda policji, świeżo zbudowany nowoczesny, luksusowy Law Court i Ghana Central Prison.

Zjeżdżamy taksówką w dół na główny plac targowy obok stacji (jest tych targów więcej). U wstępu nieunikniony napis Barclay's Bank przez całą szerokość sporej, piętrowej kamienicy. Za ogrodzeniem tłum ogarnia nas jak fala, ogłusza hałas. Chwilami trudno się poruszać i trudno się słyszeć. Niektórzy sprzedawcy głośno nawołują, inni uporcezywie, rytmicznie dzwonią w mosiężne dzwony. Na straganach zalew taniej kamloty: drukowane płótna z United Kingdom, naszyjniki pracowicie nizane na miejscu z paciorków *made in Czechoslovakia*, co stwierdzam naocznie na pudełku, gdy panie ulegają złudzeniu, że jest to oryginalny wytwór ghanajski. Gdyby dobrze poszukać, znalazłaby się pewnie tandeta japońska; w domu towarowym na górze widzieliśmy przecież flakon wyprodukowany w Niemczech zachodnich. Przelatuje mi przez głowę termin: kolonializm ekonomiczny — pozostałość kolonializmu politycznego.

Mydło krajane na miniaturowe kawałki, mniejsze od kostek cukru. Kostki cukru układane w piramidki po pięć i zajadłe atakowane przez muchy. Mdlący smród od straganów z jedzeniem, z rybami i odkrwionymi ochłapami mięsa. Najciekawsze stoiska z amuletami, talizmanami i lekami (*juju* i *asuman*): wybielone czaszki, kostki i kity małych zwierząt, pióra, kamyki, tajemnicze proszki, pęczki suszonych roślin, zwitki rudych błonek. Na jednym stole leżą obok siebie z jednej strony te relikty pierwotności, instrumentarium zabobonu, z drugiej — *tinned milk* i *washing powder*. „Dawne” i „nowe”, „prymityw” i „cywilizacja”. Co obok tych *charmes* jest naprawdę tutejsze, to ręcznie tkane, grube, bardzo piękne materie i niewielkie, trudne do wytropienia oszklone pudełka z rodzimym złotem, miękkim i żółtym jak żółtko.

Chwilami wydaje mi się, że w tym przepychającym się tłumie nikt nie kupuje, wszyscy sprzedają. Także dzieci: kilkuletni chłopczyk ofiaruje cztery paczki zapalek na blaszanym talerzu. Młode Murzynki siedzą w kucki nad spiętrzonymi stożkami jarzyn: pomidorów czerwonych i żółtych, cebulek pociągniętych rozpuszczonym ametystem. Noszą kapelusze wielkie jak koła u wozu; są one plecione z szerokich pasm łyka i mają runda umocnione wsuniętymi w podłóż patyczkami, niekiedy załamując się wokół w fantazyjne, ciężkie wygięcia. Gdzieś widzę babinę pracownicę łupiącą białe polano w cienkie drewnianka wprost na zaszlajającym bruku. Są to tutejsze „szczoteczki do zębów”, zresztą na ogół wspaniałych, mlecznie białych i zwartych. Dziś rano pogryzały je także niektóre z naszych dam, mażąc obficie pomadką do ust.

W falującym rwetesie i jazgocie zdarzają się zakola ciszy. W cieniu straganów krawczynie szyją na maszynach Singera kieciki z świeżo zakupionego materiału. Na stole śpi dwoje dzieci podkasanych aż po same pępki. Gdzieś na ziemi błyskają jasną plamą pięty mężczyzny odsypiającego nocne czuwanie. Fryzjerka splata nitką sprężyste kudły w rurki, rzeźbi na ciemieniu tatuaż z równych przedziałków i kratek — z bliska widać jaka to jest misterna robota. Jakaś kobieta karmi w marszu małe siedzące okrakiem na jej pośladkach. Podaje mu pierś do tyłu na siodło: wyciągnięte wymię i kędzierzawa główka spotykają się pod jej ramieniem. Jakaś inna siedzi obok straganu; dzieciak chwiejnie balansujący na jej kolanach z zapamiętaniem mięsi palcami sutek jej obnażonej piersi. Freud chodzi tu za mną jak cień, chociaż dawno się z nim pożegnałem.

Blżej skraju produkuje się opowiadaczka. Jest dość komediancko przybrana w jedwabny biały czepek z falbaną i czarne

rękawiczki, uzbrojona w małą harmonię. Opowiada śpiewnie jakąś historię najwidoczniej z sugestywną siłą, bo otacza ją gruby pierścień urzeczonych słuchaczy. Gdy przychodzi do wynagrodzenia jej usług, tylko z czołowego kręgu padają skąpo miedziaki, które zbiera młody asystent. Zdegutowana artystka rusza przed siebie.

Pod drzewami przy maszynach do pisania urzędują znani nam już *cancellarii*, ludowi kanceliści. Nie mają jak na razie zbyt wiele do roboty. Jeden z nich, stary, mówiący dobrą angielszczyzną okazuje wielkie zainteresowanie tym, że przyjechaliśmy tu z Accry, do Accry z czterech kontynentów, by oglądać tutejsze tańce. Na pytanie czy sam tańczy, bez namysłu odpowiada: — *Who does not dance, does not belong to the community*.

Dużo sępów-czyszcicieli. Siedzą na skrajach dachów, brodzą po polach, czekają cierpliwie na swój czas. Można myśleć, że to zwierzęta domowe jak psy w Polsce albo święte, nietykalne zwierzęta jak krowy w Indiach.

Przed wyruszeniem uderza mnie na innym, mniejszym targowisku wielki szyld nad zaciągniętą blaszaną storą: JESUS NEVER FAILS No. 2. Nie mam pojęcia co to znaczy, zapewne wskazuje kantor jakiejś organizacji religijnej. Ale jest w tym zestawieniu mimowolna groteska, w głuchym zatrzaśnięciu jakieś gorzkie szyderstwo.

Jazda do *campusu*, obiad i po krótkim odpoczynku jazda z powrotem do Kumasi. Całe popołudnie spędzamy w górnej, reprezentacyjnej części miasta — w Ghana Cultural Centre (zwraca uwagę intencja tego nazwania). Na wielkim, zadrzewionym, dobrze zagospodarowanym i nieźle utrzymanym terenie znajduje się muzeum i ogród zoologiczny, warsztaty rękodzielników i kiosk sprzedający ich wytwory, *kindergarten* i Ashanti Library, gromadząca literaturę o tym kraju.

Zaczynamy od warsztatów. Dwaj chłopcy tkają na małych prymitywnych krosnach wprawianych w ruch palcami nogi wąskie paski kolorowej wełny przetykanej jedwabiem, które zszywa się w wielkie płaty służące za togi co bardziej tradycjonalistycznie myślącym i bogatym Ghanajczykom. Podobno cena takiego autentycznego stroju dochodzi do stu funtów angielskich. Rzeźby strugane tutaj przywodzą mi na myśl niektóre, te lepsze, wyroby zakopiańskie. Wszystko jest prawdziwe: twarde, lite drzewo, tradycyjne formy i symbole, tylko w dotknięciu dłuta czuje się, że rzeźbiarz posługuje się nim mechanicznie, że jakby „umie za dużo”. Jest nie artystą, lecz kaligrafem.

Ta myśl narzuca się jeszcze silniej w muzeum. Odtwarza ono swoją architekturą typowy dom przyjęć kacyka. Przed bramą stoi kuty w żelazie stojak: zatknięta na nim wijąca się żmija z głową

do góry i agresywnie wysuniętym językiem obwieszcza, że dostojny gospodarz jest zajęty i nie życzy sobie nikogo widzieć. Wewnątrz wokół kwadratowego podwórka otwierają się cztery, dość płytkie wnęki zajmujące całe ściany. Jest to „sala tronowa” i otaczające ją antyszambry. Teraz tę całą przestrzeń wypełniają zażytkowe przedmioty: kunsztownie rzeźbione stolce-trony, słynne maski ze złota przypominające złote maski mykeńskie, insygnia władzy, przedmioty kultu, codziennego użytku i zabawy. Każdy drobiazg, nawet leżące zwyczajnie na ziemi plecionki, nawet skrzynka z przegródkami i gałkami do gry zwanej *orume* nosi znamię dawnej, oryginalnej kultury, wyrafinowanego smaku.

W jakimś innym kącie parku znajduje się dokładnie odtworzone obejście szamana. Składa się z dwu czy trzech izb krytych wysuszonymi liśćmi. W rogu małego nieforemnego podwórka rośnie święte drzewo z glinianym naczyniem ustawionym poziomo na gałęziach, wokół pnia w ocembrowaniu drzewi świąte żółwie karmione bananami; jest to siedziba „ducha”. Lecz żółwie i duch pod glinianą pokrywą nie są jedynymi żywymi eksponatami. Po chwili zza zasłony w odrzwiach jednego z pomieszczeń wyskakuje kościsty staruch, ubielony na twarzy i ramionach w przepasce z rafii, z kitą włosów w prawej ręce. W ciasnym kręgu wykonuje taniec magiczny odpędzający złe duchy. Gładząc nas po barkach włosistym wiechciem immunizuje, ubezpiecza każdego przed dostępem wrogich mocy. Nie trwa to długo, bo szaman jest stary i nikt w niego nie wierzy.

Wchodzimy później do jego izdebki. Jest to smutna graciarnia. Stoją w niej na ziemi dwa niezdarne fetysze, ulepione z gliny czy z jakiejś innej masy pistacjowego koloru. Pełno talizmanów: splecionych sznurków, kawałków żelaza, drzazg, zwiotczących skrawków materii. Szaman siedzi z opuszczoną głową i nogami drgającymi na klepisku, pod które padają drobne monety. Przewodnik mówi, że jest on stolarzem w tym centrum i wraca do swojej dawnej godności tylko na użytek ciekawych i turystów. Jest mi go żal: wygląda jak tenor na emeryturze, jak gwiazdor ściągnięty z nieba, jak zdetronizowany władca.

Potem w wielkiej zacienionej szopie z otwartymi bokami odbywa się dla nas pokaz tańców z regionu Ashanti. Przedstawia je siedem grup usadzonych w wielkie półkole. Wydają się one czymś pośrednim między tańcami z południa i tańcami z północy, są dynamiczniejsze od pierwszych, mniej urozmaicone od drugich. Ale to jest uogólnienie zbyt proste, wynikające z sugestii geograficznej, podsuwane przez wrażliwość, która zdołała się już przesyć wrażeniami. Wymagałoby ono szczegółowej analizy i dyskusji z profesorem Nketią, którego tu nie ma i nie ma już w tej chwili w Ghanie.

Najpierw śpiewają i tańczą same kobiety; mężczyźni im akompaniują uderzając w szyje pustych bębnow i klaskając rękami. W drugiej grupie pochłania na chwilę niezwykły, niemal perwersyjny „instrument”: olbrzymia kalabasa w takich samych rozmiarów obtłuczonej miednicy z wodą. Uderza się pusty czerep prętami z jednego boku, a gdy od uderzenia zanurzy się głębiej, podbija się go z drugiej — gra tu zmiana powierzchni rezonatora, coś co nie zachodzi ani w bębnie, ani w grzechotce. Znowu tańczą kobiety: jedna ostrzyżona po męsku, druga w ogromnej czarnej peruce. Potem grupa skupiona wokół bębna obitego lamparcią skórą z jedną starą tancerką — zupełną wirtuozką. Potem taniec „Adowa”: przy wtórze chóru, który śpiewa na siedząco i chłodzi się chustkami, starzy mężczyźni mimują jakąś zawiłą historię, haftują w powietrzu wzór tak skomplikowany, majsterski, że wywołują żywiołowy entuzjazm obecnych; ktoś stąd mówi mi, że to ostatni, którzy tak wodzą ten taniec. Ale szczyt pokazu stanowi „Fontomfrom”, taniec odtwarzany przez młodych, węzlastych mężczyzn przy wtórze całej baterii bębnow; jedne z nich są stojące, wysokie na trzy czwarte człowieka, inne niższe, złoczone lub okutane białymi prześcieradłami i oparte na łukach wygiętych z patyków. Gra bębnow przypomina burzę gradową, taniec ma piekielne tempo. Tańczy się wszystkimi muskułami, każdym fałdem kusych przepasek, całym ciałem i całą duszą. Ostatnia grupa ma wspaniały bęben gęsto rzeźbiony w czarne symbole na złotym tle, stojący na słońcu. I ten taniec („Sikiy”) rozpoczyna się od zaśpiewu, przechodzi w dialog między *leader*’em i odpowiadaczem, rozrasta się w śpiew chóralny i rozbija w tańce solowe, w duety tancerne. Jeden z nich wykonują dwie dziewczyny czy kobiety akompaniując sobie mosiężnymi dzwonami poruszonymi z wolna opuszczoną w dół lewą ręką.

Im bliżej końca, tym atmosfera staje się gorętsza. Do ostatniej grupy dołączają tancerze z innych, widzowie i goście. Nie jest to takie proste, jeśli trzeba każdą nogą wykonywać odmienne ruchy, zgrać z tym gesty rąk a w końcu i mimikę twarzy. Nie muszę się przekonywać, że to całkowicie przerasta moje możliwości, lecz odważam się przytknąć monetę do czoła młodej tancerki. Pełny sukces. *Une conquête*.

Po kolacji tylko nieliczni młodszy oraz co najbardziej niezmordowane cioty kongresowe (od jednej usłyszałem dziś wyznanie: „Bębniłi tak głośno, że zasnął”) — wybierają się do miasta po raz trzeci. Reszta cieszy się ciepłym, łagodnym wieczorem i tym, że nie musi nigdzie iść, na nic patrzeć, niczego słuchać. Nawet gama krzyku kilka razy rozdzierająca ciszę w poprzek, od horyzontu do horyzontu, utraciła sporo ze swojej sensacyjności.

Sobota

Powrót do Legon. Ta sama droga z tymi samymi przystankami, jak film wyświetlany w odwrotnym kierunku. Przepuszczenie go przez projektor wzroku i wrażliwości zabiera prawie dwie trzecie dnia. Potem w głowie wirują obrazy jakby film rozpadł się na pojedyncze kratki, a kratki puszczane na wolność obracają się w samoczynnym kalejdoskopie.

Wieczorem, wraz z prywatnie zwerbowaną grupą, jedziemy do studia dramatycznego w Akrze. Betonowe pudło jest przykryte aksamitnym wiekiem. Publiczność siedzi na amfiteatralnym wzniesieniu. Wśród niej kilka par białoczarnych, przeważnie biali mężczyźni z czarnymi kobietami, sporo Europejczyków jak na to afrykańskie miasto, także poseł szwedzki z rodziną.

Oglądamy ulotkę z programem festiwalu, mającego przedstawić absolwentów uniwersyteckiego studium dramatycznego. Repertuar niesłychanie ambitny: Czechow, Moliere, Sartre („La putain respectueuse”), Copek („R.U.R.”); tylko ostatnia pozycja „Visitor from the Past” jest lokalna; wyszła spod pióra dramaturga, reżysera, profesora szkoły dramatycznej Joe de Grafta. Ulotka jest w języku angielskim, sztuki grane po angielsku.

„Oświadczyny” Czechowa noszą tytuł „Esi” i są odmienione w amerykański *musical*. Jeśli w podobny sposób przefasonowano Shawa, Dickensa, nawet Woltera, można przeboleć i tę operację. Mała, kilkusobowa orkiestra: banjo, piszczałka, bęben znajduje się cały czas z lewej strony i gra oryginalne, choć niezbyt wymyślne melodie. Niklówka akcja między amantem Esi, amantką i jej ojcem toczy się po prawej. Jest przeniesiona na stosunki lokalne: mówi się o plantacjach kakao, pije się wino palmowe itd. To *lever du rideau* (nb. kurtynę zastępuje zapalające się i gasnące światło) nie olśniewa niczym, ale jest dosyć niewinne, chwilkami nawet przyjemne.

Problem otwiera się z następną, główną sztuką wieczoru — „Świętoszkiem”. I do niego zastosowano tę samą metodę przeszczenia na grunt rodzimy, afrykanizacji, przypominającej do zdudzenia polonizację praktykowaną przez Bohomolca, Zabłockiego i legion pisarzy stanisławowskich. W ten sposób Tartuffe przeobraził się w „Osofo Moko” i nosi taki tytuł. W tym procesie nie tylko przepadł wiersz, zatraciła się głębia widzenia, zabójcza ostrość sarkazmu. Cała sprawa zawisła w próżni społecznej i obyczajowej. Powstał sceniczny *comics* z Moliere: płaska farsa o zdemaskowanym uwodzicielu. Nie wiadomo dlaczego jest on ubrany w czarny habit, ma namalowany biały krzyż na czole i mechate bokobrody z króliczej skórki przyklejone do skroni

i boków twarzy. Orgon w brezentowych spodniach ściągniętych paskiem, młodzieńki, drobny, chudy, robi wrażenie tonącego, który trzepie rękami ponad falą i woła o ratunek. Wszystkie trzy kobiece role są źle obsadzone; zawodzi nawet wymowna Doryna.

Oczywiście można to wszystko zbyć pobłażliwością jako nieudane, bo przerastające siły przedstawienie uczniowskie, lecz zdaje się, że tai się tutaj zasadniczy błąd w rachunku. Godne podziwu ambicje są źle skierowane i prowadzą w ślepy zaułek. Obnaża się w nim kompleks, który Murzyni muszą przezwyciężyć, jeśli chcą być sobą i zaznaczyć twórczą obecność w świecie duchowym.

Niedziela

Słońce praży od rana. Przygotowujemy się do wyjazdu.

Spędzam kilka godzin nad tutejszymi czasopismami: „Okhyae-me” i „Ghana Cultural Review”. Pierwsze, przywołujące tradycyjną nazwę mówcy na dworze, herolda, tłumacza jest półrocznikiem wydawanym przez związek pisarzy, drugie ilustrowanym kwartalnikiem. Oba są w języku angielskim i mają dobry poziom. Poezja pisana w tym języku czy tłumaczona z narzeczy miejscowych pobrzmiwa Yeatsem i młodopolską balladą, co zapewne bierze się z zasłuchania w ciągle żywą poezję ludową. Dobre eseje teoretyczne, dobre artykuły przeglądowe (o dawnym złotnictwie ghanajskim, o fascynującym garncarstwie z Yeji). We wszystkim żarliwy ton nacjonalistyczny, natężony wysiłek samookreślenia się historycznego, kulturalnego, jak w wywodzie o Guans, „niewątpliwych tuziemcach Ghany”. Czytam go i nie bardzo wiem co jest prawdą historyczną, a co *wishful thinking*, samoschlebiającym, samopotwierdzającym rojeniem. To jest pewne, że historyczne imperium Ghany, które kwitnęło do XIII wieku, nie pokrywa się z dzisiejszym jej obszarem. Zachodzi podejrzenie, że jego władcy nie byli wcale Murzynami, lecz Berberami lub mieszańcami berberyjsko-żydowskimi.

Wydaje się pewne, że „afrykanizacja Afryki”, egzaltacja tego co Francuzi nazwali *la négritude*, a Nkrumah *the African personality* uratowała dla ludzkości — nawet jeśli na krótko — wielkie, dotąd poza rzeźbą i w mniejszym stopniu muzyką, niedoocenne bogactwo samoswoich form odczuwania i nazywania świata.

Popołudniu Kleofas, szofer, z którym zżyliśmy się podczas wycieczki do Kumasi, zabiera nas tym samym wozem do swojej wsi, położonej w odległości półtorej mili od *campusu*. Nazywa się Christian Village (jakby „wieś Krystyna”, „Krystynowo”),

co by może wskazywało, że nie jest to osada pierwotna, lecz pochodząca z czasów kolonialnych.

Ale jaki gwałtowny kontrast z *campusem*, jaki niemal astronomiczny dystans! Pylna, rozjeżdżona dróżka prowadzi do bezładnego zbiegowiska chat stojących w szczyrim polu. Jak przeważająca część tutejszych domów są ulepione z czerwonej gliny, pokryte strzechą lub zrudziałą blachą. Nie mogę się rozeznac w planie tego aglomeratu. Budynki są stawiane pod różnymi kątami, zamykają obejścia, lecz związek i stosunek elementów jest przy powierzchniowym oglądaniu niepochwytne.

Kleofas przyznał się, że ma dwie żony (miał jeszcze trzecią, lecz się z nią rozstał). Z tymi dwiema zdążył już spłodzić ośmioro dzieci. Teraz je nam przedstawia — półnagie i nie nadmiernie czyste. Prowadzi nas również do swoich dwu domów. Jeden jest izbą z brudną szmatą zamiast drzwi, z glinianym klepiskiem, na którym prócz zwykłych, najniezbędniejszych sprzętów stoi wysoka, osmolona łódzka, nie wiem czy jako przedmiot użytkowy czy jako ozdobny mebel. Naprzeciwko w innym kącie tego samego obejścia znajduje się konkurencyjne ognisko rodzinne (metafora czy *pars pro toto* niezbyt trafne, bo ogień pali się tu zewnątrz domów, nie w ich wnętrzach). Ma ono luksusową podłogę z cementu, zdobi je lustrzana toaleta z gęstym wzorem utrwalonych odcisków na brzegach, niemal w połowie zawala wielkie jak trawta, wzburzone betami łożo. Kapłanka jednego „ogniska” jest zaharowana, chmurna i niezbyt skora do rozmowy. Drugiej nie ma w polu widzenia.

Idziemy jakiemiś uliczkami, mijamy wyloty jakichś podwórek. Siedzą na nich lub krzątają się kobiety z nieokrytymi torsami. W jakimś wykroju widać młodą matkę, nagą do pasa, leżącą na ziemi i wspartą na łokciu. Goły dzieciak bobruje po jej rozbujałych kształtach jak po pagórkowatym wyżu. Zdaje mi się, że słyszę sygnał ostrzegawczy, lecz kobieta nie zmienia pozycji i nie zakłóca dziecku zabawy. Widać okrywanie górnej części ciała przez kobiety jest konwencją obowiązującą bardziej na zewnątrz, niż na wewnątrz.

Wychodzimy na jakiś pusty, wyboisty plac jakby sportowy. Za nim jest inny, ocieniony kilku drzewami akacjowymi i mango-wymi. Odbyna się tu stypa pogrzebowa, ściślej akt dziękczynny w stosunku do żałobników, którzy wzięli udział w niedawnym pogrzebie. Na brzegu wielkiego koliska z ławek stoją pochyło dwa wydłużone bębny. Bębniści uderzają w nie trzymając jedną nogę niewygodnie zadartą na obrębie cylindra. Inny, mniejszy bęben, stary, pięknie rzeźbiony stoi pionowo na dnie blaszanego, fabrycznego wiaderka. Z miękkim dudnieniem membran miesza się

suchy, ziarnisty głos grzechotek z kalabasi w siatkach z paciorków. Trzymając taką grzechotkę w jednej ręce uderza się nią na zmianę o uda i drugą dłoń albo pobudza się ją do kołatania rytmicznym wyrzucaniem na przemian wprzód i w górę. Zresztą ilość sposobów i kombinacji jest większa.

Na razie na wydzielonym skrawku murawy tańczą głównie dzieci. Trzy, czteroletnie pędraki drobią nóżkami, wprawiają w ruch łopatki i rączki. Widzi się naocznie jak rytm wchodzi im w krew, zawiesza się w hemoglobinach raz na zawsze. Potem tłum wzbiera. Wyrostki i młodzi mężczyźni zasiadają na ławkach, kobiety gromadzą się z boku i śpiewają chóralnie w takt batuty z włosów. Co chwila kilku mężczyzn podrywa się, wskakuje w rytm muzyki i śpiewu. Wykonują jednocześnie ruchy nogami, na zmianę gwałtownie odrzucają barki i łopatkami w górę i w tył lub obie ręce wbijają w dół. Jest to namiętne i ekspensujące jak *love making*. Trwa naraz ledwie kilka minut.

W pewnej chwili podchodzi do nas szczerbaty jegomość w popielatym kaszkiecie i w bordowej kapie, by uściśnąć nam ręce: jest wyraźnie pod dobrą datą i wylewnie pro-amerykański. Poza tym śpiewaczki, tancerze, napływający coraz gęściej widzowie nie zwracają na nas uwagi. Mamy przyjemne uczucie, że to co się dzieje nie jest dla nas, że niczego nie zakłócamy swoją obecnością. Wielka ulga, że nie ma mikrofonu, pętających się pod nogami drutów i wszędobylskiego technika.

Odjeżdżamy żegnani tylko przez dzieci. Przed kołyszającym się na wybojach samochodem płaczą się koty, kozy i nawet czarna-biała, krótkonoga, śmieszna kaczka-dziwaczka. Za chwilę jesteśmy znowu na asfaltowych drogach *campusu*.

Po tym ostatnim, całkiem nieoficjalnym doświadczeniu myślę, że taniec jest tu wyzyciem się katartycznym, ogarniającym całego człowieka z osobna i wszystkich razem, gdy znajdują się w jego zasięgu. I jeszcze, że nie byłoby zbyt wielkiej przesady w uogólnieniu, że taniec jest tutaj życiem, a życie tańcem.

Przed snem uświadamiam sobie, że w ciągu ubiegłych tygodni zatraciłem poczucie odrębności rasowej nawet w czysto zewnętrznym znaczeniu, bo nie wierzyłem nigdy w wewnętrzną, immanentną odrębność rasową. Wszystko jest bodaj sprawą nawyku. *Colour bar* daje się sprowadzić do takich stwierdzeń jak: „on ma niebieskie oczy” — „ona jest szatynką”. Koniec końców nie myślimy o tym i nie przywiązujemy do tego szczególnej wagi, że rozmawiamy z blondynem lub kobietą o piwnych tęczęwkach. Gdy świadomie stwierdzamy barwę oczu, włosów i skóry, to nie po to, żeby wyrazić obcość ale odmienność — różność w jedności.

Poniedziałek

Po raz ostatni wybieramy się do Accry, by załatwić formalności i drobne zakupy. Na centralnej arterii *campusu* Murzyn w miniaturowym samochodziku ofiaruje nam *lift*, który w Ameryce nazywa się dla odmiany *a ride*. Okazuje się, że jest to profesor socjologii w tutejszym uniwersytecie. Studiował w Hadze, specjalizuje się w problemach bezrobocia.

Rozmowa toczy się na ten temat. Ghana ma już spory i ciągle rosnący przemysł, ale często brak jej pieniędzy na surowce do fabryk, na węgiel, którego tu nie ma. Robotnik niewykwalifikowany zarabia 6 sh., wykwalifikowany 10 sh. 6d. Bezrobocie jest duże, lecz trudne do ujęcia, bo pewna część niezatrudnionych wymyka się rejestracji. Wielu jakby wstydi się swego położenia, wielu przekarmia się u krewniaków siedzących na roli: więzi solidarności rodzinnej i klanowej są bardzo silne. Ghana nie zna zasiłków dla bezrobotnych. Robotnicy są objęci ubezpieczeniem społecznym. Do niedawna (do upadku Nkrumy) stawka ubezpieczeniowa płacona przez robotnika była bardzo wysoka i wzbudzała niezadowolenie. Ostatnio zmniejszono ją poważnie.

Żegnamy się jak starzy znajomi na Independence Road, która teraz nazywa się — z aluzją do wypadków lutowych — Liberation Road. Pytam się w myśli: jaka będzie następna wariacja nazwy? Po odwiedzinach ambasady holenderskiej „odkrycie” nieznanego miasta, w której wśród ogrodów stoi okazała Accra Library, jakiejś innej, z olbrzymim budynkiem pocztowym. Przechadzka po rynku.

Jeszcze raz przy stoisku sprzedawców pamiątek. Targ o drewnianą maskę jak walka na ciężkie szable, jak mocowanie się dwu zapaśników równej wagi. Przeciw Ghanajczykowi z północy, mieszkańcowi murzyńsko-berberyjskiemu (odznacza go nawet strój: burnus i czerwona pilśniowa czapeczka) gra kropla mojej ormiańskiej krwi. Po długim targu kupuję maskę patrzącą prawie niewidocznymi szparkami spod prostokątnych brwi wysokich na pół czoła — za bez mała jedną czwartą „ceny wywoławczej”. — *We had a tough bargain* — mówię na zakończenie — *but you have had a good day*. Handlarz przytakuje ze sportową godnością.

Wtorek

Wyruszamy po wczesnym śniadaniu. Widnokrąg zaciągnięty śliczną, miękką pastelową śniadością. Napis przy wjeździe na

lotnisko: GOODBYE FROM GHANA — wydaje się mniej zdawkowy niż napis na powitanie. Odwozi nas jeden z opiekunów i ułatwia skomplikowane formalności. Przy odprawie celnej młody wojak z napuczoną buzią każe otworzyć walizki tylko po to, żeby zaznaczyć swoją władzę. Zjawia się z pożegnaniem Kleofas dziecinnie szczerząc zęby. Później, już na wsiadaniem, sekretarz uniwersytetu. Wzrusza się i my także.

Na pokład „Flying Dutchman” wchodzą z nami dwaj czarni księża i biała Holenderka z czworgiem ciemnoskórych dzieci, bardzo ładnych, żywych i dobrze ułożonych. Siedząc już w samolocie doznaję czegoś co mógłbym nazwać przyjemnym nasyceniem. Trudno powiedzieć, że poznałem Ghanę, lecz mam odczucie jej bliskości. Wiele lat temu miałem takie odczucie opuszczając Norwegię. Myślałem wtedy o „międzynarodowce małych i średnich narodów”. Gdyby kiedyś powstała, chciałbym w niej widzieć ten kraj, o który poszerzyłem samego siebie.

Odchylamy się łagodnie od ziemi. Przez kilka sekund widać Accrę, zaraz potem pod skrzydła podściela się morze i masa rzadkich, ruchomych obłoków. Lecimy nie „w górę”, lecz „w dół”, w stronę Nigerii. Po półgodzinie Lagos, miasto wśród lagun, krętych zalewów. Dużo nowych budowli. Do wielu z nich, wyciągniętych w żelazobetonie, zagłąda się z góry jak w „Diable kulawym” Lesage’a, bo nie mają jeszcze dachów. Po obrzeżu dzielnicy mieszkalnej rosną bujne gaje palmowe.

Łądujemy w nagłym deszczu. Woda trzaska spod śmigieł jak suchy płomień. Pod kołami rozwija się bieżnia wyswiecona na gładko oliwą. Nim zdołaliśmy się wypakować, deszcz zapomniał sam o sobie. Poza hermetycznie zamkniętym, chłodzonym pudłem samolotu oblepia nas mokry upał. Przed budynkiem dworcowym chodzą żołnierze z krótkimi karabinami. Na ścianach wewnętrznych afisze z napisem „Peace and Progress” — nie wiem czy to hasło przedostatniej czy ostatniej rewolucji.

Po krótkim postoju z powrotem w samolocie. Nad całą Nigerią zalegają chmury. Zastłona rozchyła się dopiero na progu pustyni. Nie jest ona wcale monotonna. Przeciwnie chciałoby się mówić o jej barwach i kształtach, o wariacjach form przewyższających bogactwem zieleń, o której przecież „można nieskończenie”.

Susza na przemian głucho szara i dźwięcząca intensywną żółcią. W głębi opalowa siność. Białe chodzące luzem strzępiaste obłoki rzucają na ziemię ciemne, śniade cienie. Potem zaczyna się pustynia skalista, poznaczona wyschniętymi korytami rzek jak zawiliwym tatuazem. Różne odcienie ciepłego beżu zestawiane w najszybszą grę. Nagle pokrywa ją pasmo jednolicie ceglaste. Jeszcze ciemnobure wzgórze z ekspresjonistycznymi, abstrakcyjnymi zaciekami.

I wreszcie zaczyna się „morze piasku” — jasnopłowe, sfalowane, marszczące się jak żywa woda. Nad wszystkim zupełnie nieprawdopodobny szafir wzdęty w górę szklaną, krystaliczną banią. W szczerzej pustce zjawiają się szyby naftowe Algierii, zabawki z drutu i patyczków. Odgina się od nich w kierunku lotu delikatnie wyciągnięta, odcisnięta rylcem w miękkim podłożu droga z rurociągiem.

Jeszcze długo pustynia: czysta nagość ziemi. Prawie nagle, jak w przystępie wstydu, okrywa się górami. Na ich stokach pierwsze objawy życia — rzadkie białe osiedla. Opodal nich półka jak odciskane matrycą, potem przypominające stronicze runicznego pisma. Później niebo i morze, dwie niebieskości rozgraniczone czy pożenione linią widnokregu.

Zostawiamy Tunis z boku, przelatujemy nad całym portem. Samolot znaczy swój cień na zielonej wodzie. Siadamy w jakimś zapadłym kącie lotniska o kilometry odległym od ludzi. Dmie tu skwarany wiatr i nie ma nic prócz obszarpanej drewnianej budy.

Gdy ruszamy znowu, stwierdzam, że dosiadły się do nas dwie muchy-idiotki i nie wiadomo po co lecą do Amsterdamu. W dole wełni się białe Śródziemnomorze, gwałtownie poruszane w słonecznej pogodzie.

Koniec przygody. *Adinkera. Goodbye Africa, goodbye Ghana.*

Tymon TERLECKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Kogo nazywamy człowiekiem prawdziwie kulturalnym ?

Gdy przygotowywałem się do matury, wymarzyłem sobie tytuł wolnego tematu na piśmienny egzamin z polskiego. „Człowiek we wiecznej walce z siłami przyrody”. Tytuł egzaltowanie przewidujący moje późniejsze zainteresowania. Dzięki Bogu, nauczyciel-polonista inaczej mierzył nasze intelektualne możliwości i autentyczny temat, który do mnie wówczas nie przemówił, brzmiał: „Kogo nazywamy człowiekiem prawdziwie kulturalnym?” Wobec tego wybrałem, bardziej praktycznie, temat literacki o romantyzmie. Dziś, po latach, wiem, że oba „wolne” tematy były zbyt rozłożyste patetyczne i że do obu nie byłem przygotowany. Nie mówiąc o tym, że oba grzeszyły brakiem precyzji. Szczególnie mój tytuł wymarzony. Słowo „walczy” sugeruje przeciwnika a człowiek i przyroda nie są sobie przeciwni. Człowiek jest częścią przyrody a przyroda działa w tak zawite i przedziwne sposoby, że trudno rozdzielić jej wielorakość w uproszczonej dychotomii. Człowiek jest częścią przyrody i wywodzi się z współpracy raczej niż z współzawodnictwa, podobnie jak wszystko w przyrodzie od najmniejszego do największego. Od komórki do... sekwoi.

Od komórki...

Pomówmy o komórce!

O komórce można mówić dwojako. Można opisywać jak wygląda i można omawiać ją fizyko-chemicznie — jak wszystko co żyje, włącznie z człowiekiem. Te dwa podejścia uzupełniają się naukowo. Fizyko-chemia tłumaczy morfologię a morfologia uwypukla zawłośc fizyczne i chemiczne. Można także wychodzić z opisu komórki filozofować o życiu, o świecie, o człowieku, o scjentyfice*, o humanistyce, o wojnie, o pokoju. Komórka jest wówczas literackim punktem wyjścia. Tłem eseju.

* Listy i komentarze które mnie doszły po ukazaniu się mego eseju „Zawłośc i uproszczenia” w numerze 5/235 „Kultury” uzmysłowiły mi, że okres pięciu lat niepisania pozwolił czytelnikom zapomnieć o powodach dla których używam trudno brzmiących słów: scjentyfika, scjentysta i scjen-

Ulubionym frazesem popularyzatorów biologii jest powiedzenie, że mikroskopijna komórka jest wszechświatem w miniaturze. Ten frazes jest świeżej daty. Zaledwie 300 lat temu (303 dla ścisłości!) w 1665, zdziwiony i zaciekawiony świat naukowy dowiedział się po raz pierwszy o komórce z książki 29-cioletniego Roberta Hooke pt. „Micrographia or some Physiological Descriptions of Minute Bodies Made by Magnifying Glasses with Observations and Inquiries thereupon”. Duży tytuł dla małej komórki! Hooke dojrzał przez mikroskop, że korek składa się z milionów komórek. 1,259,721,000 — jak to skrupulatnie obliczył. Hooke'owi zawdzięczamy także nazwę — „the cell” — oraz informację, że niektóre inne ciała roślinne również posiadają budowę komórkową. Zadziwiające odkrycie, zważywszy że o mikroskopach Leeuwenhoek'a Royal Society dowiedziało się dopiero w 1673. Potem długo, długo nic — czyli bardzo niewiele — aż do Lamarcka który w „Philosophie Zoologique” stwierdził, że każde żywe ciało składa się z komórek i że te komórki nie są próżne jak komórki korka lecz wypełnione złożonym płynem, któremu Lamarck przypisywał ważną rolę w organizacji przyrody. W 1824 Henri Dutrochet nazwał komórkę podstawową jednostką (*une pièce fondamentale*) żywych organizmów a w 1833 Robert Brown, w książce o orchideach, (dziwnymi drogami chodzi scjentyfika) doniósł o odkryciu jądra. Theodore Schwann i M. J. Schleiden uzupełnili te rozproszone badania wykazując istnienie komórek także w organizmach zwierzęcych i ochrzczili nową wiedzę nazwą: teoria komórkowa. — Komórka jest podstawową jednostką życia i wszystko co żyje składa się z komórek.

Komórka zrobiła karierę.

Wiek XIX nie mógł jednak pójść wiele dalej. Brak mu było narzędzi i techniki, które muszą uzupełniać ułomność ludzkich zmysłów. Najbardziej logiczne hipotezy scjentyficzne wymagają doświadczalnego potwierdzenia a to nie jest zawsze łatwe, proste i bezpośrednie. Jak w Platónskiej jaskini prawdę scjentyficzną widzimy tylko w odbiciu wydarzeń, w znakach jakimi niewymiernie małe lub niewymiernie duże sygnalizuje swoją obecność. Nawet mikroskopia nie daje samo przez się zrozumiałego obrazu a inne sposoby biochemiczne i biofizyczne są jeszcze mniej bezpośrednie. Normalne mikroskopy używają do naświetlania obserwowanych przedmiotów światła którego fala jest dłuższa od średnicy części składowych komórki. Cytologia — nauka o komórce — nie mogła zatem do niedawna badać doświadczalnie

tyficzny. Przypominam więc, że SCJENTYFIKA jest moim skrótem na „nauki ścisłe i matematyczno-przyrodnicze” (*science* — we francuskim i angielskim), SCJENTYSTA jest fachowcem który para się tymi naukami, a SCJENTYFICZNY jest przymiotnikiem charakteryzującym tak scjentyfikę jak scjentyfistę. Scjentysta nie jest koniecznym uczonym. Inżynier jest scjentystą tak jak poeta jest humanistą i ani poeta ani inżynier nie muszą być uczonymi. Nie upierałbym się przy tych słowach gdyby ktoś inny znalazł słowa bardziej stosowne lub estetycznie bardziej poprawne, ale w braku laku scjentyfika, scjentysta i scjentyficzny pozostaną.

przedmiotów i spraw zachodzących wewnątrz komórki. Dopiero gdy w 1937 zbudowano pierwszy mikroskop elektronowy którym można obserwować przedmioty w świetle fal elektronowych znacznie krótszych niż fale świetlne, znaleziono właściwe narzędzie do badania składu protoplazmy. Ale i to nie było wszystko. Elektron mikroskopia wymaga dla precyzji swych obserwacji przedmiotów bardzo cienkich których grubość nie może przekraczać 100 do 150 Angstromów. (0,001 mm = 1 micron = 10.000 Angstromów. Jeden Angstrom jest więc jedną dziesięciomilionową milimetra). Dopiero stworzenie ultramikrotomu którym można krajać komórki na płatki grubości około 80 Angstromów uczyniło elektron mikroskop naprawdę użytecznym w tej dziedzinie. Te narzędzia uzupełnia przemysłna technika obserwacji. Sposobami bardzo skutecznymi, choć jak dotąd nie zawsze rozumianymi, umiemy uwypuklać widziane obrazy i barwić wybrane części komórek. Umiemy także rozrywać lub rozpuszczać błonę komórkową, nawet błony otaczające części komórki np. jądro, wylewać protoplazmę i wyodrębniając jej składniki badać je innymi równie udoskonalonymi sposobami chemiczno-fizycznymi, między którymi poczesne miejsce należy się technice radioaktywnie znaczonej atomów i chromatografii.

Trudno w piśmie, którego nazwa symbolizuje humanistykę, tłumaczyć zawiłości instrumentów i techniki które pozwalają przenikać mikroświat komórki. Czytelnik musi przyjąć na wiarę, że sprawy które opisuję nie są fantastyką scjentyficzną, czczą spekulacją, wytworem mej zliteratczanej wyobraźni, lecz wynikiem ścisłych doświadczeń i obliczeń wielokrotnie sprawdzanych i poprawianych. Ciekawych odsyłam do ich przyjaciół scjentystów (Moskali — jeśli nie mają innych) choć przyznam szczerze, że jestem zażenowany brakiem ciekawości intelektualnej naszej elity humanistycznej. Scjentyfika współczesna nie jest łatwa ale nie jest niedostępna. Nie trzeba rozumieć termodynamiki i zawiłości technicznych i chemiczno-fizycznych motoru spalinowego aby być wcale dobrym mechanikiem automobilowym i aby móc dyskutować w sposób kompetentny o wartości maszyny. Humanisci płci męskiej wiedzą wszystko (i nawet więcej!) o samochodzie ale do spraw scjentyfiki wzdragają się podejść bo „nigdy nie kapowałem matematyki”. Formułę chemiczną lub fizyczną wykreślają redaktorzy pism humanistycznych bez pardonu, bo „czytelnik może się zrazić”. Żargon krytyki literackiej, psychologii lub kawiarnianej polityki — owszem! Rysunek graficzny — nigdy! O tym, że żargon jest tak wieloznaczny że aż niezrozumiały a formuła jest zawsze jednoznaczna a więc możliwa do odcyfrowania jeśli przysiedzieć fałdów, nikt jakoś nigdy nie pomyślał. *Sapientii sat.* (Łacina Pan przepuści, redaktorze). Nie będę używał wzorów scjentyficznych, ale nie będę także starał się ułatwiać życia czytelnikom nie dość ciekawym aby się zdobyć na normalny wysiłek intelektualny. *Noblesse oblige* człowieka prawdziwie kulturalnego.

To co się współcześnie dzieje w scjentyfice jest tak wspa-

niałe i tak pełne konsekwencji dla przyszłości człowieka, że przerasta wszystkie humanistyki i wszystkie scjentyfiki jakie znaleźliśmy dotychczas. Przerasta w możliwościach dobrego i złego. Postęp scjentyficzny jest nieunikniony i nie ma siły która potrafi powstrzymać rozwój tej wiedzy, a narzędzia które stworzył wiek XX uwielokrotniają szybkość postępu. „Utopia” lub „1984” są tuż za rogiem urzeczywistnienia. Od nas zależy co z tym fantem zrobimy. Od nas, inteligentnie uświadomionych laików. Polityka, nie scjentyfika decyduje o użytku odkryć scjentyficznych, ale tym samym ponury cień półinteligenta w wąskim prerażająco unosi się ponad światem. Energia atomowa, reklamowana próbnymi wybuchami, nie jest jedyną groźbą. Postęp biologii niesie w sobie załączki równie groźnych możliwości. Manipulacja genetyczna może w rękach niedokształconych demagogów być nawet groźniejsza.

Narzędzia i sposoby naukowe współczesnej biologii, dając wgląd w zawiłości komórki i zbliżając na dystans rozpoznania budowę i skład najmniejszych jednostek życia, sprawiły, że mistyka stworzenia i sekret mutacji przestały być nieosiągalną zagadką. Zagadką wciąż jeszcze są, ale teorie i hipotezy biologii podzycie są dzisiaj bardzo konkretnym prawdopodobieństwem. To co wiemy o komórce, jej budowie i składzie, choć wciąż jeszcze nie tłumaczy „życia”, pozwala nam wierzyć, że życie jest sprawą którą umysł ludzki potrafi wymierzyć. Początek i koniec życia są dziś niemal w zasięgu mikroskopów tak jak początek i koniec świata są w zasięgu teleskopów. (Powiniennem w tym miejscu zdefiniować słowo „życie”, bo jak można mówić o czymś ściśle i naukowo jeśli się nie wie dokładnie o czym się mówi. Oprę się jednak pokusie! Każda hipoteza naukowa postępuje podobnie gdy szuka prawdy indukcją, więc wolno chyba i mnie robić aluzje do „życia”, mimo, że nie wiem dokładnie o czym mówię).

Komórka nie jest najmniejszą rzeczą w przyrodzie, ale najmniejsza komórka jest — z pewnymi szczególnymi wyjątkami jak np. wirusy — najmniejszą zorganizowaną jednostką. Najmniejszym organizmem. Komórki mogą być rozmaitych wielkości. Komórki ludzkie mają przeciętną średnicę około 10 mikronów, komórki bakterii często około 0,4 mikronu i są zatem na pograniczu widzialności w świetle zwykłego mikroskopu. Ale żółtko jaja jest także komórką i nie tylko strusie jaja są widzialne gołym okiem. Wielkość komórki zależy od funkcji jaką wykonuje. Im bardziej komórka jest aktywna tym jest mniejsza. Aktywność komórki mierzy się jej zdolnością przemiany materii — metabolizmem. Metabolizm wytwarza energię, w formie ciepła, a ciepło musi się w jakiś sposób rozprószyć inaczej spali komórkę. Im większy jest stosunek powierzchni do masy tym mniejsza jest komórka i tym szybciej jej ciepło się rozpruży. Jeśliby słoń przemieniał materię tak szybko jak koliber usmażyłby się własną energią.

Komórkę porównuje się często do fabryki chemicznej. To

wyświechtane porównanie ma, jak frazes w literaturze, wartość uproszczenia. Widzimy, w sposób w jaki przywykliśmy patrzeć, organizację, ośrodek kierowniczy, źródła dostaw, źródła energii, sposób rozprowadzania. Widzimy maszynierię i obsługę i kontrolę wytwórczości. Komórka mieści się w częściowo przenikalnej błonie która zakreśla jej granice. Błona jest grubości 100 Angströmów (jednej stutysięcznej milimetra) i jest zbyt cienka aby nawet elektron mikroskop mógł pokazać jej budowę. Niemniej wiemy, że ma *jakąś* budowę, bo przepuszcza np. do wnętrza jony potasowe a nie przepuszcza jonów sodowych mimo, że oba jony są równej wielkości i posiadają równy ładunek elektryczny. Przez elektron mikroskop widać zawiłe pofałdowania błony które wyglądają jak gdyby przenikały ją na wskroś i które niewątpliwie także mają jakieś znaczenie. Dostawy surowców przenikają błonę do wnętrza a wytwory przenikają ją na zewnątrz. W komórce znajduje się jądro które jest ośrodkiem kierowniczym, dyrekcją fabryki. Masa jądrowa wygląda w sztucznie zabarwionej komórce jak delikatna siateczka nadziana koralikami. Części jądra które można barwić nazywamy chromatyną, a chromatyna staje się wyraźniej widoczna podczas podziału komórki. Umiemy także wydzielać chromatynę z komórki i udało się ją zanalizować chemicznie. Wiemy, że składa się z dwu drobin białek oraz z DNA i RNA. Reszta wnętrza komórki jest ośrodkiem wytwórczości i obsługi. Produktem są rozmaite wydzielinę jak np. krochmal, barwki lub inna komórka, a obsługą jest przenoszenie tlenu i dwutlenku węgla, przekazywanie wiadomości, ochrona przed wypadkami lub, po prostu, ruch.

Słońce — jak czytelnicy „Kultury” niewątpliwie wiedzą bo jest to niemal literackim frazesem — jest jedynym źródłem życiodajnej energii na ziemi. Jednak tylko zielone rośliny i niektóre drobnoustroje umieją tę energię bezpośrednio używać. Reakcja która to umożliwia nazywa się fotosyntezą. Komórki innych organizmów. m.in. zwierzęcych są zmuszone wykorzystywać energię wytworzoną przez rośliny. Fotosynteza przemienia energię promieni słonecznych w energię chemiczną przy pomocy chlorofilu, który jest zielonym barwnikiem istniejącym w pewnych ciałkach komórki, tzw. chloroplastach. Komórki roślinne przemieniają wodę i dwutlenek węgla w węglowodany i stwarzają podstawę życia z której komórki zwierzęce mogą korzystać. Scjentyfika wie dziś wiele o mechanizmie tej przemiany, choć dokładny sposób w jaki chlorofil „chwytą” ładunek energii słonecznej wciąż jeszcze wymyka się naszej przemyślności. Prawdopodobnie jest to analogiczne z działaniem tranzystorów w których przepływ elektronów przez specjalne ukształtowanie atomów wytwarza „cudeńka” radaru, telewizji, radia etc. A jeśli to wszystko jest chińszczyzną dla czytelnika, mogą go pocieszyć, że nawet specjaliści nie czują się zbyt pewni w terenie w którym hipotezy, nie teorie, wszechwładnie rządzą.

Na marginesie tych rozważań, warto przypomnieć pilnym czytelnikom mych esejsów (vide: „Biopoezja”, *Wiadomości*, nr 592,

4 sierpnia 1957 r.), że dzięki fotosyntezie pierwotna, beztlenowa atmosfera ziemi przemieniła się w atmosferę zawierającą tlen, i tym samym umożliwiła dużo bardziej wydajne formy życia, między innymi, — Adama i Ewę. I jeszcze jedna ciekawostka. Formuły chemiczne chlorofilu i hemoglobiny są bardzo podobne, a to otwiera szerokie pole spekulacji o ich pochodzeniu z wspólnego pnia ewolucyjnego.

Węglowodany, proteiny i tłuszcze są paliwem komórki. Energia wytworzona tym paliwem musi być przenoszona, magazynowana i przetwarzana, podobnie jak elektryczność we fabrykach. Trudność polega na tym, że energia chemiczna zbyt często wyładowuje się gwałtownie. Zbyt gwałtownie na wolne tempo przemian życiowych i na delikatną strukturę żywych organizmów. Ogień lub silne wyładowania elektryczne są zbyt radykalnym wyrazem energii. Komórkowa fabryka musiała więc znaleźć inną odpowiedź na ten problem. Jeśli zmieszamy w zamkniętym naczyniu dwa gazy — wodór (H) i tlen (O) jasnym jest dla każdego laika, że wytworzy się woda (H₂O). Błąd! Zgadywanie nie popłaca w scjentyfice, zwłaszcza jeśli się jest laikiem. Zmieszane gazy pozostaną mieszką wodoru i tlenu, chyba że je zapalimy. Wówczas natychmiast — i wybuchowo — skroplą się w wodę. Stanowczo nie radzę czytelnikom sprawdzać tego doświadczalnie. Wybuch jest nieunikniony a wynikła energia nie wyjdzie eksperymentatorowi na zdrowie. Jeśli jednak do mieszkanki wodoru i tlenu dodamy czerń platynową, skroplenie nastąpi bezboleśnie. Bez zapalenia i bez wybuchu. W jakiś „tajemniczy” sposób, czerń platynowa, która jakościowo i ilościowo się nie zmieni, ułatwia reakcję pozornie nie biorąc w niej udziału. Akcję czerni platynowej nazywamy katalizą a czerń katalizatorem. Znamy wiele innych katalizatorów a ich działalność nie jest dziś już tak tajemnicza jak 40 lat temu gdy ja tych spraw się uczyłem. Żywa przyroda zna także katalizatory organiczne które podobnie ułatwiają reakcje pozornie nie biorąc w nich udziału. Enzymy są katalizatorami organicznymi i pozwolna przemiana energii związanej chemicznie w komórcie jest dziełem enzymów. Enzymy odgrywają poza tym wiele innych, niemniej ważnych, ról w biologii i w życiu człowieka, a ich działalność za dokonanie *ne plus ultra*. Siłownią która rozładowuje w komórce energię chemiczną przy pomocy enzymów jest mitochondrion, ciało o wielkości 0,2 do 3,0 mikronów, a zatem widoczne w elektroniskroskopie. Mitochondrion rozłamuje węglowodany, zwalnia ich energię i przenosi ją na inne drobiny. W ten sposób energia słoneczna zamagazynowana w tych produktach wytworzonych przez świat roślinny — świat chlorofilu i fotosyntezy — trafia do świata zwierzęcego. Należałoby jeszcze dodać — choć może już za dużo tego abrakadabra na wyrozumiałość humanistycznej „Kultury” — że główną drobiną magazynującą biologiczną energię jest ATP (*adenosine Triphosphate*) i że tę drobinę wydziela mitochondrion gdziekolwiek energia jest potrzeb-

na. Można to zaokrąglić humanistycznie wiadomością, że ATP jest mierzone analitycznie wyciągiem z ogonka robaczka świętojańskiego, a ten wyciąg nazwano — niewątpliwie pod wpływem piątej kolumny humanistycznej — lucyferyną.

Organizacja komórki nie jest oczywiście dosłownie organizacją fabryczną. Znamy dobrze organizacje i funkcje fabryk i są one przeważnie prostoliniźnie zrozumiałe i zawsze pełne bałaganu. Organizacja komórki jest precyzyjna ale niezawsze widoczna i zawsze bardzo zawiła. Części jest bardzo wiele, są złożone i bardzo małe a nasze instrumenty pokazują je nam tylko pośrednio, częściowo i niezbyt dokładnie. Funkcje wykonywane przez komórki wyrażają się niewidocznymi reakcjami chemicznymi o których też wiemy tylko nie wiele. Niemniej organizacja istnieje. Życie nie jest wypadkową przypadkowych, nieskoordynowanych wydarzeń.

Czas zamknąć nawias tej analogii. Komórka wytwarza wprawdzie i rozprowadza najrozmaitsze produkty chemiczne, ale równocześnie buduje mechanizm który te produkty robi. Innymi słowy, reprodukuje sama siebie. Tego żadna fabryka nie potrafi. Analogia fabryki i komórki ma więc poza literacką banalnością także inne niedociągnięcia. Cóż robić! Analogia w literaturze jest przeważnie zbanalizowaną metaforą a w scjentyfice tylko literackim chwytem.

Reprodukcja komórki wprowadza nas w inną analogię. Równie zbanalizowaną ale równie pożyteczną. Analogię z kontredansem. Gdy obserwujemy żywą komórkę uderza nie tylko rozmyślna celowość jej działania ale także regularność i precyzja z jaką działalność komórki powtarza się raz po raz we wszystkich innych komórkach. Dorosły człowiek składa się z 10¹⁴ komórek. (Dla zawodowych nie-matematyków, można to wypisać bardziej po sztubacku choć nieco dłużej jako 100.000.000.000.000). Wszystkie te komórki powstały z jednej — zapłodnionego *ovum* — przez podział i wszystkie komórki żywych organizmów mają zasadniczo podobny mechanizm podziału. Podział, zwany mitozą, zaczyna się ujawnieniem chromozomów, które przed podziałem nie mają widocznej struktury. Gdy jądro zaczyna się dzielić każdy chromozom uwidocznia podwójne nitki które na oczach skręcają się, skracają i grubieją. Równocześnie błona jądrowa znika i ukazuje się wrzeciono a każdy chromozom łączy się z biegunami wrzeciona. Powoli chromozomy ustawiają się na równiku. Wszystkie są dokładnie widoczne, można je liczyć, mierzyć i opisywać. Po chwili każdy chromozom dzieli się na dwoje i każda połowa wędruje do odpowiedniego bieguna. W ten sposób na każdym biegunie znajduje się nowa, pełna grupa chromozomów. Nowa grupa otacza się nową błoną, chromozomy zaczynają się rozkręcać i przybierają postać taką samą jaką miały przed podziałem. Jedna komórka przemieniła się na dwie. Ten taniec chromozomów był tak często opisywany, rysowany, fotografowany, nawet filmowany, że nawet humaniści niewątpliwie znają tę scjentyfikę. Nie trzeba więc obalać tradycyjnego wstępu

redaktorskiego do ilustracji graficznych. Wystarczy wywołać poszczególne figury kontredansu. Metafaza! Anafaza! Telefaza! Cytokineza! *Avancez! Change des dames!* Od genezy — cokolwiek było genezą, do końca — cokolwiek będzie końcem.

Komórka rozdziela się na dwoje znika w teorii ale w praktyce istnieje nadal w obu komórkach które zrodziła. Od czasów Pasteura wiemy, że życie powstaje tylko z życia, każda komórka musiała zatem powstać z innej komórki a to daje ciągłość aż do... początku. A Bóg nie stworzył chyba Adama z gliny a Ewy z Adamowego żebra, ale pierwszą komórkę — jeśli koniecznie chcemy wierzyć w mistykę „stworzenia”.

Pedantycznie zebrane fakty i obserwacje biologii pokazują świat podlegający prawom które są jednolite, logiczne i konsekwentne. Ale współcześnie to nie wystarcza. Wszystkie „jak” i wszystkie „dlaczego” nie są same przez się scjentyficzną prawdą. Alchemia zebrała mnóstwo użytecznych i ścisłych faktów i doświadczeń chemicznych a astrologia знаła wiele ścisłości astronomicznych, mimo że nie były scjentyfiką. Scjentyfika wymaga nie tylko rzetelnej pracowitości ale także intelektualnej rzetelności i obiektywnego wglądu w przyczyny i skutki. Wglądu w przeszłość i przyszłość. Prawda scjentyficzna jest szukaniem. Dawniej gdy faktów było niewiele a każda nowa obserwacja zadziwiała jednolitością przyrody i niezmienną wiekiustością świata, prawda scjentyficzna wydawała się niewzruszalna i wieczna. W naszym pokoleniu, Einstein objawił prawdę inną. Prawdę zmienną, kapryśnie wiodącą od jednej względności do drugiej. Prawdę tak długo prawdziwą jak długo jest urodzajna. Prawda oparta tylko o wczoraj, tylko o doświadczenie, prawda nie przewidująca przyszłości, prawda nie szukająca powiązań z innymi prawdami, prawda która wierzy w dogmat — nie jest prawdą. Trzeba przeciąć węzeł semantyczny. Mowa jest płynna i zmienna. Słowa nabierają innych znaczeń z wzrastającym doświadczeniem. Stara „prawda”, która przeszła w słowniki jako fundament i filar niewzruszalności religijnej, musi w XX wieku uwzględniać także płynność scjentyfiki. Komórka nie jest tylko tym co dojrzał Hooke, co widział Leeuwenhoek, o czym myślał Lamarck i Dutrochet i Robert Brown i Schwann i Schleiden. Nie jest nawet tylko obrazem widocznym w elektron-mikroskopie na skrawkach pociętych mikrotomem. Jest tym wszystkim, ale jest także zbiorem związków chemicznych wpływających jeden na drugi zawiązością swych elektronów wartościowości, — swą fizyko-chemią. Fizyka i chemia działają i mogą być rozumiane w wymiarze jednego czasu i wszystkich czasów. Właściwości chemiczne i fizyczne są jednolite i wieczne. Były te same w chwili stworzenia 10.000 milionów lat temu (i prawdopodobnie także przed stworzeniem) i będą te same w chwili końca (i po końcu). Nie tak biologia. Gdy badamy scjentyficznie sprawy związane z życiem musimy nie tylko wiedzieć jak działają w absolutnej, beczasowej skali, ale musimy także uzgodnić je w rozmaitych skalach czasu, bo życie każdego organizmu istnieje

je w czasie „od-do”. Musimy więc patrzeć na życie w klamrze od poczęcia do śmierci. Musimy także patrzeć na nie z punktu widzenia dziedziczności, a więc szeregu klamr życiowych. Musimy wreszcie patrzeć na nie z lotu ptaka — z punktu widzenia ewolucji. Scjentyfika zna te sprawy i częściowo je rozumie, ale w literackim eseju musimy znowu poprzestać na gołosłownym stwierdzeniu, że wiedza o tych sprawach jest poważna i musimy apelować do zaufania czytelnika albo do jego ciekawości, która powinna go zawieść do źródłowych podręczników. Niezbyt wielkie wymaganie od człowieka prawdziwie kulturalnego.

Opis komórki zaskakuje nas jeszcze jedną komplikacją o szerszym zasięgu. Jeśli pierwsza komórka nie jest „homunkulusem”, jak wytłumaczyć różnorodność komórek które powstają z jej rozłamu. W jaki sposób komórka zapłodniona jąja stwarza przez podział komórki krwi, nerwów, mięśni, wątroby etc. i, było nie było, pół-komórki płciowe — gamety. Poprzestaniemy jednak na postawieniu pytania. Odpowiedź nie jest istotna dla tego eseju i także można ją znaleźć w fachowych podręcznikach. To co piszę i to co czytasz, Czytelniku, nie jest rozprawą naukową. Nie jest nawet rozprawą filozoficzną, Jędrusiu, lecz ćwiczeniem literackim na temat scjentyficzny. Ćwiczeniem, które nie tłumaczy niczego lecz tylko filozofuje „na temat”. Palcówką która umożliwia zagranie sonaty.



Postęp społeczny nie dotrzymał kroku eksplozji scjentyficznej. Zbyt często nie wiemy co zrobić z fantem który współczesna nauka nam daje. Rozszczepienie atomu i groźba całkowitego palenia ludzkości jest tego najbardziej jaskrawym przykładem. Atmosfera wielkich miast zatruta wyziewami motorów spalinowych oraz rzeki i jeziora zatrute masami chemicznych środków czyszczących i owadobójczych, są innym. Zupełnie podobnie tylko niewielki krok dzieli nas od politycznych implikacji wiedzy o komórce. A kto z nas dzisiaj ufa politykom? Jeśli jutro potrafimy świadomie przeksztacić komórkę do pojrzałego człowieka. Czy jesteśmy gotowi na taki eksperyment?! Polecam bardzo starą (1930) powieść Olafa Stapledona pt. „Last and first men”, wznowioną w 1966 r. przez Penguin Books Ltd. Powieść opisuje możliwe przemiany genetyczne ludzkości której pierwszym wcieleniem jest człowiek dzisiejszy i jest fantastyką scjentyficzną. Ilustruje zatem możliwości — nie pewność. Ale jakkolwiek drogą losy ludzkości się potoczą w ciągu następnych 10.000 milionów lat, wiemy bez cienia wątpliwości że niezbyt dalecy jesteśmy od naukowej możliwości manipulowania ludzkiej genetyki. „Roboty” Capeka mogą objawić się w mniej sztucznym ale może bardziej groźnym wcieleniu. Gmach scjentyfiki wzrasta w sposób nieunikniony. Problemy manipulacji genetycznej są ubocznym produktem odkryć naukowych których nie można powstrzymać ale które — być może — można ujarz-

mić humanistyką. Humanistycznie uświadomione społeczeństwo może przy pomocy scjentyfiki opanować dziedzictwo nienawiści i głupoty i przeszkodzić przyszłym katastrofom. Ale czy nie jest to kwadraturą koła? I jak wiele utopizmu jest w moich słowach?! Scjentyfika sięga imponująco w przyszłość, ale nasza wiedza polityczna, rozumienie ludzkich motywacji jest wciąż jeszcze na poziomie neandertalczyka. Trudno w tych warunkach być optymistą. Pokolenie które znało komory gazowe, Lidice, Katyń i Hiroszimę, nieufnie patrzy w przyszłość kształtowaną przez polityków. Nie możemy jednak iść w ślady Luddytów. Nikt nie jest w stanie zniszczyć scjentyfiki. Nie mamy wyboru! A jeśli kości rzucone padną na „1984”, zawsze możemy wierzyć, że prawa ewolucji poprzez wzloty i upadki nieuniknienie wiodą w postęp. Do „ostatniej ludzkości” Stapledona.

„Człowiek we wiecznej walce z siłami przyrody”! Jak daleko odbiegłem (odbiegliśmy) od egzaltowanej naiwności tego wymarzonego tematu, który komplikuje się z odkryciem każdego nowego pofałdowania błony komórkowej, każdego nowego skrętu życionośnych protein, każdej karkołomnej teorii scjentyficznej tłumaczącej to czy owo komórki. Człowiek nie walczy z przyrodą. Człowiek jest częścią przyrody nawet gdy kształtuje jej zmiany. Podobnie jednak tytuł: „Kogo nazywamy człowiekiem prawdziwie kulturalnym?” — bałamuci nieuchwytnym skrętem humanistycznego myślenia. Jakbym dzisiaj napisał to wypracowanie gdybym mógł cofnąć czas o 40 lat zbrojny w to co dzisiaj wiem, mądry jak Polak po szkodziu.

Posłuchajmy!

— Tytuł naszego zadania maturalnego grzeszy nieścistością bo zawiera więcej niż jeden znak zapytania. Przede wszystkim słowo „nazywamy”. Kto „my”? Czy my „ósmacy” gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Krakowie roku 1925? Czy my Krakowianie? Czy my mieszczanie? Czy my Polacy? Czy my Europejczycy? Czy my rasa biała? Tytuł tak sformułowany nie pozostawia mi wyboru. Muszę go zmienić! „Kogo nazywam człowiekiem prawdziwie kulturalnym?” Ja, Henryk S. uczeń klasy 8-iej B. Ale taka zmiana tematu wymaga ścisłej definicji Henryka S., jego życia, antenatów, antecedensów, otoczenia, genów, kompleksów, cnót, przywar etc. a ważność i wartość mego wypracowania będzie tym samym czysto indywidualna. Co ja myślę nie musi mieć ważności dla nikogo aby być poprawną odpowiedzią, a ocena mego wypracowania nie może być zatem mierzona waszym widzimisię, panowie egzaminatorzy.

Jestem także zakłopotany słowami „prawdziwie kulturalny” — nie mówiąc o słowie „człowiek” którego ani antropologicznie ani biologicznie nie rozumiem. O jakiej kulturze człowieka prawdziwie kulturalnego myśli tytuł tego wypracowania. Czy o kulturze materialnej którą niektórzy, bez głębszego przekonania, nazywają cywilizacją, czy też o tzw. kulturze duchowej. I co jest duszą kultury duchowej? Problem jak dotąd nie uzgodniony przez teologie wszystkich religii i wszystkich czasów. Przypuść-

my jednak, że wiemy czym jest kultura duchowa, czy obejmuje ona także nie-humanistyczne dyscypliny. Czy np. kolega Kohn, który rozumie teorię względności (nie byle wyczyn w tym roku 1925!) ale nie interesuje się Jagiellonami, jest człowiekiem kulturalnym? Albo czy przyrodnicy Wojtusiak i Mikulski są kulturalni choć nie znają różnicy między Bel Paese a Buonarottim? A czy Franek Kuciel, mechanik nad mechaniki, który na ślepo rozłoży i złoży każdą maszynę, który instynktownie rozumie zawiłości drutów i drucików, stopek i kontaktów ale który nie interesuje się ani pamiątkami Paska, ani biskupem Krasickim, ani współczesną polityką jest człowiekiem kulturalnym? „Humanisci prawem kaduka zaanektowali na swój własny i wyłączny użytek słowo „kultura” tak jak gdyby ono nic nie miało wspólnego z innymi zainteresowaniami człowieka”. (Cudzystów w powyższym zdaniu cytowanym z przeczcucia, jest antycypacją. C. P. Snow napisze podobne zdanie dopiero za 30 lat). Czy muszę także kwestionować słowo „prawdziwie”. Czy prawdziwa kultura musi znać różnicę między serem a artystą i czy musi pojmować nietakt „ryby nożem”. I czy Eskimosi są prawdziwie kulturalni gdy wykonują wzruszająco piękne rzeźby z kamienia i kości foczej, mimo że *never in human history have so few little people smelt so much*. I czy można upraszczać lub sumować człowieka?

Po tym wstępie wjechałbym w politykę. Kultura która dostrzega rozmaite punkty widzenia a nie tylko własną zaściankowość. Kultura która umie przyznać się do błędu i kultura *my country right or wrong*. Kultura *der Dichter und Denker* i kultura, która przewidując Buchenwald, rozstrzela sierzanta Griszę. Moje dzisiejsze wypracowanie różniłoby się od tego jakie umiałbym. Nie pisałbym o zewnętrznych objawach kultury.

Ale czy takie wypracowanie, pisane doświadczeniem, różniłoby się wiele od tego które napisałby młodziak pełen tromtadracji. I... czy tłumaczy — naprawdę tłumaczy — człowieka kulturalnego? Człowieka który myśli aby myśleć, nie aby wymyślić. Człowieka który rozumie sprawy niezrozumiałe dla niekulturalnych. Człowieka dla którego brak kultury jest sprawą którą należy naprawić, nie ukarać. Człowieka który wie, że nie wie, a zatem nie uzurpuje sobie prawa do ferowania wyroków. Człowieka który znając własną słabość, szanuje słabość cudzą. Człowieka... Obawiam się, że opisuję człowieka tolerancyjnego a nie człowieka kulturalnego. Choć kto tam wie!

Może więc lepiej trzymać się mych palców scjentyficznych, mniej egzaltowanych i bardziej pragmatycznych. Palców które zawsze można okraszać humanistycznym leitmotywem i które, przez implikację, może nawet opisują człowieka prawdziwie kulturalnego.

Henryk SCHOENFELD

Antyojczyzna

*jakiż zwycięzców przysły czas
i nas odpomni, niewolników?*

Tadeusz Borowski

Kiedy skończyłam lat trzydzieści moi przyjaciele ze Stanów napisali do mnie wspólny list. I tak do dziś trudno mi zrozumieć, że w ogóle mieli tyle inicjatywy i że zdołali przewyciężyć wrodzoną i nabytą obojętność. Obracałam ten list w rękach nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Podpisów było tam co najmniej dziesięć, a język w jakim został napisany można by ewentualnie nazwać polskim. Oczywiście, gdyby ktoś miał dużo dobrej woli. Powiedzmy, że był to amerykańsko-polski dialekt. Zresztą nie to jest ważne. Czytałam go rano przy stole w kuchni i było mi jakoś wesoło, choć rozumiałam od razu z nic nie znaczącej treści tego listu, już nawet zanim go otworzyłam wyczułam właściwie przez kopertę, że koledzy martwią się moim losem.

Stare to dzieje, gdy siedzieliśmy w stołówce studenckiej na Schillerstrasse i oni nie powinni wobec mnie odczuwać żadnych zobowiązań. Nieraz tamtędy przechodzę i wcale mnie to nie niepokoi. Jest tam zwyczajna restauracja, jak każda inna knajpa w Monachium, ani śladu po nas nie zostało. Podłużny stół w tylnym pokoju jest jeszcze ten sam, weszłam tam nawet kiedyś popychana pustą ciekawością. Szczerniały od starości zegar, pianino, brudna batystowa firaneczka w oknie. Ale ich już nie ma. Są w Stanach Zjednoczonych od lat i dziwne by było gdyby ciągle jeszcze byli ci sami czy tacy sami. Nie ma o czym mówić. Ja natomiast nie zmieniłam się i jestem z tego dumna.

Jestem ta sama co wtedy przynajmniej wewnątrz. Zewnętrznie co innego, ale co to ma do rzeczy. Nic.

Teraz w kuchni przy stole, gdzie zawsze jadłam śniadanie, wciągałam z przyjemnością w nozdrza zapach kawy i śmiać mi się z nich chciało. Wyobrażałam sobie jak pisali ten list. Jeszcze ci, którzy są w Nowym Jorku to nic, głupstwo. Ale jeden gość Janek Torn także coś tam pisał, a on mieszka w Detroit i jest tam psychiatrą. Może właśnie dlatego był im potrzebny do pomocy. W każdym razie porządnie śmiać mi się chciało na myśl o tym, jak oni musieli ten list posyłać to tu to tam, do Chicago, do Detroit, bo wiem dobrze jak trudno im jest cokolwiek zorganizować i na cokolwiek się zgodzić. Wprawdzie oni są lekarzami i chyba jako tako pracują, inaczej nie trzymano by ich w końcu po szpitalach i nie mieliby pacjentów, ale przecież wiem jak trudno im jest przyjść gdziekolwiek na czas, wybrać się w porę i w ogóle jakiś plan wprowadzić w życie. Ciekawam zresztą czyj to był pomysł i kto sobie przypomniał o moich urodzinach.

Swoją drogą jak oni siedzieli przy podłużnym stole i gadali jeden przez drugiego. Wszystko już o sobie wiedzieli, więc nie musieli się wzajemnie wysłuchiwać. Tego dnia, kiedy tam wstąpiłam, w pokoju za restauracją było cicho i pusto. W głównej sali kilka osób jadło obiad. Kelnerka była zła, że usiadłam w bocznym pokoju, ale nie odważyła się nic powiedzieć. To była już inna kelnerka. Potem była podwójnie zła, bo zamówiłam tylko kawę, ale teraz już jej nie wypadało kazać mi się przenieść bliżej kuchni. Samotność kapała wręcz ze ścian po społu ze spleśniałą wilgocią. Fantastyczne, myślałam, żeśmy przeżyli, ale niemniej fantastyczne, że nas tu więcej nie ma. A potem nie mogłam tam już dłużej wytrzymać, więc zapłaciłam i powlokłam się w kierunku Stachusa. Na Stachusie wsiadłam do tramwaju i pojechałam do biblioteki. Zaczęło się znowu moje zwyczajne życie. Z biblioteki poszłam po paru godzinach piechotą do siebie na Schwabing. Zapadał już zmrok. W domu nastawiłam radio. Potem zadzwonił Hans, który pracuje ze mną w Instytucie. Chciał, żebym mu pomogła przełożyć jedno zdanie z polskiego. Więc trochę z nim gadałam, choć doprawdy widzujemy się codziennie i nie mamy sobie wiele do powiedzenia. Trochę później dzwoniła Uta, jedna moja dawna koleżanka, z którą byłam kiedyś razem na nartach w Oberstdorfie. Uta jest aktorką, dosyć podrzedną aktorką i wmawia sobie poza tym, że jest żydowskiego pochodzenia. Nie pamiętam już jakim cudem przez ojca czy przez matkę grunt, że trzyma mnie przy aparacie telefonicznym prawie codziennie z pół godziny omawiając tę w jej mniemaniu fascynującą sprawę. Tym razem trzymała mnie tak długo, że przegapiłam

koniec słuchowiska radiowego a strasznie byłam tego końca ciekawa, bo był to „kryminał” i czekałam z napięciem na rozwiązanie zagadki. Potem poszłam się przejść. Na rogu w małej kawiarence, gdzie wstępuję od lat i gdzie mnie wszyscy znają napiłam się cinzano i rozmawiałam z właścicielem o pogodzie. W łóżku przed zaśnięciem wróciłam raz jeszcze niechętnie myślą na opuszczoną przez nich Schillerstrasse. Było tam nam ze sobą dobrze, rozważałam zasypiając, co tam, teraz także nie jest mi źle.

List musiałam odłożyć, kiedy przyszła dozorczyńni. Przychodzi raz na tydzień sprzątać. Chętnie z nią rozmawiam. Opowiada mi o innych lokatorach. Jak mieszkają, jak żyją, jak się kłócą. Dzisiaj także. Kiwam głową. Myślę sobie w duchu, że i tak mnie ci Niemcy nie obchodzą i jest mi dobrze. W końcu mówię do niej. — Moi koledzy chcą, żebym pojechała do Ameryki.

Jest do mnie odwrócona tyłem i widzę wyraźnie jak sztywnieje. Pewnie, chcą się nas pozbyć. Przypomina mi się jak Niemcy zabrali moim rodzicom mieszkanie. Wiadomo, nic to nie było w porównaniu z tym, co zrobili później, ale był to jednak początek końca. Wydobywam z siebie starannie to wspomnienie, wyglądam je niejako, jak się wygładza i rozprostowuje zmiętą, wyblakłą fotografię. Jeszcze chwila a opowiem jej o tym. Niech powie choć jedno słowo. Ale ona milczy. Chytra. Co mi na niej właściwie zależy. Prosta kobieta, dozorczyńni. Mąż był na froncie. Pewnie, że był na froncie. — A pani doktor co na to? — pyta wreszcie.

— Wybiorę się z wizytą.

Kiwa głową. Pewnie kombinuje co i jak i komu ewentualnie zostawi mieszkanie. Ciągle jej coś pcham w łapę. To z głupiego przyzwyczajenia. Jeszcze od tych pierwszych powojennych czasów. Stanowczo nie powinnam.

W Instytucie, gdzie od kilku lat mam posadę, a gdzie przychodzę o dziewiątej, moi koledzy Inge i Hans okazują duże zainteresowanie.

— A co tam będziesz robić? — pyta Inge.

— Nie wiem. Może moi koledzy mają jakieś plany.

Inge uśmiecha się do siebie. Ostatnio Niemcy emigrują prawie masowo do Ameryki. Zwłaszcza naukowcy. Inge już od dawna ma ochotę jechać. Dawniej mi dokuczała, ale od dłuższego czasu przestała. Profesor Sommer zawsze brał moją stronę nie mówiąc już o docencie Hallerze. Dla Sommera jestem w ogóle najzdolniejsza pod słońcem. Inge daje mi czasem do zrozumienia, że to jego poczucie winy. Głupia. Sama chyba wie, że pracować potrafię a głowę mam nie od parady. Dawniej mnie nie znosiła, bo zdawało się jej że chodzę z Hansem. To stare dzieje, jeszcze studenckie czasy. Tymczasem Hans nie ożenił się ani z nią ani

ze mną, tylko z całkiem prostą Bawarką z prowincji. I tak nie wyszłabym za Niemca, więc mnie to nie dotknęło, ale Inge dosyć się z tego powodu nagryzła. Potem dobił ją całkowicie mój romans z Hallerem. W końcu została starą panną. Na pewno nie z mojej winy.

Pracuję do godziny pierwszej a potem idę sama na obiad. I to jest właśnie jedyna pora, kiedy trochę mi się przykrzy za tą naszą dawną stołówką. Jak tam było wesoło. Czasem sam profesor wpada do tej restauracji na Amalienstrasse. Postarzał się od moich studenckich czasów. Rozmowa z nim jest uciążliwa, bo jest głuchawy. Należy do ludzi dobrej woli i dużo o tym mówi. Ciągle chodzi na jakieś zebrania i podpisuje to i owo w sprawie porozumienia i pojednania niemiecko żydowskiego. O tym właśnie rozmawiamy najczęściej. Odpycham od siebie myśl, że mnie ten temat po prostu nudzi. Nie wypada, żeby tak było.

Tego dnia, kiedy dostałam list powiedziałam mu, że chciałabym wziąć dłuższy urlop, żeby móc odwiedzić moich kolegów w Stanach. Naprzód nie dosłyszał a potem powiedział żartobliwie, że mnie nie puści. Było mi przyjemnie, jednak jestem im na coś potrzebna. Potem mówiliśmy o mojej pracy habilitacyjnej. Prawda, przyznaję, jest w tej pracy obecnie jakiś zastój. Ale to nic. Profesorowi sprawia to przykrość, chciałby, żebym została docentką. Czy ja wiem. Może rzeczywiście wyjadę do Ameryki.

O piątej na Akademiestrasse, kiedy szłam już do domu znowu spotkałam Hansa. Niby także szedł do domu, ale zaprosił mnie na kawę. Usiedliśmy w kawiarence na Elisabethplatz. I wtedy mi oznajmił, że rozwodzi się z żoną. Naprzód milczałam a później zaproponowałam, żebyśmy się przenieśli do innej kawiarni, do San Marco. Spojrzał na mnie zdziwiony, ale nie sprzeciwił się. Skoro chciał, żebym go wysłuchała musiał przyjąć moje warunki. Więc trwało to znowu pół godziny aż znaleźliśmy się w San Marco i usadowiliśmy się tam na dworze. Tymczasem było już późne popołudnie, dosyć ciepło i wszyscy pili kawę. Właśnie tak chciałam siedzieć wśród ludzi, na ulicy na widoku.

Podjął na nowo opowiadanie, ale jakoś stracił wątek czy co. Co chwila przerywał. Zaczynał od początku, gubił się w głępsztwach, które nic nie znaczyły. Na przykład, że był teściowi winien pieniądze i że teść chciał te pieniądze, a potem ich już nie chciał, a teraz znowu chce. Co miał piernik do wiatraka. Trochę mnie to nużyło, tłumiałam ziewanie, ale musiałam go przecież wysłuchać. To był ten jego dramat. Myśmy swoje już przeżyli raz na zawsze, nas to więcej nie dotyczyło. Zagłębiłam się w myślach w tamten prawdziwy świat, który oni uśmiercili. Objawił mi się w ostatniej fazie, w ostatecznych drgawkach.

Wszystko co kiedyś gdzie przeczytałam czy zasłyszałam stało mi przed oczyma. Obozy, las, bunkry, schowki. Trudno, żebym się przejmowała głupim rozwodem Hansa, który bądź co bądź był współwinien.

— Nasze życie już się zakończyło — powiedziałam idąc za biegiem moich myśli.

Widziałam, że jest mu nieprzyjemnie, że jest pod wrażeniem tego co powiedziałam. Na chwilę odsunął na bok własne sprawy. Co miał na to odpowiedzieć, wiedział chyba, że tak było naprawdę. Zapytałam łaskawie — w jaki sposób mogę ci pomóc?

To pytanie zbiło go całkowicie z tropu. Okazałam się tą bardziej wyrozumiałą stroną. Zresztą Hans nieraz pomagał mi w różnych sytuacjach i chyba naprawdę go lubiłam. Dużo mnie to wszystko obchodziło. Niech się żeni, niech się rozwodzi. Znałam sprzeczność moich uczuć, ale sama już jej właściwie nie odczuwałam. Była jak symptom jakiejś choroby dokładnie opisany przez innego człowieka albo wyszczególniony w podręczniku.

— I co, wybierasz się rzeczywiście do Ameryki? — zapytał.

— Jeszcze nie wiem. Na razie nie na stałe. Z wizytą.

— Może to i lepiej.

Nie chciałam w to wcale wchodzić. Nie był uprawniony do oceniania, do wypowiadania sądów. Słońce schowało się za dach narożnej kamienicy. W tej właśnie starej narożnej kamienicy mieszkał kiedyś Janek Torn. Janek zawsze mówił w stołówce, że mieszka w dobrym punkcie i wszyscy się z tego śmiali. Jakby to był wyborny dowcip. Nie zrozumiałam nigdy na czym polegał, sądzę nawet, że na niczym. Może na tym, że w tym obcym mieście było zupełnie wszystko jedno, gdzie mieszkał. Wtedy zresztą śmialiśmy się z byle czego.

— Więc co w końcu zamierzasz? — zapytałam, żeby coś powiedzieć.

— Nie wiem, teraz jeszcze jej rodzina mnie męczy.

Słuchałam. Jakąś częścią, powierzchownie, brałam w jego opowiadaniu udział. Głębiej, pod powierzchnią mojej świadomości, kołatało się uczucie zadowolenia. Tak było bardzo dobrze. Inaczej nie można po tym wszystkim. Skrucha, niechęć, nienawiść są wyrazem zainteresowania. Najgorsza byłaby niewiedza i obojętność. Trzeba to będzie jednak raz na zawsze postanowić, upewnić się, że tak jest. Więc muszę koniecznie pojechać z wizytą do Stanów i przekonać się na miejscu, że mam rację. Że to jest właśnie jedyne miejsce na ziemi, jakie nam pozostało.

Janek oczekiwał mnie na lotnisku w Detroit. Pierwsze słowa, jakie wypowiedział do mnie po tylu latach brzmiały:

— Po co ty tam siedzisz?

Mogłam była przysiąc, że to właśnie powie i nie zdziwiłam się. Wzruszyłam ramionami. Dużo by o tym mówić, choć takie to proste. Zresztą w tłoku nie spodziewał się pewnie odpowiedzi. Albo w ogóle się jej nie spodziewał ani teraz ani później. Powiedział to instynktownie jak się mówi dzień dobry. Jechaliśmy przez miasto i wszystko wydawało mi się takie, jakie właśnie, jestem pewna, powinno się wydawać turyście. Chwaliłam ile się dało. Było mi przyjemnie, że będę z Jankiem i jego żoną Tosią. Więc kiedy wreszcie zajechaliśmy przed elegancką willę na wytwornym przedmieściu czułam się wybornie.

Przy obiedzie, przy kolacji, znowu się mnie pytali po co tam siedzę. Różnorodnym tonem i tak i siak konwersacyjnie i zasadniczo. A ja już teraz trochę tęskniłam do mojego życia w Monachium. Do Hansa i jego kłopotów, Hallera z którym prawie nie rozmawiam, do Inge, nawet do mojej dozorczyni i do telefonów głupiej Uty. Dali mi ładny pokój na piętrze. Mają dwie dziewczynki, które gdzieś się wyniosły zaraz po kolacji. Przed zaśnięciem słyszałam ich przytłumione głosy z małżeńskiej sypialni. Pewnie znowu się zastanawiali nad tym po co tam siedzę, jakby mnie tu urządzić i z kim mnie ewentualnie wyswatać.

Dom leżał nad jeziorem w dużym ogrodzie na cichej ulicy. Rano, kiedy Tosia i Janek wyjeżdżali do swoich zajęć i praktyk w mieście, zjawiała się Murzynka i kręciła się cicho koło gospodarstwa. Na razie traktowali mnie jak kogoś chorego komu należy się dłuższy odpoczynek. Był maj. Siedziałam beczynnym na werandzie albo na trawniku, Murzynka przynosiła mi lunch. Dzieci były w szkole. Kiedy wracali do domu rozmawiali ze sobą o jakichś własnych sprawach, które mnie nie interesowały. Ze mną mówili przewaźnie o wspólnych kolegach. Ten jest tu, ów jest tam. Wszystkim się dobrze powodzi. To świetnie, potwierdzałam, pomijając aluzję do mojego stanu. Patrzyli na mnie jakby czegoś oczekując. A mnie trudno było pojąć, że tu właśnie był ich dom a nie tam w stołówce. Przez elegancką willę przewijali się różni ludzie przyjaciele, sąsiedzi, koledzy, znajomi. Rozmawiałam z nimi grzecznie po angielsku. Czasem zjawiał się ktoś kto mówił po polsku czy po niemiecku. Nie wiedziałam jeszcze jak długo powinnam u nich siedzieć. Czekałam aż zjawi się nieodzowny kandydat. I rzeczywiście zjawił się wreszcie. Nie wiem dlaczego dali mi tak długo na niego czekać. Nazywał się Bob. Pewnie tak długo trwało, bo Janek wiecznie ma jakieś skrupuły.

Od Hansa przyszedł list i kartka od Inge. Profesor tylko na razie kazał pozdrowić, bo był zawałony pracą. To jego wyrażenie. On tak zawsze. Siedząc na trawniku uśmiechałam się do nich w myślach niemal z rozrzewnieniem. Doskonale ich sobie wyo-

brażałam. Okna otwarte szeroko na Ludwigstrasse, za oknem szum. Cały Instytut w blasku słońca czy w szarudze monachijskiego deszczu. W oddali za budynkami Ludwigstrasse chwieją się na wietrze czubki drzew w Parku Angielskim. Tam właśnie chodziłam kiedyś uczyć się do egzaminu na ławce. Ta część ogrodu jest zawsze pustawa, nie to co nad stawem. Chociaż w dni powszednie nie jest tu nigdzie źle. Siedzę w Instytucie, patrzę na czubki drzew w srebrzystej mgiele, na pewno tam teraz pada deszcz, nikt mnie nie nagania do pracy, mogę patrzeć ile mi się podoba. Mogę wstać i wyjść i pójść na kawę do Schmida. Mogę się zwinąć na resztę dnia. Bo Sommer jest dyrektorem, bo piszę pracę habilitacyjną, która owszem przyznaje ugrzęzła na jakimś punkcie i dalej ani rusz, bo to, bo owo. Mogę pójść na dolne piętro do biblioteki i pogadać sobie z panną von Ried. Pamiętam ją jako jeszcze względnie młodą i przystojną kobietę. Ale teraz to już niestety najwyraźniej stara panna. Gawędzimy sobie o dawnych czasach o niektórych profesorach, którzy już nie żyją. Dla panny von Ried są jakby wiecznie obecni, mówi o ich zaletach i wadach, o sposobie wykładania tak jakby to nie było już w końcu wszystko jedno. Odrywa się dla mnie od katalogu i mówi oparta o półkę. Pytam czy przyszły nowości. Inge nawet o moją przyjaźń z panną doktor von Ried jest zazdrosna. Obgaduje ją, skarży się, że panna von Ried jej dokucza, nie chce dać potrzebnych do pracy książek, upomina się o zwrot. Nie wiem, nigdy nie miałam przez nią najmniejszych przykrości. Czasem w sobotę czy niedzielę zaprasza mnie na kawę do siebie. Ma bardzo ładne mieszkanie na Bogenhausen. Kiedyś mieszkała tam z matką, potem matka umarła. Raz miała jakiegoś kawalera ale nic z tego nie wyszło. Nie przypominam sobie już dziś dlaczego, choć opowiadała mi i o tym. Wracam do gabinetu Sommera. Pada mocno, ściemnia się, zapalają światła elektryczne. Profesor dzwoni, że dziś nie przyjedzie z powodu deszczu. Mieszka za miastem. Inge uśmiecha się do słuchawki. — Tak jest, panie profesorze.

Tęskniłam za nimi, za całą atmosferą Instytutu. Nie mogłam się należycie skupić na Bobie, choć grzeczność wymagała chyba, abym się nim zajęła.

Rano w niektóre dni jestem sama z Tosią, bo Tosia praktykuje tylko dwa dni w tygodniu i wobec tego nie zawsze wyjeżdża do miasta. Kręci się po domu i ogrodzie i rozmawiamy. Czasem chodzę za nią z pokoju do pokoju jak dziecko, czasem woła do mnie skądś. Zachwala Amerykę, Boba, Detroit, ale ogólnie. Nie chce mnie spłoszyć. Ja także wszystko ogólnie chwale. Co mi to szkodzi.

— Nie możesz tam siedzieć dłużej — mówi Tosia. — Ciarki człowieka przechodzą kiedy o tym pomyśli.

— Przecież nie jestem jedyna.

— Z naszych kolegów jesteś.

Wzruszam ramionami.

— Chcę się habilitować.

— Daj spokój — mówi cierpko Tosia — przestań udawać.

Przypomina mi się jak raz dawno temu opowiadała mi w jaki sposób uciekła z transportu. Teraz nigdy więcej nie mówimy o takich sprawach. W amerykańskim otoczeniu nawet nie wypada. Krząta się po pokoju przesuwać jakieś przedmioty. Dozrucza jeszcze — Bob to bardzo miły człowiek.

— I co z tego — mruczę niegrzecznie.

Znowu sobie przypominam jaka była wtedy inna. Dobrze, myślę po raz setny, że przynajmniej ja się nie zmieniałam. Nie zniósłabym tego, gdybym była podobna do nich. Janek też jest inny. Widziałam go jednego wieczora w programie telewizyjnym. Przeprowadzano z nim wywiad na temat zbrodni seksualnych. Czym oni się zajmują, co go to obchodzi, nie mieści się w głowie. Tosia ziewała. — Masz pojęcie, co się dzieje w Detroit — powiedziała, ale bez wielkiego przekonania. Widocznie spojrzęłam na nią ostro, bo zaraz spuściła wzrok. Wyobrażam sobie, że gdzieś z tyłu za tą Tosią musi być tamta dawna Tosia, którą znałam.

Janek mnie namówił, żebym poszła z Bobem na kolację. Jechaliśmy długo autem, nudziło mnie to już z góry. O czym mam z nim mówić. Wykłada historię medycyny — przedmiot, który ze wszystkich na świecie najmniej mnie zajmuje. Opowiadałam mu o mojej pracy habilitacyjnej. Słuchał udając zainteresowanie, jak przystało na dobrze wychowanego człowieka. Po jednym drinku kręciło mi się w głowie. Bob jest rozwiedzony. Ostatnio spotykam tylko ludzi rozwiedzonych. Głowę oparł na ręce i patrzył w kierunku garderoby. Zastanawiałam się o czym myśli. O czym w ogóle myślą ludzie nie podobni do nas. Nie mam pojęcia.

— Ciekawe — zauważył kiedy skończyłam.

— Tylko dla mnie.

Nie zaprzeczył. Może myślał o swojej byłej żonie. Nie wiem kto od kogo uciekł. Może akurat ona od niego. Więc na przykład taki Hans. On pewnie ucieknie od niej. I co dalej. Może ożeni się z Inge. A może kocha się we mnie. Nie, nonsens, zresztą co mi szkodzi tak myśleć. Haller miał ładną żonę i też się rozwiódł.

— Czy pani dawno zna Janka?

— Tak. Z piętnaście lat. Tosię znam jeszcze dłużej.

— Oni panią bardzo lubią.

Oni mnie ani lubią ani nie lubią. To jest jakieś zobowiązanie, tak im się przynajmniej zdaje. Ze względu na tę Schillerstrasse. Przyszedł tam człowiek o dwunastej w południe i wyszedł stamtąd o zmroku. Tyle nas łączy, więcej nic.

— Tak — mówię — oni w ogóle są bardzo uczynni.

Nie wiem czy dobrze się wyraziłam po angielsku. Patrzy na mnie podejrzliwie.

— Dlaczego pani mieszka w Niemczech?

Może go prosili, żeby się dowiedział. Z nim sobie łatwo poradzę.

— Nie wiem. Zostałam. Inni wyemigrowali a ja zostałam. Czasami życie tak się układa — dodaje jeszcze sentencjonalnie.

— Istotnie. Moje życie też ułożyło się inaczej niż przewidywałam.

Zaraz mi się zacznie zwierzać. Jem i pilnie wyglądam oknem. Nikogo tu nie zakasuje, jakkolwiek smutne są jego dzieje. Na Hansa mogę zawsze burknąć, że wystarczy, żeby mi dał święty spokój. Wobec Boba muszę być uprzejma. Stwierdzam, że jest dość przystojny. Niestety zaczyna mi opowiadać o swoim nieśczęśliwym małżeństwie. I przeciwny jest nowoczesnej moralności, która wszystko sprowadza do seksu i od niego zaczyna. Moje zainteresowanie pryska. Myślą jestem już znowu gdzie indziej. W Instytucie. Muszę omówić z Inge dokładniej sprawę rozwodu Hansa. I jak długo Sommer będzie jeszcze prowadził Instytut i kto będzie jego następcą. Bo gdyby tak jednak Haller. Nie znosi Inge. Czy ja się jednak kochałam w tym Hallerze, że tak ciągle do niego wracam myślą. A co Haller sądził o mnie? Nie było nam ze sobą źle. Docent Haller jest z Dolnego Śląska, rozumie po polsku, choć słabo mówi. Podarowałam docentowi Hallerowi „Pożegnanie z Marią” Borowskiego. Było to przed kinem na ulicy. Powiedziałam raz do Inge, że Haller był moim pierwszym kawalerem. Skrzywiła się lekko. Pewnie pomyślała, że Haller był więcej niż kawalerem i pewnie ciekawa była jak się to zaczęło i skończyło. Nie wie, że nawet miłość ma tu to jedyne tło. Zaczęła się w związku z przeszłością i skończyła się także w związku z przeszłością. Więc ten tom Borowskiego jest naszą wstydliwą tajemnicą, znakiem naszego przymierza, reszta to głupstwo. Od paru lat prawie ze sobą nie mówimy. Ale to także nie jest ważne.

Inge nie przeczy temu nigdy, że miałam i ciągle jeszcze mam powodzenie. Na wykładach, w seminariach, na wycieczkach studenckich byłam wiecznie otoczona chłopcami. Może byłam dla nich przedmiotem ciekawości, czymś w rodzaju talizmanu, albo nawet zwyczajnym curiosum. Asystowali mi, bo chodziłam w namacalnej atmosferze cudu. Ale po co wchodzić w przyczyny,

gdy wystarczy wiedzieć, że tak było. Może rzeczywiście z powodu Hallera nie wyjechałam wtedy do Stanów, kiedy wszyscy inni wyjechali. W każdym razie nie żałuję wcale patrząc tu teraz na nich, że nie opuściłam Monachium.

Kiedy pisałam pracę doktorską Sommer powierzył niektóre szczegóły techniczne Hallerowi, który był wtedy jego asystentem. Ale Haller, jak mi się zdawało za dużo sobie pozwalał i współpraca nie szła gładko. Wtrącał się do wszystkiego. Późnym popołudniem po pracy o godzinie zarezerwowanej na nasze konferencje klóciliśmy się zajadle siedząc ramię w ramię na wąskiej kanapce. Kanapka jeszcze stoi w tym samym miejscu. W Instytucie było pusto i cicho. Haller miał swoje poglądy i własne widzimisie.

— Kto w końcu pisze tę pracę, pan czy ja? — złościłam się doprowadzona do pasji, wiedząc równocześnie, że było to niemądre, że do asystenta nie wolno przemawiać takim tonem, że to się mogło okazać fatalne. Kosmyk jasnych włosów spadał Hallerowi na lewe oko. Wszystkie panny twierdziły, że Haller jest przystojny. Niepokoiła mnie jego bliskość, wołałam była, żeby sobie usiadł gdzie indziej, nie tuż koło mnie. Ale głównie mnie irytował w najwyższym stopniu.

— Obecnie przyjęte teorie językoznawstwa, które pani musi przecież zastosować...

— Kiedy panie doktorze, mnie to nie odpowiada. Sama sobie wybiorę jakąś teorię, nie musi być najnowsza.

Unosiłam się niby gładko, a równocześnie przynajmniej duchowo zaciskałam zęby. Pociłam się, było mi niedobrze, ręce mi drżały. Zrywałam się z kanapki, aby znowu usiąść. Zauważyłam, że Hallera bawi moje podniecenie. Sprzeczałyśmy się przy każdym zdaniu, które ja mozolnie napisałam a on, jak sądziłam, nieuważnie przeczytał. Aż doszło do sporu o linię.

Narysowałam tę linię starannie tuszem, pomógł mi jeden kolega ze stołówki, który był na politechnice. Siedziałam podziwiając moje dzieło, a tu wszedł Haller i zawołał już od progu:

— Co to jest? Co to ma znaczyć? — i zaraz podbiegł do stołu, pochylił się nade mną. — Co to takiego?

Przełknęłam ślinę.

— To — zaczęłam jak mi się zdawało stanowczym tonem — panie doktorze, jest czas. Czas, który jest stałą i sobie stoi. A tu w tym miejscu jestem ja. Nie ja naprawdę, ale „das Ich”.

Wskazałam palcem na poprzeczną kreskę zakończoną filuternymi strzałkami. Zauważyłam, że palec powalany był tuszem. Zaczęłam się gorączkować.

— Ruszam się, idę, posuwam się po tej linii. Jest teraz, ale tego teraz nie jestem w stanie uchwycić. Mówię coś do pana

a moje słowa już się gdzieś zapodziały. Było, będzie, ale nie jest.

Spodziewałam się, że krzyknie na mnie, że się rozzłości. Ale on nie odezwał się nic na to. Usiadł koło mnie na kanapce i teatralnym ruchem ścisnął głowę. Ten gest wydał mi się niedzisiejszy. Kto to tak ścisnął głowę? Może Kmicic albo Skrzetuski.

— Czas stoi? — zdziwił się wreszcie cicho zmienionym głosem.

— Stoi — powiedziałam twardo. — Na moim rysunku stoi. Trochę mnie to zaczynało śmieszyć. Tyle hałasu o nic.

— Wolałbym — oznajmił goniąc resztkami autorytetu — żeby się pani nie poruszała a czas żeby mijał.

O mało nie parsknęłam śmiechem. Mówił nieswoim głosem, niezbyt głośno i bardzo niepewnie.

— Dlaczego? Co za różnica?

Wstał i przeszedł się kilka razy po pokoju. W końcu zatrzymał się przy oknie. Ściemniało się. Cała scena przypominała teatr. Nie rozumiałam jeszcze nic, kurtyna dopiero poszła w górę, ale czekałam cierpliwie aż coś się stanie. Trochę byłam głodna, ale przecież on mnie teraz stąd nie wypuści. Powie, że Sommer kazał skończyć rozdział, że on Haller ma także własne zajęcia i obowiązki. Chętnie bym zjadła parówki. Wreszcie odezwał się stłumionym głosem. — Po co? Po co pani chce dokądś iść? Czy nie lepiej, żebyśmy stali i żeby czas mijał.

Nie, Haller dziś zwariował z kretesem. — Ale ja już tak narysowałam — zawołałam z tryumfem. — Sommer się zgodzi. Będzie mu wszystko jedno!

— Pewnie — przyznał. — Sommer się chętnie zgodzi. Jemu wszystko jedno. Tylko że Sommer nic nie rozumie.

Zdrętwiałam. Jeśli Haller mógł powiedzieć, że Sommer nic nie rozumie, mógł się w ogóle tak wyrazić w mojej obecności, to świat się kończył. I teraz nie do wiary, nie uwierzyłabym nigdy, gdyby mi to ktoś opowiadał, dajmy na to Inge, Haller uderzył pięścią o parapet aż zabrzączały szyby. — Ależ to nieprawda, że czas stoi!

— Skąd pan wie?

— Jak to skąd? — zaczął iść ku mnie w ciemniejszym pokoju. — Jest dzień, jest noc, lato, zima. Pory roku się zmieniają, powtarzają...

— Powtarzają się — sztychłam. Lato, zima. Dla mojego rysunku nie ma to żadnego znaczenia. Na rysunku jest linia a nie krąg... Właśnie tak to przedstawiłam.

Na to już nie odpowiedział. Cała awantura funta kłaków nie warta. Usiadł z powrotem koło mnie na kanapce. Wolałabym, żeby stał przy oknie. Dziś nic nie wyjdzie z naszej współpracy. Niech by wreszcie powiedział, że odkłada do jutra. Haller musi

zawsze urządzić jakieś przedstawienie, bez tego się nie obejdzie. Tylko że zazwyczaj potrafię wyłapać sens. Dzisiaj nie mam pojęcia o co mu chodzi. Milczenie przedłuża się do nieprzyzwoitości. Aż naraz, nic przedtem nie zauważyłam, bo starałam się nie patrzeć w jego stronę a poza tym było już prawie całkowicie ciemno, poczułam, że na moją rękę, którą przytrzymałam rysunek na kolanie kapnęło coś. Oczywiście łąza. I obok na arkuszu papieru domyślałam się bardziej niż widziałam w ciemności jeszcze jedna łąza. Przestraszyłam się nie na żarty. — Panie doktorze! — zawołałam. — Niech będzie, że to ja stoję! Zaraz zmienię, nic trudnego, tylko napisy trzeba poprzerstawić! Przecież to głupstwo, kawałek papieru... Tak czy owak to tylko kreski. Panie doktorze!

Ale Hallera jakby nie było koło mnie. Darmo się wysilałam. Łzy kapąły trochę, ale niezbyt gęsto na kanapkę, na moją rękę, którą bałam się cofnąć, jeszcze na kanapkę, na podłogę. Żeby tylko ten tani papier wysechł jak należy. Inge mówiła od razu, że papier jest do luftu i w dodatku Inge nie przewidziała, że Haller będzie nad nim płakać. Pomimo tego twierdziła, że nic nie wart. Na lepszy nie miałam pieniędzy. Więc w zupełnej rozpaczy a chodziło mi głównie o papier i moją bądź co bądź ciężką pracę, ale i tak chyba nie ja a ktoś inny powiedział za mnie surowo. — Co ci jest. Przestań!

Natychmiast po raz któryś ogarnął mnie lęk. Co też ja do niego gadam i jeszcze na ty. Już teraz moją dysertację diabli wzięli, powie Sommerowi, żeby odrzucił. Nic dobrego nigdy nie wynika z kłótni z asystentem. Nieraz opowiadano po seminariach o katastrofalnych skutkach takich potyczek. Oczywiście tu chodziło o coś więcej niż o głupią linię. W ciemności wyczuwałam jego obecność, wstrzymywałam oddech, żeby niczym się nie przychylnić do nieprzewidzianego dalszego ciągu. Za oknem przesuwali się światła wozów na Ludwigstrasse. Blask przewlekał się przez pokój i gaś. Gdzieś zadzwonił gwałtownie tramwaj.

— Wiesz — odezwał się Haller i drgnęłam na dźwięk jego głosu, choć przecież czekałam właśnie, żeby coś powiedział. Może zresztą nie czekałam wcale a spodziewałam się, że więcej nie przemówi, że wyjdzie stąd bez słowa. — Dawno chciałem ci o tym opowiedzieć, ale głupio mi było ni z tego ni z owego...

Jaka szkoda, że tak się wszystko ułożyło. Zawsze uważałam, żeby w nic nie wdepnąć, w nic się nie wplątać. Ładnie mnie ta linia urządziła. Obwarowałam się starannie, okopałam się, siedziałam w tej mojej fortecy dumna z siebie, a tu masz. Domyślałam się co będzie dalej. Tylko bez zwierzeń, ostrzegałam go w myślach. Głośno próbowałam raz jeszcze niezręcznie ratować sytuację. — Można to będzie przedstawić w ten sposób,

zaczęłam niby gorliwie, ale zaraz dałam za wygraną. Gadałam przecież na próżno. Haller nie reagował. Mogłabym się stąd wymknąć, wrócić jutro jakby nigdy nic, marzyłam po pensjonarsku. Nie pamiętałby wcale, że coś zaszło. Puszczalam wodze fantazji, ale bałam się ruszyć z miejsca.

Więc w końcu wydobyła to z niego moja głupia linia i dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, jak groźna była dla nich sama nasza obecność. Jak zagrażała równowadze duchowej, samopoczuciu. Że tak było a nie na odwrót, choć może czasem się zdawało, że to oni właśnie stawali na naszej drodze. Wszystko co Haller powiedział wtedy na kanapce jest błahe i chcę to tylko streścić dla porządku, ale nie będę się nad tym rozwodzić, bo nie warto. Gdzieś tam na Śląsku grał z kolegami w piłkę na łące koło toru kolejowego. Miał wtedy szesnaście lat i codziennie kopali piłkę. Była wojna, ojciec był na froncie, matka nie bardzo wiedziała, co robił cały dzień. Na skraju łąki był semafor, szyny się rozwidlały, na bocznym torze stały zawsze wagony, nikt na to nie zwracał uwagi. Nasypem kolejowym szły często transporty, matka wytłumaczyła mi, że to wożą przestępców. Przyjął do wiadomości, nie interesowało go to zbytnio. Ktoś tego dnia tak daleko wykopał piłkę aż pod semafor, pobiegł by ją podnieść. Pociąg ledwo się ruszał, Haller bał się o piłkę, taka piłka to skarb, nic już prawie nie można było dostać w handlu. Pociąg stanął jak zwykle na chwilę pod semaforem. Dopadł piłki jeszcze się toczyła, była tuż koło jednego z wagonów, kiedy podnosił głowę drzwi się odsunęły. Zaraz potem znowu się zasunęły, ale on zdążył widzieć wyraźnie. Ten wagon był pełen dzieci. Koło samych drzwi była tam jedna dziewczynka, twarzątkę miała tak opuchniętą, to chyba zresztą był trup. Do tego nie mogłam dopuścić. Misternie latami wznoszony gmach mojego godzenia się ze światem walił się w gruzy. Zerwałam się z kanapki, podbiegłam do kontaktu przy drzwiach i przekręciłam go. — Na mnie sobie nie będziesz używać! — krzyknęłam ze złością.

Podniósł się także. Zrobił to tak niezgrabnie, że mój manuskrypt sfrunął na podłogę. Kartki nie są ponumerowane, rozsypany się w nieładzie i jak to teraz pozbieram. Haller mrugał trochę oczyma w ostrym świetle, ale poza tym wyglądał jak zawsze. Powiedział całkiem spokojnie. — A ty mówisz, że czas stoi? Wmawiałem sobie, że czas mija. Że oni się ode mnie oddalają. Ale skoro to ja uciekam od nich, albo może nawet do nich idę...

— Nie — zaprzeczyłam. — Możesz być zupełnie spokojny. Każdy dureń wie, że czas mija. Jest to w ogóle jedna z najbardziej oczywistych prawd. Oni się od nas oddalają. Ja sama nie

pamiętam jak wyglądali a zapewniam się, że przeszłam z nimi szmat drogi. Nie wiem kim ci ludzie byli, nie mam po prostu pojęcia. A co do tej linii, narysowałam ją tak sobie, bez zastanowienia, może z przekory, bo zawsze się kłócimy a tym razem chciałam postawić na swoim. Przyznaję ci zupełną rację. Znasz się lepiej ode mnie na językoznawstwie i od dzisiaj będę pisać tak jak tobie się podoba. Nie ma się czym przejmować.

W mojej dysertacji linia została tak jak ją narysowałam. Chyba na pamiątkę awantury z Hallerem. Sommer jak przewidywałam nie tylko nie oponował, ale przeciwnie cały pomysł znał za znakomity. Moja zażyłość z Hallerem, bo nie wiem czy mam nasz stosunek nazwać jakoś inaczej, choć gdzie indziej mówiłam już o romansie, trwała sześć miesięcy. Potem rozeszliśmy się. Podarowałam mu na pamiątkę „Pożegnanie z Marią”. Powiedział z przekąsem. — Potrafisz się znaleźć w każdej sytuacji. — Ale pewna jestem, że miał dosyć. Było to przed kinem na ulicy. Haller miał dwa bilety, ale ja dałam mu książkę i odeszłam. Trochę mi było smutno na duszy, ale bynajmniej nie tragicznie. Byłam nawet ciekawa, co począł z drugim biletem, bo był dosyć skąpy. Miałam uczucie, że uwolniłam się od czegoś, co mnie na każdym kroku krępowało. Czy on naprawdę widział wnętrze tego wagonu czy drzwi naprawdę się odsunęły. Może coś przeczytał albo mu się śniło. Szłam ulicą nucąc jakiś modny wtedy przebój. Co tam Haller, Haller który jak ja nigdzie nie idzie, ale liczy na to, że czas mija.

Znowu przejechaliśmy całe Detroit. Bob jest milczący. Pytał mi się czy byłam kiedyś w psychoanalizie. On był, może tak się poznał z Jankiem. Był rozczarowany, że nie byłam. Czy jednak mam zamiar poddać się psychoanalizie. Żeby go uspokoić powiedziałam, że jeszcze się zastanowię. Zajeżdżając przed dom powiedział nie wiem dlaczego, że przecież teraz są normalne czasy. Ludzie ciągle mi oznajmniają, że są normalne czasy. Nawet Sommer tak twierdzi. Czasy można też nosić w sobie. Po trawniku pełży światła dalekich jachtów i łodzi na jeziorze, bardzo nisko z tej odległości. Stanęliśmy na werandzie.

— Janek — odezwał się Bob. — Świetnie wszystko przeżył i przystosował się do życia.

Nie powiedziałam nic, ale Bob ciągnął dalej niezrażony moim milczeniem. — Przecież są ludzie, którzy też dużo przeszli. Na przykład tacy, których bito jako dzieci.

Porównanie było śmieszne. Więcej było wręcz obraźliwe. Oburzyłam się. — To nie to, a całkiem co innego, Społeczeństwo, które ich skrzywdziło...

Zapłatałam się. Nie warto się nadwierać. Hans by nigdy nie gadał takich głupstw.

Całkiem wysoko migotały gwiazdy. Może to Detroit było ładne, ale to nie dla mnie. Nie miało w sobie treści. — Chce pani zapalić? — zapytał Bob. — Nie palę. — powiedziałam i zrobiło mi się smutno jakby to stwierdzenie nieodwołalnie zakończyło mój pobyt tutaj. Światła ocierały się o dom, papieros Boba znaczył koła w powietrzu, w górze mrugały gwiazdy. Pomyślałam o Hallerze i przypomniały mi się transporty idące pod takim niebem wśród migocących obojętnie gwiazd. Widziałam je trochę niby we śnie a jednak na jawie, jak szły według gigantycznego planu, krzyżowały się tu i ówdzie, stawały pod jakimiś semaforami dysząc niecierpliwą parą. Był tam między nimi i pociąg Hallera i jego wagon. Wyobraziłam sobie, że gwiazdy były tak oddalone wtedy jak teraz. Nie miało to wszystko wielkiego sensu, ale wytłumaczyłam sobie moje widzenie faktem, że wchodziłam już w ten wiek, kiedy każda widziana twarz i każdy napotkany krajobraz przypomina człowiekowi coś z jego przeszłości.

Janek pewnie postanowił odbyć ze mną decydującą rozmowę, bo jednego dnia został w domu. Rano po śniadaniu zamiast odjechać zaczął się kręcić po domu. Samochód stał sobie w garażu. Usiadłam z książką pod drzewem w ogrodzie i udawałam, że nigdy nic. Przyszedł i przysunął sobie wyplatane krzeselko. Zagał bez ogródek:

— No i co z Bobem?

— Z Bobem? Nic.

Westchnął dyskretnie. Po chwili zapytał. — Chcesz szukać posady?

Znaczyło to, że zrobił swoje i umywał ręce. Mogłam siedzieć albo jechać dalej. Usadowiłam się wygodniej na leżaku. Myśli moje wybiegały radośnie ku Bawarii do Instytutu, nawet do Inge. Jak wtedy kiedy rozstałam się z Hallerem przed kinem poczułam się oswojona z pęć. Mruknął jak Bob bez związku:

— Przecież są teraz normalne czasy.

— Jak kto uważa.

Może choć na chwilę pojął, że się sprzeniewierzył i stracił poczucie wyższości. Dotychczas na pewno go nie opuszczało. Zauważałam:

— Zdaje ci się tylko, że wybrałaś lepszą część.

Powiódł niepewnie wzrokiem po ogrodzie, objął nim dom, kawałek jeziora widoczny stąd, garaż z błyszczącym w środku samochodem, rowery dziewczynek oparte o ścianę. Korzystając z tej chwili wahania zapytałam:

— Pamiętasz drogę na Węgry?

Janek także odbył drogę na Słowację i dalej na Węgry etap,

którego nie zdążyłam już odbyć. Utknęłam na Słowacji. Dawniej rozmawialiśmy czasem o tym.

— Tak.

— Wiesz co sobie myślałam. Właśnie, bo są normalne czasy. Można by wziąć wizę polską i wizę czeskosłowacką i przejść granicę w tym samym miejscu co wtedy. Za dnia. Żeby móc obejrzeć jak tam właściwie wyglądało. Jak sądzisz?

— Jeszcze nas zastrzelą. — Zauważył. — Po co się mamy niepotrzebnie narażać. Co ci na tym zależy jak tam wyglądało.

Jednak na chwilę wrócił. Ale wymagało to za wiele wysiłku z mojej strony. Zresztą nie należy się po ludziach tak dużo spodziewać. Niech mi to wystarczy. Wstałam z leżaka.

— Bardzo mi było miło — powiedziałam — ale jak mam jeszcze być tu i tam, to muszę się stąd ruszyć. Więc proszę cię zamów mi miejsce w samolocie.

— Nie ma sensu, żebyś tam siedziała — powiedział słabo — zastanów się.

Tosia mi to powtórzyła przy kolacji. Że nie ma sensu. Muzyczki już nie było. Dziewczynki jadły dziś w innym pokoju.

— Czy ty tam kogoś masz? — zapytała Tosia.

Zastanowiłam się nad tym pytaniem. Oczywiście wiedziałam, co ma na myśli. Ale można to było także pojąć inaczej. Wszystko można pojąć inaczej bez uszczerbku dla logiki. Stąd wynikają nieporozumienia.

— Nie.

Milczeli. Janek był przygnębiony. Tosia jako kobieta mniej dająca za wygraną zaczęła mnie jeszcze namawiać, żebym została.

— Daj spokój — powiedziałam — już się tam zasiedziałam.

Smarowała kromkę chleba masłem i wyglądała teraz trochę jak wtedy kiedy wyszła z obozu. Spotkałam ją raz zaraz po wyzwoleniu w Monachium na Isartorplatz. Była tam wtedy jakaś taka kuchnia dobroczynna. Pomyślałam, że wtedy jedząc tę ich cienką dobroczynną zupę była u progu przyszłości a teraz widziałam ją pośrodku przeszłości i że wtedy bardziej mi się podobała. Niepotrzebnie się wybrałam z wizytą. W mojej pamięci powinni byli pozostać tymi z Isartorplatz czy z Schillerstrasse. Przypomina mi się San Marco. Przyjemnie by było posiedzieć tam choćby z Hansem. Hans znowu jest wolny, może siedzieć po kawiarniach. Haller też jest wolny jak ptak.

— Co tam wśród nich znaczy stanowisko — zaczyna Tosia.

— Nic. Jest ci tam dobrze, bo nie musisz się nadwierać, nie musisz się wysilać. Wszystko ci jest jedno. Bardzo wygodnie

— Zgoda. Dobrze jest móc lekceważyć.

— Ale tak nie można — wtrąca się Janek. — To po prostu nie jest...

Domyślałam się, że chciał coś powiedzieć na temat uczciwej konkurencji.

— Nasza przeszłość jest ważna — mówię. — Przez to, że człowiek zamyka oczy i udaje zwykłego przeciętnego śmiertelnika nic się nie zmienia. A o ile się zmienia to tylko z uszczerbkiem dla niego samego. Wiedzieć, że takiego Boba nic wasza przeszłość nie obchodzi, że on tak samo myśli o was jak o innych swoich znajomych...

— A jak oni o nas myślą? — pyta Tosia.

— Oni jeszcze nie zapomnieli kim jesteście. Nie znoszą nas, nienawidzą, czują się winni, dręczy ich nasza obecność. Wszystko jedno jak tam jest. Boją się widm, nie są obojętni, nie przechodzą nad nami do porządku dziennego.

— I tobie to sprawia przyjemność? — pyta z niedowierzaniem Tosia.

— Ależ nie. Nie przyjemność. To mi jest konieczne do życia.

Janek bawi się widelcem. Jutro pójdą do pracy, dziewczynki pójdą do szkoły, wstanie zwyczajny kalendarzowy dzień. Ale teraz w tej chwili jest między nami cień dawnej stołówki. Na co człowiek tam czekał, czego się spodziewał. Na coś w każdym razie co nie nastąpiło. Siedział, siedział godzinami przysłuchując się głupim rozmowom biorąc w nich udział. Ale naprawdę czekał na coś całkiem tajemniczego. Nie wie wprawdzie, co to było co nie nadeszło, ale wie co mu pozostało. Tylko ta przeszłość. Głupi ten kto się zapiera, chce się jej pozbyć albo zamienić na dom z ogrodem. Nie mówię im tego, nie potrzeba, wiem, że w tej wyjątkowej chwili wiedzą dokładnie co myślę.

Tosia nie patrzy na mnie. Patrzy na Janka i tylko do niego się zwraca. — Dawno już podejrzewałam, że tak tam jest i że oni dlatego tam siedzą. Ale chciałam to raz usłyszeć.

Na lotnisku panował ogromny ruch. Stałam w ogonkach to tu to tam. Janek mnie odprowadzał. Tosia poszła do miasta. Pożegnaliśmy się w domu. Janek był małowówny, ja także byłam zajęta swoimi myślami. Kiedy już stałam w ostatnim ogonku a Janek był po drugiej stronie bariery zdawało mi się, że coś jeszcze zawołał w moją stronę. Wychyliłam się z ogonka chcąc go zrozumieć, ale słowa utonęły w hałasie lotniska. Domyśliłam się, że pyta raz jeszcze po co tam siedzę. Niemądrze, bo chyba mu już wytłumaczyłam. Ale naraz wpadło mi jakby to można określić jednym słowem. Popychana ku wyjściu starałam się jeszcze odwrócić. Ludzie parli na mnie ze wszystkich stron, spieszyło im się do samolotu. W końcu zdołałam wykonać dziwaczny półobrót w jego stronę i zawołałam:

— Bo tam jest moja antyjojczyzna!

W Monachium pomimo pewnych zmian wszystko zastałam

po staremu. Sommer znowu się postarzał, więc może jednak Haller obejmie kierownictwo. Inge była zdenerwowana, stale bliska płaczu. Hans nie mieszkał już z żoną tylko w umeblowanym pokoju koło Dworca Głównego. — Jak za studenckich czasów — powiedział opowiadając mi o tym. Stróżka pod moją nieobecność pięknie posprzątała mieszkanie. Wsunęłam jej coś dodatkowo w łapę. Był lipiec, ludzie brali urlopy jechali do Włoch czy do Hiszpanii. Moja wyprawa do Stanów już teraz wydawała mi się snem, nic nie znaczącym epizodem w długim szeregu lat pełnych niezmienniej treści, spędzanych z istotnym celem. Wiedziałam teraz, że nawet z wizytami nie warto stąd wyjeżdżać. Było mi dobrze. Doskonale wypełniam dzień a nawet *weekend*'y nie sprawiają mi najmniejszego kłopotu. Praca w Instytucie, biblioteka, kawiarnie, w domu wszędzie porozkładane materiały do pracy habilitacyjnej. Wieczorami słucham radia, chodzę do kina, dzwonią do mnie ludzie. Czasem ktoś zagląda z wizytą. Każdy gość podziwia małe komfortowe mieszkanie, które dostałam za protekcją Sommera. Poza tym chodzę na Akademię. Jak człowiek, który kiedyś coś tam praktykował wchodzi czasem z przyzwyczajenia do kościoła na mszę. Ma niejasne uczucie, że ktoś go tu w Domu Bożym widzi, że mu ta obecność gdzieś kiedyś będzie policzona. Zresztą jest mu swojsko. Mnie też. Siadam w ostatnim rzędzie krzesel i siedzę. Nieliczna publiczność składa się wyłącznie ze starszych ludzi, nikt inny chyba nie chodzi na te wszystkie rocznice, akademie żałobne, smutne jubileusze. Spływają po mnie przemówienia jak po człowieku, który przypadkowo znalazł się w kościele ściekają słowa liturgii. Znajome dźwięki, dalekie echa „Dachau” „mord”, „miliony”, „nie wolno zapomnieć” padają na moją drzemającą świadomość niczym „Dominus vobiscum”, „sanctus”, „sursum corda”. Hasła, których głęboko ukrytą treść znało się kiedyś i przeżywało. Jest wiosna, jest zima, wychodzę stamtąd mrużąc oczy w blasku ulicy. Znam wszystkie sale, w których kiedykolwiek odbywają się takie Akademie. Nie przepuściłam chyba ani jednej.

Są dwie chwile, które zaznaczają moje życie w czasie, jedna rano a druga wieczorem. Rano, tak o wpół do dziewiątej, kiedy jestem już gotowa do wyjścia otwieram na oścież drzwi szafy i przez chwilę przyglądam się mojej garderobie. W środku wiszą rzędem suknie letnie i zimowe, płaszcze, kostiumy. Rzeczy nowe i takie, które sobie sprawiłam kiedyś dawno. Czasem biorę skrawek jakiejś szmatki do ręki, pod palcami mam chłodny materiał i zastanawiam się poważnie czy jeszcze ponosić czy należy już wyrzucić. O tej samej porze po przeciwległym chodniku idzie zawsze zakonnica. Przechodzi tędy od wielu lat do szkoły może, czy do szpitala. Nie mogłabym nawet przysiąc, że to jeszcze ciągle

ta sama zakonnica, bo nie widzę jej twarzy. Utrafiam w ten moment kiedy przechodzi naprzeciw mojego okna bez trudu. Raz wybiegłam na ulicę, chciałam ją zobaczyć z bliska. Ale naprzód nie mogłam przejść przez jezdnię, bo właśnie przed sklep z jarzynami naprzeciw zajechała ciężarówka, a kiedy wreszcie przebiegłam jezdnię zakonnicy już nie było widać. Teraz wystarczy mi, że widzę ją z daleka. Kiedy znika mi z oczu zamykam drzwi szafy.

I jeszcze jest ta druga chwila, całkiem inna. Wieczorem w łóżku życie moje ukazuje mi się jako szereg lat odliczany dzieńkami po prostu dla wygody. Myślę sennie, więc teraz trzydzieści. I zaczynam czterdzieści... pięćdziesiąt... sześćdziesiąt... siedemdziesiąt... Tu się zatrzymuję. Dalej nie jest ważne. Te lata, pocieszam się, mijają szybko. Ot, znowu minął dzień, znowu minęła wiosna i jest lato. Czuję w sobie wielki spokój. Dawniej była tam mała chwila rozpacz, na oka mgnienie zjawiał mi się zaginiony świat, jego mieszkańcy, których od tak dawna nie ma stawali mi przed oczyma, odczuwałam dotkliwie krzywdę. Buntowałam się, może nawet płakałam. Jednym słowem byłam smarkata. Ale od jakiegoś czasu dorosłam, uczucia te mnie opuściły i cieszę się z tego. Prawdę powiedziałam wtedy Hallerowi, że nie mam pojęcia kim byli ci wszyscy, którzy odeszli i straciłam z nimi kontakt. Byle dalej, byle prędzej czterdzieści... pięćdziesiąt... sześćdziesiąt... siedemdziesiąt... mruczę tryumfalnie w poduszkę. Tego biegu nic nie powstrzyma i nikt mi go nie odbierze nawet najbardziej uzdolniony psychiatra, żaden urząd tu nic nie udoskonali, żadna ustawa nic przeciw temu nie wymyśli. Ten stan rzeczy sprawia mi głęboką radość a czasem budzi we mnie nieprzewartą wesołość. Byle dalej, byle prędzej powtarzam z chichotem w ciemność. Słyszę, widzę i czuję jak w ciszy nocnej świat wiruje, toczy się czy pędzi poprzez wieczność. Zasypiam z błogim przeświadczeniem, że moja linia i koło Hallera się pokrywają. Bo chociaż Haller twierdzi, że nigdzie nie idzie, to jednak ma rację, że czas mija, on sam najwyraźniej się starzeje. Obserwuję to dzień w dzień w Instytucie. Czasem kiedy spotykamy się rano w windzie i płyniemy bezszelestnie w górę, wiem, że on to samo myśli o mnie co ja o nim.

Jednego popołudnia poszłam z Hansem po pracy do San Marco. Było ciepło, kobiety były w jasnych letnich sukniach. Parasole, wesołe tramwaje, brzęczenie pełnego lata. Hans gadał. Jeśli Haller rzeczywiście zostanie kierownikiem zajdą duże zmiany. Jemu, Hansowi, nic na tym nie zależy, dostanie pewnie wreszcie dawno obiecaną docenturę w Erlangen. To wszystko, żeby tak powiedzieć przeżyło się, czas się stąd wynieść. Inge nie nadaje się obecnie do niczego, jest bardzo nerwowa. Jeszcze

się rozchoruje. Haller jest ambitny, nie będzie trzymał takiej niezdarzy. Mówił, a ja rozglądałam się dokoła popijając wystygłą kawę. Liczyłam jak dziecko parasole, oglądałam kelnerki, bawiłam się serwetką. Przy sąsiednim stoliku usadowiło się liczne i hałaśliwe towarzystwo. Byłam na nich zła, że tak głośno gadali. Mogłam być zła, tam w Detroit musiałabym hamować złość wobec Bogu ducha winnych ludzi, tutaj Bogu ducha winni ludzie nie istnieli. Chodnikiem przeszedł właśnie Haller i Hans w samą porę ściszył głos. Haller pomachał nam ręką. Kiedyś dawno tak machnął do mnie tomem Borowskiego. Było to w Parku Angielskim, gdzie uczyłam się do egzaminu siedząc na ławce. Wtedy tak samo był ciepły dzień i świeciło słońce. Usiłowałam sobie przypomnieć o czym myślałam na tej ławce. Przecież wtedy na pewno miałam jeszcze jakieś plany i myślałam o czymś określonym. Chyba właśnie tego lata Haller ożenił się z ładną dziewczyną. Znałam ją doskonale, nawet wydaje mi się, że to ja ją Hallerowi przedstawiłam. Uchodziła za piękność. Ojciec jej był w Monachium wziętym ginekologiem. Po dwóch latach się rozwiedli. Raz, już po rozwodzie podeszła do mnie na ulicy. — Mój były mąż — powiedziała bez żadnego wstępu — nie kochał mnie dla mnie samej, tylko dla tego co reprezentowałam. Dla moich rodziców, atmosfery tak zwanego dobrego domu. — Co to znaczy dla siebie samego? — zapytałam. — Przecież wszystko dom, przeszłość, rodzice składają się na człowieka. Gdzie w końcu masz samego człowieka? Zastanów się.

Chciałam jej jeszcze powiedzieć więcej różnych rzeczy, ale obie spieszyłyśmy się dokądś. Kiedyś może zdobędę się na to, żeby do niej zadzwonić i podyskutować o niektórych sprawach. To jest nawet dosyć inteligentna dziewczyna. Na razie mam zbyt wiele trosk związanych z habilitacją i z Instytutem. Właściwie, żeby się tak przyjrzeć z bliska mojemu życiu, jestem niesłychanie zajęta i nie mam ani jednej wolnej chwili. Naturalnie, moi koledzy w Ameryce nie mają o tym pojęcia. Zdaje im się, że tu w Niemczech człowiek tylko się objaja i próżnuje. Uważają w swojej pysze, że tylko oni robią coś co warte jest naśladowania i liczy się. Moi koledzy myślą się. Może kiedyś otworzą im się oczy i wtedy zrozumieją, że jedyne życie godne nas jest właśnie tutaj, gdzie człowiek zdaje sobie dokładnie sprawę z tego kim jest i gdzie inni potwierdzają w nim na każdym kroku tę świadomość. Ja im tego więcej tłumaczyć nie będę i właściwie na dłuższą metę nie utrzymuję z nimi żadnych stosunków. Istnieją już jedynie w mojej pamięci. Zresztą nie upieram się przy żadnym zdecydowanym poglądzie na życie. Niech każdy tak się urządza jak uważa za stosowne.

Jadwiga MAURER

Rozproszony

Był już późny wieczór kiedy zameldowałem się w hotelu trzeciej kategorii przy cuchnącym calle del F—. Podróżowałem na sfałszowanym paszporcie jako Juan Rodriguez, obywatel brazylijski. Pokój zarezerwowałem prowizorycznie na miesiąc.

Wenecję wybrałem umyślnie, z pełną świadomością konsekwencji. Zdawałoby się, że powinienem być wybrać wioskę ukrytą głęboko w Alpach. Przyjazd do Wenecji był więc gestem teatralnym, szablonowym. W ten sposób, zamiast zachować indywidualność i niezależność, oznajmiłem publicznie, że pragnę być pochłonięty przez to miasto, w którym od rana do nocy dzień w dzień od setek lat grany jest ten sam anonimowy hałaśliwy melodramat masek. Uczestniczy w nim lutnista Gabrielli, malarz Byczkowski, poeta Pound, autor *Hadriana VIII*, kompozytor Strawiński, gwiazdy srebrnego ekranu, nieprzebrana międzynarodowa banda szpetnych turystów i mętnych globtrotterów.

W innych czasach przybyłbym z podobnym zamiarem do Babilonu lub do Bizancjum. Dziś takich miast nie ma. Nawet Londyn, który jeszcze dla Rimbauda stanowił zagadkę i tajemnicę, jest teraz skorupą, z której dawno wyparowało życie. Wenecja jest makieta, dzieciennym modelem naszej agonii. Dziś nie ma wyboru.

Wenecja ma więc tę jedną zaletę, której nie posiada żadne inne miasto. Jest zupełnie nierealna. Nie można uwierzyć w te kanały, pałace, mostki, lochy więzienne, zachody słońca, laguny, ulewne deszcze, gondole, soki cytrynowe, bizantyjskie kopuły. I ta nierealność idealnie harmonizuje z nierealnością, którą obecnie w sobie wyczuwam.

Dziś na Ben Jehuda spotkałem Abrama, który był w jak naj-

gorszym nastroju i twierdził, że lada dzień coś się zacznie. Wrócił właśnie z Haify, gdzie uzyskał miarodajne informacje.

Kupiłem dwie nylonowe koszule angielskie i tytoń i poszedłem do fryzjera niedaleko kina Migdal-Or. Chodzę do niego zawsze, gdy jestem w Tel-Avivie, bo ani nie próbuje zajmować mnie rozmową, ani nie namawia do kupna (w moim wieku!) podłych prezerwatyw. Przy tym liczy tanio i nie używa tępych nożyczek. Usługuje natychmiast, gdyż wybredna klientela stroni od jego brudnego lepkiego gabinetu i szuka szczęścia w tych nowoczesnych instytucjach nęcących połyskiem chromu, luster i neonów.

W drodze na stację autobusową do domu... ale, zresztą wszystko jedno. Był straszny upał i znów to duszenie wróciło. Wziąłem taksówkę.

Ten znakomity filozof szkocki, zakwestionowawszy wszystkie prawdy głoszone od wieków przez teologów i uczonych, z niezachwianą szczerością i prawością intelektualną przyznawał, że sam nie dysponuje wiedzą ostateczną. Hume z ujmującą prostotą przyznaje się do bezradności w kwestii tożsamości osobowości ludzkiej. W *Traktacie* wnikliwie ten problem roztrząsa, lecz w *Dodatku* oświadcza rozbrajająco „Żywiłem pewne nadzieje, że chociaż nasza koncepcja świata intelektualnego może mieć znaczne braki, to przecież będzie wolna od tych sprzeczności i niedorzeczności, które zdają się towarzyszyć wszelkiemu wyjaśnieniu, jakie jest w stanie dać umysł ludzki, co się tyczy świata materialnego. Ale przeglądając bardziej dokładnie rozdział o tożsamości osobowej, znajduję, że uwikłałem się w taki labirynt, iż, muszę przyznać, nie wiem, jak skorygować moje dawniejsze poglądy, ani też, jak je wewnętrznie uzgodnić”. Mistrz powiada w dalszym ciągu, że „Większość filozofów zdaje się mieć skłonność, żeby myśleć, iż identyczność osobowa wywodzi się ze świadomości. Ale świadomość nie jest niczym innym niż myślą refleksyjną czy percepcją. Obecna koncepcja filozoficzna (tzn. myśl samego Mistrza — A. Cz.) ma tutaj pomyślnie widoki. Lecz znikają wszelkie moje nadzieje, gdy przystępuję do wyjaśnienia tych czynników, które wiążą w myśli czy w świadomości następujące po sobie percepcje”. I na zakończenie druzgocące zdanie: „Nie mogę znaleźć koncepcji, która by mnie tu zadawała”.

Nie każdego obchodzi, jaki stopień pewności możemy przyznać zaobserwowanym regularnościom w przyrodzie; dla wielu, kwestia, czy postrzeganie składa się np. z serii „impresji” jest typowym sofizmatem filozoficznym, wobec którego przechodzą do porządku dziennego. Ale któż z nas nie przeżywa chwil, kiedy zastanawia się, co łączy go z dwuletnim dzieckiem siedzącym z grzechotką w ręku pod platanem w nieznanym bliżej parku;

z jedenastoletnim krótkowidzem, który wierzył w nadprzyrodzoną potęgę kapłanów; z krnąbrnym nastolatkiem; z przyglądniętym studentem nauk politycznych głoszącym „Śmierć imperialistom radzieckim na Węgrzech”, „Chleba dla Indii”, „Prawa obywatelskie dla Murzynów”, „Pius XII do Norymbergi”; z tragicznym kochankiem; z ojcem trojga dzieci; ze starcem złamanym artretyzmem; z urną popiołów w Ogrodzie Pamięci, nad którą zasadzono krzak pasowej róży wykradziony z parku miejskiego? „Je suis un autre” pisał młodziutki poeta francuski. Nie dziwota, że złamał pióro zanim osiągnął pełnoletność, że ostatecznie wybrał handel bronią w Abisynii.

Nie ma logicznie pewnej metody pozwalającej łączyć nieomylnie szereg następujących po sobie przejawów ludzkiego bytu. Do takiego właśnie wniosku dochodzi szacowny następca szkockiego mistrza, Alfred Juliusz Ayer. Ten uzdolniony przedstawiciel naszej rasy ujmuje problem ze znaną mu klarownością i precyzją: „To, że pewne opisy spełniam tylko ja, jest faktem empirycznym, a nie koniecznością logiczną. Logicznie biorąc, opisy te mogą się równie dobrze odnosić do innych albo nie odnosić się do mnie. W tym sensie mógłbym być kimś innym, kimś nawet bardzo różnym, ale nie całkowicie różnym od tego, którym jestem. W pewnym momencie to, co mogło uchodzić za błędny opis, przestaje być opisem czy nawet błędnym opisem mojej osoby: to już nie ja zostałem zidentyfikowany. Trudność polega na tym, że, jak się zdaje, nie ma reguł pozwalających określić moment, w którym się dochodzi do tego punktu”.

Zapewne zadziwię moich czytelników twierdzeniem, że ciekawą próbę rozstrzygnięcia tego problemu znalazłem niedawno w opowiadaniu Adama Czerniawskiego pt. *Rachela w Rzymie**. Proszę mnie dobrze zrozumieć: nie zamierzam bynajmniej utrzymywać, że ten złożony problem z dziedziny poznania i logiki, nad którym zastanawiały się i nadal zastanawiają najtęższe umysły, został nieoczekiwanie rozwiązany w kilkunastu absurdalnym beletrystycznej polskiego pisarza, który zresztą nie odznacza się szczególnie wybitnym talentem. Ale często się zdarza, że autorowi nawet miernemu podświadomość dyktuje jednocześnie głębszą warstwę tekstu, z której autor nie zdaje sobie w pełni sprawy, a która jednak jest widoczna w układach językowych pojawiających się na papierze.

We wspomnianym opowiadaniu, mianowicie, Czerniawski proponuje rozwiązanie problemu tożsamości przez postawienie go na głowie. Hume i Ayer szukali logicznie pewnej gwarancji trwania w czasie określonej jaźni i jej koniecznego związku z danym

* Opublikowanym w *Kulturze* z lipca 1966 r. (przyp. red.).

ciałem, choć można też powiedzieć, że Hume znalazł się w matni właśnie dlatego, że nie dość uwagi poświęcił fizycznej stronie tożsamości jednostki ludzkiej. Czerniawski natomiast w swej nowelce zdaje się widzieć bohatera przechodzącego transformację wykluczającą tożsamość. Andrzej jest więc kolejno uczniem nieznanego bliżej rzymskiego malarza, jest żołnierzem niemieckim na froncie wschodnim, jest kochankiem Żydówki Racheli, jest nazistą sprawującym wysokie stanowisko w systemie zagłady Żydów holenderskich, jest poetą, jest (jakże słusznie!) schizofrenikiem zamieszkującym jakieś miasto angielskie...

Piszę, że Andrzej „jest” tym a tym. Ale utwór Czerniawskiego jest (może celowo) skomponowany tak enigmatycznie, że trudno dociec do jakiego stopnia niektóre efekty są zamierzone. Jedno jednak wydaje mi się zupełnie jasne: autor poczuwa się do odpowiedzialności za systematyczną likwidację Narodu Wybranego przez oprawców hitlerowskich. Z jednej strony bohatera Czerniawskiego należy utożsamiać z samym autorem, a z drugiej z wykonawcami rozkazów Hitlera. Mamy tu więc próbę identyfikacji, że tak powiem, „horyzontalnej”, a nie pionowej. Nie chodzi mianowicie o to, czy elegancki pan z parasolem i goździkiem w butonierce jest również fikającym bobasem sprzed trzydziestu kilku lat, lecz o to, czy autor jest równocześnie, współcześnie, całym zastępem postaci, których psychiki różnią się bądź tylko w drobnych szczegółach, bądź też w sposób absolutny.

Tak więc, jak rzekłem, Czerniawski rozwiązuje zagadnienie, które było zagadką dla wybitnych myślicieli, po prostu przez uznanie go za nieistniejące. Ale pamiętajmy, że Czerniawski pragnął stworzyć stosowną strukturę, która odpowiadałaby jego moralnemu stanowisku, a nie rozwiązać problem natury filozoficznej, o którego istnieniu zapewne nawet nie wiedział. Jak to jednak często bywa w sztuce, autorowi nie udało się znaleźć zadawalającego artystycznie wyrazu dla swych szlachetnych pobudek.

Ja tu analizuję, dzielę włos na czworo, popisuję się erudycją, dopatruję się nieistniejących może subtelności, a tymczasem nam znów straszne niebezpieczeństwo zagraża. Nasi semicy bracia, podjudzani przez następców tych, którzy tak niedawno pakt nieagresji z germańskimi faszystami i antysemitami zawierali, odmawiają Izraelowi prawa do istnienia. Lada dzień powtórzy się los Warszawy i los Budapesztu. Z Bonn otrzymaliśmy właśnie transport masek przeciwgazowych. Jakie jeszcze ironiczne wariacje na tematy historyczne los dla nas zgotował?

Może to tylko wydaje mi się, że szakale głośnieją wyją. Ale

też pomarańcze mocniej pachną i ruch na drogach wzmożony.
Znów mnie dusi, więc chyba już pójdę się położyć.

OD REDAKCJI: Trudno nam dociec, dlaczego Szelomo Bar-Levi, autor powyższych notatek, przybrał pseudonim „Adam Czerniawski”. Być może uczynił to na znak solidarności z autorem „absurdeski”, którego, jak widzimy, specjalnie nie cenił, ale którego dobre intencje respektował. Bar-Levi, syn wileńskiego rabina, urodził się w r. 1899. We wczesnej młodości pozyskał uznanie wiernych jako nieprzeciętny komentator Ksiąg Mojżeszowych. Znał świetnie nie tylko język hebrajski, ale także arabski, aramejski i perski. W r. 1927 rozpoczął studia prawnicze we Lwowie i właśnie w tym okresie, kiedy znalazł się poza sferą wpływów wileńskich, a równocześnie zbliżył się do lewicowych ugrupowań studenckich, przeszedł głęboki kryzys, w wyniku którego zerwał ostatecznie więzy z litewskimi kołami ortodoksyjnymi, wstąpił do partii komunistycznej i poświęcił się pracy agitacyjnej w Łodzi i na Śląsku.

W niewiadomych okolicznościach znalazł się ok. r. 1943 w Tel-Avivie. Przez pewien czas pracował podobno w jakimś resorcie, kontrolowanym wówczas oczywiście przez władze brytyjskie. Nie jest wykluczone, że był członkiem wywiadu sowieckiego, w każdym razie wiadomo jest, że był nadal czynnym członkiem partii i że przez czas jakiś zajmował mieszkanie na piętrze obskurnej, obdrapanej kamieniczki przy Hajarkon 108. Wiadomo też, że z partii wystąpił w r. 1956 na znak protestu przeciw sowieckiej *guerre éclair* na Węgrzech.

W ostatnich latach Bar-Levi nauczał w gimnazjum w Recho-wot, gdzie zmarł w nocy z 4 na 5 czerwca br. po trzecim zawale serca. Krążyły jednak domysły, że Bar-Levi zlikwidowany został przez swych dawnych (domniemanych) chlebobadców. Ta teza wydaje nam się mało prawdopodobna, gdyż gdyby Bar-Levi rzeczywiście był kiedyś agentem sowieckim, o jego śmierć zadbano by w r. 1956 w okresie Rewolucji Węgierskiej.

Teksty filozofów brytyjskich, cytowane przez autora w wersjach hebrajskich, podaliśmy w przekładach Czesława Znamierowski i Ewy König-Chwedeńczuk.

Adam CZERNIAWSKI

Wiersze

O WULKANACH

*Stromboli dymi od czasów Homera,
Wezuwiusz sypał popiół na Bałtyk,
Inne nie wybuchają od setek lat
I tylko czasem pykną jak z fajki,
Drzemią nieczynne, gasną powoli
I umierają z otwartymi ustami
Czarnych kraterów.*

*Za to w Gwatemali
Podminowany cały kraj,
Dwadzieścia wulkanów, armia bojowa,
Gotuje w kotłach żupę lawy,
W piecach wypieka ogniste kamienie,
Wieje chorągwią z wieży fortecznej
U szczytu.*

*Przyjechał śmiałek, przystał do nich,
Rozdmuchał swój żar,
Parzył sobie ręce i język
Ale wołał triumfująco:
Nie chcę Europy, tam umierałem,
Gwatemala należy do wolnych wulkanów,
Ja tu odżyję.*

*I odżył.
Wspinał się od samego spodu,
Od łona ziemi okaleczonej*

Przez zaraźliwy niepokój świata
Na wieżę gdzie zatknął
Własną chorągiew
U szczytu.

Ale wulkany wyznaczają śmiałkom
Los wulkaniczny:
Zakrzusił się,
Pokrył się czarnymi plamami,
Erozja szarpała go sępim dziobem,
Otrząsał się, burzył daremnie,
I gaś wysoki i wolny
Aż usnął doszczętnie
Z otwartymi ustami
Krateru.

Tak wypalił się w Gwatemali
Wulkan polski, Andrzej Bobkowski.

POGRZEB

O siódmej rano przez naszą ulicę
Jedzie śmieciarz,
Opróżnia kubły.

Potem nadjeżdża
Zamknięty, szklany karawan,
Zabiera sny.

W karawanie jest miejsce na jedną osobę
Ale nowych nieboszczyków może się zmieścić
Sto tysięcy i więcej,
Nic nie wazą,
Nic nie znaczą,
Nie przeżyli nawet jednego dnia.

Za śmieciarzem biegną koty,
Za karawanem nie idzie nikt
Choć przecież pada deszcz,
Jest zimno,
Błoto,
Otwarte parasole płyną w powietrzu samotne.

SZCZEKAJĄ PSY

W nocy szczekają psy,
W każdym obejściu jeden zamknięty pies,
Szczeka sto, dwieście psów,
Szczekają psy w całym miasteczku,
Nigdy nie słyszałem takiego chóru.

Pewnie ulicą przebiegła suka
Która się goni,
Jeden ją poczuł, zaszczekał,
Zrozumiały go inne psy
I wszystkim zaświeciły się oczy.

Nigdy nie słyszałem takiego chóru.
Szarpia się na łańcuchach,
Zagryzłyby się żywcem
A ona ucieka.
Teraz już tylko wyć,
Podniesionym do góry pyskiem wyć,
Skomleć mordą zamkniętą,
Kręcić się w kółko przed budą
W tańcu świętego Wita.

Rankiem położą się w słońcu,
Prześpią cały dzień,
Przyśni się im nocna zjawa:
Wzdrygną się,
Wstrząsną od drgawek pod skórą,
Będą drobić nogami leżąc,
I za nią bieć
Przez ciężkie, zgłodniałe sny,
Przez dzikie wertepy snów
Niedogonionych.

SCHODZENIE W DÓŁ

Kulawi nie mogą zejść po schodach,
Płaczą się nogi drewniane,
Kule wypadają spod ramion:

*Chodzić to wiedza tajemna,
Życie lub śmierć.*

*Pierwszy stopień wtajemniczenia
Jeszcze jako tako,
Drugi już niepewny,
Trzeci obsuwa się w dół:
Widać przepaść poszatkowaną,
Pręgi lecące stromo,
Schody wirują w oczach
A gdzie jest dno?*

*Kulawi spadają w popłochu
Jeden na drugiego,
Turlają się, trzeszczą,
Kość w kość,
Przepaść pęka od krzyku,
Na samym dole pali się ogień
I nawet piekło może im się wydawać
Zbawieniem.*

ALEJA W GŁĘBI CZASU

*Posągi stoją w głębi czasu,
W przejrzystej wodzie głębinowej:
Twarze obmyte z rysów,
Oczy zjedzone solą,
Ramiona bez rąk,
Stopy na płask
I nawet fałdy szat
Spływają po nich
W poszarpanych plisach.*

*To są wyspy w morzach minionych,
W ciszy zniemienia,
W obojętnej przyrodzie:
Tędy szła miłość ludzka
I kuła w marmurach
Aleje swojego uśmiechu.*

*Kto i dla kogo — nie wie nikt,
Jest to ostatni przewodnik*

*Głębinowego bytu:
Bez twarzy, bez rąk, bez szat
Sama nagość w kamieniu,
Sama nagość miłości
Nie zatraconej w czasie,
Nie roztopionej w przyrodzie,
Nie odebranej człowiekowi.*

Kazimierz WIERZYŃSKI

Rok 2.000

W okresie poprzedzającym drugą wojnę światową sztuka przewidywania zawiodła całkowicie. Europejczycy błędzieli wówczas w gęstej mgle — nie zdając sobie sprawy, że milimetry dzieli ich od przepaści.

W dniu 1 września 1939 r. w południe zjawił się w redakcji „Ilustrowanego Kuryera Codziennego” prof. Zweig, znakomity ekonomista, a dziś równie wybitny socjolog. Zweig oświadczył nam wtedy, że bomby niemieckie, które spadły między innymi i na Kraków — są dalszym ciągiem wojny nerwów. Za parę godzin Hitler przedłoży swoje propozycje pokojowe i zaczną się negocjacje.

Tak jak prof. Zweig myślało bardzo wielu ludzi. Hitleryzm był czymś bez precedensu i nikt nie rozumiał mechanizmu tej piekielnej maszyny.

„Niemcy są państwem uporządkowanym i narodem systematycznym. Wszystko co u nich dzieje się może być zaobserwowane i obliczone. Możemy być prawie pewni, że z ich strony nie spotka nas żadna niespodzianka”.

Powyższą opinię wypowiedział Marszałek Piłsudski w maju 1934 r. („W cieniu buławy” — Zygmunt Bohusz Szyszko).

W roku 1934 trudno było rozpoznać hitleryzm i przewidzieć wojnę. Lecz jakże charakterystyczne jest mniemanie, że Niemcy są niezdolne do niespodzianki! W dwudziestym wieku żaden naród nie zgotował światu takiej niespodzianki jak Niemcy.

Dziś to wszystko uległo zmianie. Nie chcemy być zaskoczeni i dlatego podjęto naukowe badania przyszłości. We Francji istnieje tzw. „Futuribles” — projekt badawczy na czele którego stoi Bertrand de Jouvenel — w Anglii pracuje tzw. „Komitet następných trzydziestu lat”, wyłoniony przez „Social Science Research Council” — w Stanach Zjednoczonych działa „Komisja Badawcza Roku 2000”, pod przewodnictwem prof. Daniela Bella.

Oczywiście istnieją dziesiątki specjalnych projektów badania przyszłości związanych z przestrzenią kosmiczną, strategią nuklearną itd. itp.

Podstawą i warunkiem studiów tego typu jest otwarty umysł. Jeżeli ktoś głosi, że w roku 2000 cały świat będzie skomunizowany — nie ma powodu powoływania „Komisji Następných 30 lat”. Z tych przyczyn wydaje mi się, że gdyby dziś można było współczesnym mężom stanu pokazać film obrazujący świat w roku 2000 — nikt nie byłby tak zaskoczony i zdruzgotany jak przywódcy sowieccy i sateliccy.

Przyszłość jest dalszym ciągiem teraźniejszości wzbogaconym o pewien procent niewiadomych. Tak na przykład w oparciu o analizę obecnej sytuacji przewiduje się, że w roku 2000 w Stanach Zjednoczonych 280 milionów ludzi będzie skupionych w miastach. 80 % mieszkańców Ameryki zaludni olbrzymie „Megapolis’y”. Dla owych „Megapolis” ukuto już nowe nazwy. Przestrzeń pomiędzy Waszyngtonem a Bostonem przekształci się w 80-ciomilionowe miasto które dziś określa się mianem „Boswash” — od pierwszych liter Boston i Waszyngtonu. Socjologowie przewidują powstanie trzech tego typu monstre-miast na terenie Stanów Zjednoczonych.

Wiemy, że Bezpieka, czy sowiecka tajna policja prowadzi szczegółową ewidencję wszystkich obywateli zajmujących ważniejsze stanowiska. Lecz to są dziecinne igraszki w porównaniu z tym co nas czeka na tzw. „wolnym” Zachodzie w roku 2000. Każdy obywatel będzie miał od kolebki do grobu, a raczej od kliniki położniczej po krematorium — swój szyfrowy numer. Centralny komputer, na podstawie owego szyfru, będzie mógł natychmiast powiedzieć ile dany obywatel ma lat, jaką ma grupę krwi, jakie przeszedł choroby, jakie zna języki, sklasyfikować odcisk palca itd. itp. Członkowie „Komisji Roku 2000” są zdania, że za 30 lat daleko łatwiej będzie wyjechać na księżyc niż prowadzić prawdziwie prywatne życie.

Staroświecko-liberalnym starszym panom — jak niżej podpisany — wizja „megapolis”, w którym człowiek poddany będzie doskonałej kontroli wydaje się przerażająca. Z drugiej strony, jeżeli chcemy korzystać z dobrodziejstw technologii — musimy być przygotowani na pewną reglamentację i kontrolę. Komunikacja, poczta, telefony, rachunki bankowe, służba zdrowia — jeżeli mają sprawnie funkcjonować w 80-ciomilionowym mieście, muszą być skomputeryzowane — co prowadzi z kolei do elektronicznych biur ewidencyjnych o nieprześcignionej dokładności. Oczywiście musi być wytyczona granica pomiędzy wolnością a użytecznością — pomiędzy numerem szyfrowym a żywym, prywatnym obywatelem. Osobiście nie jestem optymistą w tej szczególnej dziedzinie. Kontrola i władza to są synonimy. Jeżeli są gdzieś dostępne potencjały władzy — ludzie po nie sięgają.

W mojej ocenie, oblicze świata w roku 2000 będzie zależało przede wszystkim od przeobrażeń jakie dokonają się w Ameryce i w Rosji. Skłaniam się również do przypuszczenia, że w początkach 21 wieku świat będzie znacznie mniej ustabilizowany niż jest dziś. Żadne „święte przymierze” w przeszłości nie funkcjonowało tak skutecznie jak instytucja podwójnej hegemonii. Moż-

na jednak uznać za pewne, że czasokres trwania tej instytucji jest ograniczony. W obrębie najbliższych trzydziestu lat Japonia przekształci się w przemysłowe super-mocarstwo. Trudno również przypuścić by Chiny dziesiątkami lat uprawiały politykę ścisłej izolacji.

Był czas, że Ameryka była monopolistą atomowym. Dziś Rosja i Ameryka starają się utrwalić swą atomową przewagę proponując innym państwom rezygnację z broni nuklearnych.

W okresie Juliusza Cezara istniały na świecie dwa olbrzymie mocarstwa, które nie sprawiały sobie nawzajem najmniejszego kłopotu. Mam na myśli imperia rzymskie i chińskie.

Powyższa sytuacja stanowi ideał 80 % Amerykanów i Rosjan. O rewolucji i światowym millenium komunistycznym deklamuje Breżniew, a o polityce globalnej deklamuje prez. Johnson. Lecz 80 % Rosjan i Amerykanów ma poczucie terytorialnego nasyceńia i marzy o niekłopotliwym ustabilizowanym pokoju, który umożliwiłby im przekształcenie bogactw ich kontynentów w powszechną zamożność i „dobre życie”.

Oba super-mocarstwa są konserwatywne i zainteresowane w utrzymaniu i przedłużeniu *status quo*. Rosja jako mocarstwo osiągnęła wszystkie swoje historyczne cele. Zjednoczenie ziem ruskich (i nie całkiem ruskich) zostało dokonane. Niemcy są przepołowione — zagłębienie śląskie i wszystkie bazy wypadowe z zachodu kontrolowane są przez Moskwę. Z Rosją trudno jest negocjować w Europie, ponieważ nie ma już jej czego zaferować. Wprawdzie neo-hitlerowcy w NRF kokietują Sowiety, lecz pakt à la Ribbentrop-Mołotow nie wydaje się prawdopodobny, ponieważ Rosjanie nie chcą niczego oddać a dzielić nie ma się czym.

Polityka, której celem jest utrzymanie *status quo* jest z natury rzeczy polityką konserwatywną i izolacjonistyczną. Znakomita większość Amerykanów i Rosjan nie pragnie rewolucji światowej, wojny w Wietnamie czy gdziekolwiek indziej — pragnie natomiast likwidacji „zimnej wojny” i utrwalenia pokoju, który oczywiście nie jest pokojem sprawiedliwym. Lecz pokój nigdy nie jest sprawiedliwy dla wszystkich — z czym Amerykanom i Rosjanom łatwiej jest się pogodzić niż komukolwiek innemu.

Obawiam się, że rok dwutysięczny nie ziści powyższych pragnień amerykańsko-rosyjskich. Izolacjonizm w skali państwowej — podobnie jak prywatność w skali indywidualnej będą coraz trudniejsze do zrealizowania. Bo co to jest izolacjonizm? Izolacjonizm to jest samowystarczalność i niezależność. Gdyby Amerykanie mogli zapewnić bezpieczeństwo i pokój swojemu kontynentowi jakąś „Linia Maginota” zawieszoną w kosmosie — wówczas, lecz tylko wówczas, mogliby powrócić do izolacjonizmu. Rozwój technologii zbrojeniowej idzie jednak w tym kierunku, że w odwiecznej konkurencji pomiędzy pociskiem a pancernem — pocisk wykazuje olbrzymią przewagę. System ABM, który niedawno obwieścił McNamara — nie zapewnia bezpieczeństwa przed sowieckimi pociskami orbitalnymi tzw. „FOBS”. Nie ozna-

cza to, że Sowiety dysponują przeważającymi siłami atomowymi — oznacza to jednak, że Rosjanie mogą każdej chwili zbombardować Stany Zjednoczone powodując olbrzymie straty w ludności i w przemyśle. Amerykanie mogą odpowiedzieć akcją odwetową, lecz nie mogą ochronić się przed sowieckim atakiem. O każdej godzinie dnia i nocy życie milionów Amerykanów znajduje się dosłownie w rękach kilkunastu starszych panów na Kremlu. To jest fakt, który nie spędza snu z powiek mieszkańców Nowego Jorku czy Waszyngtonu, lecz niemniej ów fakt redukuje wszelki izolacjonizm *ad absurdum*.

Oczywiście to samo dotyczy Rosji. Socjalizm w jednym kraju czy w jednym imperium, mury Ulbrichta i „żelazne kurtyny” — to wszystko są instrumenty z poprzedniej epoki.

Jeżeli prawidłowo odczytuję intencje polityki sowieckiej — ideałem Moskwy byłaby izolacjonistyczna Europa. Rosjanie pragną uniknąć „wspólnej granicy” z Ameryką. Europa wyłączona z bloków wojskowych, neutralistyczna, z pro-rosyjską Francją i rozparcelowanymi Niemcami — oddzielałaby skutecznie oba super-mocarstwa. Tego typu układ asekurowałby również z punktu widzenia Kremla imperium satelickie.

Rosjanie nie rozumieją Anglosasów a w szczególności Amerykanów. Podbój gospodarczy dla Rosjan oznacza wyzysk, a w każdym razie warunki najwyższego uprzywilejowania. Podbój gospodarczy typu amerykańskiego jest dla Rosjan w równej mierze niezrozumiały jak i niemożliwy do naśladowania.

W chwilę gdy piszę te słowa ukazał się *bestseller* pt. „Le Defi Américain” — pióra Jean Jacques Servan-Schreiber. Jak wynika z cytowanej książki Amerykanie dokonują błyskawicznego podboju gospodarczego Europy zachodniej... za europejskie pieniądze. I tak w roku 1965 Amerykanie zainwestowali w przemysł europejski 4.000 milionów dolarów. 55 % powyższej kwoty wydobyli z europejskiego rynku dolarowego, 35 % otrzymali w formie subsydiów od rządów europejskich, a tylko 10 % wyłożyli gotówką. Schreiber przytacza bogaty materiał cyfrowy, który ilustruje zarówno zasięg jak i rozmach „okupacji” amerykańskiej. Jego zdaniem Amerykanie górują nad Europejczykami znakomitą organizacją i talentem komercyjnym.

Trudno jednak zgodzić się z wnioskami Schreibera, który mniemać że dopuszczenie Anglii do „wspólnego rynku” — umożliwiłoby Europie przeciwstawienie się Ameryce.

W grupie 500 czołowych koncernów przemysłowych świata — Anglia reprezentuje 55 przedsiębiorstw, Niemcy 30, Francja 23 i Włochy 8.

Niewątpliwie Anglia wniosłaby znaczny posag do wspólnoty europejskiej. Lecz wniosłaby poza tym jeszcze coś innego. Z Londynu bliżej jest do Nowego Jorku niż do Calais. Tak jest dziś i tak będzie w roku 2000. W co drugim domu angielskim pełno jest fotografii z Indii, pamiątek z Keni czy z Jamajki. Przeciętny Anglik czytając swoją prasę wie daleko więcej o Rodezji niż o Belgii — nie mówiąc o Węgrzech czy Rumunii.

Mieszkam w Anglii niemal 20 lat i cenię Anglików bardzo wysoko, lecz co do ich europejskości nie mam żadnych złudzeń. Geograficznie oczywiście są Europejczykami lecz „kontynentalność” w sensie mentalności i historii — jest im całkowicie obca. A Europa to kontynent, względnie sub-kontynent Azji — lecz w żadnym wypadku nie wyspa. Anglicy są tak różni od wszystkich innych narodów europejskich — ich sposób życia tak odbiega od modły kontynentalnej — że mieszkając na tych wyspach ma się zawsze poczucie odrębnej, zamkniętej, otoczonej morzem całości. Na kontynencie żaden kraj nie tworzy zamkniętej i odrębnej całości. Przejeżdżając z Francji do Belgii gdyby nie było oznaczeń granicy — podróżny nie zauważyłby, że opuścił jeden kraj i przybył do drugiego.

Anglicy należą do świata anglosaskiego to znaczy do grupy narodów mówiących po angielsku. Amerykanie i Anglicy działają sobie często na nerwy, lecz we wszystkich zasadniczych sprawach są zawsze całkowicie solidarni.

W połowie listopada bieżącego roku brytyjski minister technologii A. Wedgwood Benn oskarżył publicznie koncern amerykański Westinghouse Corporation, że zmierza do wykupienia czołowych brytyjskich naukowców atomowych.

Pewne światło na powyższą sprawę rzuca analiza sytuacji w roku 2000 opracowana przez „Hodgson Institute” w Ameryce. Według tej analizy wolny świat w obrębie 30-tu lat rozpadnie się na dwie strefy. Do pierwszej strefy społeczeństw po-przemysłowych należeć będą Stany Zjednoczone, Japonia i Kanada. W. Brytania, Francja i Niemcy tworzyć będą drugą strefę krajów o niższym rozwoju technologicznym. Decyzja i kierownictwo należeć będą do krajów pierwszej kategorii, a w szczególności do Ameryki.

Jeżeli Europejczycy nie podejmą kontr-akcji, przepowiednia „Hodgson Institute” sprawdzi się co do joty. W systemie kapitalistycznym opartym na wolnej inicjatywie nie jest rzeczą łatwą walczyć z kolosami typu Westinghouse Corporation. W ustroju demokratycznym można apelować do uczuć patriotycznych specjalistów atomowych lecz nie można im zabronić emigracji za Ocean, ani nie można ogłosić ich zdrajcami gdy podpiszą kontrakt z Amerykanami.

Jakie jest więc wyjście z tej sytuacji?

W tym miejscu prezentuję Czytelnikom mój własny horoskop. Anglia wejdzie do Europy albo jeszcze za życia prez. de Gaulle'a, albo po jego śmierci. Anglicy są w pierwszej linii Anglosasami a dopiero w drugiej kolejności Europejczykami. Udział Anglii nie tylko nie zahamuje podboju amerykańskiego Europy, lecz przeciwnie, ów podbój ułatwi i przyspieszy.

Jeżeli przeciwnika nie można pobić, należy się z nim połączyć. Europa łącznie z Anglią nie ma szansy pobicia na polu gospodarczym Stanów Zjednoczonych, ponieważ „inwazja” amerykańska posunięta jest zbyt daleko. Problemem nie jest „inwazja”, tylko przekształcenie owej „inwazji” w unormowaną i ściśle określoną

współpracę. Innymi słowy, wspólnotę europejską należy zastąpić wspólnotą atlantycką. Wówczas Stany Zjednoczone byłyby jednym z członków nowego systemu i podlegałyby tym samym przepisom i statutowym postanowieniom co Francja i Anglia. Walka konkurencyjna, która jest normalnym zjawiskiem w świecie kapitalistycznym byłaby uregulowana, podobnie jak dziś te sprawy reguluje się w ramach wspólnego rynku.

Gdy powstanie „wspólnota atlantycka” — Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka staną się w pewnym sensie „sąsiadami”. Ów fakt pociągnie za sobą różnorodne konsekwencje. Blok wschodni będzie musiał podjąć na wielką skalę wymianę gospodarczą z unią atlantycką.

Z każdą dekadą będzie coraz trudniej izolować społeczeństwo sowieckie od zewnętrznego świata. Rozwój technologii narzuca uniwersalną kulturę masową. Pod koniec stulecia ludzie w Moskwie czy w Leningradzie będą oglądali programy telewizyjne zachodnioeuropejskie i amerykańskie przekazywane z orbitalnych stacji, będą słuchali programów radiowych z całego świata i będą równie dobrze poinformowani jak mieszkańcy Paryża czy Nowego Jorku. Rosjanie będą nadal kontrolowali ruch turystyczny, będą ostrożni w wydawaniu zezwoleń na wyjazd własnym obywatelom — lecz wobec naporu zachodnich mediów komunikacyjnych będą bezbronni.

Uprzemysłowienie i wzrost stopy życiowej choć nie prowadzą automatycznie do parlamentarnej demokracji — powodują jednak zasadnicze zmiany społeczne. Dr Z. Jordan w jednym ze swych szkiców omówił teorię społeczeństwa przemysłowego, która — choć jest wynikiem badań wielu socjologów — została opracowana i usystematyzowana przez R. Arona i jest związana z jego nazwiskiem.

Kapitalizm czy komunizm stanowią ramy procesu uprzemysłowienia. Choć uprzemysłowienie przebiega inaczej w komunizmie niż w kapitalizmie — skutki tego procesu są niezależne od ideologiczno-społecznego kontekstu.

Przemiany powodowane uprzemysłowieniem wpływają oczywiście na postawy ludzi — co z kolei, musi się wyrazić przemianami w sytuacji ideologicznej.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że uprzemysłowienie pociąga za sobą zmniejszenie się procentu siły roboczej zatrudnionej w rolnictwie — wzrostem urbanizacji itp. Lecz zasadnicze wydają się zmiany nie w strukturze społeczeństwa, lecz w postawach ludzi — choć, oczywiście, te ostatnie uwarunkowane są pierwszymi.

Uprzemysłowienie burzy tradycję. W przed-przemysłowych społeczeństwach ludzie uważają tradycyjny porządek rzeczy za nienaruszalny i godzą się biernie ze swą *station in life*, ponieważ wyznaczyła ją Opatrzność lub nieuchronny los. Cywilizacja przemysłowa jest dziełem człowieka — cechuje ją płynność i ruchliwość oraz żywiołowe dążenie do poprawy bytu. Dopóki podstawą bogactwa była własność ziemiska — zamożność była przywilejem

niewielu. Cywilizacja przemysłowa — zwłaszcza w jej nowoczesnych formach — udostępnia zamożność potencjalnie wszystkim i z tej przyczyny nie tylko nikt nie chce akceptować biedy lecz nikt nie jest zadowolony z tego co ma. Wszyscy stale dobijają się o coraz lepsze warunki i wydaje się, że górna granica owych żądań nie istnieje.

Za najistotniejszą przemianę jaką niesie cywilizacja przemysłowa uznać należy całkowitą sekularyzację. Współczesna technologia daje człowiekowi pełne władztwo nad przyrodą. Nauka wyposaża człowieka w możliwości kontroli ewolucji ludzkiego gatunku. Już dziś możemy kierować rozrodczością, przedłużać życie, a w niedalekiej przyszłości nauka umożliwi operowanie dziedzicznością.

To są donioślejsze zmiany niż wszystkie watykańskie sobory — oznacza to bowiem, dla religijnego człowieka za jakiego się uważam, że Bóg godzi się na naszą pełnoletniość i przekazuje całość odpowiedzialności za ludzki gatunek w nasze ręce. I w tym sensie Bóg wycofał się ze świata. Nie możemy bowiem mieć władzy i niemal absolutnych możliwości — włącznie z mocą zlikwidowania życia na tej planecie — i równocześnie apelować do Opatrzności. Jesteśmy dziś na swoim, i nasz los zależeć będzie odtąd nie od Opatrzności, ale od nas samych. Ponieważ zorganizowane religie są konserwatywne — nie są w możności dostosować się do tego przewrotu bez analogii i bez precedensu w dziejach ludzkości.

Różnica pomiędzy chrześcijanami a komunistami polegała na tym, że jedni powoływali się na niezmiennie prawa boskie — drudzy natomiast powoływali się na niezmiennie prawa historii. Dziś nikt nie może powoływać się na autorytet pozaludzki, gdyż człowiek osiągnął punkt, w którym jest przedmiotem i podmiotem ewolucji i jest przedmiotem i podmiotem historii. Człowiek jest uformowany przez historię, lecz co zrobi z samym sobą uformowanym przez historię, zależy tylko od niego. Przysnaje to nawet Sartre.

Jeżeli wszystko zależy od nas — wszystko może być zmienione i zreformowane. W tym sensie cywilizacja przemysłowa jest w swym wyrazie społecznym anty-autorytatywna i anty-dogmatyczna.

Do tej pory nie ma ani programu ani ideologii, która ogarniałaby całość tych przemian. Patrząc na współczesne partie polityczne z perspektywy roku 2000 — trudno powstrzymać się od refleksji, że są to organizacje wręcz archaiczne, oparte o ideologie dziewiętnastowieczne, które podobnie jak zorganizowane religie — nie są w stanie zasymilować przewrotu i jego konsekwencji. Dotyczy to zarówno komunizmu jak i wszystkich wielkich partii politycznych na Zachodzie.

Obok sekularyzacji, drugą zasadniczą zmianą będzie zerwanie tradycyjnych więzi pomiędzy pracą a zarobkiem. W krajach po-przemysłowych rok roboczy będzie wynosił 150 do 200 dni.

Jest oczywiście ponad wszelką wątpliwość że na to by praco-

wał dla nas i za nas zautomatyzowany i scybernetyzowany przemysł — trzeba wysiłkiem i pracą osiągnąć szczyt technologicznego rozwoju. Budzi natomiast niepokój fakt, że owa po-przemysłowa „gorączka konsumpcyjna” ogarnia kraje, którym bardzo daleko jest do epoki po-przemysłowej.

Wszyscy chcieliby konsumować w skali amerykańskiej, lecz jest znacznie mniej chętnych do podjęcia wysiłku, który Amerykanie mają już za sobą. W Rosji i w Polsce młodym ludziom nie brak apetytu i entuzjazmu do konsumpcji w skali amerykańskiej — choć wydajność produkcyjna obu tych krajów jest nieporównanie niższa niż Stanów Zjednoczonych.

Marksizm jako ideologia socjalno-humanistyczna posiada pewną wartość — lecz marksizm jako teoria ekonomiczna leży w gruzach. Wszelki postęp w dziedzinie gospodarczej w Sowietach dokonywany jest za cenę odstępstwa od doktryny. Można dziś uznać za pewnik, że żadne państwo o gospodarce marksistowskiej nie wejdzie w epokę po-przemysłową, jeżeli nie porzuci marksizmu.

Prof. Wiktor Głuszkow — jeden z czołowych sowieckich matematyków i specjalistów od komputerów, obliczył, że trzeba by około miliona komputerów, z których każdy byłby zdolny dokonać trzydziestu tysięcy obliczeń na sekundę, by rozwiązać problemy, które zaprzatają w jednym roku mózgowicze centralnych planistów sowieckich. (Ci panowie do niedawna wyznaczali ceny na każdą parę sznurowadeł i na każdą kopę jajek).

Centralistyczne zarządzanie gospodarki będzie musiało ulec reformie jak i wiele innych ortodoksyjnych teorii. Rosjanie swój status drugiego mocarstwa świata przegrają lub obronią na polu ekonomicznym. Rzeczoznawcy amerykańscy nie przewidują, by Rosja w roku 2000 weszła w epokę po-przemysłową.

Robotnik sowiecki spożywa dziś od 7 do 9 razy mniej mięsa niż robotnik amerykański — trzy razy mniej cukru niż przeciętny Anglik czy Francuz. Równocześnie, aparatczycy zarówno w Rosji jak i w Polsce powtarzają bez przerwy tradycyjne slogany o wyzysku, o rewolucji, o społeczeństwie bezklasowym. Przeciwno komu głoszą oni rewolucję? Czasami trudno oprzeć się wrażeniu, że owe hasła o wyzysku nie odpowiadają nigdzie pełniej rzeczywistym warunkom — jak w krajach bloku wschodniego. I tak oto ideologia obraca się przeciwko ideologom.

Dla ludzi starszego pokolenia zabrzmi cynicznie i „materialistycznie” opinia, którą wypowiem. W najbliższych dekadach — masowe niezadowolenie, a może nawet bunt, budzić będzie nie brak wolności czy instytucji demokratycznych lecz niska stopa życiowa i rozbudzony a niezaspokojony pęd do konsumpcji. Każda epoka ma swoje charakterystyczne namiętności. Namiętnością epoki technologicznej jest dobrobyt i konsumpcja. W Ameryce nie byłoby rozruchów murzyńskich, gdyby Murzyni uczestniczyli w pełni w ogólnej zamożności. Robotnicy nie marzą dzisiaj o czerwonych sztandarach i proletariackim purytanizmie, ale walczą do upadłego o samochody i komfort dwudziestego wieku.

Na Zachodzie demokrację uważa się za oczywistość i nikt nie ocenia rządu kategoriami „demokratyczności”. Działalność rządów ocenia się wyłącznie wynikami gospodarczymi. W miarę postępu technologicznego automacji itp. — rządy coraz bardziej upodabniać się będą do zarządów korporacji przemysłowych, których zadaniem jest *deliver the goods*. Niewydajność, bezplanowość, niska produktywność uważane będą w najbliższych dekadach za grzechy główne, których rządzeni nie będą tolerowali u rządzących. Rząd, który nie zdoła *to deliver the goods* będzie miał przeciw sobie całe społeczeństwo.



Trudność pisania artykułów tego typu polega na tym, że choć znamy fakty, nie znamy ich konsekwencji. Urzędnik w ministerstwie spraw zagranicznych w Wiedniu, który umarł w trzy dni po zamachu w Sarajewie — nie mógł zdawać sobie sprawy z konsekwencji jakie ów zamach za sobą pociągnie. W chwili obecnej patrzymy na wiele wydarzeń, które historycy w roku 2000 uznają za punkty zwrotne w dziejach stulecia. Wydaje mi się, że jednym z takich wydarzeń historycznych będzie re-orientacja Rosji. Owa re-orientacja za lat 30 zarysuje się wyraźnie.

Stany Zjednoczone, Anglia, Francja, Japonia — uległy olbrzymim przeobrażeniom — co znalazło wyraz często w dramatycznej re-orientacji politycznej. Rosja w tym oceanie przemian stanowi bastion konserwatyzmu i zacofania. Tak jak dawniej jest imperialistyczna na zewnątrz i policyjnie totalistyczna na wewnątrz. Tak jak dawniej jest nieprzejednanie wroga w stosunku do wszystkiego co zachodnie. W drugiej połowie bieżącego stulecia w Rosji zajdą z całą pewnością decydujące zmiany — ponieważ owe zmiany są niejako zadekretowane strukturą epoki. Im większy będzie opór sił konserwatywnych — tym większe szanse, że owe przemiany przybiorą charakter przewrotu.

Wydaje mi się jednak, że konserwatyzm osłabnie wraz z odejściem starszego pokolenia. W roku 2000 rządzić będą Rosją ludzie urodzeni w 10 lat po zakończeniu drugiej wojny światowej. To będzie pokolenie wolne od balastu wspomnień i kompleksów i uformowane w niezmiernie krytycznej postawie w stosunku do starszego pokolenia. Jedną z licznych konsekwencji postępu technologicznego jest ruina autorytetu starych. Dziś student pierwszego roku fizyki zdaje sobie sprawę, że jego ojciec, nawet jeżeli posiada studia wyższe ukończone 30 lat temu, w gruncie rzeczy nic nie wie. Rewolucyjny postęp nauki przemienił starsze pokolenie w niedouków. Na tym tle notuje się spadek tradycyjnego autorytetu starszego pokolenia na całym świecie. Ów fenomen, szczególnie w Rosji, może kryć w sobie wielkie niespodzianki.

A co z nami, co w Polsce? Zapyta Czytelnik. Sami w pojedynkę — stosując zasadę ani z Rosją, ani z Niemcami — nie wyprodukujemy dobrobytu. Polska potrzebuje olbrzymich inwestycji

tycji kapitałowych. Amerykanie inwestują gigantyczne sumy w Europę atlantycką — Rosja natomiast, jak dotąd, nie inwestuje niczego w Europę wschodnią. Rosja tylko wówczas utrzyma kraje wschodnioeuropejskie w sferze swoich wpływów — jeżeli owe „wpływy” oznaczać będą konkretne korzyści dla Polski, Węgier i Czechosłowacji. W Europie nie będzie miejsca na *slumsy* i jeżeli Rosja nie pomoże w zagospodarowaniu i unowocześnieeniu obszaru wschodnioeuropejskiego — inicjatywę w tym kierunku podejmie kapitał amerykański i zachodnioeuropejski. Europa wschodnia stanowi bowiem potencjalny poważny rynek zbytu i naturalny obszar ekspansji dla bogatej Europy atlantyckiej.

Sojusz z Rosją nie może oznaczać wiecznego biedowania dla wschodnich Europejczyków. Rosjanie będą musieli zrozumieć, że w Europie walki konkurencyjnej nie można zastąpić walką ideologiczną. W Europie dobrobytowi i kapitałowi przeciwstawić można tylko dobrobyt i kapitał. Jeżeli na kontynencie europejskim Rosjanie i Amerykanie zrezygnowali z wojny — o przewadze zadecyduje walka ekonomiczna.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

ZJAWISKO FASCYNUJĄCE — LITERATURA NUDNA

Na temat „zimnej wojny” napisano wiele książek — przeważnie nudnych. Interesujący szkic na powyższy temat ukazał się w „Foreign Affairs” (Vol. 46, No. 1). Mam na myśli pracę A. Schlesingera jr., pt. „Origins of the Cold War”.

Literatura naukowa na temat „zimnej wojny” jest przeważnie nudna — lecz samo zjawisko jest w gruncie rzeczy fascynujące.

Weźmy dla przykładu jakąkolwiek instytucję amerykańską o charakterze „zimno-wojennym”. Oczywiście spotkamy w niej Polaków współpracujących z Amerykanami. Co łączy Amerykanina i Polaka w szrankach „zimnej wojny”? Łączy ich przede wszystkim kilka nieporozumień. Amerykanin uważa, że „zimna wojna” zrodziła się pod koniec drugiej wojny światowej a jej celem jest organizowanie oporu przeciwko komunizmowi. Natomiast dla Polaka „zimna wojna” zrodziła się nie pod koniec drugiej wojny światowej, lecz pod koniec XVIII wieku. Polak — podobnie jak jego amerykański kolega — jest antykomunistą lecz jest nim dlatego, że jest antyrosyjski, a nie dlatego, że jest liberalnym demokratą.

Z powyższych przyczyn Polakom trudno jest zrozumieć politykę amery-

kańską, ponieważ nawet przez „zimną wojnę” Polacy i Amerykanie rozumieją dwie różne rzeczy. Jeszcze trudniej jest Polakowi zrozumieć pogląd rewizjonistycznych historyków amerykańskich, którzy poddali dzieje „zimnej wojny” gruntownej krytyce.

Na to by ocenić rewizjonizm trzeba znać tezę ortodoksyjną. Zaczniemy więc od poglądu ortodoksyjnego.

Lecz wpraw mała uwaga na marginesie. W „Newsweek” z 4. XII. 1967 ukazał się artykuł Walter Lippmanna — w którym sędziwy publicysta amerykański stwierdza, że naszym naczelnym zadaniem jest ugruntowanie pokoju — co z kolei zależy od odpowiedzi na pytanie: jak zmusić Amerykę i Rosję do wycofania się z zajętych terytoriów w Azji i w Europie?

Przytaczam powyższą opinię, ponieważ cytowane ujęcie reprezentuje drugi typ rewizjonizmu, który jest zaadresowany zarówno do Amerykanów jak i do Rosjan.

Ortodoksyjna teza, formułowana wielokrotnie przez kolejne rządy i historyków amerykańskich głosi, że „zimna wojna” była reakcją wolnych ludzi na agresję komunistyczną. W tej całej sprawie instrumentalnym słowem jest termin „agresja”. W każdej wojnie, czy to zimnej czy gorącej — podstawowe pytanie brzmi: kto jest agresorem?

Rewizjoniści (D. F. Fleming — „The Cold War and Its Origins”, David Horowitz „The Free World Colossus”, Gar Alperowitz — „Atomic Diplomacy: Hiroshima and Potsdam”) — reprezentują pogląd wręcz odmienny niż historycy ortodoksyjni. Według tej szkoły, po śmierci prez. Roosevelta — Ameryka z rozmysłem porzuciła wojenną politykę współpracy i dufna w bombę atomową podjęła akcje agresywne zmierzające do wyrugowania rosyjskich wpływów w Europie wschodniej. Celem owej polityki byłoby odbudowanie na wschodzie Europy systemu kapitalistyczno-demokratycznego. Na ową agresję amerykańską Rosjanie odpowiedzieli „zimną wojną”, ponieważ nie mieli innego wyjścia.

(Podobnie swego czasu argumentował Isaac Deutscher podkreślając, że ponieważ Polska została wyzwolona przez Armię Czerwoną — przywrócenie ustroju kapitalistycznego obróciłoby w niwecz ofiarę krwi żołnierzy sowieckich. Żołnierze sowieccy nie walczyli bowiem w imię restaurowania wrogiemu im systemu).

Rewizjoniści amerykańscy całość winy za wybuch i trwanie „zimnej wojny” przypisują rządowi amerykańskiemu. Walter Lippmann przypisuje winę obu stronom. Jego analiza zasługuje na chwilę uwagi. Gdy druga wojna światowa dobiegała kresu — Churchill i Roosevelt usiłowali zaprojektować nowy system międzynarodowy, który opierałby się na ścisłej współpracy trzech wielkich mocarstw czyli tzw. „Wielkiej Trójki”. Błąd tej koncepcji polegał na tym, że — jak się bardzo szybko okazało — choć Churchill był wielkim mężem stanu, nie reprezentował wielkiego mocarstwa. Anglia nie była już w stanie sprostać światowej roli w dyktandach trzech supermocarstw. I tak oto, Wielka Trójka przemieniła się w wielką dwójkę i w ocenie Lippmanna ów fakt leży u źródeł dzisiejszej kryzysowej sytuacji z „zimną wojną” włącznie. Związek Sowiecki i Stany Zjednoczone podjęły politykę ekspansji — nie notowaną w ich dziejach — co jeżeli nie zostanie zahamowane musi doprowadzić do katastrofy.

Zmierzech Anglii odegrał niewątpliwie rolę — nie sądzę jednak by ów zmierzch stał się główną przyczyną dramatu. Schlesinger przypisuje ogromną

wagę brakowi komunikacji pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Amerykanie często wadliwie odczytywali intencje sowieckie.

Od samego początku starły się dwie koncepcje polityki międzynarodowej. W otoczeniu Roosevelta przeważali wyznawcy wilsonianizmu. Choć sam Roosevelt odbiegał czasem od doktryny — w opinii Schlesingera — pozostał zasadniczo do końca wilsonczykiem.

Wilsonianizm, jako filozofia polityczna, zrodził się z przekonania, że wszelkie zło, a w szczególności wojny światowe są rezultatem europejskich polityk mocarstwowych, sfer wpływów, przymierzy i kontr-przymierzy. Tego typu grę sił i imperializmów, która w przeszłości była wylęgarnią wojen — trzeba zastąpić systemem międzynarodowym opartym o ścisłą współpracę wielkich mocarstw.

Wróciwszy z Jałty Roosevelt oświadczył Kongresowi, że ma nadzieję, iż osiągnięte porozumienie oznacza kres „jednostronnie podejmowanych akcji, ekskluzywnych sojuszy, sfer wpływów, równowag sił i innych instrumentów politycznych, stosowanych przez stulecia — które zawiodły”.

Natomiast koncepcja sowiecka stanowiła dokładną odwrotność amerykańskiego uniwersalizmu. Rosjanie nie taili, że są zwolennikami sfer wpływów, bilateralnych sojuszy, równowagi sił i polityki mocarstwowej — pod warunkiem, że przez „mocarstwo” rozumie się Związek Sowiecki.

Schlesinger jest światłym i wybitnym historykiem — nie jest jednak wschodnim Europejczykiem i pewne problemy pozostały mu obce. Uniwersalizm amerykański w wydaniu wilsonianym zbankrutował, ponieważ Liga Narodów była bezsilna i bez jakiegokolwiek egzekutywy. Po-wersalska Europa przedstawiała obraz idealnie anty-wilsonianowski. Sparodiowane hasła samostanowienia służyły często za przykrywkę do zaborczych polityk, jak w wypadku polityki hitlerowskiej w stosunku do Czechosłowacji. Całkowity paraliż systemu międzynarodowego spowodował, że Polska i inne państwa europejskie — szukały bezpieczeństwa w paktach dwustronnych.

Schlesinger pisze: „Historykom trudno jest potępiać Roosevelta, Stalina i Churchilla za to, że nie rozwiązali problemów jakie pojawiły się pod koniec wojny, skoro oni sami, dziś, po latach, nie są w stanie tych problemów rozwiązać”.

Wydaje mi się, że nie ma najmniejszego powodu prezentować Stalina jako współtowarzysza niedoli Roosevelta. Zawsze jest różnie jeżeli można powiedzieć, że wszyscy trzej starsi panowie zawiedli a nie tylko biedny Roosevelt. Lecz to niestety nie odpowiada prawdzie. Stalin — w przeciwieństwie do Roosevelta i Churchilla problemy polityki sowieckiej rozegrał korzystnie i w 90 wypadkach na 100 postawił na swoim.

Rosjanie oczywiście byli w Europie wschodniej w sytuacji uprzywilejowanej. Lecz o sukcesie polityki sowieckiej zdecydowała nie tylko obecność siły wojskowej lecz przede wszystkim fakt, że w przeciwieństwie do Roosevelta i Churchilla, Stalin od początku dokładnie wiedział czego chciał.

Schlesinger pisze: „Roosevelt, Hopkins, Welles, Harriman — byli uniwersalistami i poważnymi ludźmi. Dlaczego więc odrzucali koncepcję stref wpływów?”

W opinii Schlesingera uniwersaliści odrzucali tę koncepcję ponieważ uważali, że zawiera ona w sobie zaród przyszłej wojny. W mojej natomiast opinii, Stalin na terenie Europy dążył do wygrania wojny z Amerykanami i w znacznej mierze to osiągnął.

Amerykane wyobrażali sobie, że Organizacja Narodów Zjednoczonych zastąpi „równowagę sił”. Hull oświadczył, że w pełni rozumie pragnienie Stalina zabezpieczenia zachodnich granic Związku Sowieckiego — lecz cel ten najlepiej można osiągnąć poprzez międzynarodową organizację pokojową. Kto w to miał wierzyć?

Uniwersaliści mieli niewątpliwie rację głosząc, że strefy wpływów, paktów wojskowych i systemy równowagi sił, prowadziły w przeszłości na terenie Europy od wojny do wojny.

Lecz Rosjanie mieli również rację odnosząc się z nieufnością do mglistych koncepcji zbiorowego bezpieczeństwa — ponieważ koncepcje te, w przeszłości, nie zdały praktycznego egzaminu.

Można Rosjanom postawić zarzut — i amerykańscy historycy zarzut ten wysuwają — że realizm owych koncepcji zależał od poparcia rosyjskiego. Innymi słowy, gdyby Związek Sowiecki od końca wojny współpracował szczerze ze Stanami Zjednoczonymi — wówczas OZN przekształciłby się w sprawnie funkcjonującą organizację, stanowiącą fundament nowego porządku międzynarodowego.

Dlaczego tak się nie stało?

W moim przekonaniu nie stało się tak — z trzech przyczyn:

I. Rosja nie była gotowa do międzynarodowej współpracy z krajami kapitalistycznymi. Stalin był zainteresowany przede wszystkim w konsolidacji swojego imperium i w strefach wpływów. Moskwa nie protestowała gdy likwidowano komunistów w Grecji. Jak wynika z relacji Dżilasa, Stalin doradzał Tito zatrzymanie króla Piotra. Stalin był zainteresowany skomunizowaniem krajów Europy wschodniej i nie-interferencją w jego strefie wpływów gotów był okupić rezygnacją z interferencji w zachodniej strefie wpływów. To nie była głupia taktyka. Stalin w myśl chłopskiej realistycznej zasady, że lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu — gotów był poświęcić komunistów greckich czy włoskich, by na zasadzie wzajemności, zapewnić sobie nie-interferencję mocarstw zachodnich w Europie wschodniej. Gdyby chciał komunizować wschodnią Europę oraz równocześnie wspomagać czynnie komunistów w zachodniej strefie wpływów — byłby nie dokonał niczego.

Oczywiście to wszystko była taktyka, która miała umożliwić podjęcie ofensywy w późniejszym okresie.

II. Nie podzielam opinii Lippmanna, że gdyby Wielka Brytania zdołała utrzymać status światowego mocarstwa — wszystko ułożyłoby się inaczej i zamiast „zimnej wojny” mielibyśmy harmonijną współpracę. Niewątpliwie jednak fakt, że Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka znalazły się w sytuacji jedynych pozostałych na placu rywali — wyłączała rzetelną współpracę. Rosjanie myślą dziewiętnastowiecznymi kategoriami. Przez współpracę rozumieją sojusz. Sojusz przeciwko komu? Gdyby kiedyś doszło do konfliktu zbrojnego z Chinami — nie można wyłączyć, że doszłoby również do ściślejszej współpracy sowiecko-amerykańskiej. Lecz i w takim wypadku Rosjanie byłiby gotowi współpracować wojskowo i gospodarczo — lecz nie byłiby gotowi do współdziałania w przebudowie systemu międzynarodowego. Rosjanie bowiem, jako komuniści, mają od dawna zaprojektowany nowy system międzynarodowy, zgodny z założeniami ich ideologii.

III. Pax Romana stanowił uwieńczenie globalnej (w ówczesnych wa-

runkach) polityki imperialnego Rzymu. Nie można zaczynać od Pax Americana — trzeba zacząć od polityki globalnej.

Roosevelt oświadczył w październiku 1944: „W tej wojnie światowej nie ma odpowiednio sprawy, czy to wojskowej, czy politycznej w której Stany Zjednoczone nie byłyby zainteresowane”.

Po śmierci Roosevelta — Hopkins powtórzył Stalinowi co następuje: „Zasadniczą podstawą polityki prez. Roosevelta, którą w całości popierał naród amerykański — była koncepcja, że interesy Stanów Zjednoczonych mają zasięg światowy i nie są ograniczone do terytoriów obu Ameryk i Pacyfiku”.

Nie może być dwóch globalnych polityk na jednym globie. Warunkiem Pax Americana jest pełny sukces globalnej polityki amerykańskiej. Nowy system międzynarodowy, przekształcenie „zimnej wojny” w współpracę — to wszystko Rosji można narzucić, lecz nie można jej dla tych koncepcji zjednać. Z punktu widzenia Moskwy nie opłaca się bowiem współpracować z partnerem z którym na wielu polach można zwycięsko konkurować. Takie było stanowisko Rosji w 1945 i takie jest dziś. Tylko ustanowienie bardzo znacznej przewagi amerykańskiej i kolejne sukcesy globalnej polityki Waszyngtonu — mogłyby wpłynąć na zmianę powyższego stanowiska Moskwy.

Uniwersaliści amerykańscy myśleli o współpracy „równych z równymi”. W świecie polityki siły — a jak dotąd nie ma innej polityki — równi z równymi albo konkurują albo walczą. Współpracują tylko słabsi z mocniejszymi.

ADMINISTRATORZY ODPREŻENIA

Niech na całym świecie wojna — byle nasza Europa spokojna... Niemcy, Anglia i Stany Zjednoczone postanowiły zmniejszyć kontyngenty swoich sił zbrojnych w dyspozycji NATO. Równocześnie mocarstwa zbroją tzw. „trzeci świat”. Zwyczajnie klient płaci dwie trzecie ceny kupna a pozostałą jedną trzecią po roku, czy po dwóch, odpisuje się na straty. Od roku 1950 Stany Zjednoczone sprzedały nadwyżek broni za 37 bilionów dolarów.

Bechir Ben Yahmed, redaktor i wydawca „Jeune Afrique” — wyraził pogląd, że super-mocarstwa doszedłszy do wniosku, że wojna pomiędzy nimi nie jest prawdopodobna — podjęły wyścig w zbrojeniu krajów „trzeciego świata”.

W Waszyngtonie natomiast wpływowa grupa z senatorem Mike Mansfield na czele — domaga się jeszcze poważniejszych redukcji wojskowych w Europie.

Okazuje się, że NATO cierpi na poważniejszą chorobę niż de Gaulle'izm. Słyszysz się głosy, że jeżeli zniknął ze sceny wspólny wróg — straciła również sens wspólna organizacja obronna. Jak wynika z prasy amerykańskiej, kilku dyplomatów NATO wraz z amerykańskim ambasadorem Harlanem Cleveland'em podjęło inicjatywę zmierzającą do poszerzenia politycznej perspektywy NATO. Belgijski minister spraw zagranicznych Pierre Harmel wysunął projekt by przekształcić NATO z czysto wojskowego sojuszu w przymierze pokoju, które „administrowałoby” odprężeniem pomiędzy Wschodem a Zachodem.

Wydaje mi się, że może praktyczniej byłoby w pierwszej kolejności wyprodukować ową „odwilż” pomiędzy Wschodem a Zachodem, a dopiero póź-

niej martwić się kto nią będzie administrował. Lecz to tylko pełna szacunku uwaga na marginesie.

Sugestie min. Harmela zostały zaakceptowane. W wiejskiej posiadłości pod Oxfordem pracują w tajemnicy cztery „pod-komitety robocze”, których celem jest zaprojektowanie szerszej politycznej bazy dla NATO. Choć na razie wszystko spowite jest mgłą urzędowej tajemnicy — ze źródeł amerykańskich pochodzi wiadomość, że cytowane sub-komitety zastanawiają się, między innymi, nad skonstruowaniem formuły pokojowej dla Środkowego Wschodu.

Mamy wprawdzie w Europie przepiękany Berlin, „żelazną kurtynę” i garść innych „nieporozumień” — lecz NATO, w swojej nowej roli przymerza pokoju i administratora „odprężenia”, postanowiło pogodzić Izraelczyków z Arabami.

Mam coraz większe wątpliwości czy gen. de Gaulle stracił cokolwiek występując z NATO.

POLEMIKI I KOMENTARZE

Prof. Adam Pragier odpowiedział na ankietę Instytutu Badań Zagadnień Krajowych w sprawie moich książek na łamach londyńskich „Wiadomości”. Wydaje mi się, że postąpił właściwie — ponieważ dyskusje nad książkami autorów emigracyjnych winny toczyć się publicznie na łamach prasy.

Zdumiało mnie natomiast, że prof. Pragier powtórzył za p. Zarzewskim zarzut, że „ewolucjonizm” nie jest w gruncie rzeczy programem politycznym, ponieważ Mieroszewski nie podaje środków jakimi należałoby go zrealizować. Od siebie dodam, że nie opracowałem również wytycznych dla ministra spraw zagranicznych przyszłej niepodległej Polski i nie napisałem instrukcji dla ambasadorów i posłów RP.

Czasem opadają człowiekowi ręce. Lecz uzbroiwszy się w cierpliwość zacznijmy od „A”.

Publicysta nie jest aktywnym politykiem i w mojej opinii, nie powinien nim być. Od krytyka teatralnego nikt nie wymaga, by wskakiwał na scenę i demonstrował jak należy grać Hamleta. Podobnie zakres działania publicysty jest zupełnie inny niż aktywnego polityka. Nie oznacza to jednak, że publicystyka nie jest realną formą działania politycznego.

By daną rzecz zrealizować trzeba ją wpięć wyjaśnić. Dla konserwatywnie myślącego społeczeństwa — jak polskie — wszystko co nowe jest złe z definicji, ponieważ nie jest konserwatywne. Na pytanie jak należy nasz program realizować odpowiadam: argumentacją i perswazją należy zmniejszyć procent ludzi o poglądach prof. Pragiera. To jest „A”, od którego należy zacząć i temu „A” poświęcone są moje książki.

Drugi punkt w realizowaniu naszego programu określiłbym walką ze sztancami.

Co to są sztance? „Kapitalizm jest systemem bezwzględnej wyzyskiwania robotników” — oto przykład typowej sztancy. Ludzie, którzy operują tego rodzaju zbitkami najczęściej nie czytali Marksa i dyskusja z nimi prowadzi do nikąd. Daleko łatwiej jednak jest operować użytkową sztancą, niż zapoznać się z istotą rzeczy. Na emigracji bardzo znaczny procent ludzi posługuje się sztancą o „ewolucjonizmie” — ponieważ łatwiej jest przyswoić

sobie popularny slogan, niż przestudiować rzecz gruntownie. Sztanca jest wypróbowaną metodą walki politycznej w społeczeństwach o małym wyrobieniu demokratycznym.

Sztanca „ewolucjonizmu” brzmi następująco: (cytuję dosłownie jedno z pism emigracyjnych): ewolucjoniści „uważają, że przemiany w państwach wschodnich są następstwem nieuniknionego prawa ewolucji i że wobec tego, Zachód powinien raczej tylko obserwować te przemiany, nie mając ani potrzeby, ani możliwości wpływania na nie”.

Na każdej stronie moich książek Czytelnik znajdzie stwierdzenie, że ewolucja w Rosji i w państwach satelickich uwarunkowana jest aktywną polityką Zachodu i wielostronnym naciskiem wolnego świata. I co z tego? Gdyby wśród Polaków w Wielkiej Brytanii przeprowadzić masowe wywiady, zadając tylko jedno pytanie: „co to jest ewolucjonizm?” — obawiam się, że 80% (a może więcej) powtórzyłoby sztancę zacytowaną powyżej.

Tą metodą utrwała się w opinii ogółu przekonanie, że „ewolucjonizm” jest równoznaczny z bierną rezygnacją i z „zejściem z platformy niepodległościowej”. Bezkrytyczni ludzie przyswajają sobie w dobrej wierze sztancę, którą suflują im z premedytacją nasi polityczni przeciwnicy.

W konsekwencji, jakże wiele dyskusji na emigracji nie dotyczy danej sprawy, książki czy koncepcji — tylko sugerowanej sztancy. Z chwilą kiedy raz uda się przykleić do danego autora, książki czy koncepcji fałszywą nalepkę, jest rzeczą niezmiernie trudną ową nalepkę oderwać. Polacy uwielbiają dyskutować książki, których nie czytali — co nie pomniejsza ich skłonności do kwalifikowania wszystkich i wszystkiego w kategoriach białe lub czarne.

Oczywiście, jest rzeczą wręcz komiczną domagać się od publicysty, by do swoich koncepcji politycznych dołączał szczegółowy program działania. Analizując w swoim czasie przebieg Powstania Węgierskiego wyraziłem pogląd, że powstania w krajach Europy wschodniej — by osiągnąć sukces — winny działać na zasadzie naczyń połączonych. Czy to oznacza, że do cytowanego artykułu powinienem był dołączyć szczegółowy schemat operacyjny dla Polski, Węgier i Czechosłowacji?

Za główny praktyczny punkt programu „ewolucjonizmu” tak jak go rozumieamy w „Kulturze”, uważam wpływanie na opinię polską. Nasz kraj i cała Europa znajdują się w radykalnie nowej sytuacji i to nie koniunkturalnej lecz historycznej — co wymaga przemyślenia i zrewidowania tradycyjnych założeń naszej polityki. Ewolucja musi się zacząć od nas samych.

Oczywiście, „Kultura” byłaby znacznie bardziej popularna w pewnych kołach, gdyby zamiast rewidować i argumentować — głosiła, że kiedyś na Zachodzie powstanie wódz-bohater, który przeprowadzi nas suchą nogą przez „morze czerwone”. Lecz księżycową politykę pozostawmy dla prof. Pragiera i jego „rządu”.

LONDYŃCZYK

Kraj

Konstytucja i Sejm

Zwrócono mi uwagę, że obraz opinii publicznej nie będzie kompletny bez sejmu. Ze sejm jest chyba najbardziej autorytatywnym tej opinii wyrazicielem — jest przecież pełnomocnikiem narodu. Że może ją najswobodniej wypowiadać. Ktoś kto zrobił tę uwagę jest, jak łatwo się domyśleć — człowiekiem Zachodu. Pierwiastki zachodniej kultury nie ułatwiają, raczej utrudniają, zrozumienie naszego życia politycznego. Muszę więc odpowiedzieć, że w odniesieniu do roli sejmu w Polsce Ludowej mylą one jak najbardziej. Twierdzenie, że sejm musi być instytucjonalnie wyrazicielem opinii publicznej, nie potwierdza się w praktyce naszego życia narodowego. Zresztą opinia publiczna jest wszechobejmująca, a zakres czynności sejmowych jest ograniczony i można by raczej przyjąć że, w tym ograniczonym zakresie swych czynności, sejm powinien powodować się opinią publiczną, być w zgodzie z tą opinią. Nieraz jednak, nawet fizycznie poseł nie zawsze ma z tą opinią kontakt. Człowiek Zachodu mi odpowie, że w każdym razie stanowisko Sejmu w sprawach publicznych wywiera wpływ na opinię publiczną. Tak być powinno, ale tak też nie jest. Obie linie działania, dośrodkowa (od społeczeństwa do sejmu) jak i odśrodkowa (od sejmu do społeczeństwa), są w atrofii albo przechodzą przez wąski przełyk.

I sejm i opinia publiczna są funkcjami demokracji. Istnieje w polszczyźnie Polski Ludowej wyraz „fasadowość”. Jest często używany choć natrafia to nieraz na sprzeciw władz regulujących słowo drukowane. Gdy mówimy o tych dwóch istotnych funkcjach demokracji, określenie fasadowości po prostu ciśnie się na usta. Widać fasadę, ale co się za nią kryje — może nic zgoła,

a może co innego? Jest istotne dla nas zorientować się jakie miejsce przypada sejmowi w naszej demokracji ludowej.



Jesteśmy niewątpliwie jednym z najstarszych państw parlamentarnych w Europie. Byliśmy już państwem parlamentarnym za królewskich czasów. Nawet jeszcze przedtem książęta piastowscy zasilali swą władzę na wiecach. Z tych wieców rozwinęła się instytucjonalnie rada królewska, a z niej polski parlament. Już w czasie gdy Krzysztof Kolumb płynął do nieznannej Ameryki, a Vasco da Gama żeglował po złoto do Indii, w Polsce, w 1493 roku, zebrał się pierwszy wolny sejm z izbą poselską i senatem, powołany nie po to by radzić królowi (z głosem doradczym), ale by uchwalać — z głosem stanowczym. A zaraz potem, bo w 1505 roku, ustawa przez ten sejm uchwalona pod hasłem „*nihil novi*” zakłada prawne podwaliny polskiego parlamentaryzmu. „*Nihil novi*” — nic nowego ... „Odtąd na potomne czasy *nic nowego* stanowione być nie może przez nas (króla) i naszych następców bez wspólnego zezwolenia senatorów i posłów”. „*Nihil novi*” — to jądro polskiej myśli państwowej od czterech stuleci. Głębokie korzenie „*nihil novi*” zapuszczone w psychikę polską przyczyniły się z pewnością do odporności polskiej na faszyzm, w okresie kiedy się zdawało, że nie się mu nie ostoje w Europie, kiedy jego fale biły też o brzegi angielskie, kraju słynnej „*Magna Charta Libertatis*”. Sądzę, że bez obawy pomyłki można uznać demokrację za niezmiennik psychiki polskiej. Niedocenienie tego faktu musiało prowadzić do anomalii, których następstw usunąć się nie dało, może nawet usunąć się nie da. Udało się za to pozbawić demokrację jego treści i pozostawić na zewnątrz tylko jego pozory — fasadę.

Sejm należy do fasady P.R.L. dla upozorowania demokracji. Jasne dla każdego, że i demokracja nie odpowiada jej ogólnie przyjętemu sformułowaniu, do którego myśl polska się przyzwyczaiła. Nie bez kozery dodano do słowa demokracja przymiotnik, aby usprawiedliwić jakoś tę niezgodność, tę inność: przymiotnik demokracji ludowej. Za jej fasadą może się kryć wszystko co pojęciu demokracji przeczy: „słowo myśli kłamie” powiedział Mickiewicz. Totalizm „wstydlivy” — powiedziałby Andrzej Strug.

„*Nihil novi*” tkwi w polskiej topologii politycznej tak mocno, że po wielu katastrofach narodowych odżyło ono natychmiast w Polsce wyzwolonej spod zaboru i powtórzył je z całą mocą pierwszy polski sejm ustawodawczy — konstituanta w Warszawie — w roku 1920. „Nie ma ustawy bez zgody sejmu”. Każda

ustawa musi być uchwalona przez sejm. Ta zasada przeżyła wszystkie okresy mroku, wszystko przetrwała w świadomości Polaków, tak że nikt nie miał odwagi jej zmienić czy się jej przeciwstawić. Ci, którym nie odpowiadała, którzy niesli hasło dyktatury, nigdy nie próbowali jej odrzucić — starali się ją naciągnąć do swych celów, w najgorszym wypadku wyminąć.

Konstytucja P.R.L. roku 1952 przyjmuje ten stan rzeczy, aczkolwiek mało to ma wspólnego z hasłem dyktatury proletariatu P.K.W.N. i K.R.N. w duszy hołdowników wschodniej dyktatury, dla której Lenin rozpędził *manu militari* konstytuante rosyjską w 1918 r. (*uczreditielnoje sobranije*). Nie najwyższy sowiet, ale — w myśl art. 15 konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — *najwyższym organem władzy państwowej jest sejm*. Kiedy uchwała nie idzie w parze z rzeczywistym zamiarem, musi nastąpić sprzeczność wynikła z ich rozbieżności: jeżeli uchwała zachowuje swą ważność, a zamiar jest nadal myślą przewodnią działania, ta sprzeczność rodzi zamęt i dalsze następstwa: godzenie sprzeczności absorbuje siły i myśl nieraz tak bezskutecznie jak gderzenie wody z ogniem — albo ogień wygaśnie, albo woda wyparuje: *tertium non datur*. Ale zanim to nastąpi trwa zamęt pojęć i zamęt w całym życiu politycznym. Zajmijmy się tym jednym jego wycinkiem, którym jest sejm P.R.L.

Podstawowy art 15 uznaje sejm jako najwyższego wyraziciela woli... „ludu pracującego miast i wsi”. Pamiętamy, że konstytucja r. 1921, której trzeba przyznać ścisłość sformułowań prawnych, mówi: „władza należy do narodu”. Jest to zasada demokracji, w której naród sam się rządzi. Konstytucja P.R.L. odbiega od tej elementarnej zasady, zacieśnia pojęcie narodu do pewnej jego części, którą nazywa „ludem pracującym miast i wsi”. Pomijając antydemokratyczny, klasowy charakter tego sformułowania, rzuca się w oczy niechlujstwo określenia. Każdy chyba się zapyta kogo zalicza się do ludu pracującego. Czy jest nim robotnik fabryczny, robotnik rolny, chłop-właściciel, szewc przy warsztacie, nauczyciel, roznosiciel gazet, artysta-malarz, ksiądz i astronom? Zapyta się także czy ów lud pracujący nie może mieszkać na pokładzie statku albo w jakimś osiedlu fabrycznym? Czy go się go eliminuje jeśli mieszka poza wsią i miastem? Dziwić się wypada, że gdy ludzkość przez liczne wieki tworzy coraz precyzyjniejsze formy myśli prawnej, choćby tylko zaczynając od Justyniana, konstytucja P.R.L. tonie w mgławicy pojęć. Ma się wrażenie, że jest ona jakimś wyczynem frazesowiczów, że nosi pieczęć AGIT-PROPU, a nie prawników.

W całej zresztą konstytucji 1921 r. traktuje się „dobro państwa jako całość”, a nie jako własność jakiejś większej czy mniejszej części obywateli. Ale pojęcie obywatel to współwłaściciel pań-

stwa. Tymczasem słowami konstytucji ów mityczny lud pracujący posiada państwo (co się nazywa perfidnie „urzeczywistnia suwerenne prawa narodu”). Proszę sobie wyobrazić, że znalazłoby u mnie portfel Iksińskiego i zarzucono mi, że go sobie przywłaszczyłem (powiedzmy prościej: ukradłem) i dalej proszę sobie wyobrazić, że przejęty stylem konstytucyjnym odpowiadam: „Bezczelność! Ja tylko urzeczywistniłem prawa Iksińskiego do tego portfela...”

Logicznie państwo należy do obywateli. Niestety cofnął się konstytucjonalista P.R.L. przed sformułowaniem tego podstawowego pojęcia: konstytucja P.R.L. nie ma definicji obywatela, nie wiemy kto ma jego prawa w Polsce, jak się nabywa obywatelstwo polskie, jak się je traci. Wiemy natomiast, że ten nieokreślony obywatel ma prawo do pracy, do wypoczynku, do ochrony zdrowia, do nauki, co bynajmniej nie znaczy mieć efektywnie pracę, wypoczynek i zdrowie. Od zasad głoszonych do zasad wcielonych w życie droga daleka. Człowiek Zachodu czytając tekst ustawy konstytucyjnej mimo woli „urzeczywistnia” jej artykuły i na nich opiera obraz warunków w jakich żyje Polska. Nie jest to metoda godna zalecenia, tak jak nie radzę po dymie z komina sądzić co tam dzisiaj jedzą na obiad.

Ktoś kto przeczyta np. art. 65 konstytucji: „Polska Rzeczypospolita Ludowa szczególną opieką otacza inteligencję twórczą itd.”, pomyśli sobie, że dba z pewnością o to, by literaci po wysłudze lat w służbie kultury polskiej dostawali jakąś emeryturę, tak jak ją dostanie kominiarz. Tymczasem rzeczywistość jest całkiem inna: wałkowana w sejmie niemal od początku Polski Ludowej sprawa przyznania pisarzom rent emerytalnych wciąż jeszcze nie została załatwiona, jest odsyłana od Kajfasza do Annasza, co się tu nazywa uzgadnianiem. Ktoś może powiedzieć, że pewnym literatom przyznano renty, tzw. specjalne, z funduszu którym dysponuje (za zasługi) premier. Tak, ale ten specjalny regulamin pozwala też premierowi ją cofnąć bez potrzeby tłumaczenia się, jak ów przysłowiowy Tit Titycz: zechcę to przyznam, nie zechcę — to nie przyznam. A „zasługi”? Hokus pokus, były i nie — jak w dobrej magii, no nie? Mam na potwierdzenie moje osobiste doświadczenie, proszę nie przeczyć. Owe „zasługi” są tylko jednym z licznych sposobów ujarznienia „wolnego obywatela”, ważnego, bo władającego piórem.

Kogo więc obowiązuje ten artykuł konstytucji? A kogo obowiązuje art. 71, który stał się przedmiotem kryzysu literackiego, trwającego dziesięć lat?

„Polska Rzeczypospolita Ludowa zapewnia obywatelom wolność słowa, druku, zgromadzeń i wieców, pochodów i manifestacji”.

A kogo obowiązuje art. 70?

„Polska Rzeczypospolita Ludowa zapewnia obywatelom wolność sumienia i wyznania. Kościoł i inne związki religijne mogą swobodnie wypełniać swoje funkcje religijne”.

Widocznie nie obowiązuje milicji obywatelskiej, jakże bowiem wytłumaczyć inaczej porywanie obrazów Matki Boskiej, zawieszanie klódek na bramach kościelnych itp. incydenty tegorocznego „Kulturkampf” w Polsce?

A kogo obowiązuje art. 73?

„Obywatele mają prawo zwracania się do wszystkich organów Państwa ze skargami i zażaleniami. Skargi i zażalenia powinny być rozpatrywane i załatwiane szybko i sprawiedliwie”.

Sprawiedliwie — jest to względne. Ale szybko to chyba nie dwa lata, które sam czekam na odpowiedź samego premiera.

Wiele artykułów demokratycznych w treści i wolnościowych, jak każe humanizm socjalistyczny, mają omówienia, które kwestionują ich pozytywną treść pozostawiając interpretację wynikających praw obywatela władzy wykonawczej! Znowu sprowadza się to do kompleksu Tita Titycza, upostaciowanej samowoli biurokratycznej przez Lenina. Nadanie bezapelacyjnego prawa interpretacji władzy wykonawczej jest istotą autokratyzmu...

A jak należałoby zaszeregować art. 74?

„Ustawa ochrania nienaruszalność mieszkań i tajemnicę korespondencji. Przeprowadzenie rewizji domowej dopuszczalne jest *jedynie* w przypadkach określonych ustawą (sic).

Wiemy o istnieniu od dawna podsłuchu telefonicznego, w związku z czym był głośny skandal o podsłuchy w ambasadzie amerykańskiej, podłączonej do sieci podsłuchowej, wiemy też o nagminnym naruszaniu tajemnic korespondencji: podczas badań przez służbę bezpieczeństwa pokazywano mi do zidentyfikowania moje własne listy i listy do mnie, dostarczone przez kontrolę państwową.

Każdy chyba pamięta słowa Władysława Gomułki na październikowym VIII plenum partii w 1956 r., że odtąd obywatele będą pewni, iż o godzinie 7 rano budzić ich będzie nie ubowiec lecz mleczarz. Osiem lat później o godzinie mleczarza weszło do mnie 5 panów z Bezpieki i odwiozło na Rakowiecką do gmachu Min. Spraw Wewnętrznych... Jest to, jak się mówi tu „piątka z Rakowieckiej”.

Praworządność — to panowanie prawa, to ścisłe przestrzeganie prawa. W sporach o praworządność jest w Polsce *quasi* jednomyślność: Ryszard Strzelecki z K.C. i Jan Nepomucen Miller ze Związku Literatów uważają ją obaj za podstawowy imperatyw życia publicznego, prywatnego, ludzkiego w państwie. Tylko pierwszy uważa, że ona jest, a drugi, że jej nie ma. Ale prze-

zornie Strzelecki dodaje przymiotnik „socjalistyczna”, a konstytucja znów mówi o „ludowej” praworządności. Jak już się utarło w Polsce Ludowej przymiotniki nie służą dla uwyrażnienia ale dla zaciemnienia sensu. Najniewdzięczniejsza rola przypadła przymiotnikowi „socjalistyczny”! Jakiś wrogi socjalizmowi szatan wkreca go tam, gdzie nie ma w ogóle treści. Praworządność ma być przestrzeganiem prawa — ale tylko przez obywateli a nie przez władze. W tym duchu myśli władza. Konstytucja 1921 roku głosi w rozdziale V zasadę, że „wszyscy są równi wobec prawa”. Konstytucja P.R.L. o tym milczy, ale to należy przecież do demokratycznego elementarza. W naszym wschodnim sąsiedztwie tę zasadę tak się omawia: „oczywiście, wszyscy jesteśmy równi, ale niektórzy są równiejsi” i tych żadna praworządność nie obciąża. A więc dwa rodzaje obywateli? Tam, gdzie przeprowadza się linię demarkacji *quasi* klasowej poprzez społeczeństwo istnienie dwóch rodzajów obywateli nikogo nie powinno dziwić. Nie powinno dziwić także nikogo powiedzenie petentowi z „byłej Polski” w urzędzie kwaterekowym na natrętne i nieustające zabieganie o mieszkanie: „już się pan dosyć namieszkął w swym życiu, niech teraz pomieszka sobie inni”. Ten podział jest nie tylko w głowie Włodzimierza Sokorskiego gdy woła: „Wolność? Ale nie dla wrogów ojczyzny!” (listę wrogów ustala on sam, ustala jego partia) — ale w głowie każdego piastuna władzy ludowej.

Mały Kodeks Karny jest owocem tego nastawienia psychicznego. Ten kodeks postępowania wobec *drugiej* kategorii obywateli sejm uchwalił „na okres odbudowy kraju”. Nikomu przez gardło nie mogło przejść wprowadzenie takiego zestawu *lois scélérates* jakby to za czasów Thiersa nazwali Francuzi — do stałych ustaw Rzeczypospolitej Ludowej. Augurzy, przymykając oko dodali znowu, zamiast owego deformacyjnego przymiotnika „ludowy” podtytuł „na czas odbudowy kraju”. Na moje pytanie „a kiedy ona się skończy, towarzyszu?” powiedziano: „A któż to może przewidzieć? Budować kraj zawsze będziemy...”. „Więzienia też budować trzeba” — dodał inny. A w nich ktoś siedzieć musi — pomyślałem. Podobno potrzeba stwarza organ. Tak jest w naturze. Organ stwarza potrzebę — tak jest w polityce.

Myśląc o naszej rozszczępionej praworządności przypominam sobie rozmowę na ten temat z pewnym wybitnym filozofem. „Domagamy się praworządności (bez przymiotnika), tj. przestrzegania prawa przez naszych suwerenów!... Co nam to pomoże jeżeli te prawa są same w sobie złe? — mówi profesor. To prawda, ale sama stabilność w życiu publicznym jest czynnikiem o wielkim pozytywnym znaczeniu. Kiedy obywatel jest przynięciony górą ustaw i rozporządzeń „radosnej twórczości admi-

nistracyjnej”, które nie znoszą najczęściej poprzednich, ale im przeczą, kiedy nie wie jakie nowe *calamitas* spadną na niego (dla jego, oczywiście, dobra), kurczy się ukrywa, chowa się, jak mysz pod miotłą, szuka protekcji tych co mają głos wszędzie, rzekomo wszystko mogą, wszystko najlepiej wiedzą — tak przynajmniej roi sobie jego obolała wyobraźnia. Katolicy na pocieszenie wierzą, że im to skompensuje się w życiu pozagrobowym, ale ci biedni „bezbożnicy”... szkoda gadać!

— Nawet gdy prawa są tak złe, profesorze, odpowiadam — praworzędność jest konieczna. Należy po prostu do *profilaktyki* zdrowia publicznego. Ratuje nerwy obywatela. Bez niej to sławne polskie „jakoś tam będzie”, które *przedłużało żywot* najgorszych nawet reżymów, traci rumieńce życia, gubi się, zanika. *Caveant consules*.

Konstytucjonałiści roku 1921 to rozumieci. Przeczowali spięcia między władzą biurokracji a obywatelem i bronili obywatela — nie władzy.

„Rozporządzenia władzy, z których wynikają prawa lub obowiązki obywateli mają moc obowiązującą *tylko wtedy* gdy zostały wydane z upoważnienia ustawy i z powołaniem się na nią”.

Gdyby o coś podobnego zadbała nasza konstytucja ludowa zapytalibyśmy się dlaczego w kraju rozpiera się cenzura, dlaczego zakazuje się odczytów, jeżeli art. 71 ustawy konstytucyjnej do tego nie upoważnia, a wbrew temu głosi odnośne swobody? Abyśmy tego pytania nie zadawali, konstytucja przezornie podobnej, jak zacytowana, zasady nie ogłosiła. Nie ogłosiła też istniejącego w art. 105 Konstytucji 1921 roku postanowienia: „poręcza się wolność prasy. Nie może być wprowadzona cenzura ani system koncesyjny na wydawanie druków”.

Dziś wprowadzono jedno i drugie. Po deklaracjach Lubelskiego Rządu Tymczasowego nikt tego nie mógł się spodziewać. Odnośny jej ustęp cytuję: „Rodacy!... (Rząd Lubelski) deklaruje uroczyście przywrócenie wszystkich swobód obywatelskich, równość wszystkich obywateli, bez różnicy rasy, wyznania i narodowości, wolność organizacji politycznych, prasy i sumienia...”

Świadom tego co się stało czytelnik może sam ocenić dokonany postęp.

Revenons à nos moutons, jak mówią Francuzi, tj. powróćmy do sejm. Rzeczowo biorąc sejm jest wyrazicielem woli wyborców, tj. tych co mają prawo wybierać i są wybierani. W demokracji prawo wyborcze jest powszechne — od tego żaden ustawodawca, działający pod znakiem demokracji, uchylić się nie może. Ale wola ludu jest ludu tajemnicą — ją trzeba wywalczyć — bywają niespodzianki, to nigdy nie jest pewne. W roku Wiosny Ludów (1848) padli we Francji przy wyborach pow-

szechnych ci właśnie, co obdarzyli lud powszechnym prawem wyborczym. Mogło to powtórzyć się i w Polsce Ludowej, tym bardziej, że już wówczas nawet złączone PPR i PPS w partii PZPR rozporządzały tylko nieznaczną mniejszością w Polsce. Wobec tego — odkładając pychę na bok — powierzono losy wyborców władzom.

Te metody we Francji noszą nazwę wyborów algierskich — u nas przyjęła się nazwa — cudów nad urną. Mówiono w Algierii, że jakie by nie rzucano do urny wyborców kartki zawsze wychodzi z niej poseł rządowy. Operacja skuteczna, ale kompromitująca. Władze przy tym wykazywały nadgorliwość, jej osiągnięcia były żenujące: nieprawdopodobne frekwencje, nawet żadnych prawie głosów sumujących się, niemal wszyscy wyborcy głosują jak jeden mąż, itp. cudeńka. Metoda nie mogła być utrzymana, trzeba było szukać innej sztuki „przekształcania mniejszości w większość” jak to mawiał dowcipnie Regnis (żydowski publicysta Singer). Mówiąc ściślej chodzi o niezawodny wynik wyborów, utwierdzający „kierowniczą rolę partii” bez wyborczych nadużyć. Rzecz z zakresu kuglarstwa. Wynalazek zrobiono. Aby nie nadużywać uwagi czytelnika, wynalazek przedstawimy w jak najkrótszy sposób.

Cel wynalazku: zapewnić skład sejmowi urzeczywistniający kierowniczą rolę PZPR.

Zadanie: regulować wybory po stronie wybieralności i wybierania.

Srodki wykonania: zapewnić listę kandydatów i ustrzec ją przed niepożądanymi wtrętami, zapewnić w sposób niezawodny ich wybór w powszechnym głosowaniu.

Cel uboczny: Zapewnić pełną frekwencję dla zmanifestowania entuzjazmu społeczeństwa dla systemu.

W tym celu powołuje się do życia komitety „Frontu Jedności Narodu” w skład którego wchodzi trzy akredytowane stronnictwa: PZPR, ZSL i SD. Wprawdzie art. 72 konstytucji „zapewnia obywatelom prawo zrzeczenia się... dla czynnego udziału w życiu politycznym”, ale inne partie nie mogą powstać, gdyż interpretacja ustawy należy do władzy wykonawczej, podlegającej „kierowniczej roli partii PZPR”. W myśl art. 86 konstytucji kandydatów na posłów zgłaszają organizacje polityczne, to ma właśnie realizować „Front Jedności Narodu” jako polityczne konsorcjum dozwolonych organizacji. Klucz według którego składa się owo konsorcjum jest konwencjonalny i zapewnia większość PZPR. Nazwa samego konsorcjum jest zapożyczona od narodowej demokracji, apostołki jedności narodowej w czasach „reakcji szlachecko-obszarniczej”. Konsorcjum reprezentuje wspólnotę polityczną w budownictwie socjalistycznym. Ono też ustala

w zastępstwie narodu jedną listę kandydatów dla wszystkich trzech współników, nikt nie może wystawić własnej, czyli konkurować o mandaty z innymi współnikami. Na tej jednej liście wpisuje się nazwiska kandydatów z trzech stronnictw. Stosunek liczebny — co jest najważniejsze — ustala się według proporcji w samym „Frontie Jedności Narodu”. Wynosi on dla komunistów ponad 60 %. Na listę wpisuje się pewną ilość bezpartyjnych. Ilość kandydatów przed październikiem 1956 odpowiadała liczbie posłów (jeden kandydat na jednego posła) — po październiku zawiera nadwyżkę kilku kandydatów na okręg. Odtąd wprowadzono system skreśleń: wyborca skreśla z listy tylu kandydatów ilu jest ponad wymaganą liczbę posłów. Skreśla według swego uznania i w tym, w tym jedynie, wykonuje swoje prawo wyborcze. Tu leży właśnie cały postęp październikowy. Praktycznie nie zmienia to założonego z góry składu sejmu, który wygląda jak następuje: PZPR — 255, ZSL — 117, SD — 39, bezpartyjni — 49. Razem — 460. Wśród bezpartyjnych — 10 katolików.

Cat-Mackiewicz prawo wyborcze w Polsce Ludowej określił drastycznie jako prawo Adama w raj. „Pokazał Pan Bóg Adamowi Ewę i powiedział: stworzyłem ci Ewę z twego własnego żebra, a teraz wybierz ją sobie za żonę”. Skreślenia mogą najwyżej być pewnym wskaźnikiem moralnym — mogą spowodować przesunięcie kolejności posłów na liście wybranych, co jest miernikiem zaufania czy spadku popularności (zdarzyło się to samemu premierowi na wyborach w Krakowie), raz tylko zdarzył się wypadek (w Nowym Sączu w r. 1957), że kandydat Nr 1 przepadł w głosowaniu. Odrobiono to zaraz w drodze wyborów uzupełniających. Chociaż „skreślenia” zostały wprowadzone przez reżym popaździernikowy, przeraziły one Władysława Gomułkę, który wszczął kampanię „zaufania” na rzecz głosowania *bez skreśleń*. Dało to początek już w grudniu 1956 r. politycznej recesji „nowego kursu” ku starym pozycjom minionego okresu. Zaczynał się okres minionych nadziei.

Jeżeli tzw. Front Jedności Narodu (dlaczego tym razem nie „ludu pracującego miast i wsi”) jest odzwierciedleniem przy wpuście do sejmu, do tego nie ogranicza się ingerencja partii. Trzyma ona także w rękę regulator jego funkcjonowania. Tym regulatorem jest tzw. *konwent seniorów*, wyłoniony przez sejm spośród partyjnych kół sejmu i reprezentujący oblicze składu poselskiego. Konsekwentnie i tu decydujący głos ma PZPR. Patent na prawomysłne wybory okazuje się jeszcze całkowicie partii nie zadawała: nawet w tych warunkach pełna swoboda poselska nie jest dla władzy bezpieczna, „przed warcholstwem Polaków” trzeba się asekurować. Jest takim hamulcem i filtrem zarazem właśnie „konwent seniorów”. Bez zgody konwentu nikt w sprawach porządku

dziennego nie przemawia — konwent sam wyznacza mówców, koła sejmowe tylko proponują. Przewodniczącym konwentu jest Zenon Kliszko, wicemarszałek sejmu. *C'est tout dire*: nic bez niego w Polskiej Rzeczypospolitej stać się nie może. *Nil novi* — w nowym sosie.

Jak zapadają uchwały sejmu? Nigdy wniosku żaden poseł *samodzielnie* nie postawi. Zgłasza go na swe koło poselskie (partii czy stronnictwa), uzyskawszy aprobatę koła wniosek idzie do odpowiedniej komisji sejmowej. Skład wszystkich komisji także respektuje klucz podziału mandatów, aczkolwiek nie koniecznie przewodniczyć musi członek PZPR'u: są ludzie inni godni zaufania, są także przyjacielskie uprzejmości. Jak wykazuje praktyka, konsultacja z B.P. K.C. jest podstawowym warunkiem. Po uzgodnieniu dopiero wniosek idzie na plenum sejmowe. Ale c tym decyduje konwent seniorów. On też wyznacza referenta wniosku. Może nim nie być sam wnioskodawca. Konwent właściwie przesądza dalszy los wniosku — jeżeli nie chce to wniosek nigdy nie stanie się uchwałą.

Sejm sprawuje kontrolę nad rządem. Nie było wypadku wniosku nieufności, chyba skreślenie kapryśnemu ministrowi Wł. Bieńkowskiemu złotówki z budżetu, było wnioskiem dezaprobaty — raz na 10 lat. Trybunału Stanu także, broń Boże, nie ma dla ministrów — jak raj, to raj.

Reforma Małego Kodeksu Karnego drepcze beznadziejnie. Dotąd sprawa emerytur i rent dla literatów uchwały się nie doczekała. „Jest na najlepszej drodze” — tłumaczy Jarosław Iwaszkiewicz — poseł. Ale droga jest długa, daleka, końca nie widać... Na niej partia, Gomułka, Zenon Kliszko — nomen omen: w staropolszczyźnie kliszką nazywano przeszkodę. Ale to nie tylko przeszkoda.

Kiedy po walkach z episkopatem, nieraz nawet przybierających formy uliczne, w roku ubiegłym zwołano sesję nadzwyczajną sejmu by uczcić godnie milenium, Władysław Gomułka wypowiedział historiozoficzne *exposé*, które zostało jednomyślnie uchwalone przez sejm, a więc ma moc ustawy. Ustawowy pogląd na historię Polski obowiązuje. Kto jest innych zapatrywań łamie ustawę i nikt się nie zdziwi, że dostanie się do celi z innymi co prawo publiczne łamią. Dowiedzieliśmy się więc, że zawdzięczamy niepodległość partii komunistycznej, że byliśmy reakcyjnymi imperialistami i że... itd. — wszystko co już wiemy i tak od prof. Henryka Jabłońskiego. Uchwała została przyjęta jednomyślnie — padły więc na nią głosy także bezpartyjnych, a co ciekawsze posłów katolików, chociaż Gomułka w tym *exposé* ostro karci biskupów polskich i arcybiskupa Kominka... Ja... to stać się mogło zapyta zdumiony czytelnik. Rzecz była prosta:

konwent seniorów uchwalił, że ze względu na uroczysty styl sesji uchwała ma być jednomyślna. Na zapytanie posła Stommy (katolika) czy nic w niej nie będzie w katolików godziło, Zenon Kliszko zapewnił, że nie. A że wierzący są wierzący i nawet łatwowierni, więc choć to nie do wiary, tak się stało. Uwierzyli.

A sam Wł. Gomułka na VIII plenum krzywił się na „fasadowość” sejmu.

Jeżeli system organizacyjny partii przypomina głowonoga, to system parlamentarny Polski Ludowej raczej kulę obracającą się na osi, jak bąk. Kula to — sejm. Oś — to partia. Ma dwa bieguny: z jednej strony wystaje F.J.N. — Front Jedności Narodu, z drugiej — konwent seniorów. Na biegunach nakrętki w kształcie główki Zenona Kliszki. On bowiem jest wielkim klucznikiem i dyspozytorem i konwentu i komitetu. Jest i tu i tam jako regulator obrotu kuli, tętna i ciśnienia.

Jeżeli ktoś zada sobie pytanie czy sejm może coś zmienić w ładzie państwa, czy może naprawić Rzeczypospolitą — odeślę go do miarodajnego oświadczenia Władysława Gomułka na VIII Plenum K.C. Partii, w październiku 1956, że „ustrój nasz ma tę właściwość, że naprawia się sam”. Temat dla Kandyda... A obywatele tymczasem mogą spokojnie podlewać w ogródku kwiatki i skrobać rzepkę.

January GRZĘDZIŃSKI

Oświadczenie dla Woj. Komisji Kontroli Partyjnej

Chętnie drukujemy poniższe Oświadczenie, nadesłane nam z kraju. Otwierając gościnnie nasze łamy dla młodego dysydenta komunistycznego który nie może dojść publicznie do głosu w Polsce, pragniemy jednak do rzucić od siebie kilka słów komentarza.

Jest zrozumiałe, że pewien odłam samodzielniej myślących młodych komunistów polskich zerka z zazdrością w stronę PCI i SKJ. Ale powinni oni pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, większy margines wolności w Jugosławii nie przeszkadza wciąż jeszcze że Džilas wyszedł z więzienia z zakazem uprawiania jakiegokolwiek działalności politycznej, a Mihajlov poszedł do więzienia za prośbę zorganizowania opozycyjnej grupy socjalistycznej. Po drugie, jednym z głównych powodów większej demokratyczności komunistów włoskich jest fakt że zmuszeni są oni działać w ramach ustroju demokratycznego, na oczach i pod naciskiem swobodnej opinii publicznej. „Dale-

kosieźny program demokratyzacji życia publicznego”, postulowany przez autora Oświadczenia, byłby pustym frazesem gdyby nie wyciągnął z tego należytych wniosków.

„Systemu dopuszczającego istnienie legalnej opozycji” należy żądać na pierwszym miejscu, a nie „dopiero w dalszej perspektywie”. W przeciwnym razie rzykuje się takie nonsensy, jak stawianie za wzór ordynacji wyborczej ZRA, która komunistów egipskich wyłącza z życia politycznego ich kraju.

Można się zgadzać albo nie zgadzać z programem Kurońa i Modzelewskiego, ale marksistowską jest ich analiza sytuacji w PRL, a nie analiza autora Oświadczenia. Kiepski to marksizm, który „stosunki nadbudowy” i „stosunki bazy” traktuje jako zjawiska odrębne, proponując tylko reformę „stosunków nadbudowy”. Głównym przekleństwem większości dotychczasowych projektów „naprawy socjalizmu” jest ich ograniczenie do problemów elity władzy (bez cudzysłowu), w całkowitym oderwaniu od krytyki rzekomych „zdobycy socjalizmu” w dołach. Tego przynajmniej błędu nie popełnili Kuroń i Modzelewski. Ten błąd popełnia autor Oświadczenia.

Domagając się otwarcia „zamkniętej na cztery spusty skarbnicy myśli marksistowskiej okresu leninowskiego”, należy wyzbyć się nareszcie tępego sekciarstwa komunistycznego, które — na przykład — zdaje się zgłaszać pretensje do monopolu (choćby nawet chwilowo teoretycznego) na studiowanie i komentowanie pism Róży Luksemburg; z „dołożonym” przez socjalistę Adama Ciołkosza komentarzem do *Rewolucji rosyjskiej* należy z własnych pozycji i w miarę własnych umiejętności dyskutować, a nie krzywić się z wyżyn urojonej wyłączności że „nie zaniedbał on okazji by go dołożyć”.

Dysydenci komunistyczni w rodzaju autora Oświadczenia muszą jeszcze przebyć długą drogę, zanim ich opozycyjna „platforma wewnątrzpartyjna” stanie się czymś więcej niż nieśmiałą prośbą o tolerancję dla odmowy karnego i wyrównanego stania w szeregu.

Jestem marksistą i komunistą i ten fakt zadecydował o tym, że jestem w naszej Partii. Wstąpienie do Partii było dla mnie prostą konsekwencją mojej drogi życiowej. (Jako 13-letni chłopak rozdawałem na wyborach 1947 r. ulotki PPR-owskie. W tym samym roku wstąpiłem do ZWM). Z drugiej jednak strony muszę stwierdzić, że uznając założenia ideowe naszej Partii mam cały szereg zastrzeżeń wobec jej bieżącej polityki. Bardziej mi odpowiada stanowisko takich partii komunistycznych jak Włoska Partia Komunistyczna (PCI) lub Związek Komunistów Jugosławii (SKJ). Uważam, że gdybyśmy stosowali w Polsce politykę lansowaną przez SKJ lub PCI mielibyśmy mniejsze trudności polityczne i znacznie większe wpływy w społeczeństwie. Najbardziej cenne wydaje mi się w polityce SKJ inne ujęcie roli partii w systemie sprawowania władzy. (U nas aparat partyjny nadal stanowi — jak to tow. Wiesław w swoim czasie określił — „swoisty, scentralizowany 'nadurząd' [...] mający w swym ręku bezpośredni ster, decydujący o życiu całego terenu”, co prowadzi „do identyfikowania się partii z aparatem władzy ludowej” i sprzyja „dublowaniu pracy aparatu państwowego” etc.). Innym doniosłym elementem polityki ZKJ jest system Rad Robotniczych i samorządu społecznego przedłużony na wszystkie szczeble

sprawowania władzy gospodarczej i administracyjnej. Następstwem tego jest: 1) autonomia związków zawodowych, które nie są elementem aparatu władzy, lecz jej partnerem broniącym interesów człowieka pracy, oraz 2) samodzielna rola parlamentu wobec rządu, dzięki czemu parlament jest istotnie najwyższym organem państwowym. Niezmiernie cenna jest rola SZLPJ (odpowiednik naszego FJN), spełniającego rolę socjalistycznej trybuny dyskusyjnej. Odpowiada mi polityka ZKJ polegająca na konsekwentnym i systematycznym rozwijaniu demokracji wewnętrzzpartyjnej i państwowej (m.in. przez zastosowanie leninowskiej zasady rotacji) oraz krzewienia swobód obywatelskich wolności dla literatury i sztuki, dla nauk społecznych, dla informacji prasowej i radiowej).

Uważam, że proces przewycięzania następstw stalinowskiego samowładztwa był rozpoczęty, a nie zakończony na XX i XXII zjeździe KPZR. W pełni podzielałam stanowisko tow. Togliattiego wyrażone w jego testamencie jałtańskim, krytyczne wobec polityki znajdujących się u władzy partii komunistycznych. Chodzi o — mówiąc jego słowami — „problem zniesienia wprowadzonego przez Stalina systemu ograniczania i dławienia swobód demokratycznych i wolności osobistej”, o to, że „powrót do norm leninowskich, które zapewniały zarówno w partii, jak i poza nią szeroką wolność słowa i dyskusji w dziedzinie kultury, sztuki, a także polityki, jest powolny i napotyka opory. Ta powolność i opory są dla nas niezrozumiałe”.

Uważam, że partia powinna mieć dalekosiężny program demokracji życia publicznego, przewidujący kolejne etapy kontrolowanego rozwoju demokracji socjalistycznej:

1) Rozwijanie demokracji wewnętrzzpartyjnej (poprzez przywrócenie *wszystkich* leninowskich norm życia partyjnego, m.in. prawa członków partii do wychodzenia z platformą na zjazd i na konferencje partyjne i przyprowadzanie głosowania według platform).

2) Usamodzielnienie organizacji społecznych, jak związki zawodowe i związki młodzieży.

3) Zmiana ordynacji wyborczej (przeprowadzana stopniowo od najniższych organów poczynając wżwyż przez kolejne szczeble władzy aż do wyborów do Sejmu) na nową ordynację przewidującą wybory w okręgach jednomandatowych przy kilku konkurujących kandydatach FJN (być może reprezentujących tę samą nawet partię PZPR, ZSL lub SD) — na wzór ZRA i Tanzanii.

4) I dopiero w dalszej perspektywie — przejście do systemu politycznego, dopuszczającego istnienie legalnej opozycji (stojącej na gruncie ustroju socjalistycznego i obowiązującej konstytucji PRL).

Wysunięcie takiego lub analogicznego programu stopniowej demokracji życia publicznego rozładowałoby w poważnym stopniu napięcia polityczne w naszym kraju i zapewniłoby naszej Partii poparcie szerokich rzesz społeczeństwa.

W sprawie Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego uważam, co następuje: Punktem wyjścia działalności Kuronia i Modzelewskiego było zniecierpliwienie wywołane zahamowaniami procesu destalinizacji w Polsce, szczególnie na tle zamknięcia Klubu Dyskusyjnego na UW i represji wobec sygnatariuszy listu 34 do premiera. Owe opory przed konsekwentną destalinizacją wytłumaczyli oni sobie interesem klasowym „elity władzy”, która ma stanowić nową klasę, wyzyskującą proletariat i zawłaszczającą wartość dodatkową. Z takiej oceny sytuacji wyciągnęli oni wniosek o dziejowej konieczności rewolucji socjalnej proletariatu, której zwycięstwo otworzyłoby drogę do budowy prawdziwego ustroju socjalistycznego. Program przyszłej rewolucji i jej taktyka były skopiowane na żywca z programu Międzynarodówki Komunistycznej, której polską sekcją była przedwojenna KPP. Nie podzielałem tego punktu widzenia, gdyż uważam przemiany zapoczątkowane przez Rewolucję Listopadową 1917 za przemiany socjalistyczne, zaś zjawisko deformacji biurokratycznej władzy rewolucyjnej za zjawisko przejściowe okresu budowy socjalizmu, przy czym diagnozę oraz propozycję skutecznej terapii tego schorzenia zawiera teoria marksizmu. Jest to zjawisko wynikające ze stosunków „nadbudowy” politycznej, a nie ze stosunków „bazy”, a zatem rewolucja socjalna nie jest tu konieczna. Ponieważ jest to problem naprawy socjalizmu, a nie jego zaprowadzenia przez zburzenie tego co istnieje, więc walka z biurokracjami wypaczeniami władzy rewolucyjnej powinna być wprowadzona tak, by nie narazić na niebezpieczeństwo zdobywcy socjalizmu i przede wszystkim władzy socjalistycznej. Odrzucając program Kuronia i Modzelewskiego uważam jednocześnie, że pozbawienie ich wolności przyniosło wielką szkodę polityczną naszej Partii oraz prestiżowi Polski w świecie. Najbardziej kompromitujące w tej sprawie jest stosowanie wobec opozycji komunistycznej przepisów MKK wprowadzonego w okresie odbudowy państwa i skierowanego swym ostrzem przeciwko reakcyjnemu podziemiemu typu WiN czy NSZ. Nie widzę żadnego uzasadnienia dla tego, by opozycyjne wobec naszej partii grupki komunistów (Kuroń i Modzelewski, Badowski i Hass, grupa K. Mijskiej) mieli być traktowani na równi z bandytami z NSZ. Nasuwa się tu raczej analogia do wzorca postępowania w takich sprawach, jaki tow. Wiesław przedstawił w swojej krytyce metod walki Stalina z opozycją w WKP(b).

Moje stanowisko w sprawie konfliktu z hierarchią kościelną jest następujące: Nie można utrwalić zdobywcy socjalizmu bez zdecydowanego poparcia całej klasy robotniczej. Niestety jednak przeważająca część naszej klasy robotniczej — to ludzie wierzący. Problem dialogu z katolikami — to kwestia zapewnienia dla naszej Partii poparcia najszerzych mas pracujących. Nie możemy pozwolić na to, by spór z kardynałem Wyszyńskim był traktowany przez rzesze katolików jako „Kulturkampf” przeciwko Kościołowi, gdyż to odizolowałoby nas od poważnej części społeczeństwa. Niestety wiele wydarzeń z lat minionych, jak

i z obecnej konfrontacji z Episkopatem nasuwa tego rodzaju podejrzenia. Do najbardziej drastycznych w odczuciu katolików należą tu utrudnienia w budowie nowych kościołów i punktów katechetycznych, niedopuszczenie papieża do Polski, oraz „świętokradcze” akcje MO wobec samochodu przewożącego obraz NMP. Jest to woda na młyn reakcji klerykalnej.

W sprawie mego artykułu „1-majowego” mogę jedynie oświadczyć, że najbardziej kwestionowana część artykułu zawiera tezy, rozpowszechnione wśród współczesnych marksistów, co więcej — stanowią te tezy prostą kontynuację koncepcji Márksa, Engelsa i Lenina na ten temat (przemilczanych w okresie stalinowskim i wydobytych na światło dzienne po XX zjeździe KPZR, a jeszcze wcześniej — przez komunistów jugosłowiańskich).

Jest to zjawisko znacznie szersze. Wielu intelektualistów partyjnych najwyższej rangi (jak L. Kołakowski, J. Hochfeld, W. Brus) popada okresowo w konflikty z partią, gdyż ich prace rozwijające teorię marksistowską (cieszące się uznaniem na całym świecie) nie są systematycznie przyswajane przez szeroki aktywny partyjny. Wielu naszych aktywistów ma poglądy na marksizm ukształtowane w minionym okresie i nie przyjęło do wiadomości (lub świadomości) tych wszystkich zmian, które się od tego czasu w marksizmie dokonały. Staje się to podłożem swoistego sekciarstwa w pracy ideologicznej, kiedy się dyskwalifikuje prace wyrażające poglądy kontrowersyjne, bądź też napisane przez autorów, którzy mieli takie lub inne „grzechy”. Wiele jest na to przykładów. M.in. zamknięta jest na cztery spusty skarbnica myśli marksistowskiej okresu leninowskiego, gdyż nie drukuje się u nas prac wspaniałej plejady współpracowników Lenina — Lwa Trockiego, Lwa Kamieniewa, Zinowiewa, Bucharina, Prieobrażeńskiego, Sokolnikowa, Karola Radka, Raskolnikowa i wielu innych. Nie opublikowano u nas świetnego pamfletu Róży Luksemburg — „Rewolucja rosyjska”, uczynił to za nas Adam Ciołkosz, nie zaniebując okazji do dołożenia swego komentarza.

Jeszcze bardziej szkodliwe jest odcinanie czytelnika polskiego od dorobku współczesnych marksistów jugosłowiańskich, włoskich, amerykańskich, angielskich, skandynawskich, austriackich czy też czeskosłowackich. By dowiedzieć się, co mówią komuniści zachodnioeuropejscy, rumuńscy czy czeskosłowaccy, pozbawiony dostępu do BS PAP czytelnik polski musi słuchać BBC lub „Wolnej Europy”. A przecież przedrukowywaniem opinii marksistów amerykańskich na temat ich własnej ojczyzny można w Polsce rozproszyć nie jeden rozpowszechniony mit o rajach amerykańskim. Nie dopuszczając do głosu kontrowersyjnych autorów marksistowskich i w ogóle postępowych, oczyszczamy w ten sposób pole dla poglądów burżuazyjnych, nie podlegających naszej cenzurze, gdyż utrzymujących się siłą tradycji lub dostarczanych przez zagraniczne rozgłośnie radiowe.

Antoni ZAMBROWSKI

Podatek od mięsa

24 listopada, na 10 Plenum Komitetu Centralnego PZPR zapadła decyzja podwyższenia cen mięsa o przeciętnie 16,7 %. Oznacza to faktyczne obniżenie stopy życiowej ludności i przekreśla nadzieje na poprawę sytuacji w roku 1968.

Ta drastyczna decyzja, która musi wywołać powszechne niezadowolenie społeczeństwa, jest wynikiem niekonsekwencji polityki gospodarczej partii i ma na celu tymczasowe wyrównanie powstałych dysproporcji.

Niekonsekwencja polityki gospodarczej partii polega na tym, że władze, starając się podnieść produkcję pozwoliły na wzrost zatrudnienia — o 3 % w roku 1967 — a poprzez materialne zainteresowanie pracowników, na wzrost wydajności pracy — o 5 % w 1967 r. Wskutek tego siła nabywcza społeczeństwa zwiększyła się o 6 i pół miliarda złotych w stosunku rocznym. Dopuszczając do tego, władze nie zatroszczyły się o odpowiednie zapotrzebowanie rynku w towary konsumpcyjne. Według danych statystycznych część zarobionych dodatkowo pieniędzy ludność odłożyła na książeczki oszczędnościowe, ale około 4 miliardów złotych ludność chciała wydać na żywność, czy towary konsumpcyjne trwałego użytku. Towarów tych zabrakło jednak na rynku.

Powstaje oczywiście pytanie dlaczego tak się stało? Oficjalne statystyki mówią o znacznym wzroście produkcji i to zarówno rolnej, jak i przemysłowej. W ostatnim półroczu roku ogólna produkcja przemysłowa wzrosła o prawie 9 %, w czasie gdy plan przewidywał wzrost o 6 %. Gdzie się więc podziały towary, które ludność, dysponująca większymi środkami płatniczymi, mogłaby nabyć?

Odpowiedź na to jest prosta: zalegają one magazyny i składy państwowe. Przemysł polski produkuje nadal towary albo złej jakości, albo technicznie przestarzałe. Jest rzeczą zrozumiałą, że ktoś, kto chce kupić aparat telewizyjny, żąda najnowszego modelu i wstrzymuje się od kupna typu, który był rewelacją techniczną 10 lat temu. W związku z tym zwiększały się zakupy żywności, a szczególnie mięsa. W ciągu ostatnich dwóch lat konsumpcja mięsa na głowę ludności wzrosła z 48 do 52 kg. Nie oznaczało to jednak zaspokojenia potrzeb ludności. Dla przykładu można podać, że spożycie mięsa na głowę ludności wynosi w Anglii 74 kg, w Czechosłowacji 62 kg, a w Niemczech Wschodnich 59 kg. Dostawy mięsa na rynek w Polsce zwiększyły się wprawdzie w 1967 roku o 4 %, ale w tym samym czasie siła nabywcza ludności wzrosła o ponad 7 %.

Ażeby złagodzić tę dysproporcję KC partii postanowiło podnieść ceny mięsa. Ta podwyżka ma kosztować ludność dołącznie 4 miliardy złotych, a więc wszystko to, co zostało zarobione poprzez zwiększenie wydajności pracy i miało służyć podniesieniu stopy życiowej społeczeństwa.

Nie powinno się właściwie mówić o podwyżce cen mięsa — jest to po prostu podatek nałożony na mięso. Ceny skupu mięsa pozostają bowiem te same, co poprzednio. Rolnicy nie zyskają więc na tym ani grosza. Wszystkie idzie do kieszeni państwa. Słowem co dano społeczeństwu jedną ręką, odebrano drugą.

Tej decyzji można było uniknąć. Poprawa jakości produkowanych towarów wymaga oczywiście czasu i nie może być przeprowadzona natychmiast. Można jednak było zamiast podwyższyć ceny mięsa tak drastycznie, obniżyć ceny towarów konsumpcyjnych trwałego użytku, które leżą w magazynach.

Mogłyby one wówczas znaleźć większą ilość nabywców. Poza tym, można było zwiększyć produkcję mięsa. Produkcja ta zależy od dwóch podstawowych czynników: zasobów paszowych kraju i kalkulacji rolników. Polskie zasoby paszowe są nadal niedostateczne. Przez wiele lat Polska sprowadzała jednak poważne ilości paszy z zagranicy, dzięki czemu mogła nawet rozszerzyć eksport mięsa. Polityka zakupów paszy a sprzedaży mięsa, czy przetworów mięsnych jest bardzo opłacalna, szczególnie że Polska przynajmniej część paszy otrzymywała na bardzo dogodnych warunkach kredytowych ze Stanów Zjednoczonych. Względy polityczne skłoniły jednak władze PRL do stałego ograniczenia zakupów ziarna na Zachodzie. Ostatnio zmniejszono je o 1/3. Wysunięto też zasadę samowystarczalności w zakresie paszy. Taka polityka przekreśliła wszelkie możliwości szybkiego zwiększenia produkcji mięsa. W Polsce mówi się teraz o zmniejszeniu eksportu mięsa z 10 % na 6 % ogólnej produkcji.

Jeśli chodzi o drugi czynnik, to jest kalkulację rolników, to podwyższenie detalicznych cen mięsa, przy zachowaniu na dawnym poziomie cen skupu, nie może sprzyjać zwiększeniu hodowli, może natomiast skłonić chłopów do uboju na użytek własny, względnie sprzedaż pokątną.

Dlaczego władze nie podniosły cen skupu? Po prostu dlatego, że zależy im na tym by chłopi indywidualni się nie bogacili. Z punktu widzenia partii jest to sprawa bardzo ważna. Na poprzednim, 9-tym Plenum zapadły decyzje w sprawie komasacji gruntów, wobec stałego rozdrabniania się gospodarstw rolnych. Komasacja ma być jednak tak przeprowadzana, by większość gospodarstw karłowatych, czy zaniedbanych mogły wykupywać Państwowe Gospodarstwa Rolne, a nie chłopi indywidualni. Gdyby więc chłopi indywidualni dysponowali większą ilością pieniędzy, to partyjny program komasacji mógłby się nie udać. Program ten ma służyć — jak to stwierdzono oficjalnie — „społecznej przebudowie wsi”.

Słowem, na 10 Plenum partii przeważyły raz jeszcze względy polityczno-dogmatyczne, które partia ceni wyżej, niż potrzeby społeczeństwa. Nie stanowi to dobrej wróżby na przyszłość.

J. KROK-PASZKOWSKI

P.S. Na Żeraniu, w związku z podwyżką cen mięsa, robotnicy zorganizowali manifestację niezmiernie ostrą wobec Gomułki. Gdy na innym zebraniu w tymże Żeraniu robotnicy zarzucali Spychalskiemu luksusowy tryb życia dygnitarium partyjnego, a w pierwszym rzędzie samochody zagranicznych marek, Spychalski wybuchnął że mogą przyjechać do Żerania nie mercedesami a czołgami.

Krążą uporzycywe pogłoski o mającej nastąpić w najbliższym czasie wymianie pieniądza. Rezultat: dolar na czarnym rynku wynosi obecnie 120-130 zł.

Z pamiętnika architekta powiatowego

Mróz dochodził do — 30°, kiedy w lutowy ranek spieszyłem, by objąć moje nowe obowiązki. Decyzja przyszła łatwo,

dłuższe zastanawianie wydawało mi się zbyteczne, miałem bowiem działać na obszarze niemal dziewiczym, nietkniętym ręką urbanisty ani architekta — jakież więc szalone pole do popisu otwierało się przede mną. Oczyma wyobraźni widziałem stworzone przez siebie plany przestrzenne osiedli, miasteczek i wsi, modernistyczną architekturę dużych obiektów, inwestycji i małych domków — słowem — upojny obraz entuzjastycznej twórczości. I góry. Właśnie góry, w które zwykłem uciekać z miasta wykorzystując każdą wolną chwilę i które dobrze znałem, swego czasu uzyskałem nawet dyplom przewodnika. — Pełen ambitnych planów i radosnego podniecenia wkraczałem w progi prezydium powiatowej rady narodowej.



Dziś w mieście jarmark, a więc i dzień przyjęć w moim wydziale; w taki dzień sprawy lokalizacji inwestycji i wszelkie sprawy budownictwa państwowego schodzą na dalszy plan. Grubo przed ósmą tłum petentów czeka już przed drzwiami — teraz ci ludzie nazywają się „stronami”.

— „Panie architekcie — zwraca się do mnie jeden z petentów — zatwierdźcie mi te plany zaraz, bo dziś zaczynam budowę”.

Projekt narysował sobie sam — wolno mu, tutaj projektują wszyscy: nauczyciele, fryzjerzy, działacze k.o. (kulturalno-oświatowi...), a głównie sekretarze gromadzkich rad narodowych, — ostatecznie trudno takiej urzędowej osobie odmówić zatwierdzenia planu... Projekt jest beznadziejny.

— „Człowieku — powiadam — dlaczego dajecie od północy pokoje, a sieni, komorę i kuchnię od południa, czy nie szkoda wam słońca?”

— „Niby racja — rzecze mi na to — ale dom musi stać frontem do drogi i pokoje mieć od strony drogi, to jest najważniejsze, a że to akurat północ — no to trudno”.

Sień przelotowa, mnóstwo straconego miejsca, drzwi wejściowe od strony drogi i drugie od podwórza — będzie wchodził oczywiście od tyłu, drzwi frontowe zabije gwoździami, ale co powiedzieliby sąsiedzi, gdyby dom nie miał drzwi od frontu.

— „A gdzie dajecie ustęp?” — pytam inną „stronę”.

— „O tu” — wskazuje na planie punkt oddalony o dobre 30 metrów od budynku mieszkalnego.

— „To nie wolicie mieć ustępu pod tym samym dachem, tylko gonić taki kawał drogi i to jeszcze w zimie?” — dziwię się naiwnie.

— „A gdzieżbym ja, panie architekcie, takie świństwo trzymał w domu” — obraził się chłop.

Godzina trzecia, jestem już mocno znużony. Przepisy wymyślone przez kogoś gdzieś w dalekiej Warszawie przewidują dla mojego wydziału kilka etatów urbanistów, inspektorów nadzoru budowlanego, siłę kancelaryjną, środek lokomocji itd. — Wszystko to pozostaje w sferze marzeń, jestem sam, wykonuję szereg czynności administracyjnych, piszę na maszynie, naklejam opłaty stemplowe, adresuję koperty — a wielka, wymarzona architektura odsuwa się gdzieś daleko, daleko... Entuzjazm powoli wygasa.

Dziwiło mnie początkowo, że oprócz obowiązującej opłaty stemplowej niemal każde podanie o zatwierdzenie planu budowlanego, zaopatrzone było w przypięty dyskretnie spinaczem banknot stułotowy. Dziwiło mnie — byłem bowiem jeszcze żółtodzióbem w pracy aparatu rad narodowych, ale doświadczony petent dobrze wiedział, że trudno mu spodziewać się pozytywnego załatwienia sprawy, bez poparcia podania odpowiednią łapówką. Oczywiście w różnych wydziałach rozmaitych prezydów płacono się różnie — więcej lub mniej, od kurczaka lub kopy jaj począwszy, aż po sporą gotówkę — w zależności od wagi sprawy i szczebla urzędniczej drabiny. Metody wręczania łapówek wysokim osobistościom stanowią w Polsce Ludowej całą, bogatą wiedzę i są niekiedy wprost imponujące w swej pomysłowości. Ostatecznie trudno się i dziwić — gdyby nie perspektywa łapówek, któryż urzędnik brałby odpowiedzialną posadę w prezydium, za pensję, z której niesposób wyżyć.

Wiozą mnie saniami do Zawadzisk. Sprawa podobno pilna bardzo, więc decyduję się jechać mimo, że jest już po godzinach urzędowania. Droga bajkowo piękna, zachodzące słońce oświetla białą czapę szczytową kolosalnego masywu Babiej Góry. Domy góralskie obok drogi i na stokach gór reprezentują czystą, regionalną architekturę, nie skażoną wpływami podmiejskich majstrów uważających się za propagatorów modernizmu — którzy szczęśliwie tu jeszcze nie dotarli. Profilowane rysie, ciekawe portale, rzeźbione pazdury na dachach wskazują na rękę starych mistrzów ciesiołki, których tradycje są już w zaniku. Natomiast zabudowa, jak zresztą na całym Podhalu, fatalna — każdy kawałek terenu bez względu na jego rzeźbę poznaczony domkami. Przypominam sobie imponującą dyscyplinę zabudowy wsi słowackich, gdzie żaden budynek nie wrywa się poza wyznaczone granice osiedla.

— „Jesteśmy na miejscu” — w izbie miłe wrażenie sprawia widok rozpalonego pieca.

— „Napijcie się, panie, herbaty?”

Z rozkoszą myślę o szklance gorącego napoju, nagle — rany boskie — duszę się, oczy w słup, wymachuję rękami... Och, to było ciężkie przeżycie, ale teraz już wiem, że gdy w Zawadziskach proponują herbatę, to znaczy, że w szklance jest wprawdzie trochę esencji herbacianej dla zabarwienia, lecz reszta to gorący spirytus. — Górale są wyraźnie zadowoleni i rozpoczynają poczęstunek. Niedawno było świniobicie, na stół wjeżdżają więc zwoje kiełbas i kiszek. Wędliny są znakomite, wykonane według recepty starego gazdy, który ponoć przed wojną zaopatrywał przed każdym rejssem kuchnię „M/S Batorego”, a dziś jako przedstawiciel tępionej „prywatnej inicjatywy” popisuje się swym kunsztem tylko na użytek rodziny. Pojawia się też wielki półmisek grubo cukrzonych faworków. Nie śmiem prosić o chleb, gospodarze mogliby się obrazić, chleb dobry na codzień, przynigdy nie podadzą go „urzędowemu” gościowi. Jem więc kiszkę z faworkami i pijam gorącym piwem, którego trzy kufle postawiono przede mną. Wreszcie omawiamy sprawę, która okazuje się nie tak znów paląca i saniami odwożę mnie na stację kolejową.

Konstytucja Polski Ludowej zapewnia obywatelom prawo składania skarg i zażaleń do wszystkich organów władzy. Realnie niewiele to pomaga, ale zawsze działa psychologicznie. Ludność wiejska skwapliwie korzysta z tego przywileju — więc i dzisiejsza poczta przynosi mi nową porcję skarg. — „On jest Wielki Palacz Papierosów i Pijak Mocnych Trunków” — skarży się na sąsiada jakaś babina, operując mianami godnymi pióra Karola May'a. Mam również zażalenie przesłane mi via KC Partii, które posiada takie zakończenie: „... więc bardzo proszę kochanego towarzysza Wiesława (Gomułkę), żeby mi to załatwił, w przeciwnym razie odwołam się wyżej!” — Zaś na porządku dziennym zdarzają się w podaniach zręczne pozdrowienia: „z proletariackim Bóg zapłać!”, lub „cześć pracy socjalistycznej — z Bogiem”. — Nie mogę sobie odmówić przyjemności zacytowania jednego z podań: „Podaję do Rządu Planu ja Pokątek Aniela i Proszym Rządu Planu aby dom Poprawić Wstajni Ściany Pognite Spółnicy i ze Wsodhu i Podstajniom Mur kce Wywalić spółnicy bomi gnojówka podtchodzi do Piwnice i Dostodoły i kciałabym Piwnicke i Stajenke Skamienia i szbetonu i Prosze łaskawie Rządu Planu o przyznynie mi Z uszanowaniem Rządu Planu Pokątek Aniela”.

Jedna ze „stron” z wyraźną dumą przedkłada do zatwierdzenia projekt domku. No cóż, widzę nieudolnie nabazgrane kwa-

draciki z trójkątami dachów, na dachu komin, w kominie dym, okna przecięte na krzyż — któż z nas nie rysował podobnie mając 5 lat. Na jednym kwadraciku jest napisane „to jest dom Michałka”, na innym „a to Gawłów”, na krzywej linii „to droga do pola”, a na największym kwadraciku specjalnie wielkimi kulfonami „mój dom”. — Tłumaczę spokojnie, że amatorowi rysunek może się podobać jako dzieło sztuki, ale ja nie mogę go uznać za obowiązującą dokumentację techniczną i zezwolenia nie wydam. Oburzony petent porywa swój „projekt” i, jak zwykle, pędzi na skargę do przewodniczącego prezydium. Ten wzywa mnie i choć nie ma pojęcia o co chodzi a projekty ledwo umie odczytywać, w obecności chłopca w ostrych słowach poleca natychmiast zezwolenie wydać. Teraz zadowolony kmiotek poniesie wieść, że towarzysz przewodniczący to dobrodziej, zaś ja utrudniam i hamuję rozwój budownictwa. O to tylko zresztą przewodniczącemu chodzi, — wybory do rad narodowych się zbliżały, a że architektura wyje z rozpacz, o to mniejsza.

Udało mi się pożyczyć motocykl WFM-kę, jadę do Toporowa, osiedla położonego niemal pod szczytem Jałowieckiej Góry. Dowiedziałem się, że Toporowo to skarbiec starych ludowych malowideł i drewnianych świątków. Jest słoneczny dzień, pachnie koniczyną, góry powlekają się lekką mgiełką. Wchodzę do pierwszej z brzegu chałupy i przystaję w półmroku. W izbie okiennice przymknięte, piekielny zaduch, w kołyszce leży blade niemowlę o wielkiej głowie. W kuchni młoda kobieta o zupełnie płaskich piersiach informuje mnie, że świątki drewniane, owszem były, ale bardzo stare i brzydkie, więc wstydzili się ich i spalili, to samo zresztą uczynili i pozostali sąsiedzi. Ale nad łóżkiem dostrzegam wiszące w ciężkich ramach pomiędzy oleodrukami stare, ręcznie malowane obrazy. Złota farba na szatach świętych person błyska wyraźnie spoza brudnej szyby obrazu. Domyślam się, że to niedobitki, które czeka los drewnianych świątków. Istotnie, z rozmowy wynika, że obrazy mają być usunięte i zastąpione drukami. Proponuję więc, że kupię je przyrzekając również przysłać rulon wizerunków św. Antonich i św. Józefów. (Nawiasem mówiąc można je dostać bardzo tanio, pomysłowi sprzedawcy przerabiają bowiem produkowane masowo portrety brodatego Engelsa na wizerunki świętych pańskich...)

Zgadzą się, pod warunkiem, że zostawię im ramy, na co z kolei ja godzę się bardzo chętnie. Czuję, że uważają mnie za półgłówka, który za bezwartościową starzyznę daje coś zupełnie nowego. Na zakończenie gospodyni częstuje mnie jajecznicą, któ-

ra pływa w tłuszczu — nie jestem w stanie tego jeść, wychodzę z chałupy i z rozkoszą wciągam w płuca krystalicznie czyste powietrze. Horyzont zamyka ciemna, pękata sylweta Magóry i Równicy, a dalej pasmo babiogórskie.

Mam jechać w jakiejś sprawie do oddalonej o kilka kilometrów wsi, „strona” z uśmiechem zaprasza mnie więc do czekającego samochodu. Wychodzę z budynku i dosłownie zatyka mnie. Oto przy chodniku stoi sześciometrowy, nowiusieńki, rudy Chevrolet. Wsiadamy, chłop prowadzi, trzyma kierownicę jak lejce, na tylnym siedzeniu pełno słomy, w której grzebią wiezione na targ kury. Nie pytam skąd wytrzasnął taki wóz.

Wieś wyjątkowo bogata, rzemiosło kwitnie, na oko widać, że domy budowane są bez liczenia się z kosztami. Niemal nad każdym dachem sterczy antena telewizyjna. Wprowadza mnie do domu — sień wyłożona płytami białego marmuru, ale łazienki w całym budynku nie ma, pięć pokoi stoi prawie nieużywanych, cała rodzina i tak mieszka w kuchni. Chevrolet garażuje w stodo-
dole, tylko wrota nie chcą się domknąć.

Przed kilkoma tygodniami miałem ciekawe spotkanie w Jankówce, wsi rozłożonej malowniczo na kilku wzgórzach. W przeciwieństwie do poprzedniej wieś to przeciętna, raczej uboga, dźwigająca się dopiero po spaleniu jej przez Niemców za ukrywanie licznych tu w czasie wojny polskich partyzantów, których pomnik stoi obecnie na najwyższym wzgórzu. Przeprowadzając kontrolę terenu zetknąłem się w jednej z chat z emigrantem polskim, który po dwudziestu latach pobytu w Chicago przybył odwiedzić rodzinę w kraju. Mówił dziwaczną mieszaniną gwary góralskiej i amerykańskiego slangu.

— „Jo jest drajwer na ford-traku w buczerni” — opowiada mi o swej pracy Mr. Frank Kociaszek. Jest odziany w białą koszulę *non-iron* z kolorową muszką, spodnie na wążutkich szelkach, na głowie kapelusz z szeroką wstążką. Zapomniał już nieco jak to bywało kiedy pasał krowy w swej rodzinnej wsi — narzeka, że nie ma napoi z lodówki, zamiast codziennego *shower'u* proponują mu kąpiel w balii na klepisku, wieczorne czytanie przy lampie naftowej męczy oczy. Rozmawiamy w izbie pachnącej baraniami kozuchami — na parapecie okna, z którego roztacza się widok na góry, a bliżej na kałużę gnojówki — spostrzegam duży flakon wody Yardley'a.

Podniecony głos w słuchawce telefonu wzywa mnie do odalonej o jakieś 40 km wsi Lipówka, gdzie podobno wywiązał się spór na tle budowlanym. Sprawa to typowa — chłop zaczyna coś tam budować, sąsiedzi natychmiast protestują dla zasady — by pokazać, że oni też mają coś do powiedzenia w sprawie, w której poprzednio nikt ich o zdanie nie pytał. Zaczynam więc denerwujące poszukiwanie środka lokomocji — jak zwykle informuję mnie, że jedyną służbową „Warszawę” zabrał sekretarz prezydium. Dzwonię po wszystkich instytucjach dysponujących samochodami, próbuję pożyczyć prywatny motocykl, wreszcie gdy wszystko zawodzi dowiaduję się, że wóz straży pożarnej udaje się w kierunku Lipówki — dosiadam się i jedziemy.

Na miejscu spór rozwija się już w całej pełni — po obu stronach płotu stoją uzbrojeni w siekiery i widły przedstawiciele powaśnionych rodów, w sumie jakieś 30 osób, i na razie obrzucają się wyzwiskami. Sytuacja niewesoła, tak czy owak rozstrzygnę spór, zawsze istnieje duże prawdopodobieństwo oberwania od drugiej, niezadowolonej strony. Trzymając na wszelki wypadek rękę na kłamce samochodu staram się łagodzić, obiecuję urzędowe wstrzymanie i opieczętowanie budowy i po prostu rejteruję.

Na drugi dzień wyjaśniła się historia służbowej „Warszawy”. Otóż sekretarz prezydium musiał godnie wystąpić na weselu innej powiatowej osoby, załadował więc bagażnik służbowego wozu wódkami, piwem, kiszkami i kiełbasami — i pojechał. Towarzysz sekretarz to figura, z którą tu się liczą — wprawdzie nie udało mu się ukończyć nawet szkoły podstawowej, ale za to był oficerem plutonu egzekucyjnego w K.B. i dopiero po „odwilży październikowej” przesunięto go na spokojniejsze, ale zacne stanowisko sekretarza powiatowego prezydium. Poza trzymaniem się ściśle linii partyjnej, przeważnie nie bardzo orientuje się o co chodzi, lubi jednak czasem wygłaszać do mnie przemówienia w rodzaju:

— „Wy towarzyszu inżynierze nie myślcie, że jesteście mądrzejsi od nas, bo wy z rodziny inteligenckiej — tu my jesteśmy władzą”. On do mnie skromnego, bezpartyjnego obywatela per „towarzysz”, ja do niego per „pan sekretarz” — tak to czasem śmiesznie bywa.

Tow. sekretarz bawił się dobrze, wracając tłukł z rozmachem puste butelki o maskę samochodu — służbowa „Warszawa” ma zniszczony lakier i rozbity reflektor...

W sobotę po pracy wracam zatłoczonym pociągiem do miasta,

w którym mieszkam. Wieczorem zabieram żonę na program awangardowego teatru do klubu studenckiego. Znakomite nowoczesne dekoracje, świetne teksty i gra aktorów, doskonałe opracowanie muzyczne — na chwilę zapominam o moich „towarzyszach” z prezydium.

Bogdan ADAMSKI

Z OSTATNIEJ CHWILI

Czystki w Polsce. L. Kasman, członek K.C., usunięty ze stanowiska redaktora nac. *Trybuny Ludu*; L. Unger, usunięty z *Życia Warszawy*. W najbliższym czasie mają być usunięci: 1-szy sekretarz K.W. w Warszawie, St. Kociłek i prezes Rady Narodowej Janusz Zarzycki. Powód — pochodzenie żydowskie albo mało zdecydowany stosunek do Izraela. Dalsze zmiany personalne we władzach partyjnych mają nastąpić w najbliższych miesiącach.

Le Monde notuje pogłoskę, pochodzącą z „dobrego źródła” o projekcie utworzenia międzynarodowej reprezentacji komunistycznej na wzór Kominternu czy Kominformu. Jako kandydada na szefa tej organizacji wymienia się Wł. Gomułkę. Byłoby to praktyczne wyeliminowanie Gomułki z P.Z.P.R. W związku z tymi pogłoskami walki frakcyjne i personalne w P.Z.P.R. ogromnie wzmożły się. V Zjazd partii, który ma odbyć się w bieżącym roku, może mieć charakter przełomowy w życiu P.R.L. jeśli nie nastąpią wcześniejsze wydarzenia, przespieszające wybuch kryzysu, czego nie można wykluczać ze względu na rosnące niezadowolenie mas robotniczych i ferment w kołach inteligenckich.

W nrze 9/239 „Kultury”, w dziale „Wydarzenia miesiąca”, podaliśmy wiadomość o uchwale Poznańskiego Związku Literatów, potępiającej „agresję” Izraela i wzywającej Zarząd Gł. ZLP do analogicznej uchwały. Otrzymujemy obecnie z koł literackich poznańskich wyjaśnienie, że informacja ta nie odpowiada prawdzie co odnotowujemy z przyjemnością.

Niestety takie uchwały były powzięte przez Oddziały Gdański i Szeceński Zw. Literatów.

REDAKCJA

Sąsiedzi

50-lecie sowieckiej ekonomii

System sowiecki obchodzi pięćdziesięciolecie swojego istnienia. W myśl marksistowskiej koncepcji, zasadniczym elementem tego ustroju, który określa pozostałe składniki, jest konkretny sposób funkcjonowania ekonomicznego.

Znaczenie i trudności bilansu

Sposób ten jest tak odmienny od znanych nam zasad działania gospodarki opartej na parametrach rynkowych, że często nawet ekonomistom wyspecjalizowanym trudno jest odczytać właściwy sens przemian gospodarczych zachodzących w ZSSR. Równocześnie przemiany te stanowią bezwzględnie pasjonujący przedmiot badań. W przedmowie do książki Henri Chambre „Union soviétique et développement économique”, F. Perroux pisze: „*Un peuple luttant contre l'étendue, le climat, le retard culturel des masses a édifié en moins de quarante ans une grande économie moderne, qui ne repose ni sur la propriété privée des moyens de produire, ni sur le marché concurrentiel de type occidental ni sur les mobiles de l'enrichissement individuel*”¹.

Sowiecki eksperyment gospodarczy, narzucony w wyniku drugiej wojny światowej wielu innym krajom, jest materialną podstawą politycznej i militarnej potęgi bloku. Równocześnie zdradza on tendencję do dalszej ekspansji. Chcąc rozszerzyć zakres swoich wpływów, przywódcy rosyjscy pragną zasugerować ten model gospodarczy krajom rozwijającym się, jako receptę na

1. PERROUX, F.: przedmowa, w: CHAMBRE, H.: *Union soviétique et développement économique*, Paryż, 1967.

wyjście z nędzy i zacofania. Sowieckie doświadczenia ekonomiczne stają się więc atutem w walce ideologicznej. Jak słusznie zauważa M. Bornstein, stosownie do potrzeb tej walki, sowiecka rzeczywistość ekonomiczna uległa zafałszowaniu przez sowieckich ekonomistów-polityków. Wiele sformułowanych przez nich „praw ekonomicznych socjalizmu” to *wishful thinking*, wyrazy dążeń, których sowiecka ekonomika nigdy w rzeczywistości nie zrealizowała. Na przykład: „podstawowe prawo socjalizmu” czyli prawo stałego wzrostu dobrobytu mas, w oparciu o rozwijający się aparat wytwórczy; prawo proporcjonalnego wzrostu gospodarki narodowej; prawo podziału produktu społecznego, w zależności od pracy itp.². Niemniej jednak, a może tym bardziej, eksperyment sowiecki zasługuje na rzetelną i realistyczną ocenę. Ocena taka, utrudniana lub wręcz niemożliwa w ZSSR i krajach komunistycznych ze względu na cenzurę, może być dokonywana i jest przeprowadzana na Zachodzie. Tu jednak na przeszkodzie w formowaniu ocen opartych na możliwie obiektywnych przesłankach stoi zarówno brak materiałów statystycznych lub ich świadome zafałszowanie³, jak i uprzedzenia badaczy będących niejednokrotnie namiętymi zwolennikami lub nieprzejednanymi wrogami sowieckiego systemu. Analiza naukowa natomiast wymaga obiektywnego podejścia do przedmiotu albo też przynajmniej tego, co tak dobrze określa francuski zwrot: *honnêteté intellectuelle*.

W szkicu niniejszym pragniemy przypomnieć albo też uwiarygodnić część najbardziej ogólnych cech sowieckiego eksperymentu gospodarczego a w szczególności ważne zagadnienia, jakie stanęły przed kierownictwem tego kraju podczas pięćdziesięciolecia, lub też, które są jeszcze na porządku dziennym. Głównym przedmiotem dociekań jest ewolucja struktur albo tzw. problemy modelowe.

Poszczególne etapy rozwoju

Pierwszą myślą, jaka narzuca się przy realizacji tego zamierzenia jest wyraźne zdanie sobie sprawy z odrębności kolejnych etapów rozwojowych sowieckiego systemu. Klęski i sukcesy poszczególnych etapów rozwojowych dostarczają wiele materiału do kolejnych wniosków i ocen.

a) Okres komunizmu wojennego

Źródłem takiego materiału, szczególnie interesującym i mało

2. BORNSTEIN, M.: „Ideologia i ekonomia sowiecka”, *Soviet Studies*, lipiec 1966; także *Političeskaja Ekonomija*, podręcznik, Wyd. Akad. Nauk ZSRR, Moskwa, 4 wyd.

3. JASNY, N.: *Essays on the Soviet economy*, 1962; WILBER, C. K.: „Wskaźniki niemonetarne i rozwój gospodarczy”, *Soviet Studies*, kwiecień 1966.

znany wydaje się być analiza pierwszego rozwoju ekonomiki, okresu komunizmu wojennego.

To właśnie wówczas powstały pierwsze zgręby sowieckiego systemu. W 1918 stworzono pierwszy na świecie Centralny Organ planowania: Najwyższa Rada Gospodarki Narodowej (W.S.N.H. — W. sownarchoz); Gosplan został utworzony w 1921. Był to okres skrajnej centralizacji zarządzania i operowania centralnie dokonywanymi przydziałami środków wytwórczych i dóbr konsumpcyjnych bezpośrednio w jednostkach naturalnych⁴. To właśnie wówczas wynaleziono metodę bilansową *tableau carré*, która z inicjatywy jednego z jej ówczesnych sowieckich realizatorów, W. Leontiewa, znalazła zastosowanie w kierowaniu zaopatrzeniem amerykańskiego przemysłu wojennego w okresie II wojny światowej⁵. W okresie komunizmu wojennego, pod bezpośrednim kierownictwem Lenina i z jego inicjatywy, powstał pierwszy plan perspektywiczny GOELRO. Plan ten, mimo, że nigdy nie został bezpośrednio zastosowany, odegrał olbrzymią rolę jako środek psychologicznego oddziaływania, narzędzie propagandowej mobilizacji społeczeństwa sowieckiego. Okazało się, że plany gospodarcze mogą stanowić potężny środek integrowania społeczeństwa, zespalandy go wokół centralnie wytyczonych celów. Tym środkiem do dziś dnia często posługuje się system sowiecki mimo, że dalsze doświadczenia wykazały, że w okresach choćby względnej stabilizacji stosunków, siła jego oddziaływania maleje, zwłaszcza wówczas, gdy zamierzenia wyrażone w planach i nadzieje pracowników z nimi związane, okazały się nierealne. Niemniej jednak komunizm wojenny wykazał jedność polityki, propagandy i ekonomiki w ramach sowieckiego systemu.

Pouczające jest także niepowodzenie podjętej w okresie komunizmu wojennego, próby wyeliminowania pieniądza z systemu zarządzania gospodarką: zastąpienia go w myśl marksistowskiej teorii wartości, jednostkami pracy⁶. Okazało się, że forma pieniężna jest nieodzowna przy kierowaniu konsumpcją i indywidualną gospodarką chłopską. Okazało się także, że agregaty pieniężne są najbardziej efektywną formą przekazywania zadań państwowym przedsiębiorstwom przemysłowym, i równocześnie, że eliminacja rozrachunku w jednostkach pieniężnych na odcinku wykonania planów powoduje nieefektywność i olbrzymie marnotrawstwo środków. Praktyka gospodarki sowieckiej okresu komunizmu wojennego dowiodła więc, że marksistowska idea „pieniądza pracy” jest nie do zastosowania praktycznego.

Próby realizacji tego mitu okazały się tak kosztowne, że na-

4. BRAGANSKI, B.: „Źródła powstawania gospodarki socjalistycznej”, *Planowoje Choizaistwo*, nr 7, 1967.

5. SCHERMAN, H. J.: „Ekonomiki marksistowskie i planowanie w ZSRR”, *Soviet Studies*, październik, 1966.

6. TEMKIN, G.: *Marks i idea pieniądza pracy*, K.i.W., Warszawa, 1966.

wet dogmatyczni ekonomiści sowieccy w praktyce nigdy więcej do tej koncepcji nie powrócili.

b) N.E.P.

Reakcją na niepowodzenia bezpiecznej gospodarki opartej na rozdzielnictwie i skrajnie scentralizowanej był NEP. Model NEP-u silnie przypomina wzory kapitalizmu państwowego. Restytuowano a nawet bardzo poważnie rozwinięto system pieniężny, bankowy i kredytowy. Powstał rynek kapitałów związany z klasycznymi regułami funkcjonowania waluty złotej. Przydział czynników wytwórczych dla produkcji oparty został na zasadach funkcjonowania rynku. System sowiecki nabrał w znacznej mierze cech racjonalności w znaczeniu, jakie przywiązuje do tego terminu ekonomia klasyczna. Umożliwiło to odbudowę straszliwie wyniszczonej wojnami ekonomiki sowieckiej. W latach 1925-1928 produkcja przemysłowa i rolna zaczyna dochodzić do poziomu przedwojennego z roku 1913. Równocześnie jednak w okresie NEP-u ujawniły się procesy rozwojowe, które sprzeciwiały się koncepcjom Partii. Władze Centralne utraciły właściwie ekonomiczną kontrolę nad gospodarką i chcąc osiągnąć swoje cele czysto ekonomiczne, musiały uciekać się do policyjnych metod przymusu administracyjnego. Okazało się, że mechanizm rynkowy utrwała istniejącą strukturę gałęziową gospodarki. Mimo bowiem oficjalnego forsowania rozwoju przemysłu ciężkiego (IX Zjazd Partii), udział produkcji przemysłowej w gospodarce sowieckiej wynosił w 1928 roku 39,5% (wobec 33,3% w roku 1913)⁷.

Trockiści, a zwłaszcza Preobrażenski w swojej polemice z Bucharinem⁸, dowodzili, że kontynuując politykę gospodarczą NEP-u, Rosja nie miała możliwości stać się mocarstwem przemysłowym i posiadać potencjał wojenny umożliwiający podbój świata a przynajmniej Europy na drodze „rewolucji światowej”.

Mechanizm rynku oparty na cenach równowagi pozwalał na racjonalne rozprawdanie czynników wytwórczych, ale nie gwarantował równocześnie wysokiej stopy akumulacji, ani gwałtownego skoku naprzód.

System ten nie wiodł w kierunku samowystarczalności, autarchii kraju i nie stwarzał przesłanek dla rozbudowy potencjału wojennego. Mimo więc, że kontynuowanie NEP-u stwarzało niewątpliwie warunki podniesienia się poziomu życia ludności Związku sowieckiego, nie odpowiadała ona interesom i celom politycznym grupy rządzącej i to zarówno jej frakcji stalinowskiej jak i żywej jeszcze wówczas frakcji trockistowskiej.

7. WOŁODARSKI, L.: „Historyczne doświadczenie uprzemysłowienia ZSRR”, *Kommunist*, nr 1, 1967.

8. PREOBRĄZENSKI, E.: *La nouvelle économie*, E.D.I., Paris, 1966.

Trudno więc odmówić racji Z. Brzezińskiemu, który stawia pytanie: „Czy Sowiety byłyby dziś krajem dyktatury komunistycznej gdyby NEP przetrwał dalszych dziesięć lat?”⁹

c) Plany pięcioletnie

Już na XIV Zjeździe Partii w 1925 roku po burzliwej dyskusji, przyjęto w ramach nowego programu zasadę „budowy komunizmu w jednym kraju”, forsownej industrializacji i priorytetu przemysłu ciężkiego, jako kierunku rozwoju ekonomicznego. Od tego momentu zaczęła się stopniowa likwidacja NEP-u, zakończona w roku 1928, uchwaleniem pierwszego planu pięcioletniego. Model zarządzania gospodarką socjalistyczną, który uformował się wówczas, przetrwał właściwie bez istotnych zmian do chwili obecnej. Dowodzi to, że odpowiada on, a przynajmniej odpowiada, interesom elity rządzącej w krajach komunistycznych i mocarstwowej polityce Związku Sowieckiego. System ten oparty jest na planach sporządzonych metodą bilansową w jednostkach naturalnych, gdzie ceny służą jedynie jako narzędzie agregacji. Plany te przekazywane są wykonawcom w formie ustaw stanowiących zarazem bezpośrednie nakazy typu administracyjnego, czy nawet „wojskowego”. Wykonanie tych planów gwarantowane jest przy pomocy przymusu¹⁰. Funkcjonowanie takiego systemu wymagało spełnienia dwóch warunków:

- zapewnienia państwu (partii rządzącej) pełnej kontroli nad wszystkimi działami gospodarki i faktycznie nad wszystkimi przedsiębiorstwami łącznie z gospodarstwami rolnymi;
- skoncentrowania w rękach centralnych organów olbrzymich środków inwestycyjnych.

Model został urzeczywistniony po skolektywizowaniu drobnych gospodarstw rolnych, przeprowadzanym z niesłychanym natężeniem gwałtu i terroru.

Mimo politycznej eliminacji trockizmu, przede wszystkim za jego awanturniczą politykę międzynarodową, groźną dla ZSSR, zrealizowano w praktyce model „pierwotnej akumulacji socjalistycznej” Preobrażńskiego, oparty na zasadach nieekwiwalentnej wymiany pomiędzy miastem a wsią i na obniżeniu poziomu życia pracujących. Tą drogą uzyskano środki inwestycyjne niezbędne dla realizacji pięcioletek. Gdy chłopci ukraińscy setkami tysięcy umierali z głodu, import dóbr inwestycyjnych finansowano przy pomocy eksportu zboża¹¹.

Osiągnięcia pięcioletek przedwojennych są imponujące, szczególnie w dziedzinie produkcji żelaza, stali, węgla, ropy naftowej

9. BRZEZIŃSKI, Z.: „Przemiany sowieckiego systemu”, *Kultura*, styczeń-luty, 1965.

10. WAKAR, A.: *Zarys teorii gospodarki socjalistycznej*, P.W.N., Warszawa, 1965.

11. KARZ, J.: „Problem zbożowy”, *Soviet Studies*, kwiecień 1967.

itp.¹². Udział przemysłu wytwarzającego środki produkcji wynosił w 1940 roku ponad 50 % ogólnej produkcji ZSSR.

Poprawa stopy życiowej ludności była w tym czasie niezwykle powolna; mimo bardzo niskiego absolutnego poziomu konsumpcji, zdarzały się okresy stagnacji i regresu. Dopiero pod koniec 1935 roku, zniesiono system kartkowy. Ale trzeba dorzucić że w tym samym czasie, wprowadzono w obrocie towarowym dwie odrębne sieci handlowe: sektor państwowy w miastach, spółdzielnie spóżywców na wsi i w małych miasteczkach ustanawiając monopol dla każdej z tych organizacji na przydzielonym jej terenie, ułatwiono traktowanie dyskryminacyjne w zaopatrzeniu poszczególnych kategorii konsumentów (ludność wiejska)¹³.

Eksperyment sowiecki wydaje się również obalać jeden z mitów ekonomiki, a mianowicie twierdzenie, że wzrost gospodarczy oznacza automatycznie podniesienie się poziomu życia ludności. Doświadczenie sowieckie wykazuje, że możliwe są typy wzrostu neutralne w stosunku do stopy życiowej społeczeństwa, lub nawet w pewnych przedziałach czasowych, powodujące jego obniżenie się¹⁴.

Dzieje się tak wówczas, gdy podział dochodu narodowego na część akumulowaną (inwestycje) i spożywaną ustalany jest arbitralnie przez Centralny Organ Planowania, nie w zależności od wielkości i struktury zgłaszającego się na rynku popytu, i gdy przyrost nadwyżki ekonomicznej przeznaczony jest wyłącznie na dalszy rozwój i modernizację gałęzi wytwarzających środki produkcji, oraz na zbrojenia i wydatki na utrzymanie aparatu policyjnego, propagandę w kraju i zagranicą, itp.

Warunkiem realizacji takiego programu rozwoju gospodarczego według modelu stalinowskiego było oczywiście zupełne odcięcie społeczeństwa sowieckiego od informacji dotyczącej poziomu życia w innych krajach. Zupełnie nieświadoma co do stanu i ewolucji stopy życiowej w społeczeństwach kapitalistycznych, ludność nie mogła wywierać żadnej presji na decyzje centralne.

Bariery obiektywne rozwoju

Mimo zabezpieczenia niezbędnych środków na ich wykonanie, realizacja zadań wyznaczanych gospodarce sowieckiej w planach pięcioletnich napotykała na szereg „barier obiektywnych”, które powodowały niewykonanie planów odcinkowych nawet w warunkach dużego osobistego zagrożenia odpowiedzialnych kierowni-

12. ZALESKI, E.: *Planification de la croissance en URSS*, SEDES, Paris, 1962.

13. WRÓŃSKI, H.: „Spółdzielnia spóżywców w Związku Radzieckim”, *Archives Internationales de sociologie de la Coopération*, styczeń-czerwiec 1966.

14. BRUS, W.: „Rachunek ekonomiczny a decyzje polityczne”, *Życie Gospodarcze*, nr 34, 1964.

ków produkcji i działaczy partyjnych. Szczególnie jaskrawo wystąpiło to w okresie drugiej pięciolatki, gdy, między innymi, tak ważne gałęzie wytwórczości, jak przemysł naftowy i traktory, nie wykonywały postawionych przed nimi zadań. Wśród „barier” na które napotykała w swoim rozwoju gospodarka sowiecka, decydujące znaczenie posiadały w okresie pierwszych pięciolatek takie czynniki, jak: brak doświadczenia w dziedzinie technologii i organizacji produkcji masowej, oraz brak wykwalifikowanej siły roboczej. Trudności te szczególnie ostro występowały przy organizowaniu bardziej skomplikowanych dziedzin wytwórczości, jak np.: przemysł maszynowy. Jaskrawym przykładem ich oddziaływania mogą być, pomimo technologicznej pomocy amerykańskiej, niepowodzenia poniesione przy budowie i eksploatacji stalingradzkiej fabryki traktorów.

Już w okresie przedwojennym aparat zarządzania gospodarką sowiecką zaczął zdradzać cechy daleko posuniętej biurokracji i skostnienia. Strach przed procesami i czystkami charakterystycznymi dla rządów Stalina wytworzył u działaczy gospodarczych i partyjnych niechęć do podejmowania jakichkolwiek samodzielnych decyzji i tendencję do niewolniczego trzymania się przepisów, często niedostosowanych do skomplikowanych i zmieniających się sytuacji i zadań. Wszystkie zasadnicze decyzje podejmowane były w najbliższym otoczeniu Stalina i pod jego bezpośrednim dyktandem. A sam samodzielną, zamknięty na Kremlu od 1925 roku, nie znał dobrze i nie rozumiał potrzeb terenu i jego problemów. Możliwość arbitralnego ograniczenia konsumpcji, przy dowolnej koncentracji środków, stwarzała dla jego decyzji szeroki margines błędów. Założenia polityczne, gospodarcze mogły więc być realizowane „za wszelką cenę”, to znaczy kosztem narzucenia narodom Związku Sowieckiego nieznanych w historii współczesnej poświęceń i wyrzeczeń.

Sytuacja gospodarcza podczas lat wojny i okresu odbudowy powojennej była dla sowieckich działaczy gospodarczych szkołą zanikającej uprzednio indywidualnej inicjatywy. Organizacja produkcji wojennej i konieczność ewakuacji, i ponownego instalowania olbrzymich zakładów przemysłowych w warunkach operacji frontowych, wymagały decentralizacji daleko posuniętej. I tylko, i jedynie, dzięki decyzjom podejmowanym indywidualnie na miejscach, możliwe było prowadzenie tych operacji w niezwykle trudnych warunkach wojennych.

Jednakże już wkrótce po zakończeniu wojny i wstępnej fazy odbudowy, powrócono do dawnych metod skrajnie centralistycznego i biurokratyzowanego zarządzania gospodarką. W rezultacie, zwłaszcza pod koniec życia Stalina, szczególnie ostro ujawniły się te bariery rozwoju gospodarczego ZSSR, których przezwyciężenie jest zasadniczym celem reform przedsięwziętych tam w ciągu ostatnich lat kilkunastu zarówno przez Chruszczowa, jak i przez obecnie rządzącą ekipę.

Pierwszą z tych barier jest niewątpliwie narastająca presja społeczeństwa domagającego się podniesienia poziomu życia. Już

w okresie wojny ZSSR przestał być krajem całkowicie izolowanym. Wiadomo, że zachodni poziom i zachodni styl życia stanowi, zwłaszcza dla młodych obywateli Związku Sowieckiego, obraz bardzo atrakcyjny. Wraz z rozluźnieniem się policyjnego terrorku, te dążenia i postawa ujawniły się z całą siłą. Już Malenkov zdał sobie sprawę że trudno dłużej liczyć na entuzjazm i skłonność do wyrzeczeń i poczynał pewne koncesje na rzecz powszechnego żądania podniesienia poziomu życia zwiększając, między innymi, produkcję dóbr konsumpcyjnych stałego użytku. Obecnie ekipa chyba już w pełni zdaje sobie sprawę z ograniczenia możliwości akumulacji na skutek konieczności poprawy warunków egzystencji ludności. Stąd program rozwoju produkcji samochodów, rozwoju budownictwa mieszkaniowego, skrócenie dnia roboczego, modernizacji i rozwoju handlu i utworzenie ministerstwa pomocy domowej (usługi) itp.

Druga bariera ograniczająca możliwość ekonomicznego rozwoju ZSSR wynika z niedoskonałości metod planowania zarówno operatywnego jak i perspektywicznego. Skomplikowany system bilansów, sporządzanych przez odrębne wydziały „Gospłana”, nie daje obrazu całości gospodarki i utrudnia wewnętrzne uzgodnienie i zbilansowanie planu. Ze względu na trudności w ustaleniu zapasów, którymi dysponują poszczególne ogniwa gospodarcze, powstaje tendencja do nakładania planów „napiętych”, ustalających zadania maksymalne bez uwzględnienia rezerw. W takiej sytuacji nawet drobne zmiany sytuacji rzeczywistych w stosunku do przewidywań, zagrażają równowadze całości planu i jego pełnemu wykonaniu, zwłaszcza w przekroju asortymentowym. Ciężka machina biurokratyczna aparatu planowania nie stwarza możliwości sporządzenia i starannego rozważenia planów alternatywnych. Ceny używane przy sporządzaniu planów, tzw. „ceny programowania” (ceny stałe), nie uwzględniają rzadkości dóbr i nie dają możliwości dokonania wyboru optymalnych metod produkcji. Informacje, na podstawie których sporządza się plany są często wypaczane przez przedsiębiorstwa, które pragną uzyskać zadania stosunkowo łatwe do wykonania, co stanowi podstawę do uzyskania premii. Dodatkowe trudności sprawia uzgodnienie planów w przekroju terytorialnym, to znaczy, rozdział zadań pomiędzy poszczególnymi republikami, okręgami gospodarczymi i obłastiami. W rezultacie, sowiecki system planowania stwarza co prawda warunki sformułowania programu gwarantującego osiągnięcie politycznych celów grupy rządzącej, ale nie gwarantuje rozwoju harmonijnego i racjonalnego kraju. Koszt realizacji tych celów jest olbrzymi.

Usprawnienie systemu planowania stanowi od dawna jedno z naczelných zadań zarówno sowieckiego kierownictwa gospodarczego jak i ekonomistów-teoretyków. Ci ostatni wiążą szczególne nadzieje z zastosowaniem metod matematycznych w planowaniu i zarządzaniu gospodarką (w szczególności programowanie liniowe, dynamiczne, i iteracja). Wybitni ekonometrycy sowieccy, jak: Kantorowicz, Niemczynow czy Nowożyłow opracowują mo-

dele matematyczne, które pozwalają opracować plan wewnętrznie zgodny, czyli zbilansowany, zapewniający realizację celów politycznych, a równocześnie, drogą kolejnych przybliżeń, a ściślej iteracji, dobór metod produkcji zbliżonych do optymalnych, czyli zapewniających maksimum efektu na jednostkę nakładu. Modele te, nawiązujące w wyraźny sposób do ekonomii marginalnej, oficjalnie potępianej w ZSSR¹⁵, nie mogą być jednak do rażnie zastosowane w odniesieniu do całości gospodarki. Wymagałoby to bowiem bardzo głębokich przemian organizacyjnych i instytucjonalnych w sowieckim systemie planowania, i pociągnęłaby za sobą konieczność zastosowania maszyn matematycznych („computer”) o nieznaną dotąd pojemności. Niezależnie od ich wątpliwej obecnie użyteczności dla systemu sowieckiego, prace te wydają się jednak posiadać olbrzymie znaczenie ogólnoteoretyczne. Ich praktyczna użyteczność w przyszłości nie jest wykluczona.

Trzecią potężną barierą dalszego rozwoju ekonomicznego ZSSR jest brak efektywnych bodźców skłaniających jednostki produkcyjne do szczerzej współpracy w opracowaniu i realizacji planów. Wraz ze wzrostem stopnia skomplikowania procesów produkcyjnych i współzależności jednostek gospodarczych, system kierowania przedsiębiorstwami przy pomocy bezpośrednich centralnych nakazów okazywał się coraz trudniejszy do zastosowania. Powstała zatem konieczność decentralizacji wykonawstwa i oparcia go w większej mierze o bodźce ekonomiczne. Szczególnie jaskrawo wystąpiło to w rolnictwie, gdzie władze centralne zrezygnowały z dyrektywnego zarządzania całokształtem działań kołchozów poprzestając na ustalaniu „produkcji towarowej”, dostaw obowiązkowych dla państwa. Ta reforma nie rozwiązała zresztą bynajmniej problemu rolnego. Bodźce materialne zastosowane wobec kołchoźników i przydzielone im środki produkcji okazują się bowiem do dziś dnia niewystarczające dla przezwyciężenia trudności, z którymi boryka się rolnictwo, a przede wszystkim niechętniej lub bierniej postawy chłopów. Indywidualna działka przyzagrodowa odgrywa stale zasadniczą rolę w ich bytowaniu.

Nowa reforma gospodarcza

W przemyśle, problem konieczności reform systemu zarządzania produkcją i decentralizacji, postawiony został oficjalnie, po raz pierwszy w 1955 roku, na naradzie dyrektorów przedsiębiorstw i kierowniczych władz przemysłu. W 1957 roku, zapadła decyzja o terytorialnej decentralizacji zarządzania i przyznania uprawnień kierowniczych sownarchozom. Już wkrótce okazało się, że była to jakoby droga błędna, ponieważ pozwoliła na ujawnienie się żywych w wielu okręgach ZSSR „partykularyzmów”

15. SHERMAN, *art. cit.*

regionalnych i utrudniała koordynację i wykonanie planów. Trzeba było jednak upadku Chruszczowa, aby wycofać się z tej pozycji¹⁶.

Na wrześniowym plenum Komitetu Centralnego Partii z 1965 roku zamierzono przeprowadzenie gruntownej reformy systemu zarządzania produkcją przemysłową. Wydaje się, że autorem tej reformy jest czołowy sowiecki technokrata, A. Kosygin. Reforma ta powstała niewątpliwie pod silnym wpływem koncepcji Libermana i Trapeznikowa, którzy zaproponowali przyjęcie zysku jako zasadniczego miernika oceny działalności przedsiębiorstw oraz podstawę do przydziału premii¹⁷. Należy dokonać takiego doboru cen i zasad funkcjonowania przedsiębiorstw, który gwarantowałby największy zysk, a zatem i największą premię.

Podstawowe zasady reformy można streścić następująco:

1) Zastąpiono wiele bodźców wyspecjalizowanych i wiele wskaźników dyrektywnych trzema wielkościami: produkcją zrealizowaną czyli sprzedaną, zyskiem i rentownością;

2) W rezultacie, w formie dyrektywnej, przez jednostki nadrzędne, ustalane są jedynie następujące parametry działalności przedsiębiorstw: wielkość produkcji sprzedanej, asortyment podstawowych wytworów, fundusz płac, suma zysku, rentowność, wpłaty do budżetu i sumy otrzymywane z dotacji państwowych;

3) Zarządzanie przedsiębiorstwami oddano ponownie w ręce zjednoczeń, które stały się czymś w rodzaju socjalistycznych trustów. One też ustalają wielkość inwestycji, zasadnicze kierunki postępu technicznego oraz wskaźniki zapotrzebowania materiałowego i technicznego;

4) Pozostałe decyzje związane z wykonaniem planu podejmują same przedsiębiorstwa, opierając się na: cenach czynników wytwórczych i produktu gotowego, prawnych zasadach działania przedsiębiorstw, oraz wspomnianych wyżej wskaźnikach, a głównie na dążeniu do maksymalizacji zysku;

5) Istotną rolę w nowym systemie zarządzania odgrywają instytucje finansowe. Wprowadzono bowiem oprocentowanie zasobów, co, w połączeniu z premiowaniem uzależnionym od zysku, ma powstrzymać przedsiębiorstwa od nadmiernego popytu na środki produkcji w szczególności na dobra inwestycyjne.

Reforma systemu zarządzania gospodarką narodową wprowadzana jest stopniowo i trudno jest jeszcze ocenić jej rezultaty. Dotychczasowe obserwacje wydają się jednak wskazywać, że

16. Zniesiono także równocześnie, wprowadzony za czasów Chruszczowa, podział struktury Partii na pion przemysłowy i pion rolniczy. Wprawdzie podział ten kończył się na szczeblu oblasti, ale mógł być uważany za początek pewnej odrębności organizacyjno-politycznej chłopów. Kołchoźnicy, którzy, według oficjalnej doktryny sowieckiej, tworzą w ZSSR oddzielną klasę społeczną, nie posiadają żadnej odrębnej organizacji politycznej, zawodowej, syndykalnej czy społecznej.

17. Por. art. LIBERMANA, w: *Prawda* z 9. IX. 1962 i art. TRAPEZNIKOWA, V. :: *Prawda* z 17 VIII. 1964.

stanowi ona niewątpliwe usprawnienie procesu realizacji planów.

Wstęp do przyszłego okresu

Reforma ekonomiczna jest więc ostatnim przedsięwzięciem należącym do kończącego się pięćdziesięciolecia sowieckiego eksperymentu gospodarczego. Ale równocześnie, jest ona elementem przejściowym, czy wstępem do nowego okresu, i wyznacza kierunek dalszej ewolucji. Kierunek ten można określić jako poszukiwanie form zapewniających zgodność między osobistym interesem jednostek a interesem ogólnym kolektywów społecznych i państwa, albo też, inaczej, uzgodnić konieczność podniesienia poziomu życia jednostek z wymogami realizacji żądań gospodarczych wyrażonych w planach.

Oznacza to, że w ciągu połowy wieku swego istnienia system sowiecki nie zdołał utożsamić interesu społeczeństwa z interesem jednostki i nie zdołał przewyciężyć przeciwstawienia jednostki i społeczeństwa. Wcale nie lepiej niż w systemie kapitalistycznym, praca zarobkowa nie stała się dla człowieka naturalną potrzebą i przyjemnością, lecz pozostała nadal przymusem, do którego człowiek nagina się, pchany koniecznością zaspokojenia swych żywotnych potrzeb. Związek Sowiecki w ciągu pięćdziesięciu lat swego istnienia nie stał się więc „królestwem wolności”, które Marks określił jako ostateczny cel komunizmu i ludzkości. Co więcej wszystko wskazuje na to, że przywódcy sowieccy są dziś dalecy od realizacji tego ideału. Może częściowo przyczyną są presje, czy wpływy z zewnątrz, jakim ulega Związek Sowiecki i co również podkreśliłoby trudność, jeśli nie niemożliwość, zbudowania komunizmu w jednym kraju.

Redaktorzy Tez Komitetu Centralnego Partii na pięćdziesięcioletnią rocznicę objęcia władzy¹⁸ przez Sowiety zdają sobie na pewno sprawę, że są bardziej oddaleni od ideału rewolucji niż myśleli ich poprzednicy w roku 1917: 1928 (zaczęcie 1-szej pięcioletki i masowej kolektywizacji), 1932 („pełna” socjalizacja gospodarki), 1938 (decyzja o „ureczywistnieniu już” socjalizmu), 1952 (teorie w ostatnim okresie życia Stalina), i być może jeszcze w 1961 (decyzja o zbudowaniu baz komunizmu za 20 lat).

Obecnie celem przywódców sowieckich stało się stworzenie sprawnego systemu technokratycznego, który umożliwiłby Rosji utrzymanie mocarstwowej pozycji w świecie i zbliżenie poziomu życia obywateli do przodujących społeczeństw zachodnich.

Ideał komunistyczny „każdemu według jego potrzeb”, w imię którego zrobiono rewolucję, i który był, być może, siłą motoryczną, czy gwiazdą przewodnią rozwoju do końca stalinizmu, lub aż do XXI Kongresu, przechodzi na naszych oczach do arse-

18. Postanowienie Plenum K.C. K.P. ZSRR. z 21 czerwca 1967.

nału rytualnych zaklęć pozbawionych już jakiegokolwiek konkretnej treści.

W chwili, kiedy model sowiecki ma za sobą 50 lat istnienia, kierunek dalszego rozwoju struktur jest jednak dość niepewny. Gospodarka kolektywna tego kraju opiera się ostatnio na różnorodnych elementach i motywacjach ekonomicznych i społecznych i trudno jest przewidzieć które z nich przeważą. Ale okres najbliższych dziesięciu czy dwudziestu lat winien dać jasną odpowiedź i umożliwić pełną ocenę spuścizny rewolucji październikowej.

H. WRÓŃSKI

Sąsiedzi Litwini

Czasem listonosz przynosi *Kulturę*, a czasem, ale znacznie rzadziej, tomik takiegoż formatu i objętości, litewskiego odpowiednika *Kultury*, wydawanego w Chicago, a redagowanego w Pensylwanii pt. *Metmenys*. Jest to organ młodego pokolenia inteligencji. Oba wydawnictwa mają współpracowników rozproszonych po całym świecie i dosyć podobny kierunek. Różnice: *Metmenys* z ozdobną szatą graficzną i artystyczną kolorową okładką na kredowym papierze ma większą wagę w uncjach, a *Kultura* być może nieco większy ciężar gatunkowy na świecie.

Jest jeszcze inna różnica. Czytelnicy polscy nigdy nie słyszeli o owym litewskim piśmie, a litewscy nie dalej jak w tegorocznym Nrze 13 znaleźli pięciostronicowy artykuł informacyjny o *Kulturze* i „Instytucie Literackim”. W jednej z poprzednich wzmianek litewski poszukiwacz paradoksów stwierdza: litewskie i polskie odłamy konserwatywno-nacjonalistyczne znajdują wspólny język w sprawach walki z komunizmem, ale absolutnie go nie znajdują w zagadnieniach stosunku obu narodów, granic itd. Natomiast litewska prawica może w tych zagadnieniach znaleźć z łątwością wspólny język z polskimi komunistami. Wyjątek z tego skrzyżowania linii podziału stanowi „grupa postępowych radykałów wokół *Kultury*, z którą można się porozumieć w sprawach światopoglądowych i granicznych”. Potwierdzeniem tego pozytywnego nastawienia młodej inteligencji litewskiej do „grupy *Kultury*” jest fakt, że bodaj jedynym powojennym tłumaczeniem na litewski z literatury polskiej są wiersze Miłosza.

Innym wydawnictwem litewsko-amerykańskim jest *Lituanus*, wydawany w języku angielskim, a przynoszący poważne artykuły o dawnej i nowej historii Litwy, o literaturze, sztuce itd.

Amerykański *Time* kiedyś pisał, że najwięcej poetów na milę kwadratową jest obecnie w Polsce. Lecz chyba największy odsetek ludzi piszących wiersze przypada na litewską emigrację. Litewskich powojennych uchodźców jest kilkadziesiąt tysięcy, a ich związek „Ludzi Pióra” liczy stu członków, z których ponoć połowa pisze wiersze, i to przeważnie nie do szuflady a do druku. Przeglądy owych tomików poezji są tak obszerne, że piszący te słowa nie zdołał ich zgłębić, poprzestając na spostrzeżeniu, że emigracja litewska więcej wydaje utworów poetyckich niż polska. Nakłady tych poezji wynoszą przeciętnie 500 egzemplarzy, a np. litewskiego tłumaczenia „Hamleta” — zaledwie kilkadziesiąt. Problemy poruszane — często podobne, jak w młodym pokoleniu polskich poetów. Dramat pisarzy bez ojczyzny, bez czytelników a niebawem i bez języka ojczystego. Litwini prócz pisarzy starszego pokolenia mają też autorów średniego pokolenia a nawet zupełnie młodych poetów. Różne się tam krzyżują kierunki. Jedna grupa nosi miano: „Pisarzy nieornamentowanej mowy”. Były też próby nowoczesnego teatru absurdu. Powieści powstało na emigracji sporo. Przeciętny nakład — parę tysięcy. Najwięcej osnutych jest na tle wspominków ze starego kraju i dzieciństwa w wiejskich chatach. Aż zwrócił ktoś uwagę, że w ten sposób będzie się karmić młode pokolenie obrazem starego kraju tylko jako zacofanej wsi.

Polska literatura, acz o wiele bogatsza, jednak również posiada ten defekt. Jakie środowiska były tam opisywane: dwory, bohema, czasem wieś, często nędza proletariatu miejskiego, względnie w nowej literaturze egzotyczny świat komunistyczny. A przecież emigracja w swej masie, to głównie mieszczaństwo i zasobne drobno-mieszczaństwo w ustroju kapitalistycznym. Jakże powieści dać młodemu polskiemu pokoleniu na emigracji, aby tematy były bliskie i zrozumiałe, a tło nie egzotyczne?

W litewskiej literaturze uchodźczej są też powieści z życia emigracji, lecz wyróżnia się reportaż literacki pt. „Agonia”. Autor, Jurgis Gliauda, opisuje upadek Republiki Litewskiej — sowieckie ultimatum, obrady rządu, ucieczkę prezydenta i powstanie nowej władzy. Napisane z zacięciem wańkowiczowskim i podkładem psychologicznym jak w „Sejmie” Stalińskiego.

Jednak najlepsze utwory powstały w kraju. Aczkolwiek najwybitniejszy pisarz litewski Mikolaitis-Putinas (którego powieść „W cieniu ołtarzy” była tłumaczona na polski już przed wojną) nie stworzył pod rządami sowieckimi żadnego arcydzieła, to jednak inny jego kolega po piórze Kazys Boruta napisał niepowszednią powieść pt. „Młyn Bałtaragisa”. Boruta był już przed wojną prawie komunistą. Przy nowej władzy, po pierwszym okresie aktywnej współpracy napisał powieść o wsi litewskiej sprzed kilkadziesiątu laty, z czarownicami i — nomen omen — Boruta pisał o diable. Powieść ukazała się, ale wkrótce została wycofana i o autorze zacięło. Jakiś egzemplarz trafił na Zachód, gdzie wydanie wznowiono. Wszystko tam jest przepisowo, bo

i ziemianin — czarny charakter i ksiądz ciemniak, przesady, topienie czarownicy, ale powieść jest alegoryczna i może komuś przyjść na myśl, że diabeł jest uosobieniem agenta komunistycznego, albo że kto się związał z partią, czuje się jakby zaprzedał duszę diabłu.

Umieszczenie diabła w kontekście wsi z nie bardzo odległych lat, tak aby to bardzo nie raziło, jest już osiągnięciem artystycznym. Słusznie powieść jest oceniana za największe arcydzieło literatury litewskiej w dobie powojennej.

W dziedzinie sztuk plastycznych był Ciurlionis i długo, długo nic, a raczej nie dużo. Ale była w Kownie szkoła sztuk pięknych i ta działalność daje owoce. W Ameryce i w Australii spotykają się nazwiska litewskie w recenzjach z wystaw malarskich, wśród nagród za wzory artystyczne dla przemysłu, niekiedy nawet w kinematografii.

Litwini mają sporo młodej inteligencji, a ich czynniki kierownicze rzuciły hasło, jesteście nieliczni, aby zachować jakiś ciężar gatunkowy, bądźmy narodem akademików. Toteż wielu jest Litwinów na wyższych uczelniach w krajach osiedlenia. Socjolog litewsko-amerykański A. Plateris (ponoć w polskim tłumaczeniu hr. Broel-Plater) dowodzi, że zdeklasowany na emigracji inteligent szuka kompensacji w wywindowaniu swego potomstwa do wyższej klasy społecznej, co się przejawia w praktyce w koncentrowaniu całej energii, aby dać dzieciom uniwersyteckie wykształcenie. Studenteria litewska była bardzo aktywna politycznie w ostatnich latach. Demonstracje w Waszyngtonie, i przed gmachem Narodów Zjednoczonych odbiły się szerokim echem na świecie. Gdy do Australii przybył, jako przewodniczący delegacji sowieckich parlamentarzystów, prezydent sowieckiej Litwy, Paleckis, studenci litewscy nie tylko zrobili mu wrogie demonstracje, ale podsunęli do podpisania (jako autograf) protest do Narodów Zjednoczonych przeciw sowieckiej okupacji Litwy. W dziedzinie politycznej sytuacja wśród emigracji jest, jak wszędzie, trudna do określenia w kilku zdaniach. Istnieją stare kierunki chrześcijańskich demokratów, narodowców, ludowców, ruchu oporu i inne. Minister Łozorajtis przebywający w Rzymie jest desygnowanym przez ostatni rząd w Kownie szefem dyplomacji litewskiej. Wyznaczani przez niego konsulowie są uznawani przez rząd amerykański. W Ameryce istnieje Naczelny Komitet Wyzwolenia Litwy — odpowiednik rządu na wygnaniu. Jest też centrala organizacji społecznych, obejmująca dobrze zorganizowaną siatką kilka kontynentów. Pomimo nieuniknionych tarć wszystkie te czynniki ze sobą współpracują. Ostatnio nastąpiło odnowienie garnituru Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy (w skróceniu VLIK). Ze stanowiska przewodniczącego ustąpił sędziwy dyplomata Sidzikauskas, a jego miejsce objął powojenny uchodźca, który w międzyczasie dorobił się w Ameryce ładnej fortuny i szerokich stosunków w amerykańskich sferach rządowych, z klanem Kennedych włącznie. Litwini mają łut szczęścia w wyrabia-

niu sobie stosunków. Zięć prezydenta Johnsona jest synem Litwinki amerykańskiej, uczęszczał w swoim czasie do litewskiej szkoły parafialnej i ślubu młodej parze udzielił ksiądz litewski. Łozorajtis junior ożenił się z księżniczką Colonna-Pignatelli, ale nie „zitalianizował się” a nawet przewodniczył na zlocie litewskiej młodzieży.

Gdy papież odwiedzając Organizację Narodów Zjednoczonych, wyraził ubolewanie, że nie wszystkie narody są reprezentowane w tej organizacji, prasa światowa zachodziła w głowę, dlaczego Watykanowi zależy na przyjęciu Chin Komunistycznych do ONZ. Jedynie Litwini nie mieli żadnych wątpliwości w tej sprawie. Tłumaczem Papieża był ksiądz Litwin, więc też Ojciec Święty szczerze ubolewał, że ojczyzna ks. Martinkusa nie jest reprezentowana wśród niepodległych narodów świata.

W prasie litewskiej czasem można znaleźć ciekawe przyczynki do najnowszej historii. Oto prezydent Roosevelt chcąc pogodzić sowiecki zabór państw bałtyckich z Kartą Atlantyczną, proponował w memoriale, aby ci Bałtowie, którzy nie chcą należeć do Rosji, mogli wyemigrować na Zachód zabierając swój dobytek. Delegacja amerykańska wyperswadowała jednak prezydentowi aby nie przedkładać tego projektu rządowi sowieckiemu (Pamiętniki Cordell Hull'a). Litewska emigracja przez 20 lat trwała w obozie „niezłomnych”. Ostatnio zarysowują się nowe kierunki poszukiwania sposobów oddziaływania na stary kraj i spotykają się wypowiedzi zgola „rewizjonistyczne”.

Skomunizowanie Litwy postąpiło o wiele dalej niż Polski. Na 3.700 studentów uniwersytetu wileńskiego 3.600 należy do komsomołu. Młode pokolenie inteligencji jest przeważnie bezwyznaniowe. Młoda Litwinka przybyła na Zachód, nagabywana o uwolnienie spod jarzma komunistycznego, ponoć odrzekła, że wy tu nic nie rozumiecie. My walczymy o uwolnienie spod jarzma rosyjskiego.

W twierdzeniu, że „wy tu nic nie rozumiecie” jest sporo prawdy. Np. w latach 1946/47 prasa emigracyjna donosiła, że w kraju partyzantka trwa. Poważna prasa amerykańska i europejska tym „bujdom” nie dawała wiary, a i litewski czytelnik na zachodzie odnosił wrażenie, że tylko gdzieś jakieś grupki desperatów ukrywają się po lasach, i dla dobra sprawy nadaje się temu wielki rozgłos (niestety tylko w swoim kółku).

Obecnie jest wyświetlany sowiecki film litewskiej kinematografii pt. „Nikt nie chce umierać” — coś jakby litewska wersja filmu „Popiół i diament”, z tendencją zohydzenia ruchu oporu. Ale z tego sowieckiego filmu (wydaje się, że nakręconego pod Wilnem) wynika, że partyzantka trwała całe lata i utrzymywała kraj pod terrorem.

Chociaż przed wojną w Wilnie mało było Litwinów a dużo Polaków, to jednak na emigracji w każdej gazecie litewskiej są wiadomości, chociaż skąpe i fragmentaryczne, o Wilnie, i przebiega pamięć i miłość do tego miasta.

Czytamy tu obszerne studia o ewolucji języka polskiego w

Kraju i na emigracji, ale próżno by szukać informacji o przemianach języka „za Bugiem”. Niech mi wolno będzie zacytować jedną perełkę wykazującą, że w Wilnie znajdują wyrażenia odzwierciedlające nowe sytuacje. „Mój starszy syn wziął ślub, a młodszy zametrykował się”. Nie trzeba pytać czy ślub był kościelny, czy cywilny. Echa cywilnej metrykacji wszystko wyjaśniają.

Problemy litewskiej i polskiej emigracji są często tak podobne, i losy narodów były tak splątane, że wciąż się nasuwa pokusa do dygresji. Ciekawe myśli z litewskiej prasy mają zastosowanie i do naszych stosunków, chociaż w innym kontekście. Miesięcznik litewski rozpiął ankietę: jakie są dobre i złe strony tego, że zamiast na Litwie znaleźliśmy się w Ameryce? Aczkolwiek obserwując uchodźców w Australii odnosi się wrażenie, że wielu indywidualnie wygrało wojnę, to jednak w owej ankiecie są wymieniane nieliczne dobre strony. Jedną odpowiedź człowieka, który opuścił kraj w młodości jest ciekawa: „Zostałem wyrwany z getta nienawiści”. Do kogo ta nienawiść była wpajana na Litwie, niestety zgadujemy.

Rewizjoniści litewscy powiadają: Litwa miała kilka wieków pogańskich, pięć wieków kultury chrześcijańskiej, obecnie już ćwierć wieku panuje kultura komunistyczna i nie zanosi się na szybkie zmiany. Kultura litewska będzie zawierać pierwiastek komunistyczny. Z faktami musimy się liczyć. Odzywają się głosy, że ze starą ideologią nie znajdziemy wspólnego języka z pokoleniem wychowanym w szkołach sowieckich. Chcąc zwalczać obecny ustrój musimy zwalczać komunizm nie z platformy prawicy, ale atakować „od lewa”, głosząc hasła jeszcze bardziej radykalne, rewolucyjne i wolnościowe. Wskazania taktycznie może słuszne, ale dla starszego pokolenia „białej” emigracji, taka wolta wydaje się trudna do urzeczywistnienia. Zakrzepłe poglądy (słuszne i niesłuszne) i stare mity trudno dają się wykorzenić. Zatruwają też one nadal stosunki polsko-litewskie. Np. ostatnio litewska emigracyjna agencja prasowa ELTA dała wyraz niepokojowi z powodu wielkich praw językowych polskiej mniejszości w Wileńszczyźnie oraz możliwości kontaktów kulturalnych z Polską, co nie jest stosowane w republikach białoruskiej i ukraińskiej.

Toteż na antypodach, w jakże zmienionych warunkach, Polacy i Litwini zebrali się wspólnie dla przewietrzenia atmosfery.

Gdy Polacy podkreślali wspólnotę kulturalną polsko-litewską — Litwin odrzekł, że to właśnie wywoływało poczucie zagrożenia, bo względnie najłatwiej Litwini by się spolonizowali, już trudniej by ulegli germanizacji, a jest takie poczucie odrębności i wyższości w stosunku do Rosjan, że rusyfikacja jest wykluczona.

A oto tekst zagajenia wygłoszonego na pierwszym z dwóch zebrań dyskusyjnych w Sydney. „Modnym wierzeniem, czy też mitem, w kołach intelektualnych na szerokim świecie jest, że narody żyły i żyją mitami. A że świat przeszedł ogromne prze-

obrażenia, wiele wierzeń straciło na aktualności, a nowe nie powstały, stąd zrodziła się pustka, załamanie, teatr (i nie tylko teatr) absurdu, negacja i nihilizm.

Takie rozważania znajdujemy w kwartalniku litewsko-amerykańskim, a jako jeden z przykładów krajów dotkniętych załamaniem się dawnych mitów i braku nowych wymienia się dzisiejszą Polskę.

Autor wysuwa wnioski, że w narodach pozbawionych swobody wypowiedzi, trud tworzenia nowych mitów i usuwania starych, przeżytych, przypada na emigrację. Wychodząc z tych założeń rozpatrzmy ile starych mitów, dziś nieaktualnych, zatruwa stosunki litewsko-polskie.

Nowoczesny litewski ruch narodowy zaczął kiełkować przed niespełną stu laty i stanął wobec tragicznej sytuacji, że cała górna warstwa narodu przyjęła obcą kulturę. Poczucie zagrożenia przez tę kulturę wywołało reakcję samoobrony. Do tego podkładu narodowego dołączył się problem socjalny. Litwin to był naówczas chłop, czasem ksiądz i dopiero później garść inteligencji. Modne przed półwieczem hasła oddania ziemi na niej pracującym, pogłębiły ten antagonizm. Wszelkie związki z Polską były uważane za umocnienie wpływów polskiej kultury i władzy panów. Ta wrogość przeniknęła całą twórczość kulturalną, zwłaszcza doby międzywojnia, i pozostawiła swe ślady w mitach, czy wierzeniach, którym hołduje cały naród.

Ale zobaczymy jak się przedstawia sytuacja dzisiaj, zaczynając od terenu nam najbliższego — na emigracji. Prof. Zubrzycki w wyniku badań nad poszczególnymi grupami narodowościowymi w Wiktorii ustalił, że po pięcioletnim pobycie w Australii, najwyższy status społeczny osiągnęli Bałtowie, wyprzedzając nawet Anglików, podczas gdy większość Polaków pracowała jako robotnicy. Litwini mają w Australii prężne organizacje inżynierów, lekarzy, artystów plastyków, studentów itd., podczas gdy u nas te ugrupowania nie są liczne i nie mają swych organizacji. Jeżeli mówić o antagonizmie panów i robotników, to sytuacja się raczej odwróciła.

Mit zagrożenia kulturalnego. Na terytorium Republiki Litewskiej międzywojnia nie ma obecnie żadnej polskiej szkoły, gazety czy organizacji. Wyjątek stanowi dopiero później przyłączony okręg wileński. Znajomość języka polskiego zanika nie tylko wśród Litwinów, ale i wśród dawnej polskiej mniejszości. Znamiennym przykładem zaniku polskich wpływów językowych, już na innym odcinku, jest fakt, że ani jeden z członków litewskiego rządu emigracyjnego, zwanego Nacz. Komitetem Wyzwolenia Litwy — nie zna języka polskiego.

Mit zagrożenia kulturalnego obumarł.

Mit zagrożenia terytorialnego. Można by o tym dużo mówić. Zresztą osadzenie prawie miliona Rosjan w Prusach Wschodnich, stwarzające okrażenie z dwóch stron, spowodowało tak

śmiertelne zagrożenie Litwy — że wszelkie inne obawy, to już strachy na Lachy.

W polskich wierzeniach też są pewne mity powszechnie przyjęte, które czas by było odłożyć do lamusa. Jednym z pomniejszych jest, że litewski ruch narodowy, dążenie do utworzenia odrębnego państwa itd. to jest niemiecka intryga. Pod koniec XIX wieku, gdy zniesiono pańszczyznę i niższe warstwy społeczne zaczęły zabierać głos, powstał w mniejszym lub większym stopniu ruch odrodzenia narodowego. Miał on miejsce w Siedmiogrodzie, w Czechach, Słowacji, na Śląsku, Ukrainie, Litwie, Łotwie, Estonii i Finlandii. Można w Czechach wietrzyć rosyjską intrygę, w ówczesnej Galicji austriacką, gdzieśgdzie w krajach katolickich watykańską (wpływowym generałem jezuitów był Ledóchowski), ale prawie najostrzej ten antagonizm między ludem a obcojęzyczną wyższą warstwą zarysował się na Łotwie, wbrew interesom tak Prusaków, jak też samych kurlandzkich baronów współzrządzających w Petersburgu. Nie negując, że obce agentury maczały palce w wielu akcjach, nie można jednak im przypisywać decydującego wpływu. Taki był naturalny proces dziejowy. Dziś na ten proces znaleziono nawet termin: dekolonizacja. Nie znaczy to byśmy byli „kolonizatorami” na kresach. Przeciwnie. Nawet amerykański podręcznik antropologii daje dwa klasyczne przykłady akulturacji, zupełnie dobrowolnego przejścia obcej kultury. Pierwszy to przejście polskiej kultury przez górne warstwy (ten często tu używany termin jest właśnie wzięty z owego podręcznika) na Litwie i Rusi, i drugi przejście zachodniej technicznej cywilizacji przez Japończyków. Niezależnie od genezy powstania sytuacji, proces wyzbycia się wszelkich grup narodowościowych żyjących w diasporze na pasie międzyziemskim, został prawie całkowicie przeprowadzony. Ostali się jedynie Szwedzi w Finlandii, uciśnione mniejszości narodowe węgierskie w Rumunii i Słowacji, i niedobitki polskie na kresach. Wyjątek, ale już innej kategorii, stanowią napływowi Rosjanie w krajach włączonych do Związku Sowieckiego. Lecz wróćmy do problemu postronnych czynników które przyczyniły się do powstania litewskiego ruchu narodowego. Zdaniem historyków litewskich jednym z nich jest ów polski komitet w Warszawie, który powziął decyzję rozpoczęcia powstania styczniowego. Bowiem skutek był taki, że „Murawiew złamał polską dominację na Litwie”, i choć mimowolnie umożliwił wejście w tę próżnię nowych sił w postaci litewskiego ruchu narodowego.

Innym mitem utrudniającym zgodne współzycie obu narodów jest, że unia polsko-litewska jest nierozzerwalna, że Litwa jest przeto częścią Polski i że Jagielle nie może być udzielony rozwód z Jadwigą. Podczas gdy żyjemy w epoce coraz powszechniej sankcjonowanych rozwodów.

Wśród Polaków rzadko się spotyka wrogość do Litwinów, przeważa raczej wielki sentyment. Ale gdy Polak zbliża się z

serdecznie rozwartymi ramionami Litwin myśli, że go Polak chce objąć i znowu połknąć. Rozwód choćby jednostronnie uznany zrywa więzy pokrewieństwa. Zastąpienie dawnego serdecznego zwrotu „Bracia Litwini” — nowym „Sąsiedzi Litwini” znajdzie o wiele życzliwszy oddźwięk.

E. ŻAGIELL

Przegląd niemiecki

Gdy w grudniu 1966 roku chadecy tworzyli wspólny z socjalistami rząd, można było oczekiwać wielu zmian, przede wszystkim w stosunkach Niemiec z ich sąsiadami na wschodzie, co oczywiście jest dla nas najistotniejszym zagadnieniem polityki niemieckiej.

W tym kierunku pierwszy rok działalności rządów wielkiej koalicji nie przyniósł żadnych wyraźnych postanowień. W dalszym ciągu obowiązuje stara urzędowa nomenklatura, nakazująca obszary okupowane przez armię sowiecką i zorganizowane pod nazwą „Deutsche Demokratische Republik”, zwać nadal „Mitteldeutschland”, tzn. Niemcy Środkowe, a tereny na wschód od ODRY — „Ostdeutschland”, czyli Niemcy Wschodnie. W dalszym ciągu Republika Związkowa teoretycznie reprezentuje państwo niemieckie o wschodnich granicach z 1937 roku. W dalszym ciągu przepaść między fikcją prawniczą a rzeczywistością polityczną pogłębia się.

Jednocześnie w stosunku do trzech podstawowych zagadnień polityki wschodniej Niemiec, tzn. pogodzenia się z istnieniem „Deutsche Demokratische Republik”, uznania wschodniej granicy państwowości niemieckiej na Odrze i Nysie, oraz rezygnacji z uzbrojenia atomowego, upowszechnia się przekonanie, że rewizja obowiązującego dotychczas stanowiska jest koniecznością nie dającą się ominąć.

Miarodajnym przykładem tej przemiany była debata Bundestagu (15. 10. 67) poświęcona polityce zagranicznej. Wszyscy mówcy byli zgodni, że zagadnienie niemieckie winno być rozpatrywane pod kątem ogólnoeuropejskiego odprężenia, a nie wyłącznie pragnień niemieckich. Poseł młodszego pokolenia, socjalista dr Erhard Eppler żądał: „Musimy teraz myśleć o Niemczech ze stanowiska Europy”. Ten sam dr Eppler pisał w *Die Zeit* z 27. 10. 67.:

... „Trzy realia wyznaczają przede wszystkim sytuację Niemiec: primo — na niemieckich ziemiach istnieją dwa różne, różnie legitymowane, porządki polityczne; secundo — wśród wszystkich Europejczyków, włącznie z Niemcami, istnieje wola zapewnienia trwałego pokoju w Europie Środkowej; tertio — istnieje uznawany także i przez Deutsche Demokratische Republik fakt, że w Europie Środkowej żyje naród niemiecki, któremu na stałe nie można odmawiać prawa samodzielnego stanowienia o swej przyszłości”...

... „W każdym razie powinniśmy strukturę i uzbrojenie naszej armii bardziej niż dotychczas dostosować do jej defensywnych zadań. Może to pomóc do rozładowania obaw istniejących we Wschodniej Europie”... „W zasięgu naszej polityki musimy usunąć wszelkie zrozumiałe wątpliwości (Polaków), że faktyczne granice Polskiej Republiki Ludowej są dla nas nie-tykalne”.

W związku z tezą o wyłącznej reprezentacji wszystkich Niemców i całych Niemiec w granicach z 1937 roku przez Republikę Związkową, poseł Eppler pisze: „Nie chodzi tu o uroszczenia. W ciągu ostatnich piętnastu lat zbyt wiele mówiliśmy o naszych uroszczeniach, a zbyt mało o obowiązkach. Tu chodzi po prostu o to, że swobodnie wybrane instytucje Republiki Związkowej mają obowiązek we wszystkim co czynią uwzględniać interesy i życzenia współrodaków z drugiej części Niemiec. Mamy obowiązek tak kierować naszą polityką, aby możliwie największa część naszego narodu, także i w DDR, czuła się reprezentowaną w tej polityce”.

W pierwszych dniach grudnia dr Wilhelm Wolfgang Schütz wystąpił z memoriałem, w którym podważa wiele pojęć stanowiących podstawę dotychczasowej polityki wschodniej. Memoriał ten nie byłby rewelacją, gdyby jego autor nie zajmował od dziesięciu lat stanowiska prezesa „Kuratorium Niepodzielnych Niemiec” — kosztownie rozbudowanej instytucji, założonej w 1954 roku i mającej na celu popieranie wszelkich dążeń do zjednoczenia Niemiec, oczywiście w granicach przynajmniej z 1937 roku.

Wypowiedzi posła Epplera, memoriał dra Schütza i wiele innych podobnych głosów na ogół nie wywołują już hałaśliwych sprzeciwów nawet u niektórych wysiedleńców. Dlaczego więc nie następują jakieś urzędowe decyzje, które moglibyśmy nazwać początkiem nowej polityki wschodniej i wstępem do nawiązania stosunków niemiecko-polskich? Można się domyślać dwóch głównych przyczyn tego impasu.

— Propagowane od blisko dwudziestu lat hasło odbudowy Niemiec w granicach co najmniej z 1937 roku wytworzyło pokaźną warstwę społeczną utrzymującą się z tego hasła, oraz dość liczną grupę polityków, którzy całą swoją karierę zawiązującą służbie temu hasłu. Szybkie przestawienie tych ludzi na inną działalność, a także i na inną mentalność, jest zagadnieniem kłopotliwym i wymagającym wielu niepopularnych zabiegów. Natomiast czas może tego dokonać samoczynnie. Najwidoczniej wyciągnięto stąd wniosek, żeby czekać i co najwyżej dopomagać samoczynnemu wyjaśnieniu się zagadnienia.

— Osobistości decydujące w obu wielkich partiach są zapewne jednako przeświadczone, że polityka Kremla — od której w nie mniejszym stopniu niż od amerykańskiej zależą dziś podstawowe zagadnienia polityki Niemiec — w ciągu najbliższych lat będzie chciała i będzie w mocy kontynuować swoje zaangażowanie w „Deutsche Demokratische Republik” i nieustępliwy napór na Bonn. Te same osobistości są zapewne jednakowo przekonane, że — mimo szybko wzrastającej potęgi gospodarczej Niemiec Zachodnich — nie stać ich i nie wiadomo czy kiedykolwiek stać będzie na samodzielne próby porozumienia się ze Związkiem Sowieckim, wbrew oczywistym interesom Stanów Zjednoczonych i jednoczącej się Europy. W następstwie, traktując Warszawę jako niezwykle lojalną filię Kremla, unikają jakichkolwiek gestów pod polskim adresem.

Na razie nie mamy żadnych możliwości skutecznego przekonania Bonn,

że choćby najmniejsze przejawy rewizjonizmu niemieckiego umocniają podział Niemiec i Europy, że uznanie granicy na Odrze i Nysie leży przede wszystkim w interesie zjednoczenia Europy, a tym samym i Niemiec. Nie mając tej możliwości — musimy czekać aż pokolenie posła Epplera (rocznik 1926) i jego młodszych kolegów, przejdzie z ław poselskich na ministerialne fotele.

Gospodarka Niemiec Zachodnich po pierwszym roku rządów chadecko-socjalistycznych może poszczycić się nie lada osiągnięciami. Przywrócona stabilność „cudu gospodarczego”, nieco zachwianego podczas kanclerstwa prof. Erharda; piętnaście miliardów marek nadwyżek eksportowych za rok 1967; osiemdziesięciomiliardowy zrównoważony budżet na 1968 rok, oraz wiele innych imponujących danych statystycznych, mówią same za siebie.

Może jednak ważniejszym od dat statystycznych zjawiskiem jest postawa związków zawodowych, wyrażona ubiegłej jesieni zażegnaniami strajków, grożących w kilku kluczowych przemysłach.

Z gospodarczego punktu widzenia bilans pierwszego roku rządów wielkiej koalicji należy oceniać dodatnio. Można też spodziewać się, że wpływ pomyślnego rozwoju ekonomicznego dodatnio wpłynie i na polityczne kształtowanie się przyszłych Niemiec. Na przykład. Trudno sobie wyobrazić, aby awanturująca się grupka neonazistów spod znaku NPD mogła stać się zagrożeniem ładu społecznego w czasach wzrastającego dobrobytu, pełnego zatrudnienia i rekordowych nadwyżek eksportowych. Grupka ta może być niebezpieczną tylko w dwóch wypadkach: gdyby załamał się wzrost dobrobytu i zjawilo się masowe bezrobocie, albo — gdyby kierownictwa obu wielkich partii poczęły bagatelizować to zagadkowe zjawisko, jakim jest NPD.

Prezes Towarzystwa Studiów Wspólnoty Środkowo- i Wschodnioeuropejskiej (Studiengesellschaft für Fragen Mittel- und Osteuropäischer Partnerschaft), profesor Gotthold Rhode, zorganizował w pierwszych dniach grudnia, w Lindenfels, trzeci już niemiecko-polski sympozjon historyków, literatów i publicystów. Z zaproszenia skorzystało dwunastu Niemców, jedenastu Polaków, dwóch Amerykanów i jeden obywatel Izraela. Wśród obecnych było jedenastu naukowców, jeden teolog katolicki, ośmiu literatów i sześciu publicystów. Czternastu obecnych brało udział w jednym, lub w obu poprzednich spotkaniach w Lindenfels.

Program trzydniowych rozmów obracał się wokół zagadnienia powojennych przemian społecznych w Polsce. Wszystkie referaty i dyskusyjne wypowiedzi cechowała wnikliwa znajomość tematów.

Ważność spotkań w Lindenfels polega nie tyle na treści naukowej, co na stwierdzeniu, że przy odrobinie obustronnej dobrej woli Niemcy i Polacy mogą zasiadać przy jednym stole i z pożytkiem nie tylko omawiać wspólne sprawy, ale także stworzyć atmosferę nie mającą nic wspólnego z wzajemną wrogością — tak pieczołowicie pielęgnowaną przez propagandę zakurtynową i przez niektóre, wprawdzie stale kurczące się, ale wciąż jeszcze mające znaczenie, środowiska niemieckie.

Być może kluczem do wywołania takiej atmosfery jest teza, konsekwentnie stosowana w Lindenfels, że ważniejsze jest poszanowanie przekonań drugiej strony, niż osiągnięcie doraźnego kompromisu. Tę tezę ustalono przed jedenastu laty w Tybindze, podczas pierwszego po wojnie spotkania historyków niemieckich i polskich, a przestrzegano jej na drugim podobnym spotkaniu w Londynie w 1964 roku.

Profesor Rhode uczestniczył w Tybindze jako świeżo kreowany habilitant i jeden z juniorów spotkania. W Londynie — jako profesor uniwersytetu w Moguncji. Ostatnio w Lindenfels należał już do grona seniorów i występował w towarzystwie dwóch doktorów, z których jeden otrzymał swój stopień naukowy, a drugi przeprowadza u niego swą habilitację. Kontynuacja „ducha z Tybingi” — określenie użyte w swoim czasie przez śp. profesora Tytusa Komarnickiego — dostatecznie wyraźna.

Miejmy nadzieję, że profesorowi Rhode uda się — mimo wciąż jeszcze działających różnych oporów — ze spotkań w Lindenfels stworzyć instytucję żywotną, długofalową i działającą ku pożytkowi obu stron. Miejmy też nadzieję, że nie myli się profesor I. M. Bocheński, konkludując: „Dobrze czynią ci, którzy — chcąc wiedzieć dokąd droga prowadzi — większym darzą zaufaniem filozofów niż polityków: to co dziś głoszą filozofowie, może stać się wiarą jutra”.

S. W. KOZŁOWSKI

Monachium, 8 grudnia 1967.

Co wysłać teraz ?

**PO CO PUDŁOWAĆ, SKORO POINFORMUJE
NAJLEPIEJ NAJNOWSZY BIULETYN T A Z A B A
*** (TRZY GWIAZDY)**

„POLO” bluzki, z kołnierzykiem lub „Golfy”? Ortaliony?
Jeżeli tak, to tylko dobre i ze wszystkimi „szykanami”
bo dobry gatunek najlepiej się opłaca.

OSTRZA do golienia „Gilette Super Silver”, kalkulujące się u
TAZABA: £1 ca 500 zł sprzedają się „jak bułki” po 12-15 zł
za sztukę. Łącznie z wysyłką: 50 szt. 29/6; 100 szt. 55/-;
500 szt. £ 12.15.0; 1000 szt. £ 22.15.0.

Biuletynami ***, najnowszymi cennikami najbardziej aktualnych
leków angielskich, niemieckich, szwajcarskich
i doświadczeniem 20 lat służby

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB 22 Roland Gardens, LONDON, S.W.7.
100 East 10th St., NEW YORK 3, N.Y.
tel.: Alganquin 4-4161

Najnowsza historia Polski

Piłsudski i Sosnkowski

U progu roku w którym przypada stulecie urodzin Józefa Piłsudskiego, ukazały się na półkach księgarskich „Materiały Historyczne” Kazimierza Sosnkowskiego.

Książka ta, w związku z rocznicą, stanowi ważną pozycję w naszej bibliografii historycznej, gdyż autor jest nie tylko „świadkiem historii” — jest jedną z najwybitniejszych postaci działających w dramacie najnowszych dziejów Polski.

Miał ten dramat momenty wielkich osiągnięć, uwieńczonych wspaniałym tryumfem 1920 roku — był Sosnkowski ich współtwórcą; miał też, w dwadzieścia lat później, momenty tragedii i klęski — walczył on wówczas do upadłego z przebiegłym wrogiem, z niedotrzymującym wiary sojusznikiem oraz z własną naszą przywarą: ślepą zaciekłością w waśniach wewnętrznych, a uległością wobec obcych nawet wtedy, gdy wyzuwali nas z należącego udziału w zwycięstwie. W tych machinacjach był im Sosnkowski przeszkodą główną, jako członek rządu, a później Naczelnny Wódz. Nie mało ważną jest rzeczą, że do usunięcia tej przeszkody polskie ręce były im potrzebne. I nie małym wstydem, że je w końcu znaleźli.

Nic dziwnego też, że dokumentacja, dotycząca spraw z czasów drugiej wojny światowej — szerszemu ogółowi mało znana, a nieraz wręcz wstrząsająca — zajmuje dużo miejsca w „Materiałach Historycznych”. Nie tylko historyk, ale każdy kto interesuje się polityką powinien zapoznać się z nią uważnie.

Książki tej nie podobna streścić, ani nawet omówić w całości, w ramach jednego artykułu; zbyt wiele zawiera materiału, zbyt wielki obejmuje szmat historii z epoki zdarzeń ogromnego, o światowym zasięgu, znaczenia. Ograniczę się więc w tej chwili do rzeczy związanych bezpośrednio z postacią J. Piłsudskiego i szcze-

gólną więzią osobistą między autorem książki a Marszałkiem. Sądzę że jest to aktualne wobec rocznicowej debaty nad charakterystyką Piłsudskiego, nad głównymi osiągnięciami jego życia, nad zjawiskiem niezmiernego wpływu jaki wywierał na współczesnych sobie.

W „Materiałach Historycznych” znajdujemy wyjątkowo cenne i wnikliwe naświetlenie indywidualności Piłsudskiego, jako męża stanu i żołnierza — odnowiciela hetmańskich tradycji Rzeczypospolitej.

Nazwałem je wyjątkowo cennym, gdyż Sosnkowski najlepiej znał Piłsudskiego. Żaden inny spośród przyjaciół, współpracowników, czy podwładnych Marszałka nie stał przy nim tak długo na pierwszym hierarchicznie miejscu i w atmosferze serdeczności i przywiązania wzajemnego.

1905-1908

Zaczęło się to gdy K. Sosnkowski miał lat niespełna 20 i — jak wielu młodych ludzi w tych burzliwych i przełomowych czasach — szukał drogi właściwej dla siebie. Jest rzeczą ciekawą, że znalazł ją przy pomocy Aleksandra Świętochowskiego, czołowego przywódcy obozu „pozytywizmu” i „pracy organicznej”; od niego to usłyszał Sosnkowski charakterystykę słynnego już wówczas rewolucjonisty i trafną zapowiedź jego przyszłej historycznej roli. A przecież u podstawy tak silnych po upadku powstania styczniowego wpływów pozytywizmu leżała rezygnacja z dalszych prób walki czynnej o odzyskanie niepodległości, jako beznadziejnych. Mówił więc Świętochowski do zebranej u siebie grupy młodzieży o człowieku, który reprezentował i wcielał w życie ideologię przeciwną jego dotychczasowemu programowi.

Było to w lecie 1905 r., gdy wybuchło w Rosji wrzenie rewolucyjne po klęsce wojennej poniesionej na Dalekim Wschodzie. Wspomina Sosnkowski:

„Jedną ze swych gawęd wieczornych Świętochowski poświęcił Józefowi Piłsudskiemu, szkicując ze zwykłym sobie mistrzostwem słowa jego sylwetkę, przepowiadając na tle zbliżających się wypadków jego doniosłą dla kraju rolę. Przed wyobraźnią młodego, romantycznie nastrojonego chłopca, jakim wówczas byłem, wyrosła z niezmierną plastyką i wyrazistością postać niezwykłego człowieka. Świętochowski mówił o życiu i pracach Piłsudskiego, o jego sile woli, o jego szlachetności i bezinteresownym, płomiennym patriotyzmie... Wzrastałem w tradycjach wojska polskiego i powstań narodowych, w atmosferze opowieści o zesłaniach, o Sybirze, o tajemnicach Cytadeli warszawskiej. Słowa Aleksandra Świętochowskiego budziły we mnie podświadome tęsknoty; poczułem jak gdyby wewnętrzny mus — powiedziałem sobie że muszę odszukać Piłsudskiego, poznać go, oddać mu się pod rozkazy”

(„W 30-lecie współpracy z Marszałkiem Piłsudskim”. Wywiad udzielony red. K. Wrzosowi we wrześniu 1935 r. Zob. „Materiały Historyczne” rozdz. 108).

Wstąpił więc Sosnkowski do P.P.S., szukając kontaktu z Piłsudskim. Zobaczył go i usłyszał po raz pierwszy w początkach lutego 1906 r., we Lwowie, na zjeździe partyjnym, gdzie doszło do zasadniczej rozprawy między marksistowskim skrzydłem partii, a zwolennikami Piłsudskiego z „Organizacją Bojową” w pierwszym rzędzie; Piłsudski żądał utrzymania w programie partii hasła walki o niepodległość Polski na naczelnym miejscu, podczas gdy lewica głosiła konieczność pierwszeństwa dla walki klasowej, w ścisłym związku z rewolucjonistami rosyjskimi i w ramach państwa rosyjskiego, pozostawanie w których miało rzekomo leżeć w interesie polskich mas pracujących.

Kilkakrotne przemówienia Piłsudskiego wywarły na Sosnkowskim olbrzymie wrażenie: „Duch jego przemówień porywał mnie. Ich urok polegał na niezwyklej sugestywności słowa. Mowy jego były wspaniałą improwizacją, głośnym myśleniem... słuchając słów Piłsudskiego powziąłem postanowienie wstąpienia do Organizacji Bojowej”.

Bezpośrednio po zjeździe lwowskim doszło wreszcie do dłuższej rozmowy z Piłsudskim; Sosnkowski skierowany został na krótki kurs szkoły bojowej, a następnie posłany do Warszawy jako zastępca komendanta okręgowego tamtejszej Organizacji Bojowej. Jak z tego wynika, musiał już wówczas Piłsudski ocenić wysoko zdolności tego młodzieńca; musiał też dostrzec rozumienie swych własnych myśli przewodnich głębsze, niż znajdował u innych. Najwidoczniej też postanowił wypróbować go od razu na bardzo poważnym zadaniu, powierzając mu reorganizację i rozwinięcie sił w najważniejszym okręgu warszawskim, mimo że wybór młodego nowicjusza mógł natrafić na zrozumiałe opory wśród starszych od niego wiekiem i doświadczeniem bojowców, mających za sobą szereg wyczynów bohaterskich.

Mimo to Sosnkowski dał sobie rady; jego rozmach w pracy i umiejętność postępowania z ludźmi przyniosły mu wkrótce zarówno posłuch jak popularność. Zastał w Warszawie zaledwie kilka „szóstek” bojowych, wypróbowanych wprawdzie co do nieustraszonej odwagi i gotowości na śmierć, ale przerzedzonych już mocno przez straty. W przeciągu kilku miesięcy rozwinął te siły do zastępu kilkuset ludzi, wprowadził nową taktykę: należyte wywiad i przygotowanie do każdej akcji, gotowe odwody na wypadek nieprzewidzianych trudności, dokładne plany wycofania się po akcji dokonanej. W połowie sierpnia 1906 r. mógł już podjąć akcję na niebywałą dotąd skalę, z nadspodziewanym suk-

cesem. Była nią tzw. „krwawa środa”. Zaskoczył siły policji carskiej przez jednoczesny atak w kilkudziesięciu punktach Warszawy; zadał Moskalom straty tak ciężkie, że sterroryzowane władze wycofały na kilka dni policję z ulic stolicy, a gdy zjawiała się ona z powrotem, każdego policjanta pilnował żołnierz z karabinem. W tym samym czasie na przestrzeni okręgu warszawskiego dokonane zostały przez bojowców zamachy na urzędy pocztowe, sklepy monopolu spirytusowego itp. Spowodowało to obsadzenie wszystkich tych obiektów wartami wojskowymi w całym generał-gubernatorstwie warszawskim.

„Krwawa środa” i całokształt ówczesnej taktyki Sosnkowskiego wywołały wówczas krytykę nawet w samej partii. Mówiono: cóż może dać ta rozprawa z najniższymi narzędziami administracji carskiej; na ich miejsce przyjdą inni. Twierdzono nawet, że Sosnkowski działał na własną rękę bez wiedzy i woli Piłsudskiego. Ta błędna ocena zjawia się we wspomnieniach historycznych pisanych w dziesiątki lat później — warto więc wyjaśnić sprawę.

Sięgnijmy po ocenę, jaką wystawił działaniom „Organizacji Bojowej” naczelny przedstawiciel rządu carskiego w Polsce, gen-gub. warszawski Skałton w jesieni 1906 r.; właśnie po „krwawej środzie”. W tajnym raporcie do ministra spraw wewnętrznych w Petersburgu pisał:

„Terror, wykonywany już drugi rok przez oddziały bojowe komitetów rewolucyjnych osiągnął teraz najwyższy stopień natężenia, co w sposób najzłubniejszy odbija się na składzie personalnym policji, której szeregi szybko rzedną i prawie nie są uzupełniane. W ostatnim czasie w samej tylko warszawskiej policji brak 16 oficerów, 40 rewirowych i ponad 450 posterunkowych, co stanowi około 40 % ogólnego etatu. Pragnących zająć opróżnione miejsca prawie nie ma. Ani surowe przepisy stanu wojennego, ani ochrona policji przez uzbrojonych żołnierzy nie przynoszą oczekiwanych rezultatów — bojowcy napadają i na żołnierzy-wartowników, z których już niektórzy zapłacili życiem. Funkcjonariusze policji są przygnębieni, brak im obrony i jeżeli krwawe rozprawy z nimi nie zostaną wstrzymane miasto Warszawa i z nią cały kraj są narażone na to, że pozostaną wkrótce bez policji...” (Patrz „Naj. Hist. Pol. Polski” Wł. Pobóg-Malinowski, rozdz. „Rewolucja roku 1905”).

Oto uznanie skuteczności ówczesnych działań bojowych, dane przez nieprzyjaciela; potwierdza ono że osiągnięte zostały wyniki znacznej wagi: demoralizacja i popłoch wśród sił policyjnych i administracji rosyjskiej, a z drugiej strony — unaocznienie społeczeństwu polskiemu, że panowanie rządów carskich nie jest znowu tak niezłomne jakby się zdawało. Ale główną rzeczą w raporcie Skałtona jest jego wzmianka o zastosowanej już ochronie policji i urzędów przez warty wojskowe, i postulat dalszego wzmacniania tej ochrony. Oczywiście nie zdawał sobie on sprawy, że oto właśnie stronie polskiej chodziło.

Sosnkowski rozwijał swe działania w myśl instrukcji, które otrzymał od Piłsudskiego w lutym 1906 roku, kiedy rewolucja rosyjska nie chyliła się jeszcze do upadku. W razie jej wzmagania się — gdyby bunty wojska w centralnej Rosji trwały — mogła powstać na terytorium polskim możliwość szerszej akcji powstańczej. W tej perspektywie, największą trudnością dla jej rozpoczęcia był brak broni i amunicji. Otóż rozproszone dla służby wartowniczej posterunki wojskowe, pilnujące nie tylko policjantów w Warszawie, ale i kilku tysięcy urzędów w miasteczkach i sklepów spirytusowych na wsi, mogłyby, przy skoordynowanym zaskoczeniu, oddać w ręce polskie kilkanaście tysięcy karabinów i amunicji. Rzecz prosta, cel ten nie mógł być wówczas ujawniony dla przekonywania własnej opozycji.

Jak wiadomo — wypadki potoczyły się inaczej. Późną jesienią 1906 r. rewolucja w Rosji załamywała się już. Armia pozostała posłuszna carowi i jego rządowi. Piłsudski był jednym z pierwszych który ten stan rzeczy skonstatował i porzucił nadzieje na wyzwolenie zaboru rosyjskiego w związku z rewolucją. Dalsze rozwijanie akcji bojówek uznał za bezcelowe.

Wtedy to Sosnkowski, ścigany już zawzięcie przez „ochranę”, został odwołany z Warszawy; przeszedł w stan nieczynny w partyjnej organizacji bojowej. W ciągu roku 1907 przebywał krótko w Szwajcarii i we Włoszech, wreszcie we wrześniu osiadł we Lwowie dla kontynuowania swych studiów na politechnice. Wtedy okazało się ponad wszelką wątpliwość, że Piłsudski uznał egzamin praktyczny, zlecony mu w roku poprzednim, za zdany pomyślnie, bowiem niezwłocznie odnowił bezpośredni z nim kontakt.

Piłsudski, daleki od rezygnacji z dalszej walki wyzwoleniczej, szukał tylko nowych perspektyw i nowych jej form; ich wytyczne można było dostrzec w tym, że zachęcił Sosnkowskiego do studiowania *wiedzy wojskowej*, czemu sam oddawał się już od lat paru.

Wspomina Sosnkowski jak doniosłym przeżyciem była dla niego, wczesnym latem 1908 r., długa rozmowa z inicjatywy Piłsudskiego, która wykroczyła poza zwykłe granice omawiania sytuacji, lub udzielania wskazań:

„Mój wódz przede mną, młodym chłopcem, otwierał swą duszę, ujawniał swe cierpienia moralne; opowiadał mi jak ciężko przeżył schyłek rewolucji. Mówił o tym iż organizacja bojowa stanowi zamkniętą już i przegraną kartę historii, o tym jak boli go przegrana. Mówił mi wreszcie że zdecydował się zakończyć epopeję organizacji bojowej ostatnią grą, w której albo zginie sam, albo zwycięży, by rozpocząć nowy okres walki, bez której, wedle jego zdania, żyć nie było warto”.

Nic dziwnego, że rozmowa ta miała tak wielką wagę dla Sosnkowskiego i stała się podstawą następnych jego poczynąń. Wiedział on, że Piłsudski nie był człowiekiem skłonny do zwierzeń uczuciowego charakteru; miał więc dowód wyjątkowego zaufania i przyjaznego zbliżenia.

Oczywiście, Piłsudski miał na myśli postanowioną przez się wyprawę bezdańską; znany jest z kart historii przebieg tego niebywale ryzykownego przedsięwzięcia, uwieńczony sukcesem. Był to akcent dramatycznego finału poprzednich działań; jeśli chodzi o przyszłość — celem praktycznym, ale bardzo ważnym, było zdobycie na nieprzyjaciela środków materialnych, niezbędnych dla otwarcia nowej fazy walki z nim.

Ten ostatni aspekt — potrzeba organizacji nowych form — pociągnął szczególnie Sosnkowskiego. Dlatego też — gdy Piłsudski opuścił Lwów na kilka miesięcy i udał się do Wilna aby wykonać swe plany — Sosnkowski pozostał we Lwowie. Nie wziął udziału w akcji bezdańskiej, postanowił dopełnić od strony organizacyjnej jej ewentualne wyniki; chciał — według jego własnych słów — zrobić niespodziankę swemu mistrzowi przez dokonanie pierwszych kroków w realizacji jego koncepcji. W czerwcu 1908 r. powołał do życia, z własnej inicjatywy, „Związek Walki Czynnej”, zakreślający sobie znacznie szersze niż dotychczasowe, partyjne, ramy działania.

Nie było to proste ani łatwe. Gdy Sosnkowski pociągnął do grona założycieli Z.W.C., obok działaczy i bojowców P.P.S., przedstawiciele paru organizacji nie socjalistycznych, gdy wspólnie postanowiono rozszerzyć działania związku na cały obóz postępowo-niepodległościowy — nastąpił sprzeciw starszych tradycjonalistów partyjnych, a nawet kilku znanych bojowców. Wdzieli oni w inicjatywie Sosnkowskiego tylko zrywanie z chwalebna przeszłością. Gdy Piłsudski wrócił szczęśliwie z wyprawy bezdańskiej, zastał fakt dokonany, ale i bunt przeciwko temu. „Niespodziankę” Sosnkowskiego przyjął i aprobował; wobec władz partyjnych wystąpił w jego obronie, rzucając cały swój autorytet osobisty na szalę i burzę uśmierzył. Już po niewielu miesiącach dawni bojowcy — niemal bez wyjątku — zorientowali się, że jest to początek nowej przyszłości i stanęli w szeregach Z.W.C., a wkrótce potem „Związków Strzeleckich”. Od psychiki przedwczesnych weteranów przegranej rewolucji przeszli do samopoczucia awangardy jutra, z niekłamana radością. Nastąpiły narodziły polskiego ruchu wojskowego. Wyprawa bezdańska i Z.W.C. stały się jego fundamentem.

Mówi o tym przełomowym momencie 1908 r. Sosnkowski:

„Jedną z cech geniuszu Komendanta był jego prawie transcendentny dar

przenikliwości. Dar ten, będący jak gdyby mieszaniną rachuby i natchnienia, stanowi jeden z najistotniejszych artrybutów prawdziwego, urodzonego wodza. Sposób w jaki Komendant pokierował pracą w Związku Walki Czynnej jest — według mego zdania — jednym z wielu dowodów jego niezwykłej przenikliwości historycznej. Najwidoczniej Komendant już wówczas rozumiał, że następny etap bojów o niepodległość rozegra się na tle walki pomiędzy zaborcami; już wówczas przewidział on, względnie przeczuł przyszłą wojnę europejską” („Mat. Hist.”, rozdz. 108).

„Szło nowe”...

Do zwrócenia oczu pierwotnych opozycjonistów od przeszłości ku przyszłości przyczynił się następnie przebieg wypadków w polityce europejskiej. Już 1909 r. przyniósł pierwszy kryzys bałkański. Aneksja Bośni i Hercegowiny przez Austrię wywołała protest Serbii, poparty groźbą wojny ze strony Rosji; spotkało się to z równie groźną postawą Niemiec, popierających Austrię. Rosja ustąpiła, ale odprężenie nie miało cech trwałości. Rok 1912 przyniósł kryzys jeszcze ostrzejszy. Wszystko to potwierdzało wyraźnie realizm przewidywań Piłsudskiego. Jego śmiałe „Nil desperandum”, przeciwstawione depresji i rezygnacji, trafiało więc do serc, do instynktu młodzieży, ciągnęło ją jak hasło na wzniezionej w górę chorągwi.

Ruch wojskowy zaczął tedy się szerzyć z ogromną szybkością, łamiąc podziały dotychczasowego układu partyjnego. Za przykładem lewicy niepodległościowej poszedł silny odłam młodzieży narodowej, która porzuciła szeregi Narodowej Demokracji po roku 1905, gdy wziął tam górę kierunek ugody w stosunku do Rosji; politycznie występowała ta organizacja pod nazwą „Zarzewie”, w ruchu wojskowym jej jawną formą działania stały się „Drużyny Strzeleckie”, ośrodkiem tajnym była „Armia Polska” — w pełnej analogii do „Związków Strzeleckich” i „Z.W.C.”.

Idea przygotowania kadr wojska polskiego znalazła grunt podatny i dalej na prawo; w sferze patronatu politycznego Narodowej Demokracji powstały wkrótce „Drużyny Polowe Sokoła” w miastach i „Drużyny Bartoszwowe” na wsi. Mimo że władze tej partii zdecydowanie i bezwzględnie zwalczały ruch wojskowy, nie mogły się temu oprzeć pod groźą poważnego odplywu ze swych młodszych szeregów.

Tak więc ruch, zainicjowany przez kilkunastu ludzi, w przeciągu lat paru rozrósł się w tysiące, zaś w 1914 r. liczył już kilkanaście tysięcy zorganizowanych i efektywnie pracujących nad wiedzą wojskową oraz ćwiczących się członków w zaborze austriackim; objął środowiska studenckie w Wiedniu i Paryżu, w Belgii i Szwajcarii; w formach tajnych przerzucał się też do zaboru rosyjskiego. Przeszły w ciągu tych lat organizacje strzelec-

kie do ściśle wojskowych form dowodzenia i dyscypliny. Osiągnęły też niewątpliwie charakter bezpartyjny. Dążył Piłsudski do stworzenia możliwie najszerszej „konfederacji” stronnictw i grup politycznych, opowiadających się za walką o niepodległość; starał się jednocześnie zespolic jak najściślej dwie największe organizacje wojskowe: „Związki” i „Drużyny” Strzeleckie.

W roku 1912, gdy wojna wisiała na włosku, J. Piłsudski po raz pierwszy objął formalnie stanowisko „Komendanta Głównego” obu organizacji strzeleckich, z K. Sosnkowskim jako szefem sztabu, w skład którego wchodziłi oficerowie związków i drużyn. Nie obyło się w ciągu dwu lat następnych, aż do wybuchu wojny, bez trudności i kryzysów zarówno wewnątrz ruchu wojskowego jak i w politycznej jego reprezentacji. Relacjonują to historycy.

Stojący już wówczas stale przy boku Piłsudskiego Sosnkowski daje następujące rysy jego charakteru:

„Spróbuję określić które cechy potężnej indywidualności Komendanta uderzyły mnie najsilniej, już w okresie przedwojennej mojej z nim współpracy. Wspominałem już o jego przenikliwości, intuicji historycznej, dzięki której widział w przyszłości to co było ukryte przed wzrokiem innych. Zdumiewała mnie jego umiejętność tworzenia z drobnych początków rzeczy wielkich, siła realizacji, oparta o realną rachubę i o potęgę własnego charakteru. Umiał Komendant szybko i trafnie oceniać ludzi, użytkować ich uzdolnienia, zależnie od cech indywidualnych jednostki; będąc głębokim znawcą natury ludzkiej, miał niezwykle pewną rękę w prowadzeniu innych... Za jedną z najbardziej zastanawiających cech Komendanta uważam osobiście jego zdolność wyzwalań, jeszcze ściślej, *pomnażania* energii duchowej u tych, kogo brał we władanie. Będąc sam zbiornikiem niezwykle skoncentrowanej i nieugiętej woli, nie znając dla siebie żadnych przeszkód i trudności, umiał on drogą oddziaływania ideowego i uczuciowego doprowadzić człowieka, którego sobie upatrzył, do tego iż człowiek ten przyjmował z jego ręki najcięższe zadania, usuwając na bok wszelkie wahania i wątpliwości. Współpracownik Komendanta w zetknięciu z nim zapominał o zwykłym, pospolitym „nie mogę”, „nie potrafię”, brał się za bary z powierzonym mu zadaniem i najczęściej, ku swemu zdumieniu, przekonywał się, że może i potrafi więcej aniżeli przypuszczał”.

Słowa te, wypowiedziane we wrześniu 1935 roku, oparte są na pewno nie tylko na wspomnieniach sprzed pierwszej wojny światowej, lecz i na późniejszych obserwacjach i doświadczeniach osobistych Sosnkowskiego z dziesiątków lat współpracy z Komendantem.

Al. Świętochowski był o 18 lat starszy od J. Piłsudskiego; K. Sosnkowski był o tyleż lat młodszy. Chcę teraz, przerywając wątek chronologiczny, dopełnić daną przez nich charakterystykę postaci Piłsudskiego wynurzeniami jednego z jego rówieśników,

dr. W. Jodko-Narkiewicza, socjologa i ekonomisty, człowieka o wybitnym intelekcie i niepospolitej indywidualności.

W kwietniu 1916 r., w czasie zastoju operacyjnego na froncie wołyńskim, zostałem wysłany przez Piłsudskiego z informacjami i poleceniami do polityków w Lublinie, Krakowie i Warszawie. W Lublinie był wówczas „mężem zaufania” Komendanta Jodko; miałem mu dać informacje o rozpoczętej właśnie akcji Komendanta, zmierzającej do jednolitego i solidarnego stanowiska wszystkich trzech brygad legionowych w stosunku do Austriaków. Gdy opowiedziałem mu już wszystko co miałem polecane i dałem odpowiedź na jego szczegółowe pytania, Jodko, który znał mnie jeszcze z czasów przedwojennych, zapytał jak się miewa i jak się czuje Komendant; odrzekłem krótko, że Komendant niepokoi się, czy Francuzi utrzymają Verdun, oraz niecierpliwie się że nic jeszcze nie słyhać o rewolucji w Rosji. Jodko spojrział na mnie z zaciekawieniem, mówiąc: „Biuletyn krótki, ale dość niezwykły”; na co ja: „Boć przecież Komendant jest niezwykłym człowiekiem”. Jodko, który już zegnał się ze mną, zapytał niespodziewanie, czy nie mógłbym spotkać się z nim jeszcze raz wieczorem. Chętnie to zaproszenie przyjąłem.

Po kolacji w prywatnym jego mieszkaniu, przy wcale godnej butelczynie, rozwinęła się rozmowa. Zaczął ją Jodko od pytania dlaczego mówiąc o Piłsudskim użyłem wyrażenia „niezwykły”? Opowiedziałem mu otwarcie o moich pierwszych przeżyciach po zetknięciu się z Komendantem, przed siedmiu laty, u początków ruchu strzeleckiego; jak moje oporne nastawienie do wszelkiego autorytetu, do dyscypliny i rozkazu, pękło w zadziwiający mnie samego sposób, pod jego wpływem — i zacząłem iść za nim. Jodko słuchał z wyraźnym zainteresowaniem, po czym zaczął mówić sam.

„Jak wiecie, mam żywy kontakt z wami, wojskowymi. Napotykam zwykle w rozmowach na pewną — powiedzmy — prostotę, która budzi we mnie zazdrość, ale czasem irytację. Zwykła formuła, którą słyszę od ludzi z I Brygady, od sierżanta do pułkownika, brzmi: 'Komendant wie co robi'. Za tą formułą odczuwam oczywiście przekonanie, że Komendant wie co będzie. Naturalnie, prowadzi to do bardzo szczęśliwego samopoczucia; wystarczy spełniać rozkazy Komendanta i ma się spokój. Jasne też jest dla mnie ich mniemanie, że my, starsi politycy, od wielu lat Komendantowi bliscy, musimy się czuć jeszcze pewniej.

„Mówiliście o waszych młodzieńczych przeżyciach i wątpliwościach gdy wchodziliście w orbitę jego wpływu. Ludzie o pokolenie od was starsi przechodzili to samo, tylko znacznie dotkliwiej; bo każdy z was, niespełna dwudziestoletnich szczeniaków, jeśli był dostatecznie bystry, mógł znaleźć wytłumaczenie w swym

braku doświadczenia i wiedzy. Ale weźcie na przykład mnie, rówieśnika Piłsudskiego, który pracował w partii przez lat parę dziesiątków obok niego, przeżywał te same doświadczenia w kraju i zagranicą, miał te same elementy i przesłanki do wyciągania wniosków; który wreszcie — nie będę udawał skromnisia — ma niezłą głowę na karku. I oto nie jeden raz w ciągu tych lat okazywało się, że niejaki towarzysz Wiktor późniejszy obywatel Mieczysław, czyli dzisiejszy Komendant — widzi wszystko inaczej niż ja; inaczej waloryzuje przesłanki i do odmiennych dochodzi wniosków, A gdy, po upływie krótszego lub dłuższego czasu, wychodzi na to, że miał rację, to przecież — po lwowsku mówiąc — szlag może człowieka trafić”.

„Tak się złożyło, że od lat kilku należę do nielicznych, którzy wiedzą istotnie o planach Komendanta i jego przewidywaniach więcej niż inni. Ale jeśli sądzicie, że to mi daje spokój, to się mylicie. Wierzcie mi, że przyjdą, może niedługo, takie decyzje Komendanta, które wzbudzą zdumienie, sprzeciwy i ataki. Dobrze wam, którzyście włożyli mundury i powiedzieli sobie po muzulmańsku: Bóg jest wielki, a Piłsudski jest Jego prorokiem. My, starsi, wiemy jednak lepiej niż wy, jak skomplikowana i trudna do obliczenia jest mechanika polityki światowej; wiemy, że Piłsudski nie ma przecież do dyspozycji sieci dyplomatycznej ani wywiadowczej, która by go informowała. Być może, że meżowie stanu wielkich mocarstw, przed którymi staną decyzje rozstrzygającej wagi, nie wiedzą jeszcze sami jakie te decyzje będą. A tymczasem, gdzieś na wschodnich peryferiach Europy zachodniej znalazł się człowiek — w narodzie pozbawionym od kilku pokoleń własnej polityki państwowej i wglądu do polityki świata — który jest tak pewny swoich przewidywań co do toczącego się żywiołowego konfliktu — kolejnych jego faz i ostatecznego wyniku — że przystąpił do działań, które mogą zaważyć na historii narodu i prowadzi je z taką konsekwencją jakby czytał przyszłość w kryształowej kuli”.

„Ze wy młodzi, wrażliwym instynktem wiedzeni, idziecie za nim z bezgranicznym oddaniem, łatwiej zrozumieć. Ale jak się to dzieje, że starzy, wytrawni politycy wierzą jego mózgowi bardziej niż swemu własnemu? Jaki jest klucz tej tajemnicy dominowania nie tylko nad emocjami i temperamentami, ale również nad intelektami ludzi dojrzałych i krytycznych — określić trudniej. To jest zjawisko istotnie niezwykłe. W dzisiejszej porannej rozmowie o Komendancie użyliście właśnie określenia „niezwykły”; każdy z waszych przyjaciół mówiłby raczej o wielkości; ale sądzę że wasze słowo bardziej w sedno godzi”.

Dopiero w rok później — po rozmowach z Komendantem w przeddzień uwięzienia go przez Niemców, a później z Jodką,

który nie był już związany tajemnicą, rozumiałem w pełni co Jodko miał na myśli. On to bowiem towarzyszył Piłsudskiemu w Paryżu w styczniu 1914 r. kiedy Piłsudski przepowiedział z całą ścisłością bliski wybuch wojny, jej przebieg i zakończenie. Oczywiście więc moje krótkie słowa o trosce Komendanta co do utrzymania przez Francuzów Verdun oraz niecierpliwym oczekiwaniu rewolucji w Rosji — miały dla Jodki znaczenie głębsze, niż przypuszczać mogłem. Dało mu to potwierdzenie, że Komendant swych przewidywań i planów nie zmienił; że zbliża się zatem kryzys który zaprowadził żołnierzy Piłsudskiego za druty obozów internowania, zaś jego samego wraz z Sosnkowskim do Magdeburga.

„Komendant” i „Szef”

Swój stosunek do Piłsudskiego zamyka Sosnkowski w dwu prostych — a jakże wymownych — zdaniach: „Byłem, jeśli się tak wyrazić można, jego dzieckiem duchowym... O ile kiedykolwiek udało mi się zrobić coś pożytecznego dla Polski, zawdzięczam to ziarnu, jakie on rzucił w moją duszę”.

Jasne jest więc dlaczego, zaciągnąwszy się w roku 1905 pod znak Józefa Piłsudskiego, na zawsze już Kazimierz Sosnkowski pod nim pozostał.

Ale nasuwa się pytanie: dlaczego Piłsudski ze swej strony wziął go sobie za najbliższego pomocnika i powiernika już w dwa lata po pierwszym zetknięciu, mimo że miał obok siebie wielu dawnych towarzyszy pracy, z których nie jeden reprezentował wysokie wartości; dlaczego, mimo różnicy wieku tak wielkiej jak między ojcem i synem, związało ich z sobą ponadto uczucie głębokiego sentymentu.

Jednym z powodów był wówczas dziwny, jak na socjalistów, konserwatyzm towarzyszy Piłsudskiego, gdy chodziło o metody działania. W czasie doniosłych zmian w wewnętrznych stosunkach Polski i w sytuacji międzynarodowej — Piłsudski szybko odrzucał koncepcje nieaktualne i, konsekwentnie, poprzednie formy organizacyjne, inicjując nowe.

Przynosiło to przejściowo pewne straty w idących za nim szeregach, ale wypełniane one były wkrótce z grubą nadwyżką. Niektórzy współpracownicy Piłsudskiego wyłamywali mu w tych kolejnych kryzysach — między rokiem 1908 a 1919 — lub szli za nim ociągliwie, z wahaniem. Natomiast Sosnkowski w lot rozumiał Piłsudskiego i gotów był do natychmiastowego działania, nie tylko z zapałem, ale i z niezrównanym darem organizacyjnym, od pierwszej chwili dostrzeżonym przez Komendanta.

Dobre oko w wyborze ludzi jest niezbędną cechą męża stanu w polityce, a dowódcy w wojsku. Nawet najwybitniejsi ludzie w obu tych dziedzinach nie są w stanie robić wszystkiego sami, nie są też doskonałościami pod każdym względem. Piłsudski znał dobrze elementy swej siły, ale wiedział też gdzie i jakiego rodzaju pomocy potrzebuje. Wybrał sobie Sosnkowskiego, którego talenty znakomicie dopełniały jego własne.

Na talent organizacyjny wiele elementów się składa. Nie tylko wydajność pracy, ale i jej metody wchodzi w grę. Co do wydajności — stwierdził ją Marszałek, pisząc o Sosnkowskim: „Człowiek o niezmiernych zdolnościach do pracy bez zmęczenia fizycznego”.

Zaś co do metod: tak, jak Piłsudski miał wyjątkową cierpliwość i pracowitość w przemyśliwaniu koncepcji i wynikającą z tego śmiałość decyzji i trwania przy nich — Sosnkowski miał ją w przekonywaniu ludzi, w przejrzystym podawaniu im celów działania, w motywowaniu potrzeby i właściwości każdego z kolei kroku; dawało to jego współpracownikom i podwładnym pewność i skwapliwość w wykonywaniu otrzymywanych zadań; umiał się też zdobyć na stosowanie niezbędnej ilości rutyny, do czego Piłsudski sam nie zawsze cierpliwość znajdował.

Nawiązał się więc z biegiem lat przedwojennych i zacieśniał się coraz bardziej w czasie wojny i po odzyskaniu niepodległości stosunek między Piłsudskim a Sosnkowskim odmienny niż z resztą jego otoczenia. Z nim omawiał on i dyskutował wszystkie swe przewidywania i plany przed powzięciem decyzji, a potem sposoby przeprowadzenia decyzji powziętej; w tej ostatniej dziedzinie Sosnkowski otrzymał większą niż ktokolwiek inny swobodę działania.

Ta metoda ich współpracy, normalna w praktyce wojskowej między dowódcą a szefem sztabu, rozciągała się również na sprawy polityczne; wspomina niejednokrotnie Piłsudski w swych pismach o długich rozmowach i rozważaniach prowadzonych z „Szefem”. I to właśnie, że brał on udział w głośnym przemyśliwaniu zagadnień ułatwiało Szefowi później rolę *doskonałego interpretatora* myśli Komendanta przy przekazywaniu ich w dół do wykonania; a — co jeszcze ważniejsze — od roku 1919 — przy motywowaniu jego wymagań, poczynań i działań w Radzie Ministrów lub przy obronie ich w Sejmie.

Gdy omawiam sprawę stosunków między Piłsudskim a jego współpracownikami muszę zrobić pewne zastrzeżenie.

Znamy w literaturze nastawienie zwane „wpływowością”; polega ono na doszukiwaniu się wśród otoczenia wybitnych postaci historycznych „inspiratorów” ich poszczególnych działań, lub „szarych eminencji”, kierujących nimi w ogóle. Być może, że

tak bywało. Jeśli chodzi o Józefa Piłsudskiego są to dociekania próżne. Wzajemny stosunek między nim, a jego otoczeniem, można śmiało nazwać — w dzisiejszym języku — ruchem jednokierunkowym. Koncepcje płynęły zawsze od niego; on inspirował swych bliskich, nigdy nie było na odwrót; często, gdy „rzucił ziarna w dusze”, jak mówi Sosnkowski — napotykał opory; ale wówczas albo je swym wpływem przewycięzał, albo współpracowników zmieniał.

Jeśli niezmiennym i najbliższym z nich pozostawał wciąż Sosnkowski — widzę po temu dodatkową przyczynę, którą chcę podkreślić.

Hierarchia zagadnień

Nieodzownym warunkiem, stanowiącym o różnicy między działaczem politycznym a mężem stanu jest umiejętność należytej oceny *hierarchii zagadnień*. Było to znamiennej cechą Piłsudskiego, łączącą się ściśle z jego darem przewidywania; bowiem tylko w perspektywie przyszłości można tę hierarchię ustalać. Krótkowzroczność bywa zwykle największą przeszkodą do rozróżniania co w danej sytuacji jest potrzebą naczelną, wartą ustępstw w rzeczach mniejszego znaczenia. Wielokrotnie stawiał Piłsudski ten właśnie zarzut krótkowzroczności i płynącej stąd niezdolności do kompromisu politykom polskim, zarówno w zwalczającym jak i w popierającym go obozie. Znajdował w tym zawsze pełne zrozumienie u Sosnkowskiego i zdaniem moim było to jedno z głównych ogniw, łączących ich tak ściśle.

„Polityka jest sztuką kompromisu. Kompromis jednak polega nie tylko na tym żeby brać, ale i dawać” — powiedział Piłsudski już po odzyskaniu niepodległości; wiązał to wówczas z polityką narodowościową Rzeczypospolitej, ale kierował się również tą zasadą gdy chodziło o wewnętrzne polskie stosunki. Już w sierpniu 1915 r. wymagał od swych współpracowników politycznych w Warszawie gotowości do współdziałania z najzawziętymi nawet przeciwnikami w imię naczelnej potrzeby solidarności wobec okupantów; w niespełna dwa lata później, gdy nakazywał swym żołnierzom odmowę przysięgi na braterstwo broni z Niemcami i Austrią, gdy wraz z Sosnkowskim przygotowywał P.O.W. do ponownego zejścia pod ziemię i dawania sobie rady bez niego, usłyszeliśmy tę samą instrukcję: dążyć do wspólnego frontu, przekreślając wszelkie partykularyzmy z przeszłości. I z tym samym apelem — tylko już do całego społeczeństwa skierowanym — wystąpił Piłsudski gdy wrócił z Magdeburga do Warszawy 10 listopada 1918 r.; tego samego szukał następnie

jako Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz.

Od przyczynków do charakterystyki Piłsudskiego powracam do faktów i osiągnięć.

1908-1918

W moich uwagach i naświetleniach przywiązuję kluczową wagę do daty 1908 r., co chcę umotywić. To prawda że Piłsudski miał już wówczas za sobą 21 lat działalności politycznej, licząc od jego pierwszego zesłania na Sybir. Oczywiście dały mu te lata ogromne doświadczenie w kierowaniu ludźmi; dały mu też możliwość głębokich przemyśleń w samotności tajgi syberyjskiej lub cel więziennych; otoczyły też jego postać sagą nieustraszonych działań, niezłomnej woli, co pociągało doń ludzi, dawało mu autorytet i *dobrowolne posłuszeństwo* z ich strony, mimo że nie miał nad nimi żadnej władzy formalnej. Ponadto w ciągu tych lat zyskał on nieporównaną znajomość spraw rosyjskich, która w pierwszych latach niepodległości zdumiewała polityków zachodnich, nawet tych, którzy uważali się za znawców przedmiotu. Jego ówczesne kontakty z przywódcami wszystkich grup rewolucjonistów rosyjskich, znajomość ich charakteru i psychologii oraz myśli przewodnich odegrała w roku 1919 i 1920 nie małą rolę.

Jednakże Piłsudski sam, bilansując działania rewolucyjno-wyzwoleńcze z przed 1908 r., uznał je za *okres nadziei zawodnych i walk przegranych*.

Natomiast jego nowa koncepcja, oparta na przewidywaniu że wojna między zaborcami wznowi sprawę polską na forum międzynarodowym — oraz niemylna wizja niebezpiecznej sytuacji w jakiej się znajdą ziemie polskie w momencie zakończenia wojny — stała się podstawą do działań o wyniku pozytywnym i trwałym. Myślę tu o podjęciu i wcielaniu w życie idei własnej siły zbrojnej, przed wojną i w czasie jej trwania.

„Gdy na zachodnim froncie otrąbią zawieszenie broni, przestaną walczyć korpusy i armie — nasze ziemie mogą się znaleźć w położeniu w którym pułki i bataliony mogą grać ogromną rolę, ale muszą stanąć w gotowości natychmiast”. Te słowa usłyszałem z ust Piłsudskiego na kilkanaście dni przed jego uwięzieniem.

Tak się też stało. Gdy się Niemcy poddawali na zachodzie, gdy ich wojska wracały stamtąd do kraju ogarniętego rewolucją, z którą się łączyły, gdy rozpełzła się już wcześniej armia austriacka — wojska alianckie, zwycięskie ale straszliwie skrwawione i zmęczone czterema laty wojny, spragnione były powrotu do domów

i rodzin do tego stopnia, że żadna siła ludzka nie mogła tego powstrzymać. Pisał o tym R. Dmowski:

„Wojna... kończyła się w ten sposób, że Europa Środkowa, którą zwycięcy mieli przygotowywać nie znajdowała się w ich rękach... Stało mi przed oczyma położenie Polski. Wojska polskiego właściwie w kraju nie ma, alianci ze swoim wojskiem nie przyszli, wojsko niemieckie usuwa się do Niemiec, a na jego miejsce wlewa się fala bolszewicka ze wschodu”.

W tym samym czasie, więziony w Magdeburgu Piłsudski przewidywał to samo zagrożenie: „Sen mi z oczu spędzała myśl co będzie jeśli Niemcy będą w stanie, wycofując się z Polski, zabrać z sobą broń i wszelki sprzęt wojenny, jak i kiedy zdołamy się uzbroić i ubezpieczyć”.

Faktem jest jednak, że z obu tych kolejnych niebezpieczeństw Polska wybrnęła. Aby to zrozumieć powiązać trzeba daty, które podałem w nagłówku rozdziału i przebieg wypadków tego dziesięciolecia. Bo dopiero w listopadzie 1918 r. i miesiącach następnym, oczywisty stał się plon ziarna w 1908 r. zasianego. Jeśli okazało się, że są jednak w kraju siły, które mogą udaremnić doszczętne obrabowanie go przez niemieckich okupantów i powracające z Rosji ich armie; jeśli — co więcej — potrafiły one odebrać im broń i sprzęt wojenny — główną rolę odegrała w tym P.O.W.; zaś wywodziła się ona z przedwojennego ruchu wojskowego, a jej organizatorami i kierownikami byli od roku 1914 oficerowie związków i drużyn strzeleckich.

Tak było z zagrożeniem pierwszym. Co do następnego — inwazji bolszewickiej — szybkość w organizacji i zapewnieniu zdolności bojowej tych setek tysięcy wojska, niezbędnego do jej odparcia na rozległym froncie wschodnim, byłoby nie do pomyslenia bez ram kadrowych. Ten wkład — nie tylko zaprawy wojennej lecz i gotowości do dalszej walki — wniosły wszystkie formacje ochotnicze, jakie bądź były w kraju, bądź napływały z ziemi obcej do Polski.

Jak one powstały? Trzeba dać kronikę tego w skrócie.

W wyniku sześcioletnich przygotowań przedwojennych, kadrowe bataliony strzelców Piłsudskiego przekroczyły, w sierpniu 1914 r., zaborczą granicę; tak ukazały się pierwsze mundury polskie na polach bitewnych Europy po przerwie dwóch pokoleń. Wywołało to „konkurencyjną” odpowiedź ze strony Rosji: zezwolenie na polskie formacje ochotnicze po jej stronie (Legion Puławski) oraz zgodę na powstanie ich we Francji (Bajończycy).

Organizowane one były pod różnymi polskimi patronatami politycznymi. Ale, jeśli *polityczne* działania polskie po stronie obu walczących koalicji, mogły ścierać się z sobą lub niwelować się wzajemnie w pierwszej fazie wojny, to — jak przed chwilą

stwierdziliśmy — wszystko co dało w wyniku, pod jakimkolwiek hasłem, dorobek *wojskowy*, nabrało doniosłego znaczenia w momencie zakończenia wojny.

Dzieje rozwoju tych wszystkich formacji opracowane są przez historyków; tylko P.O.W. oczekuje jeszcze na swą pełną monografię, na którą zasługuje. W błyskawicznym rozbrojeniu okupantów niemieckich jej sieć organizacyjna, rozciągnięta na cały teren i przygotowana zawczasu do jednoczesnego, na dany znak, zaatakowania Niemców — zadecydowała o powodzeniu tej akcji, oddając w nasze ręce broń i amunicję, na którą czekało dziesiątki tysięcy rąk w jej szeregach i obok nich.

Wojna i niewola

Jak sobie zamierzyłem w mych fragmentarycznych z konieczności rozważaniach — wspomnę teraz o wojennych dziejach Komendanta i Szefa.

Jeśli już w przedwojennym ruchu wojskowym i związanej z tym polityce dawał Sosnkowski Komendantowi pomoc największą w natężeniu i umiejętności — to w czasie wojny zacieśniła się jeszcze bardziej ich współpraca i nierozłączne były ich losy. W I-ej Brygadzie Sosnkowski jest nie tylko szefem sztabu, lecz i zastępcą Komendanta w dowodzeniu. Bierze udział we wszystkich jej bojach. Ilekroć dowodzi w nieobecności Piłsudskiego — od chrztu ogniowego pod Kielcami, przez ciężką i ważną bitwę pod Łowczówkiem, aż do walk na froncie wołyńskim w jesieni 1915 r. — osiąga możliwie największy sukces operacyjny, stwardzany z gorącym uznaniem w rozkazach Komendanta. Po ustąpieniu Piłsudskiego z Legionów w końcu sierpnia 1916 r. obejmuje dowództwo I-ej Brygady, ale już po kilku tygodniach zostaje usunięty z tego stanowiska (i z Legionów) przez Austriaków. Od połowy kwietnia do początków lipca 1917 r. towarzyszy Komendantowi, jako jego zastępcą w Tymczasowej Radzie Stanu. Piłsudski nie daje swej zgody na werbunek rekruta polskiego do sił zbrojnych pod dowództwem niemieckim, wbrew przedstawicielom obozu aktywistycznego, wierzącego w zwycięstwo państw centralnych. Rozbudowuje natomiast P.O.W. Gdy spełniają się ostatnie jego przedwojenne przewidywania — przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny oraz rewolucja i obalenie caratu w Rosji — Piłsudski występuje z T. Rady Stanu, 2 lipca 1917 r.; tegoż dnia, na odprawie starszych oficerów legionowych, mówi im:

„Nie pójdziecie do armii dowodzonej przez p. Beselera, który chciałby ją wysłać na front zachodni, by pokazać światu, że Polacy są przeciwni

Francji i Anglii, co jest nieprawdą. W interesie naszym leży, by alianci pobili Niemców. Im prędzej Niemcy przegrają wojnę, tym lepiej” (K. Sosnkowski, „Mat. Hist.”, str. 662).

W tydzień później, w Lublinie, gdy Komendant postanowił dzielić los swych żołnierzy i porzucił myśl przeprawy na wschodnią stronę frontu, otrzymałem od niego polecenie, aby jak najprędzej nawiązać łączność z tamtejszymi formacjami polskimi, popierać ich rozwój, zaś politycznych działaczy lewicy niepodległościowej na Ukrainie i w Rosji powiadomić o jego stanowisku według podanej wyżej cytaty.

Niemcy, znając autorytet Sosnkowskiego w obozie niepodległościowym, aresztują go jednocześnie z Piłsudskim, sądząc, że w ten sposób rozbiją ten obóz od góry. Po czternastomiesięcznej izolacji w różnych więzieniach spotyka się znowu Szef ze swym Komendantem w twierdzy magdeburskiej, we wrześniu 1918 r. Tam — po dawnemu — rozważają perspektywy i niebezpieczeństwa najbliższej przyszłości, snują plany — i marzenia — w oczekiwaniu na klęskę Niemiec i powrót do kraju.

Mglisty poranek 10 listopada 1918 r. — powrót do Warszawy z Magdeburga — to moment spinający jak klamra pierwsze dziesięciolecie współpracy Komendanta i Szefa z następnym, w którym pamiętne dwa lata, 1919 i 1920, przyniosły największe osiągnięcia.

Wolni w Warszawie

Już w ostatniej fazie niewoli, w cytadeli magdeburskiej, izolacja Komendanta i Szefa od świata zewnętrznego osłabła o tyle, że z niemieckiej prasy miejscowej i od swych strażników więziennych mieli dość informacji aby się orientować że zbliża się koniec wojny. Najmniej jednak wiadomości mieli o tym co się dzieje w Polsce; a przecie już przed ich uwięzieniem rozpoczęły się represje niemieckie, aresztowani zostali wybitni działacze polityczni związani z Piłsudskim oraz oficerowie P.O.W. Nie było więc wykluczone że represje te poszły dalej i bądź zniszczyły, bądź poważnie osłabiły organizację sił obozu niepodległościowego.

Dopiero w początkach października 1918 r. dowiedzieli się z gazet niemieckich o mianowaniu przez Radę Regencyjną Józefa Piłsudskiego ministrem Spraw Wojskowych; zarówno to, jak i rozpoczęte w tym samym czasie zabiegi ze strony specjalnych wysłańców rządu niemieckiego o otrzymanie od Piłsudskiego zo-

bowiązań, że nie będzie on działał przeciwko Niemcom jeśli zostanie zwolniony z więzienia i powróci do Warszawy — świadczyło że musiały utrzymać się jego wpływy i autorytet jego imienia w kraju. W miesiąc później, mimo odmowy takowych zobowiązań, Piłsudski wraz z Sosnkowskim został przewieziony, 7 listopada, do Berlina; oświadczone im wprawdzie już w Magdeburgu że są wolni, ale wciąż jeszcze nagabywani byli o te same zobowiązania przez różnych dygnitarzy niemieckich, za czym czaiły się maskowane aluzje, że wolność ta może być cofnięta. Własnymi oczami widzieli jednak zrewolucjonizowany Berlin; nie ulegało wątpliwości że rządowi niemieckiemu władza wypada z rąk. Gdy wreszcie 9 listopada wieczorem już bez żadnych warunków znaleźli się w specjalnym pociągu wiążącym ich do Warszawy — wciąż jeszcze nie mieli pewności co tam zastaną.

Głębokim niepokojem przejmowała ich myśl o tym co będzie jeśli Niemcy będą mieli czas i swobodę dokonania ewakuacji swych sił okupacyjnych z Polski i dalszych terytoriów na wschodzie; że, w takim wypadku, kraj może ogołocony zostać ze wszelkiego sprzętu wojennego, obrabowany do reszty, bezbronny wobec ewentualnego zagrożenia od wschodu.

Wspominał później Piłsudski jak ważną dla niego była chwila, gdy na dworcu kolejowym w Warszawie, gdzie oczekiwał go z powitaniem książe Regent Zdz. Lubomirski, zdążył jeszcze przedtem Naczelny Komendant P.O.W. A. Koc zameldować mu krótko, że P.O.W. w całym kraju znajduje się w stanie pogotowia i czeka na rozkazy.

Rozbrojenie Niemców. Główne niebezpieczeństwo zażegnane

Po krótkim śniadaniu u Lubomirskiego, w czasie którego zarysował on Komendantowi ze swego punktu widzenia układ sytuacji politycznej i nastawienie głównych stronnictw w kraju — udał się Komendant na przygotowaną dlań kwaterę i tam wysłuchał szczegółowego raportu o najważniejszym i wymagającym natychmiastowych decyzji zagadnieniu: jakie są szanse niezwłocznej likwidacji okupacji niemieckiej. Dowiedział się z ulgą, że represje niemieckie nie rozbiły P.O.W.; że po jego uwięzieniu popularność P.O.W. niezmiernie wzrosła, jej sieć organizacyjna zageściła się, ilościowo powiększyła się kilkakrotnie, zaś od wiosny 1918 r. szeregi przeplecione zostały obficie przez dopływ zwolnionych z internowania legionistów oraz oficerów i podoficerów z formacji wschodnich po ich rozbrojeniu przez Niemców i Austriaków; że od początku listopada organizacja jest w stanie czujności i rozporządza pewną ilością broni i amunicji, pozbiera-

nej i ukrytej w pierwszych latach wojny; wreszcie, że oczekiwany powrót Komendanta ma być hasłem do ostrego pogotowia dla zaskoczenia rozproszonych posterunków niemieckich i rozbrojenia ich. Co zaś do Niemców — są oni wyraźnie wstrząśnięci i niepewni; utworzyły się wprawdzie rady żołnierskie, ale działają one w porozumieniu z dowodzącymi oficerami; nie widać jeszcze jaskrawych przejawów załamania dyscypliny, niewątpliwie jednak działa wstrząs psychiczny wywołany przez kapitulację na froncie zachodnim, abdykację cesarza i rewolucję w Niemczech, ucieczkę Beselera; istnieje też wyraźny lęk przed pomstą uciskanej ludności i nieodparta chęć powrotu do domów i rodzin.

Sytuacja wskazywała wyraźnie że trzeba kuć żelazo póki gorące. Komendant rozkazał wydać hasło do akcji rozbrojeniu i osaczenia Niemców od świtu dnia następnego (11 listopada). W samej stolicy rozbrajanie poszczególnych żołnierzy niemieckich zaczęło się już 10 listopada po południu; usuwano też żołnierzy i urzędników niemieckich z urzędów i instytucji, komunikacji i łączności przede wszystkim. W ciągu popołudnia zaczęły się zgłaszać do Komendanta delegacje stronnictw politycznych, bo nikt już nie miał wątpliwości że władza przechodzi w jego ręce.

Późnym wieczorem przybyła delegacja niemieckiej rady żołnierskiej garnizonu warszawskiego z propozycją ułożenia warunków ewakuacji sił okupacyjnych, deklarując gotowość powrotu do Niemiec i prosząc Piłsudskiego o osłonę przed ewentualnymi „przeszkodami” ze strony ludności, domagali się oni jednak zgody na opuszczanie Polski z pełnym uzbrojeniem i transportem kolejowym przez nich samych kierowanym.

Te warunki Piłsudski kategorycznie odrzucił. Zażądał pozostawienia broni i sprzętu wojennego w Polsce, odjazdu oddziałów niemieckich do granicy pociągami pod kierownictwem polskim i zapowiedział że inaczej nie bierze odpowiedzialności za postawę ludności i życie Niemców. Delegaci rady żołnierskiej powrócili do Cytadeli aby rozważyć te warunki; Komendant wyznaczył ze swej strony kpt. I. Boernera dla ukończenia pertraktacji, żądając od Niemców szybkiej odpowiedzi, w ich własnym interesie.

W ciągu nocy z 10 na 11 listopada układy z radą żołnierską natrafiły na trudności. Wychodziły one ze strony płka Nethe, zastępcy Beselera. Odwoływał się on do patriotyzmu i honoru żołnierskiego członków rady, wskazywał im na odpowiedzialność jaką ponoszą za bezpieczny powrót do Niemiec swych kolegów, okupujących ziemię za Bugiem i całą Ukrainę aż po Kaukaz, napomynał na wstyd jakim się okryją wracając do ojczyzny bez broni. Twierdził, że mając 12 tysięcy w pełni uzbrojonych ludzi

może trzymać Warszawę pod groźbą zbombardowania ogniem artyleryjskim, dopóki pełna ewakuacja okupacyjnych sił się nie zakończy.

Sytuacja jednak zmieniła się radykalnie w ciągu dnia następnego, gdy z całego terenu okupacyjnego zaczęli Niemcy już od świtu otrzymywać wiadomości o rozbrajaniu posterunków mniejszych i osaczeniu większych przez Polaków i o groźnej postawie ludności. Zaczęły też przybywać pociągami do Warszawy rozbrojeni już oficerowie i żołnierze. Wówczas rada żołnierska machnęła ręką na perswazje Nethego, zgodziła się na pozostawienie całego sprzętu wojennego, ciężkiej broni i magazynów wojskowych oraz na transport do granicy pod polskim kierownictwem, prosząc tylko o pozwolenie aby te oddziały, które rozbrojone jeszcze nie zostały, mogły zachować broń ręczną, zobowiązując się że i ta zostanie złożona przed przekroczeniem granicy. Prosilili też o wydanie przez Piłsudskiego odezwy do ludności z wezwaniem do powstrzymania się od wszelkich gwałtów wobec dobrowolnie opuszczających Polskę transportów niemieckich. Piłsudski uznał za wskazane pójść na to ustępstwo, z tym że ewakuacja rozpocznie się bez żadnej dalszej zwłoki. Niemcy warunków dotrzymali, wszystkie oddziały opuszczające Polskę na granicy broń złożyły.

Wypadki dni następnych wykazały jak dalece pośpiech i uzyskanie zamętu i załamania moralnego po stronie niemieckiej było konieczne. Mianowicie, już 13 listopada wieczorem rewolucyjny rząd niemiecki w Berlinie nadesłał do Warszawy i do wszystkich sił niemieckich na wschodzie instrukcję, że na obszarach okupowanych rady żołnierskie mają się ograniczyć do roli doradczej, dowództwo ma pozostać przy oficerach i dyscyplina ma być zachowana aż do ukończenia ewakuacji.

Jeśli chodzi o Polskę dowództwo pozostać miało właśnie przy płku Nethe; ale było już za późno, żołnierze niemieccy wracali do domów, 19 listopada ewakuacja została zakończona. Co więcej — wracający do kraju bez broni oficerowie i żołnierze niemieccy, ze zrozumiałych względów, szerzyli wieść że wyrosły jak spod ziemi groźne siły polskie. To niewątpliwie wpłynęło na dalszy krok ogromnej dla Polski wagi; rząd niemiecki zgodził się później na żądanie polskie, aby wojska z dalszych obszarów wschodnich (560 tysięcy ludzi) wracały do siebie północną drogą nad Bałtykiem, z ominięciem terenu b. okupacji niemieckiej w Polsce.

Tak więc najbardziej palące niebezpieczeństwo doraźne zostało zlikwidowane.

Gdy mówiłem poprzednio o dacie listopada 1918 roku jako o klamrze spinającej pierwsze dziesięciolecie współpracy Komen-

danta i Szefa — w pierwszym rządzie miałem to na myśli. Albowiem błyskawiczne rozbrojenie okupantów, które oddało w ręce polskie pierwsze zapasy broni i sprzętu wojennego, było dziełem przede wszystkim P.O.W. oraz współdziałających z nią żołnierzy innych formacji ochotniczych. Istnienie i gotowość ich w tym krytycznym momencie wywodzi się jednak historycznie z ruchu wojskowego rozpoczętego w roku 1908 przez Komendanta i Szefa.

Marzenia zawiody

W tych samych dniach gdy ten sukces został osiągnięty, w innej dziedzinie planów snutych przez Piłsudskiego w magdeburgskich rozmowach z Sosnkowskim, przyszedł zawód dotkliwy. Wiara w gotowość do zespolonego wysiłku w budowie i umocnieniu wskrzeszonej Rzeczypospolitej przez powołanie rządu koalicyjnego okazała się istotnie marzeniem. Władza wojskowa objęta została przez Piłsudskiego już w dniu 11 listopada, za powszechną zgodą. Gdy natomiast Rada Regencyjna w trzy dni później zrezygnowała na jego ręce z władzy politycznej, pozostawiając mu zadanie powołania rządu, Piłsudski został postawiony tylko przed wyborem z dwojga złego: jednostronny rząd prawicy, czy jednostronny rząd lewicy. Za mniejsze zło uznał to drugie. Na pytanie czy słusznie — przytoczę głos jednego z trzech regentów, Arcybiskupa Metropolity Warszawskiego, Al. Kakowskiego, późniejszego kardynała. Oceniał on w swych wspomnieniach tę sprawę w sposób następujący:

„Piłsudski, przejmując władzę od nas, oświadczył że utworzy rząd narodowy, to jest koalicyjny, złożony ze wszystkich stronnictw... Prawica na żadne kompromisy nie szła. Komendant nie był również od nas szczęśliwszy, bo i on nie był w stanie w ówczesnych warunkach powołać do życia takiego gabinetu, pomimo że jak wiem kroki po temu czynił. Zmuszony był wypadkami do stowrzenia rządu socjalistycznego, jedynie możliwego w ówczesnym rewolucyjnym okresie. Piłsudski był wtedy człowiekiem opatrnościowym, jedynym który mógł być stać na czele odradzającej się Polski... Rząd Moraczewskiego, na prędko sklecony, choć oddał wielką przysługę Polsce jako zabezpieczenie przed propagandą komunistyczną, nie odpowiadał jednakże pragnieniom narodu... Nie miał on powagi i wiary w siebie, podatków mu nie płacono, dlatego musiał ustąpić. Lecz powtarzam, że rząd ten w dobie ówczesnej był zbawiennym dla Polski”.

Poglądy Ks. Arcybiskupa Kakowskiego na decyzje Piłsudskiego tymczasowego powierzenia rządu lewicy mają szczególną wagę z dwu powodów: po pierwsze nie był on na pewno wyznawcą przekonania społecznych Moraczewskiego i Thugutta; po drugie — od powładnego sobie kleru wiedział jakie fermenty narastały

wówczas w przeludnionych i najbiedniejszych wiejskich obszarach kraju oraz wśród robotniczej ludności miast, wynędzniałej, w ogromnej większości bezrobotnej. Tu i tam zawiewał „wiatr od wschodu”.

W dalekim Paryżu, skąd nadchodziły nieustępliwe instrukcje dla prawicowych stronnictw w kraju, by domagały się rządów wyłącznie dla siebie — kierowano się wyłącznie polityką, nie doceniając społecznej strony zagadnienia. A przecie stronnictwa te reprezentowały raczej jaskrawo tzw. warstwy posiadające i oddanie im władzy mogło być iskrą rzuconą na beczkę prochu. Wskrzeszonej Rzeczypospolitej zagrażało rozpoczęcie nowego życia od barykad w miastach i bezładnych odruchów na wsi. Sąsiadom, szczególnie wschodnim, w to graj...

Dodać jeszcze trzeba zupełną pewność Piłsudskiego, że rząd lewicowy w krótkim czasie przekona się iż nie podoła zadaniu rządzenia państwem, szczególnie w sprawach gospodarczych i finansowych. Przestrzegał o tym czołowych przedstawicieli lewicy już w roku 1917; powtórzył to im pierwszego dnia po powrocie z Magdeburga. I tak się też stało: już po dwu miesiącach rząd Moraczewskiego zdał sobie z tego sprawę w całej pełni i z ulgą przyjął kompromis zawarty przez Piłsudskiego z Paderewskim w połowie stycznia 1919 roku.

W ciągu pierwszego tygodnia po powrocie z Magdeburga płk K. Sosnkowski dopomagał Komendantowi w próbach powołania rządu koalicyjnego i w kierowaniu akcją rozbrajania Niemców. Dnia 16 listopada mianowany został generałem i dowódcą wojsk Okręgu Generalnego Warszawa. Ale już w końcu miesiąca zachorował ciężko na grypę i zapalenie płuc; przez szereg tygodni był między życiem a śmiercią. Dopiero w końcu lutego powrócił do pełnego zdrowia.

Słyszałem wówczas — w styczniu 1919 r. — z ust Piłsudskiego: „Jestem bez Szefa jak bez prawej ręki”. Dotyczyło to zarówno spraw wojskowych jak politycznych. Komendant obciążony był jako Naczelnik Państwa pracą w sprawach wewnętrznych i zagranicznych; nie ustawał w wysiłkach o porozumienie z Komitetem Narodowym w Paryżu, chcąc doprowadzić do jednolitej reprezentacji Polski przed rozpoczęciem obrad Kongresu Wersalskiego; jednocześnie próbował porozumienia z Czechami (patrz „Zapomniany list Piłsudskiego do Masaryka” — Damian Wandycz). Jako Naczelnny Wódz musiał mieć dużo czasu na pracę ze Sztabem Generalnym; dla M. S. Wojsk. miał go już za mało. Oczekiwał wyzdrowienia Sosnkowskiego aby mieć jego

pomoc nie tylko w organizacji rosnącej armii, ale również i w Radzie Ministrów. Zamierzał powierzyć mu tekę ministra spraw wojskowych; jednak Sosnkowski, z właściwym sobie zmysłem praktycznym, odradził to Komendantowi prosząc na początek o stanowisko wice-ministra. Nominacja ta nastąpiła 3 marca 1919 r.

Po dawnemu...

Stanął więc po dawnemu Szefer przy boku Komendanta, służąc mu kapitalną pomocą w wojsku, w rządzie i w sejmie. W lojalnej i zgodnej współpracy z ministrem, gen. J. Leśniewskim, podciągnął wkrótce M. S. Wojsk. na poziom niezbędnej sprawności.

Przeszkadzały temu poprzednio ostre animozje między starymi fachowcami z armii zaborczych, a młodszymi oficerami, pochodzącymi z Legionów oraz z innych formacji ochotniczych sprzed 1918 roku; obok tego nie brakło niechęci między starszą z byłej armii rosyjskiej i austriackiej. Sosnkowski doprowadził w ciągu niewielu tygodni do ogromnej poprawy w zespoleniu ich pracy. U starszych przełamywał pesymizm — boć przyzwyczajeni byli do dysponowania pełnymi składami, przemysłem wojennym, do czerpania ze skarbu państwa na wszelkie potrzeby — toteż w warunkach ówczesnego ubóstwa naszego, wszystko wydawało im się niemożliwe. Młodszych ujął w cugle, powściągnął przedwczesne ambicje, przekonał ich że od „dziadów” dużo się mogą nauczyć w dziedzinie rutyny administracyjnej i techniki pracy na szczeblu władz centralnych. Powiązawszy zapał i zdolności „młodych” z doświadczeniem „starych” — osiągał wyniki najlepsze w granicach istniejących możliwości.

W rządzie trzeba było umiejętnie ale nieustępliwie domagać się świadczeń dla wojska; w sprawach zaopatrzenia go potrzebna była ciągła pomoc innych resortów, a w szczególności M. S. Zagr. W Sejmie, po krótkim zaciszu, rozpoczęły się zawzięte ataki przeciw Naczelnemu Wodzowi; nie mógł on tam jednak występować bezpośrednio — rola obrony jego poczynań i działań przypadła również Sosnkowskiemu.

Jego wystąpienie na terenie parlamentarnym stało się wręcz sensacyjną niespodzianką. Wprawdzie nie brak było posłów, którzy pamiętali wybitną rolę jaką odgrywał on w latach przedwojennych i w czasie wojny światowej w obozie niepodległościowym; ale szeroki ogół poselski do którego docierały żale i pretensje różnych malkontentów wojskowych, spodziewał się młodego dyletanta, mianowanego na tak wysokie stanowisko z po krzywdzeniem „fachowców”. Tymczasem zetknęli się z osobisto-

ścią na poziomie dojrzałego męża stanu, z mówcą świetnym w formie i treści, zawsze opanowanym, taktownym i powściągliwym.

We wszystkich trzech działach pracy parlamentarnej Sosnkowski celował: w obradach komisyjnych był nieomylnie ścisły i rzeczowy; w rozmowach kularowych, nieraz równie ważnych, jego zdolność przejrzystej i kurtuazyjnej perswazji była niezrównana i zyskiwała mu osobistą popularność, rozciągającą się na oba skrzydła izby co było w ówczesnych stosunkach — niestety — rzeczą rzadką; wreszcie — jego przemówienia plenarne wyróżniały się wysokim poziomem i znakomitą formą.

Tym właśnie tłumaczy się fakt, że przez szereg lat był on niezmiennie rzecznikiem wojska w Sejmie, że przetrwał w tej roli mimo kilkunastu w tym czasie zmian i rekonstrukcji rządów; a wiemy przecież do jak drastycznych naprężeń wówczas dochodziło, jak zaciekle atakowany był Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz, którego polityki Sosnkowski niezachwianie bronił.

Piłsudski przywiązywał ogromną wagę do tego, aby sprawy wojskowe nie stawały się przedmiotem przetargów partyjnych przy każdym kryzysie; taką też instrukcję poufną miał Szefer od Naczelnika Państwa; trzeba było jednak talentu nie lada aby ją wykonać.

Odbiegłem jednak od głównej pracy, którą w tych latach dźwigał Sosnkowski: organizacji, wyszkolenia i uzbrojenia armii, rosnącej w coraz wyższe setki tysięcy, na którą czekało zadanie — coraz bliższe — przejścia od dotychczasowych „lokalnych wojen” do wielkiej rozprawy na rozległym froncie wschodnim. Walki nawet tak doniosłe jak o Małopolskę Wschodnią, tak konieczne jak odebranie Wilna i odrzucenie bolszewików na 200 km. od Bugu — komplikowały ogromnie to zadanie. A trzeba było zespolić w jedno wojsko i ująć w ramy regularnych jednostek operacyjnych te kilka armii różnej zależności politycznej i wojennej, któreśmy wówczas mieli.

Nie mogąc tu wkraczać w kronikę historyczną, pozwalam sobie przypomnieć czytelnikom „Kultury” zesłoroczną serię artykułów „Wojna i pokój”, w której zarysowałem bardziej szczegółowo i dokumentarnie niebywałe trudności, jakie napotykał Naczelny Wódz po drodze do zwycięstwa 1920 r. Oczywiście — walka z nieprzyjacielem była nieunikniona; walka dyplomatyczna w Wersalu, Paryżu i Londynie — również. Ale trzecim frontem — zacieklą walką wewnętrzną, szarpiącą nerwy, marnującą czas, podrywającą morale wojska — obciążyliśmy się sami. Mówił Sosnkowski o ówczesnych atakach na Naczelnego Wodza:

„Nie oszczędzono mu żadnej kropli goryczy. Patrzyłem z bliska na jego

ogromną pracę i nieludzką mękę, podziwiałem jego siłę woli i wyrozumiałość bezgraniczną. Krzywdzony niewymownie przez złość ludzką, dźwigał na sobie olbrzymie brzemie odpowiedzialności... Zniósł wszystko, udźwignął wszystko i dał Polsce na polach bitew tryumf na dziejową skalę; a przecież wawrzyn, którym Nike, bogini zwycięstwa, jego uwieńczyła głowę, usiłowano na obce przełożyć skronie". (Mat. Hist., str. 95).

Ze swej strony chcę tylko podkreślić wagę i *wszechstronność* pomocy, którą dla Naczelnego Wodza była wówczas praca Sosnkowskiego. Wymienię przykłady. Na „froncie wewnętrznym”, w sejmie, w lutym 1920 r., on to głównie uzyskał pozostawienie w rękach rządu i Naczelnego Wodza pertraktacji z Rosją Sowiecką — co niewątpliwie udaremniło przebiegłą grę Lenina o wybór momentu do walnej rozprawy.

Na froncie wojennym, gdy załamał się nasz opór na północnym skrzydle w maju tegoż roku, i pierwsza ofensywa Tuchaczewskiego poczyniła niebezpieczne postępy — Sosnkowskiego wybrał Naczelny Wódz dla jej odparcia. Zorganizował on błyskawicznie niezbędne odwody, opracował jednocześnie plan operacyjny przeciwnatarcia, zatwierdzony bez zmian przez Naczelnego Wodza i plan ten w ciągu dni kilkunastu przeprowadził z całą dokładnością. Ofensywę sowiecką odrzucił do punktu wyjścia, uzyskując co do joty wskazaną przez Naczelnego Wodza linię rzeki Auty. Za tę operację, która przyczyniła się do zwycięskiego zakończenia wojny, udekorowany został przez Komendanta Krzyżem *Virtuti Militari* II klasy. Gen. Sosnkowski został po ukończeniu operacji odwołany do ministerstwa z powrotem; był tam niezbędny i potrzebował go również Piłsudski w Rządzie i Radzie Obrony Państwa.

W przełomowym okresie — sierpnia 1920 r. — w związku z planem kontrofensywy znad Wieprza, Sosnkowski, jako minister Spraw Wojskowych, poruczone miał sobie zaopatrzenie warszawskiego przyczółka mostowego tak, aby zapewnić utrzymanie go w rękach do chwili gdy przeciwnatarcie prowadzone przez Naczelnego Wodza nie znajdzie się na tyłach nieprzyjaciela. Było to oczywiście koniecznym warunkiem pełnego rozbicia czterech armii Tuchaczewskiego. Potrafił Sosnkowski ubezpieczyć przyczółek artylerią i ciężką bronią maszynową o takiej potędze ognia, że skuteczna obrona była zapewniona. Opuszczając Warszawę dla objęcia dowództwa nad 4 Armią, Sosnkowskiemu pozostawił Komendant czuwanie nad stolicą i harmonią wśród jej władz cywilnych i wojskowych, w Rządzie i Sztapie Generalnym w szczególności.

Nie wdając się w szczegóły, chciałbym dać tylko ogólny wyznik moich osobistych obserwacji w tym czasie. Z gorzkim uśmiechem czytam w różnych pamiętnikach życzliwych i niezyczliwych,

jak bardzo zmęczony był w dniach między grożącą klęską a osiągniętym zwycięstwem Piłsudski i jak źle wyglądał. Przypisują to pamiętnikarze temu, że cierpiał na bezsenność. A było po prostu tak, że nie miał kiedy spać. Dość było przejrzeć dziennik adiutantury belwederskiej z tego czasu, zastanowić się nad ilością konferencji i narad, które codziennie przeprowadzać musiał Naczelnik Państwa z dyplomatami, szefami misji wojskowych, ze swymi bezpośrednimi współpracownikami, gdzie musiał przecież każde słowo ważyć; w głowie się po prostu nie mieści kiedy miał czas na przygotowanie się do tego.

Nie zapominajmy też, że były to dni w których stan rzeczy na froncie północno-wschodnim zmieniał się jak w kalejdoskopie. Długie więc godziny musiał spędzać Naczelny Wódz w Sztapie Generalnym. W tych to czasach ogromną ulgą w pracy Komendanta było, że miał przy swym boku Szefa — nie tylko świetnego wykonawcę, lecz i zaufanego przyjaciela wraz z którym mógł swobodnie głośno myśleć, analizować sytuacje przed powzięciem decyzji, i wydaniem rozkazów.

Jako bezpośredni podwładny Sosnkowskiego dodać tu chcę własną obserwację: i na niego również spadał wówczas nawał pracy niemożliwy — zdawałoby się — w nierozciągliwych ramach czasu: w ministerstwie, w rządzie, w Radzie Obrony Państwa, na odprawach Naczelnego Wodza w Sztapie Generalnym, w których brał udział wraz z Rozwadowskim i Weygandem. Wszystko to pomieścić zdołał, zachowując przy tym niezachwiany spokój i wiarę w zwycięstwo w najcięższych nawet momentach. Udzielało się to wszystkim, pracującym pod jego rozkazami. Odegrało również niemało ważną rolę jeśli chodzi o postawę rządu, szczególnie kiedy Piłsudski — 12 sierpnia — wyruszył na front, nim — 18 sierpnia — powrócił do Warszawy już jako zwycięzca, kierujący niezmordowanym i rekordowo szybkim pościgiem za uciekającą w popłochu masą czterech armii sowieckich.

Piłsudski żywy

Na wrywki tylko zilustrowałem współpracę Szefa z Komendantem w czasie (1919-1920) jej największego napięcia, uwiecznionego historycznym tryumfem.

Powróć — na zakończenie — do drugiego tematu mych uwag na marginesie historii: charakterystyki Józefa Piłsudskiego. Nie nadaje się jego postać, ani saga jego życia, do łatwego ujęcia w pięknych przymiotnikach, ani w suchym wyliczeniu faktów. Nie wstąpił on wprost z kolebki na cokolwiek wielkości; ani też nie

którym spływają bez zmiany wszystkie przeżycia, zawody czy tryumfy. Jak każdy człowiek czynu i walki, osiągnął satysfakcję bezgranicznego zaufania szeregów, które szły za nim; było to jednym ze źródeł jego siły. Doznał też ciężkich i dotkliwych krzywd ze strony swych przeciwników. Nie załamano się pod cio-
sami. Nie mogło to jednak minąć bez śladu. Żywym ludziom, w prawdziwym życiu to się nie zdarza. Nie mogło zniknąć z jego pamięci, że w 1920 r. karmiono idących na front żołnierzy oskar-
żeniami nie tylko nieudolności, lecz zdrady przeciw Naczelnemu Wodzowi. Zaś po grudniu 1922 roku, po łamaniu świeżo uchwa-
lonej konstytucji próbą sterroryzowania Zgromadzenia Narodo-
wego, po zabójstwie pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej —
dawny optymizm, a nawet „marzycielstwo” Piłsudskiego uległo
zmianie. Z goryczy, której wówczas nabrał, nie otrząsnął się już.

Zmienił też swe metody postępowania. Nie przestały jednak
nigdy działać podstawowe cechy jego wielkości: dar przewidywa-
nia, decyzji, inicjatywy. Jego praca późniejsza zmierzała głównie
do zapobieżenia groźbie nadciągającej od zachodu. Już w roku
1922 po zawarciu przez Niemcy z Rosją sowiecką „traktatu przy-
jaźni w Rapallo” wskazał z całym naciskiem rządowi Ponikow-
skiego że stawia to Polskę w stanie zagrożenia. Po odejściu od
władzy sygnalizował, że traktaty lokarneńskie z 1925 r. po-
większają zagrożenie przez osłabienie siły wiążącej naszego so-
juszu z Francją. Gdy do władzy w 1926 r. powrócił, dokładał
wszelkich starań aby sojusz ten utrzymać w mocy przeciw coraz
wyraźniejszym tendencjom ówczesnych rządów francuskich. (T.
Komarnicki: „Józef Piłsudski a polityka mocarstw zachodnich”).

Wreszcie, w ciągu trzech ostatnich lat swego życia czynił
wszystko co leżało w jego mocy aby przekonać mocarstwa za-
chodnie o konieczności prewencyjnego działania przeciw odweto-
wym planom Hitlera. Pisał o tym w dwadzieścia pięć lat później
jeden z najlepszych znawców polityki światowej: „Dwukrotnie
w ciągu jednego roku (Piłsudski) proponował Francji akcję
zbrojną przeciwko Niemcom, gdy był jeszcze czas”. (Lord Van-
sittart: „The Mist Procession”).

Nie znalazł posłuchu. A przecie odmiennie mogłaby się po-
toczyć historia gdyby powiodła się inicjatywa Piłsudskiego we
właściwym czasie. Zamiast tego oskarżono o burzenie pokoju nas,
a Hitlerowi dano 6 lat czasu dla zbudowania potęgi, która za-
trzęsła światem.

B. MIEDZIŃSKI

Sprawy i troski

Wywiad z prezesem ZNP A. Mazewskim

Sledząc zmiany zachodzące w życiu Polonii amerykańskiej,
Redakcja „Kultury” zwróciła się do nowoobranego prezesa Pol-
skiego Związku Narodowego, mec. Alojzego Mazewskiego, z pro-
pozycją przeprowadzenia rozmowy na temat zadań jakie stoją
dziś przed zorganizowaną społecznością polonijną w Ameryce
i jej przywódcami. Oto relacja red. Edwarda Puacza.

Rozmowę naszą — zwracam się do prezesa A. Mazewskiego —
chciałbym zacząć od pewnego wspomnienia. Przed trzema laty,
po przyjeździe do Ameryki, złożyłem wizytę ówczesnemu prezeso-
wi Z.N.P. mec. K. Rozmarkowi, który przyjął mnie w tym sa-
mym gabinecie, w którym dziś rozmawiamy. Z okien gabinetu
rozciągał się widok na polonijne centrum. Na wprost stał jeszcze
historyczny Dom Wydawnictw Dyniewicza, obok gmach „Dziennika
Chicagowskiego”, nieco bliżej ulicy Milwaukee stał budynek,
w którym przez 30 lat mieścił się Związek Polskich Socjalistów
i redakcja „Gazety Ludowej” a w około dużo było polskich skle-
pów i przedsiębiorstw, zasiedziały tu od dziesiątek lat.

Popatrzmy, Prezesie, dziś przez te same okna. Nie ma śladu
po budynkach historycznych, ani po domach oblepionych polski-
mi szyldami. Przed nami wiele hektarów pustej przestrzeni. Wy-
burzono tu dziesiątki budynków. Wyludniono stare polskie para-
fie, zapewniając, że powstanie tu nowa, piękniejsza dzielnica po-
lonijna, do której powrócą ci, co się teraz rozproszyli. Dziś jed-
nak już wiemy, że był tylko plan zburzenia starej dzielnicy po-
lonijnej i jeszcze nie ma pewności, co kiedy i dla kogo będzie
zbudowane. Nie mówi się już, że to jest polska dzielnica w
Chicago, mówi się, że tu była kiedyś dzielnica polonijna.

Obrazek ten jakoś dziwnie przypomina mi życie społeczne
Polonii. Stare formy życia zbiorowego wykuszają się jak stare
domy, a nowe nie narastają. Jest pustka, jak na tym wyburzo-
nym placu za oknami. I co dalej? O to pytam Pana, Prezesie,
któremu 35 Sejm Związku Narodowego Polskiego powierzył dzie-

ło odrodzenia życia polonijnego a Pan zwycięstwo swoje osiągnął pod hasłem „Czas na zmianę!”. Co powinno się ostać z przeszłości a co z duchem czasów zmienić?

mec. Mazewski: — „Związek Narodowy Polski powstał w 1882 r. dla wspierania walki o odzyskanie niepodległości Polski oraz w celu utrzymania na obczyźnie więzi narodowej i niesienia bratniej pomocy, między innymi w formie wzajemnych ubezpieczeń na życie. Działalność patriotyczna była magnesem ściągającym członków a dochody z ubezpieczeń pozwalały Związkowi rozwijać działalność narodową, społeczną i kulturalną.

P.: — Ale wydaje mi się, że po II wojnie nastąpiło zwichnięcie równowagi między społeczną i ubezpieczeniową działalnością Związku, z uszczerbkiem dla pierwszej.

M.: — Zgadzam się i to trzeba wyprostować. Będziemy szukać nowych form działania organizacyjnego i społecznego, które powinny pozwolić nam dotrzeć do pokolenia młodych Amerykanów polskiego pochodzenia i zachęcić ich do udziału w naszym polonijnym życiu społecznym. Już przystąpiliśmy do porządkowania trzech zasadniczych działań naszej pracy organizacyjnej — rozwoju członkostwa, inwestycji i organizacji pracy związkowej. Zdajemy sobie sprawę, że życie Polonii poczęło się i rozwijało w klimacie getta narodowościowego i że dzisiaj nie ma już getta, ale pozostały organizacje, którym potrzebny jest zastrzyk nowych sił i nowych idei, aby mogły się w nowych warunkach rozwijać.

P.: — A więc nowy klimat, i na czym to ma polegać?

M.: — Przede wszystkim chcemy skończyć z absolutyzowaniem władzy związkowej i zdemokratyzować nasz styl pracy organizacyjnej. Jeżeli trzeba będzie rozstrzygać sprawy dotyczące całej Polonii to zastosujemy system konsultacji między prezesami większych polskich organizacji, aby działać zgodnie. Trzeba będzie również przywrócić poszanowanie dla różnicy zdań i poglądów w działalności społecznej i narodowej. Jeszcze przed 35 Sejmem Z.N.P. złożyłem przyrzeczenie, że, gdy zostanę wybrany prezesem Z.N.P., to zwołam konferencję polskich naukowców i intelektualistów, aby razem z nimi zastanowić się nad sposobami ożywienia życia polonijnego i osiągnięcia celów, jakie sobie wyznaczymy. Przyrzeczenia tego dotrzymam, bowiem bez powszechniejszej mobilizacji sił i talentów niewiele da się dokonać.

Ostatnia wojna wyrzuciła na amerykański brzeg tysiące polskich naukowców i specjalistów w różnych dziedzinach. Nasi przywódcy nie skorzystali z tej błogosławionej okazji i pozwolili, by ten kwiat inteligencji polskiej rozpełzł się po fabrykach i biurach, ze szkodą dla wielu z nich i dla Polonii. W czasach kiedy do Ameryki emigrowała z Polski głównie biedna ludność wiejska, jej jedynymi bodaj przewodnikami i opiekunami na obcej ziemi byli księża, a życie społeczne skupiało się przy polskich parafiach. Od tamtych czasów do Ameryki przybyło wielu światłych Polaków, wykształcił się spory zastęp młodzieży polonijnej, po-

szerzyła się baza inteligencji polskiej i na niej spoczywa dziś obowiązek troszczenia się o rozwój kulturalny i obronę interesów polskiej grupy etnicznej w Stanach Zjednoczonych.

P.: — Prosiłbym o sprecyzowania Pana stosunku do zagadnienia laicyzacji życia społecznego Polonii.

M.: — Związek Narodowy Polski nigdy nie był organizacją kościelną, lub religijną, lecz świecką. Sprawy religijne, wyznaniowe, traktowano jako sprawy osobiste każdego członka i nie poddawano kontroli związkowej. Cenzusu wyznaniowego nasz statut nie przewiduje. Wysoko cenimy jednak pracę duszpasterską i narodową polskiego duchowieństwa w Ameryce. Jestem synem emigrantów z Polski, ale sam nigdy w Polsce nie byłem i języka polskiego nauczyłem się w polskiej szkole parafialnej.

Jest to przykład typowy, ponieważ Polonia amerykańska fundując kilkadziesiąt kościołów i utrzymując polskie parafie czyni to z potrzeb religijnych i narodowych również, aby nasza diaspóra miała gdzie uczyć się języka polskiego. Dlatego też problem utrzymania polskich parafii, w dzielnicach miejskich o większym odsetku ludności pochodzenia polskiego, posiada dla nas podwójne znaczenie — religijne i narodowe, co trzeba przypominać. Sobór Watykański wprowadził równouprawnienie języków w Kościele Katolickim. Nie widzę więc powodów czemu nasze polskie kościoły nie miałyby z tego prawa korzystać.

P.: — Jak Pana zdaniem układają się stosunki pomiędzy dawną i powojenną emigracją polską w Ameryce?

M.: — Będę mówił o naszym Związku. Na 35 Sejmie Z.N.P. było 49 posłów reprezentujących emigrację powojenną, czyli 12% ogólnej liczby posłów. Nowa emigracja powinna — moim zdaniem — liczniej wstępować do Z.N.P. i uaktywniać się w pracy społecznej. Znamy przypadki utrudniania przedstawicielom emigracji powojennej zajmowania odpowiedzialniejszych stanowisk w naszym Związku i będziemy się temu przeciwstawiać. Rozłożymy jednak winę sprawiedliwie i powiemy, że ta nowa emigracja sama niechętnie się skupia, zakłada dużo własnych klubów i klubików, gdzie nie rzadko wyżywają się ambicje i ambicjyki pozbawione treści społecznej. Przypuszczam, że ten problem najsilniej nabrzmiał na terenie Polonii chicagowskiej, bowiem poza Chicago, ci spośród nowej emigracji, którzy do Z.N.P. wstąpili i chcieli pracować, zyskiwali należne im stanowiska.

P.: — Aby wyczerpać problematykę tutejszego życia chciałbym zapytać Pana, jak układa się współpraca polskiej grupy etnicznej z emigracjami innych narodowości Europy Wschodniej?

M.: — Współpracy tej właściwie nie było wiele. Nas ten problem będzie interesował, ponieważ w obecnych warunkach życia amerykańskiego porozumienie grup etnicznych z Europy południowo-wschodniej stanowić może o wzmocnieniu naszych wpływów w Waszyngtonie i we władzach lokalnych, a tym samym może słu-

żyć obronie naszych pozycji w życiu amerykańskim. Jeśli ta współpraca da praktyczne wyniki, stanie się pomocną w zacieraniu zastarzałych uprzedzeń.

P.: — Z różnych, nieprzychylnych nam, stron lansowane są opinie, że Polonia amerykańska odnosi się niechętnie do problemu równouprawnienia Murzynów. Jakie jest Pana zdanie w tej sprawie?

M.: — Zaprzeczam tej opinii. Problem murzyński narodził się w Ameryce w czasach kiedy Polaków tu jeszcze nie było i narzynał bez żadnej z naszej strony ingerencji.

P.: — A po czyjej stronie, według Pana, ulokowane są sympatie Polonii w konflikcie arabsko-izraelskim?

M.: — Przekonany jestem, że znaczna większość Polonii sympatyzuje z Izraelem. Naród, który przeszedł 2.000 lat prześladowań i potworną masakrę z rąk hitlerowskich powinien wreszcie mieć swoje miejsce pod słońcem, gdzie mógłby rozwijać swoje narodowe życie. Ponadto, sytuacja Izraela, pod wieloma względami, przypomina położenie Polski w ostatnich 200 latach. Potężni sąsiedzi ciągle dążyli do wykreślenia Polski z mapy świata. Te same zamiary mają Arabowie wobec Izraela. To również przyczynia się do naszej dla nich sympatii.

P.: — Wiem, że jest Pan Republikaninem i jako taki nie pochwalam Pan Planu „Wielkiego Społeczeństwa”, który lansuje prezydent Johnson. Czy to stanowisko nie koliduje z interesami Polonii, która — wbrew zakorzenionym w Europie mniemaniom — posiada niewielu milionerów, natomiast wielu takich, którzy z Planu Johnsona mogliby może skorzystać?

M.: — Po pierwsze amerykańskie życie polityczne nie uznaje dyscypliny partyjnej w pojęciu europejskim. W Kongresie amerykańskim nieraz dochodzi do koalicji republikańsko-demokratycznej dla poparcia lub obalenia projektu rządowego i nieraz wbrew zaleceniom kierownictwa partii. Nikt z tego powodu nie jest karcony, że zajął stanowisko inne niż jego partia, ponieważ wymagał tego interes jego wyborców, lub taki był jego pogląd. Ale to jest tylko moja uwaga ogólna.

Natomiast nie entuzjazmuję się Planem Wielkiego Społeczeństwa ponieważ nie wierzę, aby w obecnym ujęciu plan ten był realny i mógł wpłynąć na poprawę położenia ludności mniej zarabiającej. Jest to raczej plan rozbudowy biurokracji i podnoszenia stopy życiowej przez system danin nie rekompensowanych żadnym świadczeniem społecznie użytecznym. Mamy sporo przykładów europejskich, że przerost opiekuńczych obowiązków państwa wcale nie jest tak korzystny dla społeczeństwa, jakby mogło się wydawać. Stosunki amerykańskie dają każdemu kto chce pracować, więcej szansy na awans społeczny i ekonomiczny, niż jakikolwiek inny kraj na świecie i dlatego ściągają tu emigranci zewsząd. Polonia tutejsza dorabiała się ciężką pracą. Do-

maga się ona zabezpieczenia na starość i na wypadek choroby, ale nie sądzę, aby wielu łudziło się, iż starczy rogu obfitości, kiedy zbraknie chętnych do pracy.

P.: — Niewątpliwie jest to problem kontrowersyjny, ale dla nas niemniej kontrowersyjne będzie pytanie jak Pana zdaniem powinny układać się stosunki między Polską i Polonią?

M.: — Nasza więź z narodem polskim jest wiecznie żywa. W pierwszej wojnie światowej Polonia wystawiła Błękitną Armię, która o wolność Polski walczyła, w obu wojnach organizacje nasze broniły spraw Polski, niosły pomoc dla kraju i zabiegały u rządu amerykańskiego o pomoc dla narodu polskiego. Nie zaniebując żadnej możliwości służenia sprawie Polski pamiętajmy o zmianach jakie stale zachodzą w strukturze Polonii amerykańskiej. Mam to na myśli, że coraz mniej jest wśród nas osób urodzonych w Polsce i tu przybyłych jako emigranci, natomiast coraz więcej jest Amerykanów polskiego pochodzenia, tu urodzonych i ten fakt decyduje o naszych obowiązkach wobec amerykańskiej ojczyzny. Idzie o to, aby wzrastał nasz udział w życiu amerykańskim, by podnosił się autorytet polskiej grupy etnicznej i jej wpływy. W tym celu musimy popierać kształcenie młodzieży polonijnej, uczestniczyć w amerykańskim życiu politycznym i społecznym, emancypować się gospodarczo. I musi się wzmacniać autorytet naszych organizacji społecznych z Z.N.P. na czele.

W ten sposób pomagamy nie tylko Polonii amerykańskiej, lecz również zyskujemy większe możliwości bronięcia interesów narodu polskiego na gruncie amerykańskim. Z.N.P. nie jest organizacją polityczną i nie może się włączać do wewnętrzno-politycznego życia Polski, gdzie gospodarzem powinien być naród polski. Znając niezłomną postawę narodu polskiego i jego przywiązanie do wolności, z ufnością patrzę w przyszłość Polski. Uważam, że o tej przyszłości zadecyduje postawa kraju a nie emigracji.

Jeśli idzie o aktualny rozwój stosunków Polonii z krajem, to uważam, że w interesie Polski i Polonii leży, aby ożywić kontakty i wymianę kulturalną, naukową i artystyczną, aby turystyka i wizyty rodzinne między obu krajami nie były ograniczane podmuchami zimnej wojny albo próbami odizolowania narodu polskiego od jego historycznych i kulturalnych związków z Zachodem. Powinniśmy też mocno i jednomyślnie bronić nienaruszalności granic Polski na Odrze i Nysie, aby narodowi w kraju zapewnić warunki spokojnej pracy dla lepszego jutra.

Oczywiście, Polonia amerykańska nie popiera rządów komunistycznych w Polsce. Stoimy jednak na stanowisku, że za istniejący stan rzeczy nie można winić narodu polskiego ani dopuszczać, by antykomunizm przyjmował formy działalności antypolskiej, czego przykładem mogą być wystąpienia rewizjonistycznych kół niemieckich w Ameryce.

Człekopies czyli sukinsynologia

„Rokiem Bułgakowa” nazwano włoski rok wydawniczy 1967. Serię zaczęła *Powieść teatralna*, zabawna zbeletryzowana wersja perypetii Bułgakowa ze Stanisławskim i z MChAT-em w związku z przeróbką *Białej Gwardii na Dni Turbinów* (*Powieść teatralną* drukował w roku 1966 po polsku nigdy nie dość chwalony *Dia-log*). Potem aż trzy edycje *Mistrza i Małgorzaty*, w tym jedna przywracająca wszystkie skreślenia dokonane przez cenzurę sowiecką w wydaniu moskiewskim. Dalej *Brzemienne jaja — Roko-wyje jajca* — i pełny tekst *Białej Gwardii* (znany dotąd tekst zawierał tylko dwie pierwsze części powieści). Wreszcie *Psie serce* — *Cuore di cane*. Przekładowi tej krótkiej powieści Bułgakowa towarzyszy nota wydawcy: „Napisane w roku 1925 i natychmiast zagrzebane przez samego autora, *Psie serce* wylądowało w końcu w Archiwum Bułgakowa przy Bibliotece Lenina w Moskwie, skąd ostatnio wymknęło się przez jakąś tajemniczą szczelinę. Ilość przemyconych na Zachód odpisów na maszynie zdaje się dowodzić, że manuskrypt krąży w Rosji z rąk do rąk”. Wydanie włoskie — *un inedito mondiale* — zaopatrzone jest również w dwa ciekawe dokumenty: jeden to list Bułgakowa do Stalina z 28 marca 1930 roku, drugi to transkrypcja rozmowy telefonicznej Stalina z Bułgakowem z 18 kwietnia tegoż roku. Oba należy tu przytoczyć przed omówieniem *Psięgo serca*.

„Mogę wykazać z dowodami w rękę, że w latach mojej działalności literackiej cała prasa sowiecka i wszystkie instytucje zajmujące się kontrolą repertuaru teatralnego zdążyły zgodnie i z niezwykłą zawziętością do jednego celu, który da się określić tak: utwory Michaiła Afanasjewicza Bułgakowa nie posiadają prawa obywatelstwa w Związku Sowieckim. Oświadczam, że prasa sowiecka ma zupełną słuszność. Prasa niemiecka twierdzi, że mój dramat *Bagrowy ostrow* jest pierwszym wystąpieniem w obronie wolności słowa drukowanego w ZSSR. To prawda. Rozpoznaję się w tym twierdzeniu. Uważam walkę z wszelką

cenzurą, niezależnie od tego w czyich jest rękach, za mój obowiązek pisarza; to samo dotyczy walki o wolność literatury. Jestem gorącym orędownikiem tej wolności; według mnie pisarz, który uważałby ją za zbędną, podobny byłby do ryby głoszącej publicznie że nie potrzebuje wody.

„Oto więc jedna z cech charakterystycznych mojego pisarstwa, która wystarcza sama przez się by moim utworom odmówić prawa obywatelstwa w ZSSR. Ale łączy się ona z innymi cechami charakterystycznymi, wyłaniającymi się z moich powieści satyrycznych: ciemne i mistyczne (jestem pisarzem mistycznym) barwy, jakich używam dla odmalowania potwornych absurdów naszego życia powszedniego, trucizna jaką przesycony jest mój język, głęboki sceptycyzm wobec procesu rewolucyjnego w moim zacofanym kraju, procesu któremu przeciwstawiam Wielką Ewolucję, i przede wszystkim odmalowywanie pewnych okropnych właściwości mojego narodu, tych samych które na długo przed rewolucją tak strasznie dręczyły mojego mistrza Sałykowa-Szczedrina. Zbyteczne dodawać że prasa sowiecka nie pomyślała nawet o zauważeniu tego wszystkiego, zajęta szczerzeniem opinii o „oszczerzym” charakterze satyry Bułgakowa. Raz tylko, u progu mojej twórczości, napisano o mnie z odcieniem wyniosłego zdumienia: „Bułgakow chce się stać satyrykiem naszej epoki”. Niestety, czasownika „chcieć” użyto w czasie teraźniejszym, gdy tymczasem bardziej na miejscu byłby czas przeszły niedokonany. Bułgakow stał się pisarzem satyrycznym w okresie, kiedy satyra wkraczająca w rejony zakazane nie może być absolutnie tolerowana. Nie mnie przypadł zaszczyt wyrażenia w druku tej wywrotowej myśli. Zrobił to W. Blum w artykule, którego sens sprowadza się do krótkiej i zachwycająco precyzyjnej formuły: każdy pisarz satyryczny w ZSSR zagraża ustrojowi sowieckiemu. Czy można dopuścić, by pisarz typu Bułgakowa istniał w ZSSR?”

„Oto wreszcie inne znamiona moich odrzuconych utworów (dramaty *Dni Turbinów* i *Ucieczka*, powieść *Biała Gwardia*): uparte przedstawianie inteligencji rosyjskiej jako najlepszego elementu naszego społeczeństwa. Obraz inteligentkiej rodziny pochodzenia drobnoszlacheckiego, rzuconej przez nieuniknione fatum historii do obozu Białych, mieści się w tradycji *Wojny i pokoju* i jest całkowicie zgodny z postawą pisarza zrośniętego więzami krwi z inteligencją. Ale w ZSSR to wystarczy by wystawić autorowi, choćby nawet usiłował zachować bezstronność, świadectwo białogwardzisty czyli wroga; z takim piętnem na czole wolno go uznać raz na zawsze za żywego trupa w Związku Sowieckim.

„Mój portret literacki jest skończony; jest on także moim portretem politycznym. Nie wiem jaką jeszcze ciężką zbrodnię można w nim wykryć, ale chciałbym prosić o jedno: aby nie szukano niczego więcej poza tym, co sam w zgodzie z własnym sumieniem powiedziałem. Analizując przechowywane przeze mnie wycinki z prasy sowieckiej, stwierdziłem że w ciągu ostatnich

dziesięciu lat poświęcono mojej twórczości 301 recenzji, z czego 3 pochlebne a 298 napastliwych i obelżywych. Te ostatnie są wiernym zwierciadłem mojego życia pisarza. Jestem teraz zniszczony, moje zniszczenie zostało przyjęte z zadowoleniem przez publiczność sowiecką, określono je nawet jako „sukces”. R. Pikel, komentując w *Izwiestiach* moje unicestwienie, był łaskaw wyrazić myśl liberalną („Nie zamierzamy twierdzić że nazwisko Bułgakowa zostało wykreślone z listy dramaturgów sowieckich”) i zostawić uduszonemu pisarzowi pewną nadzieję w pocieszeniu że ostracyzm godzi „tylko w jego dawne utwory”. Postępowanie Komitetu dla Spraw Repertuaru dowodzi jednak, że liberalizm Pikela jest absolutnie nie miarodajny. Niszczy się nie tylko moje dawne utwory, lecz również obecne i przyszłe. Ja sam wrzuciłem do pieca szkic *Powieści o Diablu* i nowej komedii, oraz początek powieści *Teatr*. Nie ma dla moich utworów nadziei. Zwracam się do rządu ZSSR z prośbą, by nakazano mi natychmiastowe opuszczenie kraju. Apeluję do ducha humanitarnego władz sowieckich i proszę aby pozostawiono mi swobodę ruchów jako pisarzowi, który we własnej ojczyźnie jest niepotrzebny i bezużyteczny. Gdyby to co wyżej napisałem okazało się nie przekonujące, i gdybym miał być skazany na dożywotnie milczenie w ZSSR, proszę by rząd sowiecki zatrudnił mnie zgodnie z moimi kwalifikacjami w charakterze reżysera lub aktora teatralnego. Ofiarowuję rządowi ZSSR moją współpracę uczciwego reżysera i aktora, wolnego od podejrzeń o sabotaż, gotowego do wystawiania wszelkich sztuk, od szekspirowskich do współczesnych. Gdyby i to było niemożliwe, proszę o pracę statysty. A jeśli nie mogę się ubiegać nawet o pracę statysty, proszę o zatrudnienie mnie w personelu technicznym jakiegokolwiek teatru. Gdyby zaś i to okazało się niemożliwe, proszę rząd sowiecki by zrobił jak uważa, ale by zrobił cokolwiek, gdyż tak jak się sprawy mają dzisiaj ja, dramaturg i autor pięciu sztuk teatralnych znany w ZSSR i zagranicą, stoję w obliczu nędzy, tułaczki i śmierci”.

Stalin zatelefonował do Bułgakowa w trzy tygodnie później. Rozmowę utrwaliła w swoim dzienniku żona pisarza.

Stalin: „Otrzymał mi wasz list. Przeczytałem go wraz z towarzyszącymi. Otrzymacie odpowiedź przychylną. Nie wydaje mi się, że należałoby wam zezwolić na wyjazd zagranicę. Powiedzcie, takeśmy wam dokuczali?”

Bułgakow: „W ostatnich latach zastanawiałem się często, czy pisarz rosyjski może żyć poza granicami swego kraju; wydaje mi się, że nie.

Stalin: „Macie rację. Ja też tak myślę. Gdzie chcecie pracować? W MChAT-cie?”

Bułgakow: „Tak, ale już mi tam odmówiono.

Stalin: „Napiszcie podanie. Sądzę, że się zgodzą...”.

Dzięki tej rozmowie i jej błyskawicznemu skutkowi Bułgakow mógł poświęcić ostatnie dziesięć lat swego życia między innymi pracy nad *Mistrzem i Małgorzatą* i *Powieścią teatralną*, dwiema

książkami które *in nuce* istniały już zapewne w rzuconych do pieca brulionach *Powieści o Diablu* i *Teatru*.

◆

Bułgakow naszkicował w tym liście istotnie swój „portret literacki i polityczny”. Nie złąkł się definicji „pisarza mistycznego”, jak trafnej i słusznej wiemy dziś po lekturze *Mistrza i Małgorzaty*. Wyłożył otwarcie problematykę *Białej Gwardii*, powieści którą wysoko cenił Pasternak (wdzięcznym zadaniem dla krytyka byłoby ustalenie jej stopnia pokrewieństwa z *Doktorem Żiwago*). Co jednak najważniejsze dla celów niniejszej noty, zadeklarował swój „głęboki sceptycyzm wobec procesu rewolucyjnego w zacofanej Rosji” i swoją jedyną, choć równocześnie dość rozpaczną, wiarę w Wielką Ewolucję; zrobił to naturalnie jako pisarz satyryczny i uczeń Sałtykowa-Szczedrina, jako autor *Brzemiennych jaj* i *Psiego serca*.

Oba opowiadania powstały w tym samym roku 1925, najpierw *Rokowyje jaja* wkrótce potem *Sobaczyje sierdce*. W pierwszym znakomity zoolog Piersikow odkrywa przypadkowo „czerwony promień spotęgowanego życia” i nie z własnej winy, przez pomyłkę biurokratyczną (wobec katastrofalnego pomoru drobiu zapada decyzja wykorzystania wynalazku w jednym z kołchozów, ale zamiast jaj kurzych nadchodzą do kołchozu przeznaczone dla laboratorium uczonego jaja węże i krokodyle), daje początek procesowi błyskawicznego rozmnażania się w Rosji gigantycznych gadów i innych stworów, zagrażających ludności wsi i miast; człowiek jest wobec tej plagi bezsilny, zawodzą nawet ekspedycje oddziałów wojskowych w pełnym rynsztunku bojowym; kładą jej dopiero kres dwa dni nieoczekiwanego i ostrego mrozu w połowie... sierpnia. Natura przywraca tu więc sama naruszony porządek, ostrzegając jakby na przyszłość magów laboratoryjnych, zajętych podglądaniem jej tajemnic i naginaniem jej praw, że poza pewną granicą ich uczone czarnoksiężstwo staje się szaleństwem. Jest rzeczą znamionną że Piersikow, w intencjach przynajmniej dobroczyńca ludzkości, pada ofiarą rozwścieczonego tłumu gdy jego odkrycie obraca się przeciw ludziom. Czytane dzisiaj, *Brzemienne jaja* mają w sobie bez wątpienia coś profetycznego (problem obosieczności energii atomowej), trzymają się jednak schematu żartobliwej dydaktycznej alegorii, wysnutej z przekonania o wiecznym, nieprzeniknionym i nieykonalnym marginesie suwerenności sił przyrody. Ostatecznie „czerwony promień spotęgowanego życia” mógłby się być okazać w skromniejszej i dopuszczalnej mierze wcale użyteczny, gdyby nie gorączka jego natychmiastowej aplikacji. Faust z tego opowiadania Bułgakowa zasługuje jeszcze na rozgrzeszenie, służy tylko autorowi do ironicznego mrugnienia okiem w stronę człowieka kartezyjańskiego, „władcy i przewodnika sił przyrody”. Gorzej z jego następcą w *Psim sercu*.

Sławny chirurg Preobrażenskiej, od lat pracujący nad sposobami odmłodzenia organizmu ludzkiego, przeszczepia na próbę pocziwemu psu-przybłądnie przysadkę mózgową chuligana zakłutego w bójkę nożowniczej. Powstaje z tego nie bardziej „ludzki” pies, lecz psi chuligan z pretensjami do inteligencji, postrach domowników, rozpijaczony chamuś i donosiciel, „polityk komunistyczny” z gębą pełną frazesów o „proletariacie” i „społeczeństwie bezklasowym”, „cytozwierz” wyszczekujący od czasu do czasu złote myśli ojców marksizmu, a w końcu miejski hycel (to jest pomysł naprawdę godny Sałtykowa-Szczedrina). Przerażony chirurg dokonuje operacji odwrotnej, czyli przeszczepia na dawne miejsce przysadkę mózgową psa, a do słoika wkłada przysadkę mózgową chuligana. W domu zapanowuje nareszcie spokój, pocziwy pies drzemie znowu jak dawniej obok kominka zadowolony że los zapewnił mu na codzień ciepłe legowisko i miskę żarcia, ale w epilogu noweli nasz Preobrażenskiej, nucąc pod nosem arie operowe, zaczyna na powrót grzebać w słoiku z przysadką mózgową chuligana, gotów najwidoczniej do dalszych eksperymentów i bynajmniej nie zrażony dotychczasowym niepowodzeniem. Co w *Brzeziennych jajach* było jedynie alegorią, staje się tu symbolem. Symbolem niewymiennego ludzkiego czy psiego serca (oczywiście metaforycznego, bo prawdziwe przeszczepiono właśnie w Południowej Afryce). Ostrze satyry Bułgakowa zwraca się przeciw manii „radykalnej chirurgii rewolucyjnej”, „szybkich biegów na przełaj” omijających długą, powolną i krętą drogę ewolucji. *Mistrza i Małgorzatę* otwiera motto z *Fausta* Goethego: „Czegóż w końcu chcesz? Jestem częścią tej siły, która wiecznie pragnie zła i wiecznie spełnia dobro”. Faust z *Psięgo serca*, zresztą (co wzbogaca satyrę o dodatkową perspektywę) nadęty i komiczny kołtun sowiecki, mógłby z myślą o sobie odwrócić to motto: „Czegóż w końcu chcesz? Jestem częścią tej siły, która wiecznie pragnie dobra i wiecznie spełnia zło”. W całej swojej twórczości Bułgakow świadomy był owego sprzężenia dialektycznego między dobrem i złem. Na wyższej kondygnacji szukał przed nim ucieczki w mistycyzmie *Mistrza i Małgorzaty*; na niższej bronił się przed nim szczedrinowskim śmiechem *Brzeziennych jaj* i *Psięgo serca*.

Człkopies Bułgakowa nie był osamotniony we wczesnej literaturze sowieckiej. Nie mówiąc o dalekim powinowactwie z bohaterem *Pluskwy* Majakowskiego, miał brata przyrodniego w „osobie” orangutanga z *Pao-Pao* Selwskiego, któremu przeszczepiony mózg człowieka pozwala zrobić błyskotliwą karierę polityczną. Ale nikt tak jak Bułgakow nie utrafił w newralgiczny punkt porewolucyjnej sukusynologii, wkładając — niby szydercze berło — w łapy człekopsa hyclowskie lasso... Że jest ona aktualna i nadal, świadczą odpisy *Psięgo serca* kolportowane gorliwie na współczesnym rosyjskim czarnym rynku czytelnicy.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Obrazy Witolda

Imię WITOLDA K. (aczanowskiego) jest dobrze znane paryskim miłośnikom malarstwa nowoczesnego. Witoldowi K. nie potrzeba „odkrywczych” artykułów, artykułów pochwalnych czy po prostu przedstawiających. Odważę się nawet powiedzieć, że Witold K. jest za bardzo znany, co dzisiaj jest niestety normalnym objawem tej, nieodzownej, nowoczesności; w Paryżu trzeba o jakimś malarzu wpraw „wiedzieć”, dopiero potem idzie się na wystawę.

Moja znajomość z obrazami Witolda była zupełnie stereotypowa: kiedyś dostałem prospekt pewnej galerii, potem katalog wydawnictwa. Jeszcze dokumentacja. Rozmowa z pewnym wybitnym pisarzem na temat malarstwa Witolda K. Oczywiście widziałem też kilka obrazów i litografii ale, szczerze mówiąc, nie miałem odwagi jedynie na podstawie tych urywkowych wiadomości zdecydować się na własną opinię, jak zawsze byłem bardzo ostrożny i nawet może trochę oziębły w stosunku do malarzy, których bardzo szybko i z dużym *fortissimo intellectualem* chwali krytyka paryska. „*La peinture de Witold K., pour aussi sombre qu'elle soit, est un nouveau moment reussi de l'art d'aujourd'hui, et son auteur l'un des très grands peintres de demain. A voir absolument!*”. Mocne. Po takich słowach należy się mocno zastanowić. Zobowiązujące. Czytam dalej: w *Arts* znany krytyk paryski Jean-Jacques Levêque paraduje intelektualną elegancją, która jest tym cenniejsza, że nie zawsze mu się udaje: „... *pour exprimer une 'dimension humaine',... la suggestion très vivace d'une sorte d'état insupportable de pesanteur réduit chaque personnage à son état 'primaire'. N'est-ce pas, finalement, le dernier soupir de l'espèce humaine, et à la fois, son premier balbutement, saisi comme si le monde allait recommencer!*”. Może trochę za bardzo nowoczesne z tym wyrafinowanym prymitywizmem. Jakoś za bardzo *à la page*. Fałszywe? — bynajmniej, ale... „ładne”. W belgijskiej *Nouvelle Candide* metafizyka i literatura pojawiają się w tej samej tonacji. Potem nieodzownie wypływa na powierzchnię polskości twórcy, jak ten znak rozpoznawczy, świadczący o autentyczności uczuć, *testimonio veritatis*. Przeanalizowawszy dużą ilość krytyk orientuję się, że dla zachodnioeuropejskiej krytyki Witold K. jest po części (a może nawet w samej istocie) symbolem pewnej Polski, tym niejako oficjalnym *cliché* dzisiejszej, zintelektualizowanej i zbuntowanej Polski. (Francuzi też mają swoje stereotypy i to specjalnie w stosunku do modnych tematów, do których nieodzownie należy współczesna kultura krajów z „tamtej strony”. Potrzeba egzotyki?... tej jedynej w dzisiejszym świecie egzotyki społeczeństwa odmiennego układu społecznego,

1. *Pariscope*, maj 1966, z okazji wystawy w galerii „3+2”.

egzotyki psychologicznej). Symbol — Stereotyp. Wydaje mi się, że w pewnym momencie malarstwo Kaczonowskiego przeszło z pozycji symbolu do grupy stereotypów, do tego zamkniętego kręgu niesprecyzowanych kryptogramów naszego codziennego „myślenia uproszczonego”.

Z malarstwem Witolda K. zetknąłem się po raz pierwszy też na płaszczyźnie tych stereotypów, które jak ślepe ptaki obijają się o przezroczyste ściany naszej leniwej niemożności Myślenia, czyli tak zwanego myślenia „oszczędnościowego”. Były to stereotypy najlepszej (czy może lepiej powiedzieć — najgorszej) jakości, podpisane znanymi nazwiskami, ale tym bardziej niebezpieczne, że są to *clichés* wyobraźni poetyckiej. Może stąd wywodziła się moja pierwotna ostrożność, w stosunku do jednego z najbardziej znanych młodych polskich malarzy w Paryżu. Witold K. był dla mnie nie tylko malarzem, ale tym typowym *le cas Witold K.* Czułem, że ten gotowy, świeżoupieczony na paryskim gruncie *croissant artistique*, łapczywie importowany ze Wschodu, pachnący podniecającą anegdotą polityczno-literacką, nie jest tak prosty, jak niektórzy krytycy chcieliby go sklasyfikować. Nie chciałbym widzieć malarstwa Witolda Kaczonowskiego jako produktu konsumpcji intelektualno-artystycznej, przeznaczonej dla zachodnioeuropejskich widzów. Francuzi mają to do siebie, że uważają że mogą zrozumieć wszystkie inne tradycje kulturalne. Ten brak skromności, czyli przerost „wiedzy o sztuce”, nie pozwala im uświadomić sobie, że granice tego pseudo-zrozumienia są bardzo wąskie i prymitywnie naiwne (*comment peut-on être persan?*). Używają oni osiągnięć innych kultur, produkcji artystów z innych krajów dla bardzo pospolitej konsumpcji życia codziennego, zapominając o tym, że sztuka Picassa ma zupełnie odmienne znaczenie w kontekście katalońskim, aniżeli na paryskim gruncie. W taki sposób zostali „zasymilowani” Wajda, Mrozek, Chopin. Możliwe, że jest to jedyna droga... droga asymilacji. Bałem się, aby nie pójść tymi śladami w wypadku malarstwa Witolda Kaczonowskiego.

Paryskie obrazy Witolda — postacie-mrówki pływające w pustce, gdzie delikatne przejścia bladych pasm kolorów stwarzają iluzję przestrzeni, potem wymykają się, jakby roztapiają w tej pustce przestrzeni międzyludzkiej.

Atmosfera wysterylizowana od wszelkich uczuć. Pozostała tylko beznadziejna izolacja ludzi-mrówek. Czuć grozę braku powietrza (emocjonalnego). Świat Kafki, może lepiej — Hłasko z epoki opowiadań izraelskich. Tak, gdyż u Kaczonowskiego „wszyscy byli odwrócenii...”. Porównanie wydaje się tym celniejsze, że istnieje ten sam stosunek autora do dzieła — malarz ogląda otoczenie z zupełnej oddali. Przetwarza świat w formę plastyczną nie identyfikując się z nim.

Dystans.

Postacie Witolda są czasami bardzo blisko, czasami gdzieś w innym, niższym jakby, świecie, widziane z pracowni na piątym piętrze naprzeciwko katedry Notre-Dame, ale nigdy na tej samej płaszczyźnie co oczy widza. Przezroczysty ekran psychologiczny między światem twórcy a jego dziełem jest zawsze obecny, natrętnie obecny. Może jest najbardziej prawdziwym elementem tej atmosfery, przepojonej melancholią. Niemniej istnienie tego świata kafkowskiej metamorfozy jednostki ludzkiej staje się czasami jakby „za ładne” w swoim jawnym tragizmie. To jedyne mnie zawsze zastanawiało. Ja chciałbym wiedzieć czy są to obrazy Witolda K. czy po prostu Witolda.

Chciałbym poznać Witolda.



Nareszcie mamy spotkanie. Spotkanie w małej galerii „La Pochade” naprzeciwko „Café Flore”, przy samym placu Saint-Germain-des-Prés. Mnóstwo pytań, których nie trzeba zadawać w pośpiechu, duża ilość obrazów, które trzeba spokojnie obejrzeć. Wydaje mi się, że ciągle pływam na powierzchni, operuję w dalszym ciągu tymi samymi *clichés* co inni.

Oglądam ostatnie płaskorzeźby metalowe i obrazy z tego lata. Jedziemy do nowej pracowni przy rue de l'Université. Raptem, na ścianie widzę stary obraz z roku 1959 i... spotykam nareszcie Witolda. Obraz ten jest o wiele bardziej intymny, pogłębiony we własnej problematyce plastycznej i psychologicznej. Do tego rejestru natężenia czysto plastycznego nawiązują ostatnie prace Kaczonowskiego, wykonane w czasie tegorocznego lata — płaskorzeźby metalowe² i obrazy olejne. Czysta abstrakcja znowu bierze górę nad anegdotą literacką. Nareszcie mam Witolda, czułego malarza, który w delikatnych przejściach na granicy dwóch płaszczyzn, oddzielonych od siebie tylko światłocieniem kolorowego półkoła, poszukuje „wrażliwości dramatu światła i materii”, jak on sam mówi. Rozumiem, że te dawne postacie-mrówki to jedyne natrętne wspomnienie, wspomnienie spotęgowane paryskim klimatem tak zwanych miłośników Polski. Wydaje mi się, że obrazy z poprzedniego okresu zawierają część tego elementu.

Jestem szczęśliwy że odnalazłem Witolda, co pozwala mi wierzyć w jego przyszłe dzieła, oczekiwać nowych, ciekawych obrazów, w których mam nadzieję, że Witold weźmie górę. Gdyż on nie został stworzony w Paryżu ani dla Paryża. Witold Kaczonowski jest malarzem z prawdziwego kruszcu i choćby biegle spojrzenie na jego przeszłe prace nasuwa niejedną myśl. Lata 1959, 1960, 1961 — studia architektury, później ASP. Wystawy w Krakowie, Warszawie. Wielki fresk (i jednocześnie projekt) Domu Kultury w Oświęcimiu, zamówienia państwowe, witraże. Wydawałoby się, że jest to szczyt kariery — powodzenie, uznanie, sty-

2. Wystawiane w Cannes — Galerie „Cecile Terrasac” — wrzesień 1967 i w paryskiej galerii „La Pochade” — październik 1967.

pendium na wyjazd do Francji w roku 1964... i potem... te postacie. Ale to tylko moment, etap przejściowy. Za nim stoi solidne wycucie koloru i pewna szlachetna elegancja formy, która bierze górę w ostatnich pracach i przepięknych litografiach. Może właśnie w tej technice znajduje się klucz do całej twórczości Witolda Kaczanowskiego. Ta nieustanna ewolucja wycucia subtelnych przejść z jednego ośrodka światła do drugiego, to formowanie głębi plastycznej obrazu za pomocą światłocienia, jest jakby przejściem tej samej emocji w różnych rejestrach — jednym z największych sukcesów, jaki można osiągnąć w tej technice. Litografie Witolda są jednymi z najładniejszych w katalogu „Edition Empreinte”, a ich sąsiadami są takie sławy jak Coutaud, Appel, Pignon, Survage, Goetz³.

Osoba twórcy — labirynt możliwości, czasami zupełnie sprzecznych z sobą, cech psychologicznych, które mogą wywindować talent na szczyty perfekcji lub zmarnować wspaniałe dary zmysłu artystycznego. Które wezmą górę, które zwyciężą? Osobiście ufam dynamicznej inteligencji i jeszcze więcej wycuciu ręki.

Andrzej NAKOV

3. W grudniu 1967 ukazał się na rynku album z litografiami Witolda K. do tekstu Maurice Pons'a „Les crevasses du ciel”, wydawnictwo Michel Cassé, Paryż.

Dyskusja o « Kulturze »

1

A więc najpierw panel: wytrawny dziennikarz, poseł, działacz, członek rządu emigracyjnego; doktor i profesor z tutejszego uniwersytetu z wydziału sławistycznego; młody magister niedawno przybyły z Polski, śmiało i z ochotą wkraczający w naukowe i polonijne progi; pisarka, doktor filologii, dobrze znająca i literaturę i Polskę; inżynier, działacz, prezes, promotor polonijny; i jeszcze jeden doktor i profesor z tutejszego uniwersytetu, ale już nie związany z polonistyką. Panel chyba najbardziej reprezentatywny: różnica wieku, zainteresowań, upodobań, poglądów, zawodów i wykształcenia — ale wszystkich wiąże *Kultura*; jednego polityczna, z Mieroszewskim głównym jej orędownikiem, innego *Kultura*, jako baza zagadnień i wytycznych polo-

nijno-emigracyjnych, jeszcze innego literatura piękna: poezja i proza; lub zagadnienia dotyczące wolności i obrony praw człowieka; sprawy gospodarcze i ekonomiczne rozpatrywane i referowane w *Kulturze*, czy jej stosunek do emigracji już młodej, ostatniej, borykającej się ze wszystkimi znanymi nam przeciwnościami, która sięga po paryski miesięcznik nie tylko po to by pokrzepić się słowem polskim, ale również, by znaleźć w niej pomoc praktyczną, poradę, informację.

Poszczególne działy referowane są skrupulatnie i rzeczowo, *Kultura* powoli nabiera i traci, traci i nabiera, bo wprawdzie jest literatura piękna, ale jej za mało, za mało tematyki emigracyjnej, socjologicznej, ekonomicznej, filozofii, religii, tylko nad polityką nikt nie łamie rąk. Polityka jest dobrze reprezentowana, choć... i tu też są zastrzeżenia, drobne ale są. Bo przecież Kraju nie potrzeba pouczać — mówi przewodniczący i chwalić Mieroszewskiego gani go, a potem ganiąc — chwali. Panel dyskutuje, robi się gorąco, a *Kultura* rośnie: z dwustu stron, urosła do trzystu, czterystu... — Ale skąd wziąć pieniądze — zapytuje rzeczowo jedna z pań?

Po dwudziestu latach *Kultura* wyszła poza emigrację i poza polskie getto, stała się pismem międzynarodowym, jest na biurkach instytutów naukowych, uniwersyteckich, czytają ją fachowcy w departamentach rządowych, pisarze i politycy. Czy to jest dobrze, czy nie? Paneliści referują, przypominają, uzupełniają, widać jednak, że pozycja zdobyta przez *Kulturę* jest również i naszą pozycją, jej ciężar na rynku międzynarodowym, dodaje nam wagi, prestiżu, uznania. *Kultura* nie poszła w getto, w którym do dziś tkwi wiele polskich skupisk emigracyjnych. A mimo to jest taka polska, taka emigracyjna.

Kultura jest wyjątkowa. Na czym więc polega jej wyjątkowość? Na tym że wprowadza kontrowersyjnych pisarzy i zagadnienia? Czy na tym że sięga poprzez zielone granice i żelazne kurtyny do krajów bloku komunistycznego? Wie, co tu i tam się dzieje, jest zawsze po stronie prawdy i sprawiedliwości, gotowa bronić człowieka, jego wolności? Prelegentka która mówi na temat: Człowiek i wolność na łamach *Kultury* szeroko omawia ten dział, popiera go publikacjami, faktami: Dżilas, Mihajlov, Terc, Arżak, sprawa Trzydziestu Czterech, Kuronia i Modzelewskiego itd.

Kultura jest wyjątkowo czuła na zagadnienie wolności. Łączą się one z polityką współczesną, udziela głosu każdemu, kto w tej sprawie ma coś do powiedzenia, zwłaszcza pisarzom. I to jest może ta wyjątkowa pozycja, którą wypracowała sobie *Kultura*. Najpierw dotrzeć do młodych pisarzy „po tamtej stronie”, dać się poznać, a potem zdobyć ich zaufanie; pomóc, ale nie dać się sprowokować.

Prelegentka ma rację podkreślając tę stronę działalności, ale ma również rację przewodniczący, gdy zaczyna wymieniać po-

zycje wydawnicze *Kultury*. Około dwustu tomów Biblioteki. *Zeszyty Historyczne, Dokumenty*, proza, poezja, publikacje polityczne itd. Oto nowa pozycja, jakże wyjątkowa przy skromnym zespole redakcyjnym.

Wyjątkowy jest również dział literacki: poezja i proza. Referent podkreśla zasługi *Kultury* w piśmiennictwie polskim w ogóle i emigracyjnym. Tutaj nowe nazwiska łączą się z nazwiskami należącymi już do historii, *Kultura* pomaga pisarzom, rozwija talenty, wprowadza nowe nazwiska na rynek międzynarodowy, zwalcza postawę Kraju, gdzie literaturę emigracyjną przemilcza się, wymazuje z kart historii.

- Ale jednak przeważa dział polityczny! — ktoś dorzuca.
- Brak dramatu!
- Brak stałej krytyki literackiej!
- Wiersze w *Kulturze* są łatwe, daleko im do poziomu pism krajowych, np. „Twórczości”!
- Brak filozofii!
- Brak artykułów na tematy religijne!
- Socjologicznych!
- Uwzględnia jedynie oś Londyn-Paryż, o innych ośrodkach emigracyjnych zapomina!
- Wydawana jest na zasadzie „My się znamy”, podczas gdy w Ameryce jest zasada „My się nie znamy”.

Inni członkowie panelu, nie zgadzają się, wyjaśniają, monitorują, obalają zarzuty. Zaledwie publiczność włączyła się w dyskusję już przewodniczący stwierdza, że czas kończyć. Godzina szósta, dwie i pół godziny dyskusji, jak ten czas szybko leci, wszystkim się wydaje, że zebranie właśnie zaczęło się, że są działacze i pisarze, których panel nie przedyskutował jeszcze: kultura masowa, wydawnictwa socjologiczne Hertza i studium Sulika i Czaykowskiego, opracowania o Polonii amerykańskiej, australijskiej i artykuły Heydenkorna o Polakach w Kanadzie. Inny ważny dział, to tłumaczenia i pisarze innych narodowości piszący do *Kultury*. O tym wszystkim chcieliby usłyszeć zebrani na sali, których jak na nasze warunki przyszło bardzo dużo. Są pełni entuzjazmu i proszą o częstsze tego rodzaju dyskusje i zebrania, co jest prawdziwą niespodzianką dla organizatorów.

II

Imprezy naszego Klubu są przeważnie bezpłatne, sala — dzięki uprzejmości tutejszego Związku Kupców i Przemysłowców — nic nas nie kosztuje. Udzielają nam jej chętnie i z całą życzliwością, co powinno się podkreślić grubą linią, zważywszy że inne Domy Polskie wykazują w takich momentach dużą czułość na dolara.

Klub Pisarzy Polskich w Kanadzie, kilkusobowa zaledwie grupa bez statutu i deklaracji ideowej, co czasami wytyka się

mu tu, zaprosił do panelu zespół następujących osób: red. Zygmunta Rusinka, red. Benedykta Heydenkorna, prof. dr. Danutę Bieńkowską, dr. Jadwigę Jurkszus-Tomaszewską, inż. Wojciecha Krajewskiego, mgr. Elżbietę Mosielską i prof. dr. Konrada Studnickiego.

Z powodu niespodziewanego wyjazdu red. Heydenkorna do Europy, red. Z. Rusinek prowadził dyskusję. Okazał się on wytrawnym prelegentem, pełnym dowcipu przewodniczącym, który czyta i pasjonuje się *Kulturą*.

W Toronto jest ponad czterdzieści tysięcy Polaków; mówi się o Polonii że jest zorganizowana: ma nadrzędną organizację, Kongres Polonii Kanadyjskiej, w którym zrzeszają się kombatanci, weterani, inżynierowie, instytucje wychowawcze, charytatywne, kulturalne, studenckie, a nawet zawodowe, jak kupcy i przemysłowcy.

Mówi się w tych organizacjach, czasem przy wódce, a czasem nie, o różnych sprawach organizacyjnych, ale najczęściej o kulturze polskiej, wynaradawianiu się dzieci, o szkole, księżce, polskim muzeum, teatrze; na uroczystościach narodowych dzieci drobią nóżkami, a starsi grają na instrumentach i deklamują. Naturalnie — zawodowi patrioci-politycy, przemawiają.

Przypuszczam że działalność nasza nie różni się od działalności w innych ośrodkach polonijnych, tyle tylko, że jesteśmy liczniejsi, mamy więcej organizacji, więcej domów polskich, no i prawdopodobnie więcej dolarów na kontaktach bankowych. Nie brak również okazji do zbiorowych manifestacji: akademie, pochody, rocznice odbywają się nie tylko na oczach całego miasta, ale często z udziałem Stolicy, gdzie mamy też polonijnych reprezentantów.

Nie powinniśmy się przeto obawiać, że tępieje i zamiera wśród nas polskość, tylko czy to wszystko, o czym wyżej wspomniałem jest istotą polskości? Czy wystarczy nam, gdy ktoś powie, że należy do polskiej organizacji, płaci składki, chodzi na uroczystości i akademie — czy ten szablon jest miernikiem polskości, zwłaszcza gdy uczciwie przeanalizujemy co składa się na kulturę, jakie są jej istotne elementy i do jakiego stopnia my je propagujemy i wzbogacamy — my, Polacy na emigracji.

Ponad czterdzieści tysięcy Polaków w Toronto! Gdy otrzymałem listę prenumeratorów *Kultury*, by ich powiadomić o zorganizowanym przez nas Dwudziestolecium, zdumienie moje trwało długo i do dziś nie mogę zrozumieć dlaczego na tej liście nie ma czołowych naszych luminarzy: wieloletnich prezesów, kierowników, dyrektorów, pań od różnych komitetów, prezydentów, przedstawicieli Rządu, londyńskich skarbow, ministrów, deklamatorów, mówców, zawodowych reprezentantów Polonii itd.

Ponad czterdzieści tysięcy Polaków! Duża liczba, duży wstyd!

Komunikaty

„KULTURA” W ALBANY

State University of New York jest wielkim uniwersytetem stanowym, którego 4 campusy (ośrodki nauczania) w Albany, Buffalo, Stony Brook i Binghamton koncentrują obecnie około 50.000 studentów. Do końca dekady, przy rozbudowie starych i tworzeniu nowych campusów na terenie stanu New York, SUNY planuje koncentrację circa 100.000 studentów w ramach jednej, choć geograficznie rozczłonkowanej, instytucji akademickiej. Poza gigantycznymi ośrodkami szkolnictwa wyższego w Kalifornii, SUNY nie ma w USA równych sobie w skali.

Centralą SUNY jest Albany, stolica stanu New York. Albany posiada dwa campusy — jeden w mieście, drugi tzw. nowy, w podgórskiej okolicy, zaprojektowany przez słynnego architekta amerykańskiego Edwarda Durell Stone. Jest to imponujący zespół nowoczesnych gmachów, zakrojony na miarę ekspansji uniwersytetu.

Uniwersytet w Albany rozwija szeroki program w zakresie nauk społecznych i politycznych. Dziekan *College of Arts and Sciences*, prof. O. William Perlmutter jest specjalistą w dziedzinie nauk politycznych, sztab jego bliskich współpracowników to socjolog, historycy, humaniści. Rozbudowując swoje instytuty badawcze Albany zwraca szczególną uwagę na sprawy ZSSR, Europy Wschodniej i komunizmu w Europie.

Z inicjatywy grupy naukowców, jak dziekan Perlmutter; prof. Paul Wheeler, kierownik Wydziału Socjologii; dr Alicja Iwańska, profesor socjologii i antropologii; dr Lois Stone, nauki polityczne i dr Clara Tucker, historia — doszło do zbliżenia pomiędzy Instytutem Literackim w Paryżu a uniwersytetem w Albany, w ramach którego ustalono możliwości współpracy. Zamierzone projekty uzyskały silne poparcie Wydziału Sławiści, skupiającego w Albany wybitnych ruscystów, jak prof. Katarzyna Wołkońska i prof. Marianna A. Połtoradzka z Uniwersytetu w Leningradzie.

W dniu 1 i 2 grudnia br. odbyło się w Albany spotkanie organizacyjne dla przygotowania konferencji Amerykańskiego Stowarzyszenia Rozwoju Studiów Sławistycznych. W pierwszym dniu przemawiał Helmut Sonnefeldt, dyrektor wschodnio-europejskiego Biura Studiów przy Departamencie Stanu, oraz Leopold Tyrmand w imieniu Instytutu Literackiego i *Kultury*. Na konferencji ogłoszono oficjalnie podjęcie prac nad wydaniem w języku angielskim obszernej antologii tekstów *Kultury* z okresu ostatnich 20 lat. Projekt ten realizowany jest przy współudziale SUNY w Albany i nowojorskiej firmy wydawniczej Free-Press-MacMillan Co.

W drugim dniu odbył się symposium specjalistyczny, w ramach którego prof. Bogdan Mieczkowski z *Ithaca College* wygłosił referat pn. *Trends in Workers Wellbeing*, zaś czeski socjolog, prof. Jiri Kolaja z *MacMaster University* mówił na temat: *Eastern European Factories*.

NAGRODY LITERACKIE ZWIĄZKU PISARZY NA UCHODŹTWIE

Jury dorocznych nagród literackich Związku Pisarzy Polskich na Uchodźtwie, przyznało dnia 10 listopada 1967 r., następujące nagrody:

Za całokształt twórczości:

Józefowi Łobodowskiemu — nagrodę Zw. Pisarzy Polskich na Uchodźtwie — £ 50.0.0

Teodozji Lisiewicz — nagrodę ufundowaną przez Ognisko Polskie — £ 25.0.0.

Michałowi K. Pawlikowskiemu — nagrodę Fundacji Domu Pisarza — £ 25.0.0.

Za twórczość poetycką:

Adamowi Czerniowskiemu — nagrodę ufundowaną przez Ognisko Polskie — £ 25.0.0.

Za książki:

Adamowi Pragierowi za książkę „Czas przeszedł dokonany”, — nagrodę im. Herminii Naglerowej, ufundowaną przez mec. M. Chmielewskiego — £ 50.0.0.

Zdzisławowi Czernańskiemu za książkę „Kolorowi ludzie” — nagrodę Fundacji Domu Pisarza — £ 25.0.0.

NAGRODA IM. ANNY GODLEWSKIEJ

Nagroda im. Anny Godlewskiej, ufundowana przez syna Juliana, przyznawana od roku 1963 pisarzom, tłumaczom oraz zagranicznym przyjaciółom Polski i wynosząca w tym roku 3.000 franków szwajcarskich, wyróżnia tym razem, po raz pierwszy na obczyźnie, osiągnięcia w dziedzinie wysiłku redakcyjnego i dziennikarsko-publicystycznego.

Jury, zebrane w Soturze, dnia 18 grudnia 1967 w składzie: Konstanty A. Jeleński, Tadeusz Nowakowski, Jerzy Stempowski (przewodniczący) i Kazimierz F. Vincenz (sekretarz), postanowiło jednogłośnie nagrodzić *ex aequo*: Jerzego Giedroycia, redaktora wydawanego w Paryżu miesięcznika KULTURA; Mieczysława Grydzewskiego, redaktora tygodnika WIADOMOŚCI w Londynie.

Jestem bardzo zaszczycony dzieląc nagrodę im. Anny Godlewskiej z redaktorem M. Grydzewskim. Zaszczycony i zażenowany. Nagroda bowiem jest przeznaczona dla publicysty lub redaktora. Publicystą nie jestem, a redagowanie pisma nie jest dla mnie celem samym w sobie, bo celem pierwszym jest dla mnie działalność polityczna i społeczna, obejmująca zarówno kraj jak i emigrację. Nie tylko w specyficznych warunkach emigracyjnych, ale także na podstawie doświadczenia z okresu niepodległości i wojny, uważam formę działania poprzez słowo drukowane, za najbardziej skuteczną.

Rozumiem, że nagroda została przyznana nie tylko mnie ale także „Kulturze” i moim współpracownikom. Dlatego dziękując Jury za wyróżnienie przekazuję nagrodę na Fundusz „Kultury”.

Jerzy GIEDROYC

Ks. Jan Bartoszek przybył niedawno z kraju do Nowej Gwinei z poleceniem zbudowania w bieży. roku nowej stacji misyjnej w dzungli. Znalazł się jednak w katastrofalnej sytuacji nie mogąc liczyć na żadną pomoc z kraju. Apeluje więc o pomoc. Jego adres: Rev. John BARTOSZEK, Catholic Mission Ambullua, Kol P.M.B. No 2, Mount Hagen, New Guinea.

Książki

Uwagi o nowych conradianach

Rok bieżący jest małą conradowską rocznicą. Oto mija już 110 lat od dnia urodzin (3. 12. 1857) Józefa Conrada-Korzeniowskiego. Nie mniej zainteresowanie tym Polakiem, który stał się jednym z największych pisarzy angielskich, nie tylko nie ustaje, lecz zdaje się z roku na rok wzrastać. Można by o nim powtórzyć za Mickiewiczem: „jak cień tym większy, gdy padnie z daleka”. Sam rok 1966 przyniósł pięć nowych conradowskich pozycji, które zamierzam tutaj po krótko omówić.

Nic więc dziwnego, że o życiu i twórczości Conrada wiemy już dziś bardzo wiele. Napisano o nim setki artykułów i kilkadziesiąt książek (sama bibliografia Lohfa i Sheehy'ego, choć nie kompletna i doprowadzona tylko do roku 1955, zawiera 1275 pozycji). Mimo tego właśnie najciekawszy i można rzec kluczowy okres jego życia, lata 1887-94, gdy w marynarzu najniespodziewaniej zaczął budzić się pisarz — pozostał stosunkowo najmniej znany i rozjaśniony. Obfita korespondencja Conrada i liczne świadectwa przyjaciół zaczynają się dopiero od r. 1894, daty wyjścia „Szaleństwa Almayera”. To co poprzedziło ów przełomowy rok, jest często białą plamą i każdy przyczynek, który może ją wypełnić, nabiera szczególnej wagi.

Tak się złożyło, że aż dwie książki, wydane w r. 1966, rzucają światło na ten ważny okres — każda z innej strony, lecz obie w sposób doskonały.

Pierwsza — to zbiór mało znanych listów Conrada do Marguerite Poradowskiej, literatki francuskiej i dalekiej ciotki pisarza, wydany i opracowany przez René Rapina, profesora literatury francuskiej na uniwersytecie w Lozannie¹. Listy te co prawda ogłosili już poprzednio w angielskim tłumaczeniu John A. Gee

1. René Rapin, *Lettres de Joseph Conrad à Marguerite Poradowska*, Edition critique précédée d'une étude sur le français de Joseph Conrad, Genève, Librairie Droz S. A., 1966.

i Paul J. Sturm, lecz wojenne to wydanie (wyszło w 1940 r. w Yale University Press, U.S.A.) jest dzisiaj prawie nieosiągalne, a co najważniejsze książka Rapina daje nam możliwość poznania samych oryginałów, pisanych w języku francuskim. Przewyższa ona jeszcze i tym swoją poprzedniczkę, że obfite i niezwykle interesujące przypisy rozszerzają ten zbiór listów w rodzaj conradowskiej monografii. Wreszcie Rapin poprzedził listy pierwszym gruntownym studium o francuszczyźnie Conrada — co stanowi cenny przyczynek do starożytności, czy Conrad mógł zostać, zamiast angielskiego, pisarzem francuskim.

Adresatka listów stała się ciotką Conrada przez małżeństwo z jego wujem Aleksandrem Poradowskim. W czasie, kiedy zaczęła się ich korespondencja, wuj zmarł (r. 1890) a Conrad przez następnych kilka lat w pięknej ciotce najwyraźniej się podkochiwał. Wielka wartość listów polega więc nie tylko na tym, że jest to jedyny większy zbiór wypowiedzi Conrada sprzed literackiego okresu jego życia (skoro listy do wuja Bobrowskiego zaginęły na Ukrainie), lecz że zaangażowany uczuciowo przyszły pisarz wypowiada się w nich z wyjątkową wylewnością i szczerością.

Okres najżywszej korespondencji trzydziestokilkoletniego Conrada z ciotką literatką pokrywa się mniej więcej z latami, w których powstawała jego pierwsza powieść „Szaleństwo Almayera”. Dopiero czytając listy do Poradowskiej, zaczynamy w pełni rozumieć, dlaczego to zahartowany marynarz i nieustraszony łowca przygód, który stworzył później tyle powieściowych bohaterów czy dezertersów obowiązku, zaczął swoją twórczość od dramatu ruiny i rozczarowania — dlaczego, wśród tylu napotkanych na szerokim świecie typów ludzkich, wyobraźnię początkującego pisarza zafascynowała właśnie postać bankruta życiowego i nie-dołgi Almayera.

Oto kilka znamienitych wyznań, wyjętych na chybił trafił z listów do ciotki. Conrad pisze 15. 5. 1890 w drodze do Konga: „Garstka złudzeń, wiele snów, rzadki błysk szczęścia; potem rozczarowanie, trochę gniewu i dużo bólu, a wreszcie koniec — spokój. Taki jest program i trzeba tę tragikomedie grać do końca. Trzeba się z nią pogodzić”. Zaś 12. 6. 1890: „Przez długi czas było mi obojętne, dokąd moja droga prowadzi. Kroczyłem nią ze zwieszoną głową, przeklinając kamienie”.

Te pesymistyczne skłonności natężają się, rzecz oczywista, po ponurym doświadczeniu w Kongo i nabytej tam malarii. Listy 1891-95 r. są jednym ciągiem gorzkich uwag Conrada o życiu i sobie jak np. „Człowiek musi iść swoją drogą do końca, skoro miał to nieszczęście urodzić się”. Albo: „Wydaje mi się, że nie widziałem niczego, nie widzę i nigdy nie zobaczę. Mógłbym przysiąc, że nic poza próżnią nie istnieje za ścianami pokoju, gdzie piszę te słowa”.

Związki z Almayerem są tu jasne. W postaci tego „byłego człowieka” ucieleśniały się w krańcowej formie ówczesne nastroje i trwogi wewnętrzne samego Conrada: oto na czym kończy się

romantyczna wyprawa po urodę życia — dogorywaniem życiowego rozbitka wśród tropikalnych upałów.

Za długo przyszkoby wyjaśniać wszystkie przyczyny tego pesymistycznego nastroju. Ujmując w kilku zdaniach, co trzeba by wykładać na całych stronach: Conrad przekroczył już swoje „smugę cienia”. Blask przygód, po które niegdyś wyruszył z Polski na dalekie morza, przygasł i rozczarował go. Nowego i istotnego celu swego życia — twórczego pisania jeszcze nie uchwycił, dopiero sięgał ku niemu po omacku. Znalazł się w próżni. I wtedy to przyszedł do niego Almayer. „Gdybym nie spotkał Almayera — zapewniał później we „Wspomnieniach” — nie napisałbym nigdy ani linijki”.

Druga książka, którą chcę tu omówić: Normana Sherry'ego „Wschodni świat Conrada”² jest zupełną odwrotnością pierwszej. Gdy listy do Poradowskiej odsłaniają w sposób niezwykle intymny wewnętrzne nastroje Conrada w okresie pisania „Almayera”, dzieło Sherry'ego zajmuje się wyłącznie faktami zewnętrznymi, które posłużyły pisarzowi jako materiał do fabuły tej powieści, a także innych jego malajskich utworów.

Tak więc obie książki doskonale się uzupełniają — pokazują dwie rzeczywistości, z których zrodziła się pierwsza powieść Conrada. Powinno się je właściwie czytać razem.

Sherry był w tym szczęśliwym położeniu, że jako wykładowca języka angielskiego na uniwersytecie w Singapore, żyje w samym centrum terenu, który Conrad odwiedzał w swoich malajskich podróżach, właśnie w latach poprzedzających pisanie „Szaleństwa Almayera” (1883-88) Sherry z nieznużoną cierpliwością badacza i przenikliwością detektywa zebrał każdy strzęp wiadomości, jaki ostał się jeszcze po wielkim pisarzu w tamtych stronach — o ludziach, których poznał, miejscach, jakie odwiedzał, statkach, na których pływał.

Z książki jego dowiadujemy się, że nie ma prawie postaci, czy zdarzenia w malajskich utworach Conrada, które nie posiadałyby jakichś odpowiedników w tamtejszej rzeczywistości. Nawet nazwiska osób i nazwy okrętów są rzadko u Conrada wymyślone. Sherry prawie w każdym wypadku doszukał się oryginału. Jeśli np. idzie o „Szaleństwo Almayera”, które nas tu szczególnie interesuje, to nie tylko sam Almayer (o czym zresztą wiedzieliśmy z wyznań samego pisarza) lecz prawie wszystkie uboczne postacie powieściowe oparte są mniej lub więcej na realnych wzorach i nawet obraz lokalnych stosunków handlowych oraz osiedla, w którym żył Almayer, jest ściśle taki jaki był naprawdę.

Sherry wyciąga jednak z tych swoich niewątpliwie ciekawych odkryć zbyt pochopne i moim zdaniem błędne wnioski. Tłumaczy on owe ściśle związki twórczości Conrada z poznanymi fakta-

2. Norman Sherry, *Conrad's Eastern World*, Cambridge University Press, 1966.

mi życiowymi brakiem twórczej wyobraźni, powołując się przy tym na wyznanie samego pisarza, że „nie potrafi niczego wymyślić”.

Nie wierzymy zbyt Sherry'emu ani nawet samemu Conradowi. Pisarz, który stworzył urojone państwo Costaguany w „Nostromie” właściwie z niczego, bo na podstawie trzytygodniowego pobytu w Ameryce Środkowej, nie powinien być posądzony o brak wyobraźni. Wydaje się, że fakty nie były dla niego niczym więcej jak zapłonem, tą iskrą budzącą, która wprawia w ruch wolną grę wyobraźni. Zresztą Conrad wkłada zawsze w kształty wzięte z rzeczywistości bogatsze, stworzone przez siebie dusze, a przecież w duszach, nie w zdarzeniach zewnętrznych mieści się istota conradowskiego dzieła.

Więc chyba nie brak wyobraźni, lecz co innego musiało wpłynąć na owo uparte trzymanie się konkretnych faktów, ową potrzebę twardego i rzeczywistego gruntu u pisarza, który przecież sam przyznawał się do „romantycznego poczucia rzeczywistości” i którego ulubiony bohater powieściowy Jim stchórzył z powodu *nadmiaru* wyobraźni. Mnie wydaje się, że poza ogólnym prawem twórczości, iż każda sztuka wywodzi się mniej lub więcej z bodźców konkretnych — w szczególnym i rzeczywiście jaskrawym wypadku Conrada należy wskazać przede wszystkim na jego zawód marynarza. Na statkach Conrad nauczył się obserwować szybko i doceniać wagę najdrobniejszych nawet szczegółów otaczającej rzeczywistości, od czego zależało dobre wykonywanie zawodu, a nieraz samo życie. I ten marynarski nałóg przeszedł potem do jego sztuki — gdy kapitan Korzeniowski, w miejsce lunety okrętowej, wziął do ręki pióro powieściopisarza.

Przechodzę do trzeciej conradowskiej nowości, która dla czytelników polskich będzie może najciekawsza — do pracy młodego polskiego conradysty, Andrzeja Buszy, wykładowcy literatury angielskiej na uniwersytecie w Vancouver, pod długim tytułem „Polskie zaplecze literackie Conrada i kilka przykładów wpływu polskiej literatury na jego twórczość”³.

Jedną z największych trudności i przyczyną licznych nieporozumień w interpretacji wielu aspektów twórczości Conrada, zarówno ze strony krytyki polskiej jak i angielskiej, było do dnia dzisiejszego to, że twórczość ta jest wpływem i nierozłączną kombinacją dwu nurtów: rodzimego i nabytego. Dotąd conradysty, zależnie od swego pochodzenia, mogli w pełni uwzględnić tylko jeden z obu nurtów. Anglicy — nawet tak dociekliwi i uczciwi jak Jocelyn Baines — chwytały przede wszystkim zewnętrzną stronę problematyki polskiej w Conradzie. Polacy, choć piszący o Conradzie dla Anglików, jak A. Gillon, należeli do pokolenia wyrosłego jeszcze w Polsce i ich interpretacja była

3. Andrzej Busza, *Conrad's Polish Literary Background and Some Illustrations of the Influence of Polish Literature on His Work*, Institutum Historicum Polonicum, Romae, 1966.

właściwie tłumaczeniem polskiego punktu widzenia na język angielski.

Conradystyka jak gdyby czekała na dorosnięcie młodego polskiego pokolenia, które wychowane już na wychodźstwie w Anglii, zachowałyby jeszcze żywe związki z tradycją i literaturą ojczyzną i mogło dzięki temu podejść z równie trafnym, bo wrodzonym, wyczuciem do obu elementów, które złożyły się na twórczość autora „Lorda Jima”. Pokrewne samemu Conradowi w swym podwójnym dziedzictwie kulturalnym — wydaje się ono predystynowane do pełniejszego i, bardziej od dotychczasowych, zrównoważonego odbioru oraz komentowania jego utworów.

Książka Buszy jest pierwszym przykładem tego nowego typu conradystyki, i to od razu wysokiej klasy. Autor obrał przy tym bardzo szczęśliwie temat w conradystyce angielskiej niemal dziewiczy, dotąd nigdy gruntownie nie opracowany i dla tubylców trudno przystępny — jakim pozostaje dla nich wciąż tradycja i literatura polska. Dowodem tej nieprzystępności jest choćby stare dzieło G. Morfa „Polskie dziedzictwo Conrada” (The Polish Heritage of Conrad) obfitujące w śmiałe i nawet ciekawe hipotezy, nie poparte jednak ani dostatecznym znawstwem, ani trafną intuicją tematu.

Z natury rzeczy czytelnik polski znajdzie w pracy Buszy wiele wiadomości i poglądów znanych mu już z prac polskich conradystów; autor jednak potrafił zestawić je nie tylko w sposób więzły i przejrzysty, lecz w każdej sprawie ma swoje własne, dobrze zwalone zdanie. Książka nie ogranicza się przy tym do podsumowania czy skorygowania cudzych osądów, lecz zawiera sporo osobistych koncepcji i odkryć autora, zwłaszcza w rozdziałach omawiających wpływy literatury polskiej na poszczególne utwory Conrada. Dla conradystów angielskich stanie się ona wprost kopalnią, gdzie będą mogli po raz pierwszy we własnym języku i pod zrozumiałym dla nich kątem widzenia czerpać całe bogactwo informacji o polskim zapleczu Conrada.

Może najlepiej wprowadzę w treść i charakter tej godnej poznania książki, jeśli zacytuję krótki fragment z wstępu samego autora:

„Conrad nie był nigdy w Anglii pisarzem popularnym. Być może że w jego twórczości jest coś zasadniczo niezgodnego z angielskim temperamentem; lecz przyczyna owego względnego braku popularności zdaje się polegać raczej na tym, że ogół Anglików po prostu nie potrafi w pełni jego dzieł zrozumieć. Było to zresztą nieuniknione, że pewne cechy jego twórczości pozostaną dla czytelnika angielskiego obce, skoro Conrad spędził lata, które ukształtowały jego osobowość w innym kraju i wychował się w innej tradycji literackiej. Rzecz więc jasna, że niezwykle trudno, a może w ogóle nie da się Conrada zrozumieć naprawdę bez pewnej znajomości kulturalnego i literackiego podłoża, z którego wyszedł.

Głównym celem tej pracy jest wykazać, że „bagaż kulturalny”, jaki Conrad zabrał z sobą na morza, nie był wcale taki lekki, jak się czasem mniema. Zamierzam cel ten osiągnąć po pierwsze przez omówienie roli dwu ludzi, którzy zaważyli na wczesnym życiu Conrada, tj. jego ojca Apolla Korzeniowskiego i wuja Tadeusza Bobrowskiego; a powtóre przez przebada-

nie tych polskich kół i środowisk, z którymi Conrad stykał się w swoim dzieciństwie i młodości. Następnie postaram się ukazać, że zaplecze kulturalne, które w ten sposób otrzymał zwłaszcza literatura polska, pozostały w nim siłą żywotną przez całe życie i wywarły niewątpliwie poważny wpływ na jego twórczość. Ażeby podeprzeć to twierdzenie, podam szereg przykładów z dzieł Conrada, w których wpływ polskiej literatury jest szczególnie widoczny”.

Busza w pełni sprostał zadaniu, które sobie postawił. Nawet dla conradysty dobrze obeznanego z tematem, jest to bardzo ciekawa lektura. Przy tym, co ważne, Busza trafnie wyczuł, ile należy dać informacji o sprawach i literaturze polskiej czytelnikowi angielskiemu — by ów nie błąkał się po omacku, a równocześnie nie znudził się balastem obcej dla niego nauki. Jest to więc dzieło dojrzałe; znać w nim pióro nie tylko naukowca, lecz pisarza z poczuciem proporcji.

Z kolei jeszcze jedno angielskie conradianum polskiego autora „Powieść i polityka” Jana Libracha⁴. Niewielka ta broszura, przedruk z nowojorskiej „The Polish Review” jest sprawozdaniem z książki p. Eloise Knapp Hay pt. „Polityczne powieści Józefa Conrada”⁵.

Librach daje ciekawe i pełne własnych celnych uwag omówienie poglądów p. Hay. Nazywa jej pracę pionierską; dodałbym: pionierską raczej w ujęciu, niż w samym temacie. Polityczny aspekt twórczości Conrada, tak bardzo przylegający do czasów, w których żyjemy, pasjonuje dziś wielu. Ciekawe, że pierwszymi, którzy zainteresowali się i wskazali na świetność politycznej wizji konserwatysty Conrada, byli angielscy i amerykańscy krytycy ze szkoły komunistycznej (Arnold Kettle, Irving Hove). P. Hay czyni to jednak ze stanowiska politycznie nie zaangażowanego, co jest dużą zaletą jej dzieła, i rozszerza znacznie przyciasny horyzont, zakreślony przez jej poprzedników.

Z broszurą Libracha (a tym bardziej z samą książką, z której zdaje ona sprawę) na pewno warto się zapoznać. Rzecz to bowiem zadziwiająca, jak Conrad, ten wysiedleńiec, nie przynależny właściwie nigdzie, potrafił świetnie wczuwać się w mechanizm politycznego życia społeczeństw — jak gdyby właśnie spojrzenie od zewnątrz i dystans pozwalały mu lepiej i jaśniej wszystko rozumieć, a równocześnie poczucie osobistego wyobcowania budziło żywsze zainteresowanie tym, od czego sam był odcięty (podobne zjawisko obserwujemy zresztą w „Faraonie” Prusa: jednej z najwnikliwszych powieści o rządzeniu państwem — napisanej przez bezpaństwowca). Librach wskazuje przy tym bardzo trafnie, że mądrości politycznej należy szukać u Conrada w jego utworach a nie w oficjalnych wypowiedziach. „Nie mam

4. „Fiction and Politics” by Jan Librach, Reprinted from „The Polish Review”, Vol. IX, No. 4, New York.

5. Eloise Knapp Hay, „The Political Novels of Joseph Conrad — A Critical Study”, The University of Chicago Press, 1963.

na myśli — pisze — politycznych poglądów Conrada, jakie można znaleźć w jego rozmowach, listach czy artykułach. Tylko jako twórczy artysta wznosi się Conrad wysoko ponad pisarza politycznego, dzięki głębokiemu wglądowi w to, co w polityce jest powrotne i trwałe, ponieważ wypływa z niezmiennych obyczajów natury ludzkiej”.

Jeżeli czego brak interesującej broszurze Libracha, to może wyraźniejszego rozgraniczenia między relacją poglądów p. Hay a tym, co jest własnym wkładem recenzenta. Ponieważ jednak — dla zwięzłości sam czynię tutaj podobnie, nie mam zamiaru upierać się przy moim zarzucie.

Na koniec conradowskie curiosum. Cenię wielce psychoanalizę jako naukę, póki nie staje się ona *wiarą*, posiadającą odpowiedź na wszystkie zagadki życia i twórczości. Bernard C. Meyer⁶ (z zawodu lekarz — jak autor niniejszej recenzji) wydał niedawno w Stanach „Psychoanalityczną biografię Conrada”, która zyskała od razu spory rozgłos — jakoby dla nowego i śmiałego podejścia do conradowskich problemów. W rzeczywistości owo nowe podejście polega na doktrynerskim i iście totalitarnym stosowaniu starych freudowskich stereotypów. Rezultat jest bezsprzecznie sensacyjny, a wydaje się odkrywczy — i prawdopodobnie ten posmak sensacji przyczynił się przede wszystkim do rozgłosu dzieła.

Dowiadujemy się zatem od Meyera, że Conrad był obciążony kompleksem Edypa, piersi matczynej, rozmaitymi formami fetysyzmu itd., słowem wszystkimi typowymi zboczeniami seksualnymi, jakie figurują na psychoanalitycznej liście, i że u źródła większości jego dzieł można z reguły doszukać się jakiejś neurozy lub perwersji. Jako krytyk literacki, Meyer wysła całą swoją, zresztą dość dużą pod tym względem pomysłowość, by wykryć pod jaki schemat psychoanalityczny (i to wyłącznie niemal freudowsko-seksualny) da się podciągnąć treść danego conradowskiego utworu. Gdy go szczęśliwie znajdzie, wszystko już tym schematem interpretuje i do niego przykrawa.

W ten sposób całego niemal Conrada — jego ogromny świat, ogarniający najbardziej zasadnicze sprawy człowieka — Dr Meyer zdołał pomieścić w muszelce dziecinno-seksualnych przeżyć pisarza. Wydaje mu się, że wystarczy wyrzec takie magiczne słówko jak kompleks matki, czy fetysyzm kobiecego bucika, by już wiedzieć, dlaczego Conrad napisał np. „Złotą strzałę”.

Oczywiście przejawskrawiam. Lecz trudno nie pisać satyry. Nie chcę tu twierdzić, że książka dr. Meyera jest zupełnie pozbawiona wartości. Rzuca on w niej szereg ciekawych pomysłów jak np. ten, że Conrad wybrał dlatego język angielski na swoje narzędzie twórcze, ponieważ obcość języka zobojętniała, niby szyba ochronna lub filtr, destrukcyjne siły wspomnień dzieciń-

6. Bernard C. Meyer, „Joseph Conrad: A Psychoanalytic Biography”, Princeton, U.S.A., 1966.

stwa, które z natury rzeczy stały się później tworzywem jego dzieł.

Pomysł wart rozważenia. Gdybyż tylko Meyer starał się bardziej wczuć w dzieła samego Conrada, a mniej zaglądał do swego psychoanalitycznego indeksu. Ilekroć potrafił to uczynić, zdobywa się na niejedno bystre spostrzeżenie o Conradzie człowieku i pisarzu. Myślę, że Meyer powinien napisać swoją książkę po raz wtóry za lat powiedzmy dziesięć, gdy przestanie już ślepo wierzyć we wszystko-wyjaśniającą magię freudowskich kompleksów.

Na tym Conradzie w amerykańskim sosie (poddawanie się psychoanalizie stało się dziś w Ameryce wprost nagminne) kończę swój przegląd conradianów.

Wit TARNAWSKI

Małość w wielkości

(Nowe materiały do życiorysu prof. Bronisława Malinowskiego)

W połowie 1967 r. ukazał się w Londynie obszerny tom dzienników prof. Bronisława Malinowskiego z okresu pobytu na Nowej Gwinei i północnej Melanezji*. Tam właśnie i wtedy gromadził materiały do „Argonautów zachodniego Pacyfiku”, „Życia seksualnego dzikich” i prac pokrewnych o równie nieprzemijającej wartości. Dzienniki obejmują okres od początków września 1914 do sierpnia 1915, i — po dłuższej przerwie — od końca października 1917 do połowy lipca 1918 r. Pisane były po polsku z coraz większą domieszką angielszczyzny, cytatai francuskimi i niemieckimi oraz gęsto rozsianymi przykładami słownictwa ludności wysp badanych przez Malinowskiego.

Odcyfrowanie rękopisu nie było zadaniem łatwym. Tym większy dług wdzięczności w stosunku do Norberta Gutermana, który hieroglify rozgryzł i przygotował ich przekład angielski¹. Ukazał się on obecnie, po uzyskaniu aprobaty Mrs. A. V. Brante (Valettey Malinowskiej), drugiej żony autora, mieszkającej obecnie

* *A diary in the strict sense of the term* by Bronislaw Malinowski. Preface by Valetta Malinowska. Introduction by Raymond Firth. Translated by Norbert Guterman. Index of native terms by Mario Bick. London, 1967, Routledge and Kegan Paul, 8°, 315 stron, faks. i 3 mapy.

1. Wobec niemożności dotarcia do rękopisu przytoczone w tekście cytaty odtwarzają tekst polski na podstawie przekładu Gutermana i nie są, niestety, bezpośrednimi tekstami Malinowskiego.

w Meksyku. Ze względu na bardzo osobisty charakter notatek, zgodę na ich wydanie poprzedziły wahania. Wdowa przewyciężyła je, wychodząc z założenia, iż dziennik uczonego jest „wzruszającym i ludzkim dokumentem kreślonym przez człowieka, który nie ulegał fałszywym iluzjom co do istoty swego charakteru”.

Sąd słuszny. Malinowski miał odwagę pisania o sobie z żenującą swobodą i szczerością graniczącą z okrucieństwem. Rzadko — i tylko w opisach krajobrazów — dostrzec można próby próby artystycznej, nie leżącej bynajmniej poza granicami jego możliwości pisarskich. Cele dziennika nakazywały najdalej idący obiektywizm i rzadko spotykaną w polszczyźnie niemal matematyczną oszczędność sformułowań.

Dziennik jest ważnym i cennym dokumentem dla studiujących metody pracy Malinowskiego i ich stopniowe wyrastanie z tła doświadczeń. Recenzenci anglosascy zbyli go pośpieszonymi ocenami. Dla czytelnika polskiego jest jednak z wielu względów wartościowy i ciekawy.

Zadania dziennika

Malinowski uważał samego siebie za przedmiot badań naukowych, prowadzonych z wyraźnie wytkniętym celem. Dlatego metodę zapisów ujął w formę wytycznych, których wyliczenie zainteresować może każdego stosującego podobną formę rejestracji przeżyć i wydarzeń.

Malinowski odczuwał żywo szczególne trudności napotymane przez każdego z nas przy próbach szybkiej oceny zjawisk, wydarzających się w normalnym trybie życia. Prowadzenie dziennika uważał za pomoc w retrospektywnej ocenie przeszłości dlatego, iż możemy już wtedy „wyzolować zasadnicze elementy, zaklasyfikować je (ale z jakiego punktu widzenia?), a następnie, poprzez opis wskazać mniej lub więcej jasno, jakie jest ich obecne znaczenie, proporcja, osobiste reakcje” (11. IV. 1918).

Sformułowanie tych spostrzeżeń poprzedziła lektura wcześniejszych zapisów. Pod jej właśnie wpływem Malinowski oskarżał siebie o prowadzenie leniwego trybu życia, zaniedbywanie kontaktów z tubylcami, gromadzenie jałowych informacji i bezmyślne trawienie czasu na czytanie powieści. Sądzi, że mógł dać z siebie więcej. Ale — prowadząc ze sobą bezustanny dialog — stwierdza równocześnie, iż najlepsze wyniki pracy osiągał w czasie wypoczynku. Pogląd ten ujął w październiku 1917 w formę maksym: „Wypoczynek jest jedną z najważniejszych form pracy” i „Pamiętaj! umiejętność odpoczywania jest jednym z ważniejszych czynników pracy! Nie do pojęcia jest bez niej systematyczna i owocna praca”. I tu powołuje się na Witkacego i jego teorię spontanicznych przypiływów natchnienia nawiedzających myśliciela czy artystę w chwilach odprężenia, bez stawiania im oporów rozumowych. Malinowski akceptuje zasadniczo tę teorię,

wprowadzając jednak korekturę dotyczącą „czystego marnowania czasu” na lekką lekturę, wysypianie się, przesiadywanie w przypadkowym i nieciekawym towarzystwie — a także pozwalanie sobie na „demoralizację”. Tu spotykały go porażki a świadectwem ich są licznie rozsiane wielokropki, oznaczające opuszczone zdania.

Dziennik miał być jednym ze środków kontroli nad sobą. Malinowski prowadził go „dzień po dniu, bez wyjątków”, by „notować sprawy z dnia poprzedniego i obraz wydarzeń, ocenę ich z moralnego punktu widzenia”, by „określać kierunek głównych dążeń życiowych” i układać plany na przyszłość. W praktyce trzymał się tych założeń niewolniczo.

6. I. 1918 dodał, iż celem dziennika jest sprawowanie kontroli nad własnym życiem i myślami i stwarzanie sposobności do rozważań nad powracającymi motywami, Dziennik — zapisał 16. I. tegoż roku — jest jakby diagramem zmian, pomocą do prostowania ocen i przewartościowań. Ma nadto pomagać w prowadzonej przez cały czas zapisków walce z popędem płciowym, który uważa za „wszeteczny” (*lecherous*) i wybujały.

Dziennik spełniał jedno jeszcze zadanie: Malinowski pisał go po polsku. Był to rodzaj rozmowy z samym sobą i, obok listów do matki i przyjaciół, jedyna forma praktycznego zastosowania języka ojczystego.

Analogie z Conradem.

Życiorys Malinowskiego roi się od problemów typu conradowskiego. Wyczuwa je zarówno polski biograf, Konstanty Symons-Symonolewicz, jak i Anglosasi piszący o Fenomenie. Jak Conrad, tak i Malinowski oglądany jest przez tych ostatnich z nieukrywaniem zdziwieniem, jako indywidualność twórcza uformowana w sposób odbiegający od szablonów.

Zainteresowania polskie i obce zbiegają się na temacie okoliczności debiutu i lat formatywnych Malinowskiego, gdy na własną rękę w ramach jednoosobowej ekspedycji naukowej dojrzał jako etnolog i zdobywał się na rewelacyjnie nowe traktowanie materiałów gromadzonych i interpretowanych według własnych odkrywczych metod. A tego właśnie okresu dotyczy ogłoszony obecnie dziennik.

Malinowski jak Conrad stracił wcześniej ojca i wychowywał się w Krakowie. Obaj poszli drogami wytyczonymi przez ojców. Apollo Korzeniowski rozbudził w synu zainteresowanie wielką literaturą światową i wdrożył do dobrej lektury. Lucjan Malinowski, idący śladami Kolberga, badał folklor śląski w terenie — co syn przejął, adaptował i naukowo rozbudował na szczególnie wdzięcznych obcych terenach badań. Obaj — Conrad i Malinowski — nie przerwali się bezpośrednio z Krakowa do anglosaskiego środowiska językowego. Conrad szedł do niego przez Francję, Malinowski — przez studia na uniwersytecie niemieckim.

kim. Obaj zjawili się na gruncie angielskim już uformowani, przeszkoleni przez swoich i obcych, z niezłą znajomością głównych języków europejskich i swobodą poruszania się wśród obcych. Obaj łączyli umiejętność wyłączenia się z otoczenia i twórczej pracy w samotności z darem nawiązywania kontaktów z ludźmi i byli według potocznego określenia angielskiego *good mixer*'ami. Dla obu punktem startu wielkiej kariery życiowej były laboratoria tropików.

Listy wuja Conrada, Tadeusza Bobrowskiego, ilustrują wymownie długi okres dojrzewania „Konradka” do przyszłej kariery na morzu i prób pisarskich. U „Bronia” Malinowskiego, kształtującego się pod troskliwą opieką mądrej matki (Józefy z Łączkich) okres terminatorski trwał równie długo. Choroba (ta sama groźba gruźlicy u obu!) pozornie usprawiedliwiła u Malinowskiego przerwienie się od chemii fizycznej do etnologii, choć — prawdą a Bogiem — warunki pracy w tropikach oznaczać musiały nielada próbę dla istotnie wężego organizmu. „Bronio” szukał własnej drogi długo a studia z zakresu antropologii rozpoczął dopiero po uzyskaniu doktoratu z chemii w Krakowie (1908).

Jak Conrad imponował Malinowski Anglikom stopniem opanowania ich języka. Z tą różnicą, iż nie tylko pisał ale i mówił piękną angielszczyzną. Jak Conrad wszedł do środowiska anglosaskiego około trzydziestki i odszedł od bezpośrednich związków z Polską po stracie najbliższej mu w Kraju osoby. Conrad — po zgonie Wuja, Malinowski — po stracie Matki pożenili się z Angielkami, które — by dopełnić analogii! — zapadły w kilka lat po ślubie na ciężkie i nieuleczalne choroby.

Obaj, co interesuje nas najżywiej, stali wobec problemu podwójnej lojalności — wobec Polski i Anglii.

Okoliczności wyjazdu Malinowskiego do Australii

Wiadomości o początkach angielskiej kariery naukowej Malinowskiego są raczej skąpe. Wiemy, że studiował pod kierunkiem prof. C. G. Seligmana i prof. Edw. Westermarcka w London School of Economics — i tam, w oparciu o materiały dostępne w Londynie, uzyskał stopień doktorski na podstawie tezy pt. „The family among the Australian aborigines” (1913). Był już wtedy zapowiadającym się świetnie młodym naukowcem. Miał życzliwe oparcie w pomocy obu wspomnianych wyżej profesorów. Wymownym świadectwem ich życzliwości i uznania jest późniejszy (1919) odruch prof. Seligmana, przypomniany przez Sir Williama Beveridge'a na Akademii pośmiertnej ku czci Malinowskiego w Londynie (13 lipca 1942). W r. 1919, gdy Malinowski wrócił do Anglii, nie łatwo było o etat. Prof. Seligman zgłosił gotowość rezygnacji z części swego uposażenia, byle nie stracić asystenta w osobie właśnie Malinowskiego.

O kierunku kariery Malinowskiego zdecydował w latach 1913-4

zbieg niezależnych od siebie wydarzeń. Polka, dr Maria Antonina (Tośka?) Czaplicka², ex-stypendystka Kasy im. Mianowskiego w Warszawie, wykładająca wówczas etnologię w Oxfordzie, skontaktowała Malinowskiego z prof. R. R. Maretem poszukującym sekretarza ekspedycji naukowej udającej się z ramięm British Association do Australii. Temat pracy doktorskiej sprzyjał Malinowskiemu. Ekspedycja dawała mu możliwość poznania Antypodów.

Jest sprawą niejasną, jak włączył się do wyprawy Stanisław Ignacy Witkiewicz (Witkacy), przyjaciel Malinowskiego z Zakopanego. Czy jako jadący na koszt własny czy rodziny (by wspomnieć o niedawnym samobójstwie narzeczonej, Jadwigi Janeczewskiej), czy też jako „rysownik i fotograf” ekspedycji? Tak właśnie określa jego rolę Jan Witkiewicz w życiorysie ogłoszonym w r. 1957 w księdze zbiorowej.

Ekspedycja wyruszyła z Anglii wiosną 1914 r. Wiadomość o wybuchu I Wojny Światowej zaskoczyła Malinowskiego na statku, gdy płynął z Zachodniej do Południowej Australii.

Rozstanie z Witkacym

Wydany obecnie dziennik otwiera zapis z 20. IX. 1914 r., skreślony w Porcie Moresby na południowym wybrzeżu Nowej Gwineji u progu „samodzielnej wyprawy do tropików”.

Losy przyjaciół ułożyły się drastycznie odmiennie. Malinowski był poddanym austriackim, podlegającym przepisom o internowaniu, jako obywatel wrogiego mocarstwa. Władze australijskie obeszły się z nim więcej niż łaskawie. Internowanie przeobraziło się w *libera custodia* a obiekt nadzoru otrzymał subwencję rządu australijskiego na badania antropologiczne nad plemieniem Mailu na Nowej Gwineji. Pomocy udzielono tak śpiesznie, że już w połowie września 1914 Malinowski był z pełnym ekwipunkiem na Nowej Gwineji. Sam. Po burzliwym rozstaniu z Witkacym, pełen obaw o przyszłość i sens pracy.

Witkacy, dla odmiany, był formalnie poddanym rosyjskim, jako urodzony w Warszawie (1885), choć od piątego roku życia mieszkał w Zakopanem. Stąd surrealistyczny obrót wydarzeń. Utrzymanie obywatelstwa carskiego było pomysłem matki, która w ten sposób chronić chciała syna od służby w wojsku austriackim. W Rosji wolny był od niej jako jedynak. W Australii zna-

2. Przy sposobności przypomnieć warto ową Polkę, dr Czaplicką, o dwa lata młodszą od Malinowskiego, która już w r. 1912, mając lat 26, prowadziła wykłady i ćwiczenia z etnologii w Oxfordzie, a następnie Londynie i Bristolu. Zmarła, tragicznie, w Bristolu, pochowana w Oxfordzie 2 czerwca 1921. Na rok przed śmiercią otrzymała nagrodę Murchisona przyznaną jej przez Royal Geographical Society w Londynie za ogłoszone drukiem w trzech tomach wyniki badań nad pierwotnymi plemionami syberyjskimi. Prof. R. R. Marett przepowiadał jej *a special niche in the Polish Temple of Fame*. Warta przypomnienia.

łaż się dzięki temu w sytuacji groteskowej: obowiązywał go powrót do Rosji. Co i uczynił, kierując się do Petersburga, gdzie — według świadectwa Jana Witkiewicza — „wstąpił do przyśpieszonej gwardyjskiej szkoły oficerskiej” a następnie znalazł się na froncie.

Zanim Australię opuścił doszło jednak do tajemniczego a ostrego konfliktu z Malinowskim. Przekreślił on wieloletnią przyjaźń i był tematem długich rozmyślań, których echa odzywają się gęsto w dzienniku — a także w „tropikalnych” sztukach Witkacego („Mister Price czyli Bzik tropikalny”, 1920, „Bezimiennym dziele”, 1921 złośliwie „poświęconym Bronisławowi Malinowskiemu” a określonym jako „cztery akty dość przykrego koszmaru” i „Metafizyce dwugłowego cielęcia”, 1921. W tej ostatniej Malinowski wspomniany jest jako „przeklęty, angliczowany, niepokromiony marzyciel”). Nikt dotąd, jak się zdaje nie przebadał tych utworów w kontekście udziału Witkiewicza w wyprawie australijskiej i nie traktował ich jako dramatów „z kluczem”.

Malinowski powraca do tematu zerwania wielokrotnie. Myśli o „Stasiu” z goryczą i wyrzutami: „Jeśli nawet postąpiłem błędnie — on obszedł się ze mną bezlitośnie” — pisze 29. X. 1914. „Przez cały czas zachowywał się jak obrażona wielkość i pouczał w kategoriach wielkiej dojrzałej i bezstronnej mądrości. W jego zachowaniu się w stosunku do mnie nie było ani śladu przyjaźni. — Nie, mówiąc bezstronnie, na wadze zła i dobra języczek kieruje się przeciw niemu... Jestem straszliwie zgnębiony i zniechęcony tym bankructwem mojej najbardziej zasadniczej przyjaźni”. Powtarza to i później. Postępowanie Witkacego tłumaczy „niczym niepoohamowaną dumą, brakiem wyrozumienia, niezdolnością wybaczenia innym, choć sam darowuje sobie wiele” (29. X. 1914).

Z zapisu z dn. 2 listopada 1914 r. wynika, iż u źródeł konfliktu stała jakaś niefortunna wypowiedź Malinowskiego w czasie oficjalnej rozmowy z wysokim urzędnikiem brytyjskim Sir Oliver Lodge'm. Witkiewicz sprostował ją w sposób, który wywołał daleko idące zastrzeżenia Malinowskiego. „*Finis amicitiae*. Zakopane bez Stasia! Nietzsche zrywający z Wagnerem. Mam szacunek dla niego jako artysty, podziwiam jego inteligencję i uwielbiam indywidualność — ale nie mogę znieść jego charakteru”. Przewidywawszy się, próbował pisać do Witkacego, wyjaśniając mu swe stanowisko. Odpowiedź nie polepszyła sytuacji. Odnotować warto, że w liście odebrany przez Malinowskiego w Porcie Moresby 26. II. 1915 była wzmianka o Strzelcu (Legionach).

Echa konfliktu australijskiego odezwały się u Witkacego w r. 1927 w „Polemice i wrogach”, artykule ogłoszonym w „Przełędzie Wieczornym” 21 maja 1927 r. Przyznawał się, że zawdzięczał wiele wysokiej klasy przeciwnikom i eksponentom poglądów niezgodnych z jego teoriami. Zaliczał do nich Leona Chwistka i Malinowskiego: „Mimo, że są to wrogowie, szczęśliwy jestem, że z nimi to spędziłem pierwszą młodość, i wiem, ile tym

pierwszoklasowym łbom zawdzięczam, wiem, w ilu ciemnych zakamarkach myśli błądziłbym jeszcze, gdyby nie oni...”.

Stosunek do wojny i sprawy polskiej w latach 1914-18

Wybuch wojny miał zasadniczy wpływ na kierunek kariery naukowej Malinowskiego i na skutek osobliwego układu stosunków stworzył idealne warunki badań. Władzom australijskim odpowiadało zapewne przechowywanie obywatela wrogiego państwa w warunkach gwarantujących jego izolację od świata — a w czasach pokojowych możliwości równie długiego i samotnego pobytu wśród „dzikich” byłyby nie do pomyślenia.

Dziennik jest wymownym świadectwem, że praca i „tropiki” zaabsorbowały Malinowskiego niemal bez reszty. Wszystko inne, włącznie z losami świata i sprawy polskiej odsunęło się w cień, na drugi plan. Już 27 września 1914 r. dał temu wyraz j.n.: „Wydarzenia polityczne nie obchodzą mnie zupełnie; staram się nie myśleć o nich. Mam daleko sięgające nadzieje, że sytuacja Polski ulegnie poprawie. Jeśli idzie o tęsknotę za krajem, nie odczuwam jej prawie zupełnie — i tylko bardzo egotystycznie”.

Egzotyka otoczenia i oddalenie, sprawiające że wiadomości z Europy nadchodziły z opóźnieniem, wpływały w sposób oczywisty na osłabienie zainteresowań politycznych. 29. XI. 1914 notuje „silny niepokój o Matkę” i stwierdza, iż gdyby nie brak wiadomości o niej, nie interesowałby się wojną w ogóle. „Jest ona jedyną osobą, o którą troszczę się naprawdę i o którą się martwię. No i oczywiście o życie, o przyszłość” (9. XII. 1914). „Z trudem przychodzi mi wierzyć, że gdy tu jestem pomiędzy neolitycznymi dzikusami — i siedzę spokojnie — tam u nas dzieją się straszne rzeczy. Mam chwilami chętkę modlić się za Matkę”. „Sumienie — ta specyficzna funkcja przypisująca nam wszelkie zło, które się mogło wydarzyć, staje się głosem Boga”.

W rozsianych po dzienniku wspomnieniach przewija się, obok Matki i Witkacego „Chwistek i przygotowania do doktoratu”, dyskusje z przyjaciółmi w Bukowinie, profesorowie krakowscy (Gumpłowicz, Łoś), spotkania berlińskie z „Józkiem Kościelskim”, Morsztynem, Janem Włodkiem i oznaczane literowymi symbolami Polki, zwłaszcza T.S. i Zenia (może Eugenia Borkowska, z którą Witkacy pisał do spółki „Mr. Price'a”?). Otwierają one długi korowód „kobiet w życiu Malinowskiego” — temat niewyczerpany!

W drugiej części dziennika (z r. 1917-8) powraca motyw wyrzutów sumienia z racji „nieheroicznej postawy” wobec wojny. U podłoża tych uczuć leży jednak nie sprawa polska, ale obawa utraty sympatii E.R.M. (= Elsie R. Masson, przyszłej żony), przebywającej wówczas w Melbourne i oceniającej krytycznie bezpieczną sytuację Malinowskiego w porównaniu z niebezpieczeństwami, na które byli narażeni inni jej, angielscy, adoratorzy.

W r. 1918 pojawiają się skąpe oświadczenia o tematyce polskiej.

Jedno z nich wiąże się z projektami małżeństwa z E.R.M. 15 kwietnia, po bezsennej nocy wypełnionej wspomnieniami Tośki i innej jeszcze Polki oznaczanej małym *n* pisze: „żał tego, co już wrócić nie może. Myśli o Polsce, o 'kobiecie polskiej'; po raz pierwszy głębokie uczucie żalu, że E.R.M. nie jest Polką”. „Wrócę przecież do Polski i moje dzieci będą Polakami”. Nie przeszkadza to niewiele późniejszym (17. VI) marzeniom o członkostwie Royal Society, angielskim tytule Sir'a i notatce biograficznej w „Who's Who”.

W nieco wcześniejszym okresie ostrego zniechęcenia w stosunku do Anglików i zmęczenia trudnymi warunkami egzystencji wyraźnie formułuje pragnienie powrotu do Kraju i pracy naukowej wśród swoich. 21. XII. 1915 pisze: „Przez cały dzień uczucie tęsknoty do cywilizacji... Wieczorem, w dinghy, przyjemnie ambitna myśl: na pewno będę „wybitnym uczonym polskim”. To będzie moja ostatnia wyprawa etnologiczna. Poświęcę się bez reszty socjologii konstruktywnej, metodologii, ekonomii politycznej itp. — a w Polsce mogę zrealizować moje ambicje lepiej niż gdziekolwiek indziej”.

Im bliżej końca wojny — a nowiny z frontów były w tym ostatnim roku wojny i zmienne i niepomyślne — gryzie się własną skomplikowaną sytuacją. Złe samopoczucie potęguje się na skutek niedawnej wiadomości o zgonie Matki („dałbym wszystko, by móc uwierzyć w nieśmiertelność duszy”).

27 czerwca 1918 pada najbardziej znamiennie wyznanie: „Gdy tylko puszczę myśli swobodnie — biegną do Polski, w przeszłość. Zdaję sobie sprawę z czarnej przepaści, pustki w duszy — i z całą właściwą mi uczuciową małostkowością staram się uniknąć tej przepaści” — a więc jakby conradowskiej „smugi cienia”. W słowach zamykających ogłoszone obecnie fragmenty dziennika sąd nad sobą zamyka słowami: „Prawdę mówiąc, jestem człowiekiem bez charakteru” (*Truly I lack real character*).

Autocharakterystyki

W najdalej idącym porównaniu Malinowski zestawia siebie z Macchiavellim, którego studiował z przejęciem. Żartem nazywa siebie „Anglikiem z europejską mentalnością i europejskimi problemami”. Kiedy indziej, pisząc o znajomym Angliku, uważa iż jest on podobny do niego w tym że „nie robi niczego bezinteresownie, uznaje i ceni ludzi o tyle tylko, o ile są mu potrzebni w danym momencie” (6. II. 1915).

Systematycznie i świadomie stara się o wytworzenie w sobie postawy filozoficznej obojętności na wydarzenia zewnętrzne. Szczęście jest przekonanie, iż nic nie może nas zranić i stałe poczucie, iż zmierzamy „prostą drogą do grobu, do którego nie zabierzemy z sobą ani smutków ani radości, nadziei ani obaw i że każdy moment życia nasycony jest tym, co będzie i tym, co było” (1. IX. 1918).

„Życie płynąć musi wolno, jeśli ma osiągnąć głębię. — Należy się zmuszać do obserwowania otaczającej nas pustki życia bez ulegania złudzeniom. Czuję, że systematyczna choć monotonna praca powinna mi wystarczać. Czuję przywodzące na myśl nirwanę uczucie zadowolenia z egzystencji („nic się nie dzieje”), patrząc na wilgotne listowie i cieniastą głębię australijskiej dżungli. Stąd aksjomat: ciągłe dążenie do zmiany jest skutkiem naszej niemożności odczuwania pełni szczęścia; nie odczuwalibyśmy potrzeby zmiany, łapiąc w porę momenty szczęścia” (16. I. 1918).

W kilka tygodni później dostrzeże jednak niebezpieczeństwa owego idealnego bezruchu. Przeciwstawia mu „kosmiczne ambicje”, pragnienie panowania nad morzem, gwiazdami i wszechświatem, a przynajmniej ogarniania ich myślami. Popycha nas do tego „coś wyższego nad ciekawość i bardziej ważkiego od myśli” (9. III. 1918). Był czas — przypominał z goryczą — gdy „marzył o bohaterskim życiu, chciał spojrzeć losowi w oczy”, zmierzać się z przeciwnościami i poznać na własnej skórze czym są przeszkoki od szczęścia do smutku i rozpacz.

Wtedy zapewne Witkacy widział w nim marzyciela.

Stosunek do Anglików

W okresie pisania dziennika Malinowski nie był obywatelem brytyjskim. Prowadząc badania z ramienia władz australijskich włączał się jednak automatycznie do mechanizmu administracyjnego. Gromadzone przez niego obserwacje miały przynieść praktyczne wnioski na temat właściwego ustosunkowania się do krajowców. Pisał na ten temat raporty. Ostro przeciwstawiał się pewnym zarządzeniom godzącym w tradycje ludności tubylczej (np. zakazy tradycyjnych form obrzędów pogrzebowych). Ostro krytykował błędy misjonarzy. Wypowiadał się autorytatywnie, odważnie i swobodnie.

W świetle doświadczeń emigracyjnych (włącznie z osobistymi piszącej te słowa) zadziwia swoboda z jaką Malinowski poruszał się w anglosaskim świecie urzędniczym, mimo kłopotliwego paszportu. Z wielu wzmianek wynika, iż konsekwentnie dostosowywał się do otoczenia i że nie sprawiało mu to szczególnej trudności.

A mimo to nie lubił Anglików i ogólnie jako nacji i większości poznanych indywidualnie osobników. W r. 1918 pisał otwarcie o „anglofobii”, „pragnieniu strąśnięcia z sandałów pyłu anglosaskiego” — a nawet „pewnym podziwie dla kultury niemieckiej”. „Niemcy — pisał 21. II. 1918 — mają przed sobą cel, może wstrętny i sprzeczny z naszymi dążeniami, ale jest w tym *élan*, jest poczucie misji”, podczas gdy „Anglia jest uosobieniem zarozumiałstwa, umiłowania *status quo* i poczucia, iż ma w swym ręku cały świat”.

7 marca 1918 r. — na marginesie planów poślubienia właśnie

Angielki — pisze bez obstrukcji o nienawiści w stosunku do Anglii i Anglików. W chwilach spokojniejszych sprowadza postawę antybrytyjską do „antynacjonalistycznej”, dobrze przystającej do pacyfizmu.

Stosunek do tubylców

We wczesnym okresie gromadzenia materiałów Malinowski szedł śladami prof. Seligmána i nawiązywał kontakty ze wskazanymi przez niego tubylcami. Oficjalne listy polecające ułatwiały mu pomoc ze strony urzędników administracyjnych a w szczególności policji. Starał się — i to niezwykle umiejętnie — o mieszanie z tubylcami w codziennym ich życiu i zajęciach (polowach ryb, polowaniach, zabawach dzieci, pracach ogrodniczych, nawet wyrobie grzebieni), uczęszczał do sądów, przysłuchując się zeznaniom świadków, uczył się języków lokalnych i opracowywał ich słowniczki.

Najcenniejsze materiały, dotyczące powiązań rodzinnych i związków spadkowych, wydobywał (przy pomocy tłumaczy) na podstawie pytań zadawanych przy sporządzaniu oficjalnych spisów ludności. Po kilku miesiącach pobytu doszedł do tego, że prawie nie zauważano jego obecności, gdy mieszał się z krajowcami w toku zajęć codziennych. Po latach wspomina go jako „Man of Songs”, bo i sam lubił śpiewać i skwapliwie przysłuchiwał się wszelkim muzycznym i wokalnemu produkcjom mieszkańców wysp.

Malinowski nazywa ich tubylcami (*natives*) albo „dzikimi/dzikusami” (*savages*). W tym ostatnim określeniu brak w kontekstach zabarwienia pejoratywnego. W przystępach irytacji a więc np. gdy kłamali lub niechętnie udzielali informacji wymyśla im od *niggers* („czarnych”). Stosunek Malinowskiego do Melanezyjczyków był b. złożony. Przeważało, jak się zdaje, chłodne podejście uczonego do materiału badań. Nie ulega wątpliwości, że skrupulatnie przestrzegał wypracowanego przez administrację brytyjską kodeksu postępowania białych w stosunku do ludności tubylczej a w szczególności służby i pracowników zatrudnianych dorywczo w charakterze tragarzy, wioślarzy itp. Nie oznacza to braku życzliwego zainteresowania, graniczącego niekiedy z podziwem.

Bardzo charakterystyczny jest w tym względzie wczesny zapis z 12 listopada 1914: „*Tselo* — najpiękniejsza ze słyszanych dotąd melodii. Zaspakają zarówno artystyczną jak naukową ciekawość. Mimo wszystko jest w tym wiele z człowieka prymitywnego, cofając się aż do epoki kamienia gładzonego. Myślę także o niezmiernym skostnieniu zwyczajów. (...) Wydaje mi się, że zmiany dokonywują się tu bardzo powoli i stopniowo. Nie ulega wątpliwości, że zetknięcie się dwu sfer kulturalnych odbić się musi na zmianach zwyczajów”.

Z drugiej strony dziennik roi się od skarg na tubylców, któ-

rzy doprowadzić go umieli „do wściekłości”. Miewał — zwłaszcza w r. 1918 — ataki ostrej tęsknoty do świata cywilizowanego i życia miejskiego. W okresie Bożego Narodzenia 1917 r. (gdymb. przeoczył dzień wigilijny), w okresie wyjątkowo złego samopoczucia stwierdzał brak zainteresowania etnologią a egzystencja krajowców wydawała mu się pozbawiona znaczenia i tak mu obca jakby chodziło o psy (24. XII. 1917). Poprzedniego dnia określił ich jako *niggers* w sensie jak najbardziej obraźliwym.

Zapisy te stoją w niewątpliwiej sprzeczności z ogólnie przyjętym portretem Malinowskiego. Nie należy brać ich dosłownie, pamiętając że kreślił je w końcowym okresie trudnej i samotnej ekspedycji z podszewką owej *libera custodia*. Celem dziennika nie było kreślenie portretu urojonego.

Stosunek do przyrody tropikalnej

Przez cały czas pobytu w tropikach Malinowski trwał w stanie fascynacji otaczającymi go krajobrazami: opisuje je drobniawo, przywiązując wielką wagę do efektów kolorystycznych, gry obłoków i fal, egzotycznej roślinności i fauny. Wielokrotnie wypowiada poglądy, iż możliwość przebywania w tym świecie jest hojną rekompensatą trudnych warunków życia i że chciałby tu mieszkać stale. W najbogatszych kolorystycznie pejzażach widzi tematy malarskie dla Witkacego, ogląda je niejako jego oczyma. Notuje, że „krzyczał z radości, ujrawszy morze”.

Po przybyciu na wyspy Amphletts pisze (20. III. 1917): „Zułem, że warto żyć (...): stromy wał górski z prostopadłymi szczylinami, z których kipiła roślinność, wątle wodospady, szmer strumieni” — „jakaż rozkosz móc tu przebywać, być w bezpośrednim kontakcie z tropikami”. Ulubioną formą wypoczynku były samotne spacerowanie o zachodzie słońca albo przesiadywanie przed namiotem wieczorami.

Cieszyło go, że pisząc o wyspach Melanezji stworzył je dla świata. Były dla niego realizacją utopii z utworów przyjaciela, Tadeusza Szymberskiego³.

3. Nazwisko to ma swoją wymowę — jemu właśnie dedykował Malinowski „Życie seksualne dzikich”. Był autorem młodopolskich utworów poetyckich zbagatelizowanych przez krytykę. Zamknął się w skorupie zniechęcenia — i dziś tylko domyśleć się można, jakie dręczyły go kompleksy i koszmary. Przez długie lata, do upadku Francji miał pod opieką Czytelnię Biblioteki Polskiej w Paryżu, sumienny, „niekomunikatywny”. Zmarł w czasie II wojny w Aix-les-Bains, w schronisku Czerwonego Krzyża, gdzie mieszkał z żoną i gdzie ukrywał i karmił tajemnicze postacie Ruchu Oporu — w tym śp. por. Ważnego. Zona, malarka, utopiła się w Lac du Bourget, poszła za nim. Przypomniał ich oboje, Tadeusza i Zofię, Tymon Terlecki w swym „Paryżu”. I ja, znając ich z Paryża i Aix dorzucam słowo przypomnienia i wezwanie do obszerniejszej o nich relacji.

Warunki egzystencji

Malinowski spędził większość pobytu w tropikach pod namiotem, na łożku polowym, pod moskitierą. Jadł to, co potrafił ugotować służący-kucharz pod osobistym kierunkiem uczonego. Wspólnie odkryli technikę smażenia ryby: był to wielki ewenement gastronomiczny.

Dużo chodził. Uprawiał gimnastykę szwedzką. Jeździł konno. Brał udział w wyprawach na morze z niesłabnącym entuzjazmem, choć często zapadał na chorobę morską. Polował. Pływał. Żył od poczty do poczty, wyczekując na przybycie łączących go ze światem stateczków.

Wyruszył z ogromnym zapasem leków i administrował je hojnie przy każdej okazji. Wierzył w wszechmocne działanie zastrzyków arszeniku. Bał się chorób wenerycznych, częstych w otoczeniu. Zażywał regularnie chininę. Chcąc nie chcąc musiał być swoim lekarzem — a nawet leczyć tubylców. Stan zdrowia — a raczej strach przed chorobą — zabiera wiele miejsca w dzienniku. Ale — jak u Conrada — były to obawy w pełni uzasadnione. Malinowski zagrożony był poważnie gruźlicą, po powrocie do Europy chorował często — a umarł, przeżywszy zaledwie 56 lat.

Dokuczają mu bezsenność, bicie serca, zmęczenie nieuzasadnione wysiłkiem. Częstym tematem halucynacji i starannie zapisywanych snów są pragnienia seksualne, w których obok partnerów pojawiają się partnerzy, lub on sam homoseksualnie rozdwojony.

Post seksualny był, formalnie, nieuchronną częścią egzystencji w czasie wypraw naukowych. O łamaniu go zdają się świadczyć fragmenty wykropkowane, dramatyczne wyrzuty sumienia i obietnice wzorowej wstrzemięźliwości. Przychodziła ona niełatwo autorowi „życia seksualnego dzikich”, zwłaszcza w toku zbierania materiałów.

Życie osobiste Malinowskiego

Naprzód o stosunku do Matki. Autorytet jej zaciążył nad kierunkiem życia i poglądami Malinowskiego. Wyczuwa się, że jako uczonego był niejako jej tworem kształtowanym cierpliwie i rozumnie. Syn doceniał to, ale w pewnych okresach starał się świadomie odciąć od niej, sam i niezależnie.

Przybył do Australii z pokaźnym bagażem wspomnień o kilku sentymentach polskich — bohaterki ich oznacza inicjałami lub imionami: Żenia, Tośka. Z tą ostatnią spotykał się na terenie Anglii. W pierwszym roku pobytu w tropikach uważa się za zakochanego w niej nadal.

W Południowej Australii przeżył aferę miłosną z N.S., z którą przez czas pewien zamierzał się ożenić. Sprawa ta ciągnęła się długo i w latach 1917-1918 odsłoniła ciekawy aspekt życia emo-

cjonalnego Malinowskiego. Przed wyjazdem na Wyspy Trobriandzkie w r. 1917 poznał przyszłą żonę Miss Elsie R. Masson („Złotko”) i nawiązał z nią romans przed zerwaniem z N.S., której obiecywał małżeństwo. W tym stanie rzeczy wyruszył na Wyspy. Obie niewiasty (N.S. i E.R.M.) zasypywały go listami i podarkami z anglosaską wytrwałością, nie wiedząc o sobie nawzajem. Malinowski zwlekał z zerwaniem z N.S., która pociągała go bardziej fizycznie, pisał wykrętne listy — a równocześnie trawił dnie i noce na rozważaniach czy i dlaczego powinien się ożenić z E.R.M. Ta znów, nie budząc gwałtownych uczuć, nadawała się na profesorową Malinowską i zakulisowy pojedynek wygrała, mimo sprzeciwu rodziny (była córką Sir David Orme Masson, profesora Uniwersytetu w Melbourne). Ożenił się w roku 1919, wykradłszy pannę.

Deliberacje na temat wyboru właściwej kandydatki na żonę są czymś więcej od niewygodnej sytuacji życiowej: zdają się odsłaniać zgoła nieeuropejski poligamiczny aspekt sytuacji.

W pełnym jej obrazie zmieścić się muszą także i wysoce atrakcyjne mieszkanki wysp. Malinowski tak je opisuje na swój prywatny użytek: „O 5-ej poszedłem do Kaulaka. Piękna, świetnie zbudowana dziewczyna szła przede mną. Obserwowałem mięśnie jej pleców, jej figurę, jej nogi — a piękno ciała, ukrywanego u nas — białych, zafascynowało mnie. Prawdopodobnie nawet u własnej żony nie będę miał sposobności obserwowania gry muskułów przez czas tak długi jak było to możliwe u tego małego zwierzątka. Żałowałem przez chwilę, że nie jestem dzikusem i że nie mogę posiadać tej pięknej dziewczyny” (18. IV. 1918).

Uzupełni to dalsze przeżycie: „Szedłem w kierunku plaży obserwując ciało bardzo zgrabnego chłopca, który szedł przede mną. Uwzględniając pewien remanent homoseksualizmu w naturze ludzkiej, kult pięknego ludzkiego ciała odpowiada definicji Stendhala”.

Lektura. Zamiatowania muzyczne. Fotografia

Malinowski wyrzucał sobie często, że trawi zbyt wiele czasu na lekturę. Brak świadectw, by miał z sobą bodaj jedną książkę polską; robi jednak częste aluzje do klasyków polskich. Wraca chętnie do lektury autorów czytanych uprzednio w Kraju w przekładach np. Fenimore'a Cooper'a, nie mogąc doszukać się porównawczej poetyczności, którą odczuwał dawniej. Klnąc, że traci czas, pochłania Dumas'a.

Wysoko cenił za artyzm jednego tylko autora — Conrada. Jak zaznaczony czytał „Romance” i „Youth”, a chwalił przy jakiejś okazji Kiplinga, pisze: „wielki artysta — ale oczywiście nie umywa się do Conrada”.

Jedną z udręk odcięcia od świata był dla Malinowskiego nie-

wątpliwie brak dobrej muzyki. Wspomina koncerty londyńskie, deklarując się jako miłośnik Beethovena i Wagnera.

Z upodobania i musu był dobrym fotografem. Ilustracje do książek związanych z okresem pisania dziennika świadczą, że interesowała go nie tylko dokumentacyjna ale i artystyczna strona zdjęć.

Dla czytelników anglosaskich dziennik Malinowskiego jest jeszcze jedną relacją o pracy uczonego w tropikach. Z recenzji wynika, że punkt ciężkości przesunięto na wartość zapisków jako komentarza dzieł — na możliwość obserwowania procesu wykluwania się nowych metod pracy czy odkrywania mechanizmu takich zjawisk jak np. osobliwy system wymiany towarowej kula.

Dla czytelnika polskiego, jak starałam się wykazać, dziennik ma głębszą i ciekawszą wymowę. Warto, by ukazał się w oryginalnym polskim tekście z dochowanych u wdowy autografów. Co więcej: uzupełniony pominiętym przez angielskich wydawców wcześniejszym dziennikiem Malinowskiego nie dotyczącym, jak informuje przedmowa, jego działalności naukowej.

Maria DANILEWICZOWA

Nadesłane nowości wydawnicze

- SOSNKOWSKI (Kazimierz, gen.). *Materiały Historyczne*. Str. 717. Opr. plk. Józef Matecki. (Wyd. Inst. J. Piłsudskiego w N. Jorku i Londynie [Gryf Publ., Londyn 1966], skład główny: Księgarnia S.P.K., 26 Queens Gate Terrace, Londyn S.W.7. Cena \$ 9,00.
- PARNICKI (Teodor). *Twarz księżycy*. Cz. 3. Str. 600. (Wyd. „PAX”, Warszawa, 1967, cena zł. 50).
- POZWIŃSKI (Henryk). *Spod Łowicza do Londynu*. Str. 232. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1967).
- TOMASZEWSKY (Jadwiga Jurkszus i Adam). *Toronto, Tronto, Trana*. Wstęp B. Heydenkorna. Str. 188 i 4 nlb. Ilustracje w tekście (Wyd. Autorzy i Czytelnicy, Toronto, Kanada, 1967).
- BRAUN (Jerzy). *Wybór poezji. Balada o Warszawie*. Str. 78 i 2 nlb. (Wyd. Związek Młodzieży Polskiej, Passaic, N.J., USA, cena \$ 2,50).
- Na progu drugiego Tysiąclecia*. Niektóre wnioski polityczne na przyszłość z doświadczeń przeszłości. Str. 86 i 2 nlb. Varityper. (Wyd. Zw. Ruchów Demokratycznych, Londyn, 1967).
- MEKARSKI (Stefan). *Reforma szkolnictwa w „Polsce Ludowej”*. Str. 20. (Odbitka z „Szkołnictwo wyższe i nauka polska na obczyźnie, Londyn, 1967).

- Polska Macierz Szkolna*. Pomoc dzieciom polskim z Niemiec i Austrii. Piętnastolecie działalności. Str. 30. (Londyn, 1966).
- 100-lecie urodzin Józefa Piłsudskiego*. 1867-1967. Katalog wystawy w Edynburgu. Powielacz, str. 22.
- Kalendarz 1968 i 1969 rzeczą polskim poświęcony*. Str. 148. (Wyd. przez Komitet Skarbu Narodowego R.P., wrzesień 1967, Chicago).
- KIERKLO (Mieczysław) i WÓJCIK (Jan). *Polonia w Connecticut*. Str. 272. Liczne fotografie w tekście dwujęzycznym: polsko-angielskim. (Wyd. Komitet Obchodów Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej na Stan Connecticut, Hartford, 1966).
- PASZKOWSKI (Lech). *William Blandowski — the First Government Zoologist of Victoria*. Str. 147-172 oraz 3 strony ilustracji. (Odbitka z „The Australian Zoologist”, Vol. XIV, (2), August 1967).
- CIENCIALA (Anna). *The Significance of the Declaration of Non-aggression of January 26, 1934, in Polish-German and International Relations: A Reappraisal*. Str. 30. (Odbitka z „East European Quarterly”, March, 1967).
- KULISZ (Włodimir). *Pacany*. Powiść pro bezprzytulnych. Str. 319. (Wyd. „Szlach Peremohy”, München, 1967).
- OSTRUK (Jarosława). *Churtowyna Hriade*. Powiść. Str. 189. (Wyd. „Dniprowa Chwyla”, München, 1967).
- KACZUROWSKYJ (Ihor). *Strofika*. Str. 355. (Wyd. Instytut Literatury im. Mychajła Oresta, München, 1967).
- RYPETSKYJ (Nestor). R 33. Opowiadania. Str. 223. (Wyd. „Homin Ukrainy”, Toronto, 1967).
- Nowi Poeziji*. Nr 9. Str. 60. (Wyd. Niu-jorkskoj Hrupy, New York, 1967).
- BOJCZUK (Bohdan). *Mandriwka Tił*. Poeziji. Str. 78. (Wyd. Niu-jorkskoj Hrupy, New York, 1967).
- WINAR (Lubomyr R.). *Mołodist' Mychajła Hruszewskoho*. 1866-1894. Str. 36. (Wyd. Ukr. Istoryczne T-wo., München-New York, 1967).
- JANIW (Włodimir). *Kardynał Josyf Ślippyj*. Str. XV-XXXII. (Widbytko z zbirnyka „Relihia w żytti ukrajinskoho narodu”, „Zapysky NTSz” t. 181, München-Rym-Paryż, 1966).
- JANIW (Włodimir). *Relihijnist' Ukrainca z etnopsycholohicznoho pohladu*. Str. 179-203. (Widbytko z zbirnyka „Relihia w żytti ukrajinskoho narodu”, wyd. w „Zapyskach NTSz”, t. 181, München-Rym-Paryż).
- Ereignisse in der Ukraine 1914-1922 deren Bedeutung und historische Hintergründe*. Opr. Teophil Hornykiewicz. Tom I. Str. 450, Philadelphia, Pa, 1966; T. II.: Str. 484, Philadelphia 1967. (Wydawnictwo w 4-ch tomach East European Research Institute im W. K. Łypynskiego).
- REIMANN (Viktor). *Innitzer — Kardinal zwischen Hitler und Rom*. Str. 380. (Wyd. Verlag Fritz Molden, Wien, 1967).
- TATARINOFF (Adele). *Tadeusz Kościuszko 1746-1817. Kampf und opfen für die Freiheit*. Str. 107. (Specjalna odbitka z „Jahrbuch für Solothurnische Geschichte Band 40, 1967).
- MAKSIMOV (Vladimir). *Ziv Covek. Przel. z rosyjskiego Petar Vujcie*. Str. 79 i 2 nlb. (Wyd. Izdavacki zavod „Jugoslavija”, Beograd, 1967).

Humor krajowy

ECHA WOJNY IZRAELSKO-ARABSKIEJ

W Moskwie sąd nad szoferem taksówki za ekscesy antysemickie. Oskarżony broni się sam i mówi: „Proszę Wysokiego Sądu, ja nic nie jestem winien, to wina komunikatu radiowego. Wiozę klienta, jestem na Czerwonym Placu, otwieram radio i słyszę: 'Agresor izraelski zaatakował Egipt'. Jadę dalej, na Kuzniewskim moście słyszę 'Agresor izraelski jest już na pustyni Synajskiej'. Dojeżdżam do Smoleńskiego Rynku, a radio podaje: 'Agresor dotarł do Kanału Sueskiego'. Ogromnie się zdenerwowałem. Dojeżdżam do dworca Białoruskiego i co widzę agresor już jest tu. Zatrzymałem auto, wyskoczyłem i broniąc zagrożonej ojczyzny — zacząłem bić...”

Jak się dowiadujemy, znana restauracja w Kazimierzu nad Wisłą *Esterka*, przemianowana została ostatnio na *Arabskę*.

W czasie wojny na granicy egipsko-izraelskiej wojska obu narodów znajdowały się w okopach naprzeciw siebie. Żydzi postanowili wywabić Arabów z ukrycia. Zaczęli wołać: „Achmed! Achmed” i gdy Arab, widocznie o tym imieniu, wychylił się z okopów zastrzelili go. Potem wywołali Alego, Mahdiego i po kolei ich wybijali. Zdenerwowani Arabowie postanowili odplącić im tą samo monetą i zawołali: „Mojsze”. Z okopów izraelskich usłyszeli: „Kto mnie woła?” — Ja — odpowiedział Abdul — wychylając się — na swoje nieszczęście!

Podobno najnowszy afisz izraelski, propagujący turystykę brzmi: *Zwiedzajcie Izrael i jego piramidy...*

OGŁOSZENIE W WARSZAWSKIEJ GAZECIE

Jan Kowalski poszukuje człowieka, który ukrywał go w Falenicy w czasie okupacji. Sprawa znowu aktualna...

W oficjalnych przemówieniach często słyszy się, że przed wojną Polska stała pod względem ekonomicznym na skraju przepaści... Teraz zrobiliśmy krok naprzód... stwierdzają słuchacze.

Do Warszawy mają przyjechać z wizytą oficjalną Kosygin i Breżniew. Władze przygotowują przyjęcie dla gości. M.in. ma się odbyć defilada ludu pracującego. Sekretarz podstawowej organizacji partyjnej wzywa swego zastępcę i mówi: „Kowalski wy poniesiecie sztandar i poprowadzicie pochód”. „Towarzyszu, broni się Kowalski, bardzo was proszę, wybierzcie kogoś innego, ja naprawdę nie mogę, to byłoby nieuczciwe z mojej strony”. — „Dlaczego?” — pyta zdziwiony sekretarz. „Widzicie, kiedy po raz pierwszy szedłem ze sztandarem na czele pochodu — zaraz potem umarł Stalin; wyznaczono mnie ponownie i co się dzieje: usunięto Chruszczowa, ja już naprawdę się boję...”

— „Tym bardziej was wyznaczam — mówi sekretarz — macie taką szczęśliwą rękę...”

Zebrała Zofia HERTZ

ZDARZENIA NA UKRAINIE W LATACH 1914-1922

ICH ZNACZENIE I HISTORYCZNE TŁO
w 4-ch tomach

Całość zawiera około 700 oryginalnych dokumentów z austriackich państwowych archiwów ● Dokumenty w brzmieniu oryginału — po niemiecku ● Wybrał, uporządkował i przygotował do druku prof. Teofil HORNYKIEWICZ, Wiedeń ● Słowo wstępne — prof. Willibald Plöchl z Uniw. we Wiedniu ● Wydawca: Wschodnio-Europejski Instytut Badawczy im. Władysława Łypynskiego.

Nakład: 700 egz. oprawnych w płótno.

Każdy tom zawiera 400-500 stron.

Cena wraz z przesyłką:

T. I. — \$ USA 12; DM 48.

T. II. — \$ USA 14; DM 56.

Całość 4-y tomy — \$ USA 45; DM 180 — płatne z góry.

Dotychczas ukazały się T. I. i II. T. I. zawiera 196 oryginalnych dokumentów (raportów służbowych, oficjalnych not i listów, memoriałów oraz rządowych opinii), dotyczących wypadków na Ukrainie w latach 1914-1918. T. II. obejmuje dokumenty dotyczące Pokojowej Konferencji w Brześciu nad Bugiem (9. II. 1918).

Wydanie można nabyć:

W EUROPIE jedynie w BUCHVERLAG Dr O. WINTONIAK, 8 München 2, Dachauerstrasse 9 (Niemcy);

W USA i krajach pozaeuropejskich w EAST EUROPEAN RESEARCH INSTITUTE, Inc., 1204 W. Lindley Ave., Philadelphia, Pa. 19141 (USA).

DATA	POLITYKA
15-11-67	
16-11-67	Przywódcy socjal-demokratów w NRF przekonali przedstawicieli swej partii na konferencji w Bad Godesbergu, że pozostanie w rządzie koalicyjnym jest konieczne i nie stanowi „zdrady ideałów socjalistycznych”.
17-11-67	Trzy nie-komunistyczne ugrupowania lewicowe we Francji, zgrupowane w Federacji F.G.D.S. pod przewodnictwem Mitterranda, postanowiły zacieśnić współpracę. Zdaniem wielu dzienników może to doprowadzić do powstania w przyszłości jednolitej partii socjal-demokratycznej we Francji.
18-11-67	Rząd brytyjski przeprowadził dewaluację funta szterlinga o 14%. W Nowym Jorku odbył się Światowy Kongres Wolnych Ukraińców, który wyłonił stały sekretariat. Prezesem został o. Wasyl Kuszniur.
19-11-67	Rząd NRF zamierza wprowadzić nową ordynację wyborczą, wzorowaną na systemie brytyjskim, by nie dopuścić do zdobycia większej ilości mandatów przez skrajnie prawicowych Narodowych Demokratów.
20-11-67	W Polsce utworzono nowe ministerstwo Przemysłu Maszynowego, wydzielając tę dziedzinę gospodarki spod kompetencji min. Przemysłu Ciężkiego. Nowym ministrem Przemysłu Maszynowego został J. Hrynkiwicz. Nowym min. Przemysłu Ciężkiego F. Kaim a min. Gospodarki Komunalnej (po śmierci Sroki) A. Giersz.
21-11-67	W Waszyngtonie ogłoszono, że Francja wycofała się z międzynarodowej organizacji gwarantującej stabilność cen złota. Jednocześnie na giełdach międzynarodowych rozpoczął się nacisk na dolara.

KULTURA I NAUKA

Na jubileuszowej konferencji — Ukraińskiej Wolnej Akademii Nauk w Winniepegu uchwalono powołać do życia Ukr. Radę Naukową, celem koordynacji prac, oraz reprezentację ukr. organizacji i tow. naukowych.

W Sowietach przyznano nagrody państwowe za rok 1967. Nagrodzono m.in. film S. Jutkiewicza pt. „Lenin w Polsce”. Film ten spotkał się z pochlebą oceną krytyki na Zachodzie.

W Pradze „ujawniono” i aresztowano autora Manifestu Pisarzy Czechosłowackich, którego treść opublikowała prasa na Zachodzie. Aresztowanego określono jedynie jako dr. I. P.

Juraj Spitzer, redaktor naczelny organu pisarzy słowackich *Kulturny Život*, zwolniony został ze stanowiska. Kierownictwo pisma objęli zbiorowo: L. Novomesky, V. Mihalik i J. Bob.

Telewizja brytyjska nadała 2-godzinny program przedstawiający dokładny przebieg procesu dwóch pisarzy sowieckich: Siniawskiego i Daniela.

Sekretarz Generalny Międzynarodowego PEN-Klubu oświadczył, że przystąpiono do utworzenia specjalnego komitetu, który zajmie się obroną praw skazanych pisarzy Siniawskiego i Daniela.

RÓŻNE

We Lwowie skazano na 3 lata więzienia Władysława Czornowola, znanego krytyka i dziennikarza, za organizowanie protestów w obronie uwięzionych niedawno ukr. intelektualistów i trzymany w obozach koncentracyjnych w Mordwinińskiej ASSR. KGB aresztowało ostatnio w Stryju i Morszynie 40 osób, przeważnie nauczycieli, oskarżonych o „nacionalistyczną propagandę”.

Dn. 11. XI. 67 zmarł w N. Jorku, w wieku lat 62, Leon „Sonka” Dąbrowski, długoletni redaktor *Nowego Świata*, żołnierz A.K.

Dn. 12. XI. 67 zmarł ordynariusz diecezji katowickiej, ks. bp Stanisław Adamski, najstarszy wiekiem i sakrą członek episkopatu polskiego. Zmarł mając 92 lata w 68 rocznicę święcen kapłańskich.

W Instytucie im. gen. Sikorskiego w Londynie odbył się uroczysty obchód 75-rocznicy założenia PPS.

W Londynie wystawiono na sprzedaż 58 listów Einsteina. 4 listy zawierają poezję.

Liczba ludności Stanów Zjednoczonych doszła do 200 milionów.

Belgradzka *Polityka* twierdzi, że grupa komunistów czechosłowackich domaga się utworzenia opozycyjnej partii marksistowskiej.

DATA	POLITYKA
22-11-67	Po koncentracji wojsk tureckich przygotowanych do lądowania na Cyprze, w Grecji zarządono stan pogotowia.
23-11-67	Prezydent Egiptu Nasser oświadczył, że jego rząd nie uzna Izraela i nie pozwoli by statki izraelskie przepływały przez kanał Sueski.
24-11-67	10 Plenum PZPR ogłosiło decyzję podwyższenia ceny mięsa i przetworów mięsnych o przeciętnie 16,7%.
25-11-67	Dzięki mediacji wysłannika prezydenta Johnsona Cyrusa Vance i delegata ONZ Rolz-Bennett'a, doszło do kompromisu między Grecją a Turcją w sporze o Cypr.
26-11-67	W Niemczech Zachodnich powstała nowa partia Liberalno-Lewicowa. Wypowiada się ona za uznaniem Niemiec Wschodnich, „co powinno doprowadzić do zjednoczenia Niemiec”.
27-11-67	Prezydent de Gaulle oświadczył na konferencji prasowej w Paryżu, że Francja nie jest gotowa do podjęcia rokowań w sprawie przyłączenia W. Brytanii do Wspólnego Rynku.
28-11-67	Specjalny wysłannik prezydenta Johnsona, amb. Harriman, prowadzi w Bukareszcie rozmowy na temat Wietnamu. Prasa przypomina, że Rumunia pośredniczyła już w kontaktach między Waszyngtonem a Hanoi.
29-11-67	Dotychczasowy minister Spraw Wewnętrznych, Roy Jenkins, obejmuje stanowisko ministra Skarbu, na miejsce min. Callaghana, który ustąpił po dewaluacji funta.
30-11-67	W Waszyngtonie ogłoszono, że minister Obrony R. McNamara opuszcza to stanowisko. Przyjął on nominację na prezesa Banku Świata. Nie ogłoszono jeszcze kto będzie jego następcą.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
Nagrodę literacką Goncourt otrzymał 58-letni pisarz Pierre de Mandiargues.	Zmarł w wieku lat 83, w Albany, N.Y. dr Kazimierz Funk, wybitny biolog.
Na międzynarodowym festiwalu Varietés w Rennes duet fortepianowy W. Kisielewski i M. Tomaszewski zdobył Grand Prix.	Na Zachód dotarły wiadomości z Pragi o demonstracjach studentów, którzy domagali się poprawy warunków bytu w hostelach uniwersyteckich. W starciu z policją około 100 studentów zostało poturbowanych.
W konkursie skrzypcowym im. Wieniawskiego pierwszą nagrodę zdobył Polak — P. Janowski, drugą Rosjanin, Bezwierchnyj, a trzecią Polka K. Dańczowska.	Polska Centrala Handlu Zagranicznego Centrozap buduje w Kanadzie kopalnię soli potasowych. Polska dostarcza własną dokumentację techniczną i finansuje całą budowę.
W Paryżu zmarł w wieku 77 lat jeden z najwybitniejszych rzeźbiarzy współczesnych, Ossip Cadkin, urodzony w Smoleńsku.	W społeczeństwie węgierskim pokutuje jeszcze mit o „świętości korony węgierskiej”, który jest źródłem odradzania się nacjonalizmu — pisze organ ideologiczny partii <i>Vilagossag</i> .
Na studenckim festiwalu na Wybrzeżu, p.n. „Spotkania Jesienne 67” nagrodę „Czerwonej Róży” otrzymał poeta z Warszawy J. Hohensee.	Polska znalazła się na 7-ym miejscu na światowej liście producentów statków.
W Brukseli ogłoszono apel do władz sowieckich o zwolnienie uwięzionych pisarzy Siniawskiego i Daniela. Apel podpisało 600 intelektualistów, m.in. Graham Greene, Raymond Aron, Ignazio Silone i E. M. Remarque.	W Nowej Hucie rozpoczęto budowę pierwszego w tym mieście kościoła.
Największy jugosłowiański Dom Wydawniczy „Prosveta” publikuje serię literatury światowej. Literaturę polską reprezentują „Lalka” Prusa i „Noce i Dni” Dąbrowskiej.	
W ośrodku kultury polskiej na Sorbonie otwarto wystawę poświęconą pamięci Sienkiewicza i Reymonta.	

DATA	POLITYKA
1-12-67	Pierwszym prezydentem nowo utworzonej Republiki Ludowej Południowego Jemenu został As-Schaabi. Jest on jednocześnie premierem i Naczelnym Wodzem.
2-12-67	Eskadra bombowców sowieckich typu TU-16 przybyła z wizytą do Egiptu i ma tam pozostać „przez pewien czas”. Jest to pierwsza wizyta bombowców sowieckich w kraju nie należącym do Bloku Sowieckiego.
3-12-67	Parlamentarzyści wchodzący w skład Zgromadzenia Doradczego Unii Zachodnio-Europejskiej, reprezentujący trzy największe ugrupowania polityczne w Europie Zachodniej: chrześcijańskich demokratów, socjalistów i liberałów, wypowiedzieli się za natychmiastowym wszczęciem rokowań w sprawie przyjęcia W. Brytanii do Wspólnego Rynku.
4-12-67	Zachodnioniemiecki min. Obrony, Schroeder, odrzucił żądanie opozycyjnej partii Wolnych Demokratów, by Niemcy zrezygnowały z ambicji uzbrojenia swych wojsk w broń nuklearną.
5-12-67	Sowiecki min. spraw zagr., Gromyko, przybył do Warszawy na rozmowy z Rapackim, który w ciągu ostatnich 6 miesięcy odwiedził 9 krajów należących do Paktu Atlantyckiego.
6-12-67	Przywódcą komunistów rumuńskich, Ceausescu, zapowiada na zjeździe Partii wprowadzenie reform politycznych i gospodarczych. Zmierzają one do zwiększenia roli kierownictwa partyjnego w podejmowaniu zasadniczych decyzji, przyznając jednocześnie większą inicjatywę technokratom.
7-12-67	Ceausescu oskarżył „obce mocarstwo” o używanie nacisku ekonomicznego celem wpłynięcia na zmianę rumuńskiej polityki zagranicznej. Objął on stanowisko prezydenta, zachowując kierownictwo partii.
8-12-67	Stany Zjednoczone nie sprzeciwią się przybyciu delegacji Wietkongu do siedziby Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku — oświadczył przedstawiciel Departamentu Stanu — jeśli taka delegacja zostanie oficjalnie zaproszona.
9-12-67	Sowiety skierowały noty do NRF, Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii i Francji ostrzegające przed „wzrostem sił neo-nazistowskich” w Niemczech Zachodnich. Noty oskarżają również rząd NRF o zbrojenia, wbrew postanowieniom traktatu poczdamskiego.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
W Budapeszcie podpisano umowę węgiersko-sowiecką, zabezpieczającą prawa autorskie obu krajów. Ustawa wchodzi w życie 1. I. 1968.	Prezesem nowego zarządu Związku Pisarzy Polskich Zagranicą została Teodora Lisiewicz.
Zespół architektów krakowskich wygrał konkurs na przebudowę centrum Bagdadu.	W Nowym Jorku zmarł arcybiskup Nowego Jorku kardynał F. Spellman, lat 78. Był on kapelanem armii amerykańskiej.
Po raz pierwszy w historii chirurg południowoafrykański, prof. Barnard, dokonał przeszczepienia serca. Pacjent nazwiskiem Washkansky odzyskał przytomność.	W Londyńskim Albert Hall'u odbyła się uroczysta akademii dla uczczenia 100-ej rocznicy urodzin marszałka J. Piłsudskiego. W Akademii wzięło udział około 6 tys. osób.
Około 200 intelektualistów sowieckich wysłało petycję do Najwyższego Sowiegu domagając się przyznania większej wolności prasie.	W Belgradzie odbyło się sympozjum z udziałem historyków z Jugosławii, Polski i Czechosłowacji, poświęcone ocenie strategii partii w czasie II wojny światowej. Prasa krajowa podaje, że szczególnie żywa dyskusja wywiązała się nad okresem, w r. 1939, kiedy to komuniści oceniali wojnę jako „czysto imperialistyczną”.
	Zmarł Karol Kuryluk, przed wojną redaktor lwowskich <i>Sygnatów</i> , po r. 1956 min. Kultury i Sztuki, ostatnio dyrektor PWN.

DATA	POLITYKA
10-12-67	Do Moskwy przybyła misja watykańska, by przeprowadzić rozmowy z teologami prawosławnymi z Leningradu i Moskwy.
11-12-67	<p>Przedstawiciele Europejskiego Zrzeszenia Wolnego Handlu (EFTA) i Jugosławii będą uczestniczyli w niektórych komisjach technicznych EFTA. Zdaniem wielu ekspertów może to stanowić pierwszy krok w kierunku uzyskania przez Jugosławię członkostwa stowarzyszonego EFTA.</p> <p>W Leningradzie miał się rozpocząć proces przeciwko 4-em młodym intelektualistom rosyjskim, którym zarzuca się próbę organizowania terroru i przechowywanie broni. Oskarżonym grozi kara śmierci. W ostatniej chwili proces odroczone.</p>
12-12-67	Z Pragi nadchodzą wiadomości, że pod presją Politbiura Antonin Nowotny, sprawujący funkcje prezydenta i szefa partii ma ustąpić przynajmniej ze stanowiska szefa partii.
13-12-67	Król Grecki Konstantyn wezwał społeczeństwo greckie, by skupiło się wokół niego celem obalenia junty wojskowej. W kilka godzin później Król uciekł samolotem do Rzymu.
14-12-67	Władze w Czechosłowacji przyznały oficjalnie, że w niedawnych demonstracjach studenckich akcja policji była niezwykle brutalna.
15-12-67	<p>W. Gomułka zapowiada w Poznaniu wprowadzenie ustawy, która pozwoli władzom na przymusowe wykupywanie niewydajnych gospodarstw rolnych.</p> <p>Nieudana próba zamachu stanu w Algierze płk. Zbiri, mająca na celu usunięcie dyktatury płka Boumedienne.</p>

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
<p>W Bibliotece polskiej w Londynie odbyła się uroczystość przekazania własności Biblioteki Polskiej Ośrodkowi Społeczno-Kulturalnemu. W uroczystości, połączonej z 25-leciem Biblioteki, wzięli udział wybitni przedstawiciele polskiej emigracji, a ze strony brytyjskiej minister Stanu w Foreign Office, Goronwy-Roberts.</p> <p>Przeszło stu intelektualistów moskiewskich oskarżyło sowieckie władze sądowe o naruszenie praworządności za przetrzymywanie przez 11 miesięcy bez procesu sądowego A. Ginsburga, A. Dobrowolskiego, J. Gałanskowa i V. Łaskowej. Aresztowani wydawali młodzieżowe pismo <i>Feniks 66</i> i ogłosili pracę o procesie Siniańskiego i Daniela.</p> <p>Dwaj uczeni amerykańscy z uniwersytetu Stanford wytworzyli w próbówce biologicznie aktywny wirusa. Uważane to jest za zasadniczy przełom w próbach stworzenia życia w laboratorium.</p> <p>W Rzymie ukazał się 1-szy zeszyt dwumiesięcznika „Przemiany — przegląd myśli katolickiej”.</p>	<p>Znany młody poeta rosyjski, Josif Brodskij, został ponownie aresztowany w Leningradzie.</p> <p>W szpitalu w Fulham (Anglia) zmarł w wieku lat 82, prof. Wł. Wielhorski, b. prof. USB i dyr. Wileńskiej Szkoły Politycznej.</p> <p>W Londynie zmarł w wieku lat 67 Zygmunt Szempliński, wybitny polski ekonomista.</p> <p>W Paryżu zmarł w wieku lat 85 prof. L. Zaleski, znany historyk literatury.</p>

Listy do Redakcji

Londyn 14 listopada 1967.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

W swoim eseju o wydawnictwach „Nieposkromione bestie słów” w „Kulturze” (Nr 9/237) Adam Czerniawski uderza w moje, i moich dzieci śniadanie, obiad i kolację, więc podnoszę pióro, żeby się obronić. Z zawodu jestem drukarzem i chciałbym pouczyć Czerniawskiego na tych samych łamach, na których wprowadził czytelnika w błąd, o etyce drukarskiej, w której się nie a nic nie orientuje. Jest ona bowiem inna od etyki domu wydawniczego. A jeśli się zdarzy, że dom wydawniczy i drukarnia są połączone, to, pisząc o nich, trzeba je umieć rozłączyć. Na przykład, uwagi o Oficynie Poetów i Malarzy pozostawiają wyraźny posmak przemysłowej nagonki, chociaż wiem na pewno, że nie leżało to w intencji autora. Po prostu nie orientuje się dostatecznie w tych sprawach. Szkoda jednak, że zamiast długich grafomańskich cytatów nie rozwinął on szerzej swego paragrafu o „Wolności słowa”: może udałoby mu się samemu dotrzeć do sedna rzeczy.

Credo drukarza jest takie same jak fabrykanta broni: „NIE MA UPRZYWILEJOWANYCH!” Jego obowiązkiem jest dostarczać broń policji i potencjalnym bandytom, rządowi i anarchistom, wojskom regularnym i partyzantom. Nie jego rzecz, czy ktoś z tej broni strzelać umie, i w co trafia. Słowo drukowane jest podobną bronią i podobnie do niego drukarz podchodzi. Tak rozumieli swój zawód drukarze zawsze. I niedościgły ideał drukarzy, humanista wenecki, wielki Aldo Manutio, i przyjaciel Erazma, Jan Froben z Bazylei. Jako domy wydawnicze firmowali wspaniałe przekłady Pisma św. i Cycerona, Homera i Sofoklesa — iluż zaś odbiorców było na te dzieła na początku XVI wieku? Setki? Tuziny? Aby je móc wydawać, pracowały ich drukarnie nad masową produkcją religijnej grafomanii i niewybrednego politycznego paszkwilu: nad wszystkim co dewot chciał kupić i za co kiesa jasnie wielmożnego grafomana mogła zapłacić. Innego wyjścia nie było i nie ma dotąd tam gdzie drukarz chce pozostać niezależnym i gdzie państwo nie ma monopolu na drukowane słowo. Jeśli istnieje jakiś dodatkowy obowiązek drukarza, poza neutralnością, to jest nim dbałość o estetyczny wygląd szaty graficznej, nie więcej. Kto zaś ośmieli się powiedzieć, że pod tym względem Oficyna Poetów i Malarzy i Gliwa nie są najlepszymi drukarniami na emigracji? Jako domy wydawnicze potrafią obronić się same, chociaż na tym polu nikt nie zamierza negować primatu „Kultury”.

Łącząc wyrazy szacunku,

Jan DAROWSKI

Elmhurst, N.Y., 30 listopada 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W swych listach do redakcji („Kultura” Nr 241, str. 152) gen. Anders kwestionował autentyczność kilku słów rozkazu gen. Rozwadowskiego wydanego w Belwederze 13 maja 1926 r. w czasie wypadków majowych, a mianowicie zwrotu „starać się dostać w swe ręce przywódców ruchu nie oszczędzając ich życia”. Według pamięci gen. Andersa powinno być „oszczędzając ich życie”. Uważał, że rozkaz „uległ przeróbce, czego jakoby był ślad” i że wydaje się konieczne zbadanie oryginału przez rzeczoznawców.

W tym samym numerze „Kultury” pomieściłem fotokopię oryginału rozkazu, znajdującego się w archiwum Instytutu J. Piłsudskiego w Nowym Jorku.

Podczas mego pobytu w Londynie w październiku 1967 r. omawiałem tę sprawę bardzo szczegółowo z gen. Andersem i gen. Kukiem, który miał te same wątpliwości co do ścisłości 8-go wiersza wspomnianego rozkazu. Obaj uważali, że całość rozkazu (podpis gen. Rozwadowskiego, blankiet Kancelarii Wojskowej Prezydenta Rzplitej i jej pieczęć) są autentyczne, że jedynie wzmiankowane kilka słów zostały celowo zmienione w Komendzie Miasta, zajętej wówczas przez Marszałka Piłsudskiego.

Obaj generałowie wysunęli konieczność dokonania fachowej ekspertyzy dokumentu i zaproponowali powierzenie jej prof. Haleckiemu.

Instytut J. Piłsudskiego w Ameryce, pragnąc wyjaśnić całość sprawy, całkowicie przychylił się do tej propozycji i niezwłocznie po moim powrocie do Nowego Jorku zaproponował prof. Haleckiemu przybycie do Instytutu, zapoznanie się z oryginałem rozkazu i wydanie swej opinii. Prof. Halecki wyraził swą zgodę i po zbadaniu dokumentu nadesłał do Instytutu następujące oświadczenie:

„Niniejszym stwierdzam, że 13 listopada 1967 r. zbadalem oryginał rozkazu śp. Generała Rozwadowskiego z 13 maja 1926 r., przechowywany w zbiorach archiwalnych Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, i nie znalazłem na tym akcie żadnego śladu, który by mi pozwolił przypuścić, że po wymazaniu i przestawieniu szeregu słów maszynopisu wstawiono kilka liter zmieniających treść”.

Oskar Halecki

Orzeczenie prof. Haleckiego wykazuje, że rozkaz gen. Rozwadowskiego w swej całej treści jest niezmiennym oryginałem. W ten sposób należy uważać całą kontrowersyjną sprawę za całkowicie wyjaśnioną.

Pozostaję z głębokim szacunkiem,

Wacław JĘDRZEJEWICZ

Rzym, 12 grudnia 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

„Wspomnienia Janusza Radziwiłła” o kilkuminutowej rozmowie na stojąco w nuncjaturze papieskiej pod reżymem hitlerowskim (*Kultura*, Nr 12, 1967, str. 102) konfrontującemu je z niedawno opublikowaną dokumentacją watykańską za czas wojny nie wydają się być równoznaczne z „afrontem”, jeśli pisząc natychmiast z Berlina do Sekretarza Stanu nuncjusz Orsenigo pod datą 13 stycznia 1940 r. tak zanotował:

„Dziś otrzymałem zapewnienie od wybitnego Polaka (*un distintissimo polacco*), pana księcia Janusza Radziwiłła, przybywającego z Warszawy, że bpa Łodzi w początkowej fazie rzeczywiście niepokojonego, bo go zobowiązywano do spełniania nawet robót fizycznych, pozostawia się obecnie w spokoju, a tak samo jego bpa pomocniczego; także tamtejsze seminarium wchodzi w rytm normalny. Podobnie dobre nowości jeśli chodzi o seminarium i najdostojniejszych ordynariuszy on mi komunikował w wypadku archidiecezji Warszawy i archidiecezji Krakowa. Zapewniał mnie również, że o ile mu wiadomo, to zarówno ordynariusz Płocka, ekscelencja Antoni Julian Nowowiejski, jak tamten z Łucka, ekscelencja Adolf Szczęsny, pod panowaniem rosyjskim, obaj zostali na miejscu i administrują swoimi diecezjami”.

Jeżeli sam informator spotkał się z odmową co do przyjęcia „grube go pakietu”, jak stwierdzono, „nie znał zawartości, wiedział tylko, że są tam sprawozdania z sytuacji w poszczególnych diecezjach, zarówno pod okupacją niemiecką jak sowiecką”, to jest więcej niż dziwne, skąd więc nuncjuszowi, odwołującemu się ostrożnie do funkcjonowania normalnej poczty, dostały się w udziale te cenne informacje z tzw. Generalnej Gubernii jak i z za Buga? Czyżby „wybryk osobisty nuncjusza” nie stanął wtedy na przeszkodzie obu rozmówcom wglądać i skonstatować bodaj powierzchownie, co te „sprawozdania” zawierały?

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nuncjusz odtąd zapamiętał sobie dobrze informatora, skoro jego wieści z za Buga będące uzupełniać stronnictwami naświetleniami sytuacji przez ukraińskiego prałata (o rzekomej dezercji proboszczów polskich więcej zastraszonych najściem Rosjan niż kler rusiński!) i dlatego w sprawozdaniu do Watykanu pod datą 19 stycznia 1940 nie pominie losu Radziwiłłów pod okupacją sowiecką:

„Nie wynika, aby jak dotąd zachodziły zabójstwa duchownych; popadało się natomiast niektórym świeckim osobom w stan aresztu, jako że uchodzili za zbyt rozpolitykowanych. Cała rodzina książąt Radziwiłłów, tj. 22 osoby prawie przez kwartał uwięzione, uwolniono obecnie w całości i odesłano do Polski, do Warszawy, na skutek interwencji wysokich, może nawet panujących osobistości”.

Minął był tydzień od spotkania z księciem, z którym nuncjuszowi niewątpliwie przyszło się bodaj grzecznościowo porozmawiać, najłatwiej zjeżdżając na stosunki w rodzinie Radziwiłłów, czyli, że cały tzw. „afront” nie dotyczyłby tyle dostojnego informatora, ile raczej ostrożności wobec jego misji.

Minął cały miesiąc i znów w sprawozdaniu do kardynała Maglione dnia 21 lutego 1940, aby zaalarmować o pogorszonej sytuacji obu arcybiskupów łódzkich, bpów Jasińskiego i Tomczaka, nuncjusz berliński wobec niepokojących aluzji wysokiego urzędnika ministerstwa niemieckiego zaczął od usprawiedliwiania poprzedniego optymizmu, tłumacząc się, iż w tych sprawach utrzymywał milczenie jego „pierwszy informator”, znaczy niewymieniony z nazwiska Radziwiłł!

Nie mógł się uwolnić od tego urazu i jako katolik, słysząc nadto szemraną propagandę pod okupacją przeciw Stolicy Apostolskiej, postarał się, aby w tej sprawie zabrał głos Prymas Polski, którego zatem memoriał z dnia 2 sierpnia 1941 r. do Sekretarza Stanu pisany z Lourdes po włosku powołuje się przed „innymi najdostojniejszymi katolikami” na zdanie właśnie księcia Janusza Radziwiłła, przywidującego b. trudną sytuację dla Kościoła w Polsce odrodzonej, w wypadku, gdy się pozostawi własnemu losowi społeczeństwo „wystawione na niebezpieczną próbę”.

Sam zaś nuncjusz Orsenigo wyniósł ze spotkania w Berlinie jeno większe wyczulenie na nazwisko książęce Radziwiłłów, dając tego dowody

pod koniec wspomnianego r. 1940, kiedy 4 października w raporcie do Watykanu o rozpaczliwej sytuacji Polaków pod obiema okupacjami, wyliczywszy ofiary zwłaszcza w klerze, nie omieszkał napisać:

„Kursuje wieść o internowaniu w łagrze koncentracyjnym w Ravensbrücku księżnej Radziwiłł z Rytwian oraz księżnej Radziwiłł ze Sichowa, a także o tym, iż księcia Radziwiłła ze Sichowa zagnano do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie”.

Stąd trąci prawdą osąd samego autora „wspomnień” tak utrwalony: „Wiem, że kardynałowi Orsenigo, jeśli żyje i przypadkiem dojdą do niego te słowa, moje wspomnienie z przyjęcia w nuncjaturze nie sprawi żadnej przyjemności”. Nie robi ono pozytywnego wrażenia tym bardziej w zestawieniu „z wyszukaną grzecznością” Goeringa i „uprzejmego” ambasadora sowieckiego, bo żyje jeszcze wiele Polaków, co mają więcej swoich zastrzeżeń do tak „uprzejmych” osobistości niż do zastraszonego pod hitleryzmem dyplomaty watykańskiego, którym się chciano posłużyć w przekazaniu poczty dyplomatycznej w nawiązaniu kontaktu z Prymasem.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

ks. Hieronim KWIATKOWSKI

Londyn, 13 listopada 1967.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o umieszczenie w „Kulturze” następującego oświadczenia:

Prof. Wiktor Sukiennicki w swojej książce „Legenda i Rzeczywistość” (Dokumenty, Instytut Literacki, Paryż 1967) na stronie 60 pisze: „W 1931 roku uległa znacznej rozbudowie radiostacja wileńska: moc jej anteny została zwiększona z 0,5 Kw. do 16 Kw. Dyrektorem programu rozgłośni została pani Wanda Pełczyńska, której mąż pozostawał wówczas na wysokim stanowisku w Warszawie”.

Nigdy nie byłam ani dyrektorem programowym ani pracownikiem radiostacji wileńskiej. Podając błędne dane o mojej rzekomej pracy w radio wileńskim prof. Sukiennicki powołał się na wydawnictwo „Czy wiesz kto to jest?” (Warszawa, 1938). Wydawnictwo to ma wiele pomyłek i bardzo poważnych braków. Muszę przy tym stwierdzić, że pamięć prof. Sukiennickiego zawiodła, bo dyrektorem programowym radiostacji wileńskiej do końca 1935 r. był Witold Hulewicz, po nim Juliusz Petri, a następnie Tadeusz Łopalewski. Witold Hulewicz położył wielkie zasługi w rozwoju radiostacji wileńskiej, a w latach 1924-1935 odgrywał ogromną rolę w życiu intelektualnym Wilna. Toteż pominięcie całkowitym milczeniem Witolda Hulewicza i jego działalności w Wilnie w książce „Legenda i Rzeczywistość” jest poważnym brakiem i błędem. Dodam, że Witold Hulewicz ma w polskiej prasie podziemnej w Warszawie kartę wybitną. Został rozstrzelany przez Niemców na Palmirach w roku 1940.

Do Wilna przyjechałam w marcu 1932, gdy mój mąż objął dowództwo 5 pułku piechoty Legionów.

Na str. 61 prof. Sukiennicki pisze: „O ile w stosunku do mojej osoby obie panie (Cezaria Ehrenkreutzowa i Wanda Pełczyńska — przyp. mój) podzielały w pewnym bodaj stopniu opinie Cata i Studnickiego, Henrykiem Dembińskim były przez czas dłuższy oczarowane. Ich to i kto wie czy nie ich mężów protekcji zawdzięczał on w dużym stopniu swe ówczesne 'sukcesy' i ułatwienia techniczne”.

Oświadczam, że ani Cat-Mackiewicz, ani Władysław Studnicki nie mieli żadnego wpływu na moje poglądy ani na kształtowanie się moich opinii o ludziach. Politycznie byli mi bardzo dalecy. Żadnego kontaktu z nimi nie miałam. Szkoda, że prof. Sukiennicki nie przeczytał mego artykułu „Po raz drugi bronie Dembińskiego” („Wiadomości”, nr 85-86 z roku 1947) oraz mego artykułu „Tworzenie legendy” („Polemiki”, zeszyt 6, r. 1967), nie potrzebowałyby wówczas snuć domysłów na temat jaki był mój stosunek do Henryka Dembińskiego, którego broniłam w procesie w roku 1938 w Wilnie.

Mój mąż upoważnił mnie do stwierdzenia, że nigdy nie udzielał Dembińskiemu żadnych protekcji. Poznał go lepiej, gdy Dembiński odbywał służbę wojskową w 5 p.p. Leg., gdzie ukończył kurs podchorążych rezerwy. Dembiński na kursie tym uzyskał pierwszą lokatę, którą zawdzięczał swoim zdolnościom.

Z poważaniem,

Wanda PEŁCZYŃSKA

Ks. Artur Słomka. Ramsey, N.J. protestuje przeciwko ocenie p. J.S. stosunków i atmosfery w Polsce i w Warszawie, zamieszczonej w nrze październikowym „Kultury” z ub. roku, uważając że określenie „chamskość” jest niesprawiedliwe i krzywdzące. Dla uzasadnienia swych wywodów ks. Słomka cytuje własne wrażenia i powołuje się na obserwacje swoich znajomych.

Płk. dypl. St. Żochowski, Australia, w związku z artykułem p. M. Borwiczka omawiającym książkę „Ten jest z Ojczyzny mojej” w nrze 9/239 „Kultury”, broni NSZ przed zarzutami mordowania Żydów, uważając że NSZ broniła w pierwszym rzędzie cywilną ludność przed bandytyzmem, w którym nie brakowało Żydów i cytuje wypadki przesładowania Żydów przez Gwardię Ludową w okresie okupacji.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”. Waclaw IWANIUK,
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 1^{er} Trimestre 1968

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Soriano 2076, Buenos Aires	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlatern-gasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.000 F. b.
BRAZYLIA : Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guira 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w kawiarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel. : 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
CANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto 3, Ont. K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. Montreal 28, Quebec, tél. : HU 8-5224; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, téléphone : 233-7212.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 71	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ...	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. ... : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetyński, 1603 N ^o Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya, Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine, Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305 ; Christian Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; J. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Book Co., Book Co. 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 9 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48110, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 148 — TOMASZ STALIŃSKI

WIDZIANE Z GÓRY

Pierwsza powieść o Polsce Ludowej, której bohaterami są członkowie Biura Politycznego KC PZPR
Str. 320 Cena egz. 18,50 F (dol. 4,00)



TOM 150 — SERIA „ARCHIWUM REWOLUCJI”
SWIETLANA ALLILUJEWA

DWADZIEŚCIA LISTÓW DO PRZYJACIELA

Przełożył z rosyjskiego L. Perzanowski
PRZEDMOWA GUSTAWA HERLING-GRUDZIŃSKIEGO
Str. 256 Cena 15 F (dol. 3,25)



TOM 151 — SERIA „ARCHIWUM REWOLUCJI”
ALEKSANDER WEISSBERG-CYBULSKI

WIELKA CZYSTKA

Przeład Adama Ciołkosza
Ze wstępem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego
Najbardziej wstrząsający dokument z okresu stalinizmu.
Str. 576 Cena egz. 30 F (dol. 6,50)



TOM 152 — LEOPOLD TYRMAND

ŻYCIE TOWARZYSKIE I UCZUCIOWE

Powieść o potędze małości w socjalizmie
Str. 520 Cena egz. F 26 (dol. 5,50)

Cena 7,50 F